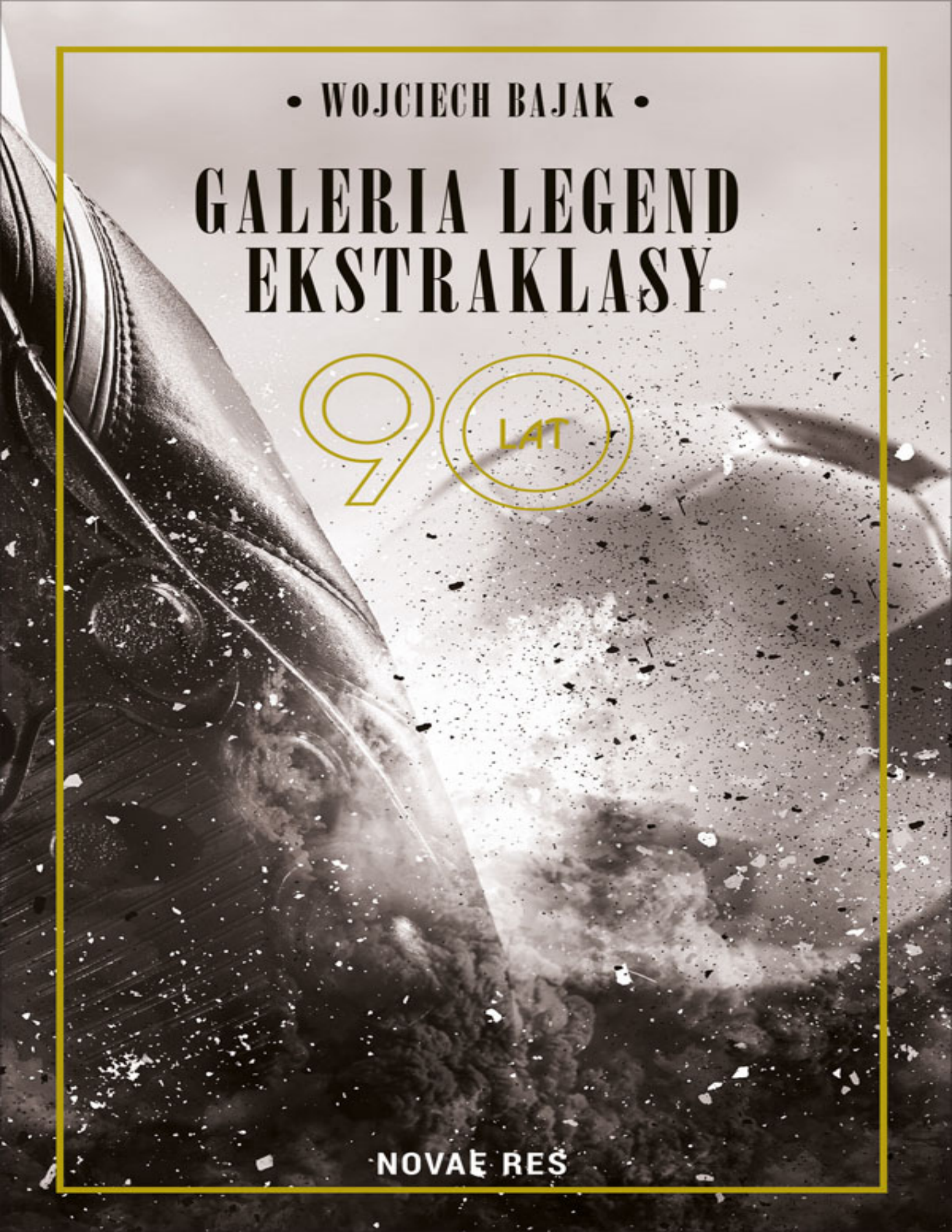
• WOJCIECH BAJAK •
GALERIA LEGEND EKSTRAKLASY
90 LAT
NOVAE RES

• WOJCIECH BAJAK •

GALERIA LEGEND EKSTRAKLASY

NOVAE RES

Spis treści

Wstęp

Spirydion Albański (bramkarz)

Józef Kałuża (pomocnik/napastnik)

Karol Kossok (napastnik)

Józef Kotlarczyk (pomocnik)

Wacław Kuchar (pomocnik/napastnik)

Henryk Martyna (obrońca)

Michał Matyas (napastnik)

Józef Nawrot (napastnik)

Teodor Peterek (napastnik)

Henryk Reyman (napastnik)

Fryderyk Scherfke (napastnik)

Władysław Szczepaniak (obrońca/pomocnik)

Ernest Wilimowski (napastnik)

Gerard Wodarz (pomocnik/napastnik)

Artur Woźniak (napastnik)

Teodor Anioła (napastnik)

Lucjan Brychczy (napastnik)

Ewald Cebula (napastnik/pomocnik/obrońca)

Gerard Cieślik (napastnik)

Stefan Florenski (obrońca)

Henryk Kempny (napastnik)

Józef Kohut (napastnik)

Roman Korynt (obrońca)

Tadeusz Parpan (pomocnik/obrońca)

Ernest Pohl (napastnik)

Czesław Suszczyk (pomocnik)

Henryk Szczepański (obrońca/pomocnik)

Edward Szymkowiak (bramkarz)

Jerzy Woźniak (obrońca)

Edmund Zientara (pomocnik)

Zygmunt Anczok (obrońca)

Jan Banaś (pomocnik)

Piotr Czaja (bramkarz)

Andrzej Jarosik (napastnik)

Władysław Kawula (obrońca)

Marian Kielec (napastnik)

Hubert Kostka (bramkarz)

Roman Lentner (pomocnik)

Jan Liberda (napastnik)

Włodzimierz Lubański (napastnik)

Joachim Marx (napastnik)

Stanisław Oślizło (obrońca)

Jerzy Sadek (napastnik)

Zygfryd Szołtysik (pomocnik)

Janusz Żmijewski (napastnik/pomocnik)

Bronisław Bula (pomocnik)

Lesław Ćmikiewicz (obrońca/pomocnik)

Kazimierz Deyna (pomocnik)

Jan Domarski (napastnik)

Jerzy Gorgoń (obrońca)

Robert Gadocha (pomocnik/napastnik)

Henryk Kasperczak (pomocnik/obrońca)

Kazimierz Kmiecik (napastnik)

Grzegorz Lato (pomocnik/napastnik)

Adam Nawałka (pomocnik)

Andrzej Szarmach (napastnik)

Antoni Szymanowski (obrońca)

Stanisław Terlecki (pomocnik)

Jan Tomaszewski (bramkarz)

Władysław Żmuda (obrońca)

Zbigniew Boniek (pomocnik/napastnik)

Andrzej Buncol (pomocnik)

Dariusz Dziekanowski (napastnik)

Jan Furtok (napastnik)

Andrzej Iwan (napastnik)

Paweł Janas (obrońca)

Janusz Kupcewicz (pomocnik)

Marek Leśniak (napastnik)

Stefan Majewski (obrońca)

Józef Młynarczyk (bramkarz)

Mirosław Okoński (napastnik)

Włodzimierz Smolarek (pomocnik/napastnik)

Jan Urban (napastnik)

Ryszard Tarasiewicz (pomocnik)

Krzysztof Warzycha (napastnik)

Jerzy Brzęczek (pomocnik)

Marek Citko (pomocnik/napastnik)

Jacek Dembiński (napastnik)

Andrzej Juskowiak (napastnik)

Radosław Kałużny (pomocnik)

Wojciech Kowalczyk (napastnik)

Cezary Kucharski (pomocnik/napastnik)

Tomasz Łapiński (obrońca)

Radosław Michalski (pomocnik)

Leszek Pisz (pomocnik)

Jerzy Podbrożny (napastnik)

Maciej Szczęsny (bramkarz)

Piotr Świerczewski (pomocnik)

Tomasz Wieszczycki (pomocnik)

Jacek Zieliński (obrońca)

Manuel Arboleda (obrońca)

Artur Boruc (bramkarz)

Bartosz Bosacki (obrońca)

Paweł Brożek (napastnik)

Tomasz Frankowski (napastnik)

Arkadiusz Głowacki (obrońca)

Kamil Kosowski (pomocnik)

Robert Lewandowski (napastnik)

Sebastian Mila (pomocnik)

Marek Saganowski (napastnik)

Radosław Sobolewski (pomocnik/obrońca)

Łukasz Surma (pomocnik)

Mirosław Szymkowiak (pomocnik)

Aleksandar Vuković (pomocnik)

Maciej Żurawski (napastnik)

Bibliografia

Szanowni Państwo

Minęło już ponad 90 lat od powstania ligowych rozgrywek piłkarskich w Polsce. Przez ten cały czas losy ligi przeplatały się z często burzliwą historią naszego kraju. Zwyciężaliśmy, cieszyliśmy się i dumnie prężyliśmy piersi po wygranych, ale też podnosiliśmy się i jednoczyliśmy po porażkach. Mimo wielu przeciwności nasze kluby niejednokrotnie odnosiły sukcesy na arenie międzynarodowej. Przeżywaliśmy też w tym okresie wspaniałe chwile związane z triumfami drużyny narodowej. Tworzyliśmy piękną i niezapomnianą historię naszego kraju.

Ilu piłkarzy przewinęło się w tym czasie przez boiska Ekstraklasy? Są to już liczby rzędu dziesiątek tysięcy. Wśród nich rekordziści i epizodyści. Wspaniali snajperzy oraz notoryczni pechowcy. Wielokrotni mistrzowie i zawodnicy, którzy co sezon musieli przełykać gorycz własnej porażki.

Umiejętności piłkarzy mierzy się ich boiskowym dorobkiem: golami, asystami, dryblingami czy wspaniałymi interwencjami bramkarskimi. To jest ta klasa. Sportowa klasa. Natomiast status Legendy to coś więcej. Tu decydują także niepowtarzalne cechy osobowości, które pozwalają wygrywać nie tylko na boisku. To właśnie dzięki pierwiastkowi „legendarności” z tej masy piłkarzy w sercach oraz pamięci kibiców na długie lata zostaje ich tylko garstka. Za to należy im się ogromny szacunek.

Wybory Galerii Legend Ekstraklasy dokonane od lutego do kwietnia 2018 roku były klamrą łączącą obchody dziewięćdziesięciolecia najwyższej ligi piłkarskiej w Polsce. Tysiące kibiców i wielu ekspertów musiało się napracować, by wybrać dwudziestu dwóch pierwszych członków tego zaszczytnego i wybitnego grona ze stu pięciu pieczołowicie wyselekcjonowanych kandydatów. Z pewnością każdy z nich zapisał się w pamięci własnych kibiców statusem piłkarskiego bohatera, choć nie każdy z nich ostatecznie mógł znaleźć się w ścisłej Galerii Legend.

Ta książka to hołd złożony wszystkim stu pięciu kandydatom do Galerii Legend Ekstraklasy. Na jej kartach autor, nasz kolega i pracownik Ekstraklasy, Wojtek Bajak, jako współtwórca całej akcji, przypomina wielkie czyny – te boiskowe, jak i te poza piłkarskie – które sprawiły, że dziś wszyscy nasi bohaterowie noszą miano „Legend”. Formalny wpis to bowiem jedno, ale jeszcze ważniejsza jest pamięć. Mam nadzieję, że ta publikacja ożywi wspomnienia u starszych czytelników i wieloletnich kibiców piłkarskich, a u młodszych poszerzy wiedzę i uczyni z nich wiernych kibiców rodzimych rozgrywek piłkarskich.

Nasza historia toczy się dalej. Jesteśmy w trakcie sezonu 2018/2019. To kolejna porcja sportowych emocji. Chciałbym, by któryś z zawodników występujących w tej edycji rozgrywek zasłużył sobie już za kilka lat na miejsce obok postaci tej miary co Włodzimierz Lubański, Ernest Pohl, Kazimierz Deyna, Gerard Cieślik, Zbigniew Boniek, Lucjan Brychczy czy Tomasz Frankowski. Tego wszystkim piłkarzom życzę z całego swojego sportowego serca.

Przyjemnej lektury!

Prezes Zarządu Ekstraklasy S.A.
Marcin Animucki

Piłkarskie mistrzostwa Polski pierwszy raz zostały rozegrane w 1920 roku. Początkowo zdobywcy najważniejszego tytułu w rodzimym futbolu byli wyłaniani po turnieju finałowym, w którym występowali triumfatorzy kilku okręgów. Dopiero po siedmiu latach system ten zastąpiono formatem ligowym. Od tego dnia do maja 2018 roku w najwyższej polskiej lidze wystąpiło osiemdziesiąt pięć drużyn. Łącznie rozegrały one między sobą ponad siedemnaście tysięcy spotkań, w których padło ponad czterdzieści pięć tysięcy goli. W tym czasie miały miejsce osiemdziesiąt cztery edycje zmagań, z czego osiemdziesiąt trzy udało się dokończyć (wyjątek stanowi sezon 1939, przerwany przez wybuch II wojny światowej). W formule ligowej na najwyższym stopniu podium stanęło szesnaście zespołów.

Już w początkach istnienia rozgrywek powszechnie w stosunku do nich używano terminu „ekstraklasa” jako zamiennika dla „pierwsza liga”. Jednak dopiero siedemdziesiąt osiem lat później z potocznego określenia przeistoczył się on w oficjalną nazwę najwyższej ligi. Stało się tak po przekształceniu rywalizacji o mistrzostwo Polski w ligę zawodową. Dokonali tego delegaci reprezentujący szesnaście klubów obecnych na pierwszym szczeblu rozgrywkowym w sezonie 2005/2006 podczas zebrania założycielskiego w Warszawie 14 czerwca

2005 roku. Organizatorem ligi została nowo powołana spółka - Ekstraklasa S.A. z siedzibą w Warszawie.

Po jej zarejestrowaniu, 12 sierpnia 2005 roku, została podpisana umowa pomiędzy Polskim Związkiem Piłki Nożnej a przedstawicielami organizacji na zarządzanie rozgrywkami najwyższego szczebla w Polsce. Umowa weszła w życie 18 listopada 2005 roku. Od tego czasu do końca sezonu 2017/2018 w Ekstraklasie rozegrano w sumie 3.296 meczów i wyłoniono trzynastu mistrzów Polski. Obecnie w Ekstraklasie gra szesnaście klubów.

W 2007 roku Ekstraklasa została członkiem EPFL (European Professional Football Leagues), obecnie znanego jako European Leagues. Organizacja ta zrzesza największe europejskie ligi zawodowe z dwudziestu czterech państw.

Kluby Ekstraklasy uczestniczą regularnie w europejskich rozgrywkach. Mistrzowie Polski startują w Lidze Mistrzów. Zespoły z dwóch kolejnych miejsc na koniec sezonu otrzymują natomiast przepustkę do rywalizacji w Lidze Europy.

Od lewej: Spirydon Albański / źródło: NAC

SPIRYDION ALBAŃSKI

(bramkarz)

Kluby w Ekstraklasie: Pogoń Lwów
Lata gry: 1928-1939
Mecze/gole: 234/0

Uraz kolegi, dobre oko trenera, potrzeba chwili oraz łut szczęścia dały Polsce najlepszego bramkarza lat trzydziestych. Przeciętny napastnik rezerwowej drużyny Pogoni Lwów, Spirydion Albański, został bowiem w 1928 roku posłany do boju przez Karla Fischera po kilku minutach meczu ligowego za… kontuzjowanego golkipera Tadeusza Sobocińskiego. Potem pozostał wierny tej pozycji do końca kariery.

Choć co do jego początków nie ma pełnej zgodności. Sam Albański twierdził, że wszedł wtedy za Bolesława Lachowicza, a dodatkowo gazety jako zmiennika podają

innego z napastników – Włodzimierza Łysyka. Być może jednak rzeczywiście był to Albański. Wszak to on w kolejnym meczu od początku stał już między słupkami i do 1939 roku – a zatem przez jedenaście lat – opuścił tylko pięć spotkań ligowych. Łącznie uzbierał na koncie 234 występy w najwyższej lidze, co było najlepszym wynikiem na jego pozycji przed II wojną światową.

– *Jak na zawodnika rezerwowej drużyny jeszcze nie najgorszy* – pisał o nim po jednym z pierwszych meczów w Ekstraklasie „Przegląd Sportowy". W kilka miesięcy później nie było już żadnych wątpliwości co do jego przydatności. – *Unicestwia on ciężkie strzały, zanim jeszcze publiczność ma możność zorientować się, jak wielkie niebezpieczeństwo groziło drużynie* – dodawali obserwatorzy.

Świetnie grał na linii. Intuicyjnie potrafił bronić strzały nawet z bliskiej odległości. *Przyzwyczailiśmy się widzieć w nim bardzo dobrego bramkarza, jednak to, co pokazał, wykraczało ponad normalną miarę. Wspaniałe jego parady, wypady, jak również robinsonady, którymi bronił strzały Malczyka, czy Reymana, zasługują na specjalne wyróżnienie. Był zaporą, dzięki której sporo pewniaczków nie znalazło się w siatce* – tak jego postawę w meczu ligowym z Wisłą Kraków opisywał „Przegląd Sportowy". W starciu Pogoni Lwów z Wartą Poznań w 1935 roku uchronił swój zespół przed stratą bramki, choć napastnik rywali stał zaledwie pół metra przed linią bramkową! Drużyna Czechosłowacji dobrze zaś zapamiętała jego

paradę zatrzymującą piłkę po strzale z dwóch metrów wykonanym przez Josefa Silnego, wicemistrza świata.

Nowocześnie, jak na tamte czasy, grał na przedpolu. Miał bardzo pewny chwyt, dobrze oceniał sytuacje pod swoją bramką, a przede wszystkim odważnie rzucał się po piłkę tkwiącą w gąszczu nóg rywali. Było to jeszcze bardziej imponujące przy zestawieniu z jego warunkami fizycznymi. Nie był nawet najniższy jak na owe lata – mierzył 176 centymetrów. – *Posiada wszystkie warunki na bramkarza pierwszej klasy. Jest duży, silny, niezły technicznie, otrzaskany w niejednym boju* – opisywał go „Przegląd Sportowy”. Jednak jego waga oscylowała w okolicach pięćdziesięciu kilogramów! Dlatego też pojedynki Albańskiego z dużo lepiej zbudowanymi przeciwnikami wywoływały ogromne poruszenie na trybunach. *Najefektowniejszym momentem spotkania był pojedynek Balcera z Albańskim w osiemnastej minucie. Skrzydłowy Wisły minąwszy Wańczyckiego, pędził wprost do bramki Pogoni. Albański wybiegł naprzeciw niego, zderzenie dwóch zawodników o tak różnej wadze nie mogło zakończyć się gładko. I faktycznie bramkarz znalazł się na ziemi, a będący w pełnym pędzie skrzydłowy wpadł prawie do bramki. Piłka jednak pozostała w dłoniach Albańskiego* – opisywał „Przegląd Sportowy”. Kiedyś po jednym z takich starć w towarzyskim spotkaniu z Daringiem Bruksela upadł i stracił przytomność. Zniesiono go z boiska, ale kiedy rezerwowy golkiper szykował się do zmiany, Albański wrócił na murawę i dograł do końca spotkania.

Nie zawsze jednak te jego wybiegi znajdowały uznanie fachowców. Wielu uważało, że niepotrzebnie ryzykuje i przez to drużyny tracą zbyt wiele goli. Inną z jego wad dostrzegł sędzia meczu Polska – Dania, Anglik Roger Ruud:

– *Wiem, że mój przyjaciel, polski bramkarz – Albański nie weźmie mi za złe, gdy powiem, że moim zdaniem jego jedynym błędem przy świetnej skądinąd technice chwytu i ustawiania się jest inklinacja do zbyt długiego przetrzymywania piłki. Były chwile, gdy mógł szybko rozstać się z piłką na korzyść swoich, lecz nie – on biegł potrząsając piłką i drażniąc nadbiegających graczy duńskich.*

Mimo tych mankamentów, w ankiecie przeprowadzonej przez „Przegląd Sportowy” w 1935 roku pięciu z sześciu znanych byłych zawodników ligowych przyznało Albańskiemu pierwszą lokatę wśród polskich golkiperów. Był również pierwszym bramkarzem – i trzecim w ogóle piłkarzem po Wacławie Kucharze oraz Józefie Kałuży – w TOP-10 Plebiscytu „Przeglądu Sportowego” na Sportowca Roku (w 1933). Następnym przedstawicielem tej pozycji w tym gronie stał się dopiero Edward Szymkowiak dwadzieścia trzy lata później.

– *To klasa międzynarodowa* – mówił o nim Bela Rebro, sławny węgierski piłkarz, a potem trener FC Szeged, z którym zmierzyła się towarzysko Pogoń Lwów. Twierdził, że Albański mógłby z powodzeniem występować nawet w najlepszych klubach europejskich. A zaimponować temu szkoleniowcowi było tym większą sztuką, że miał on

w składzie Jozsefa Palinkasa, który w 1938 roku został wicemistrzem świata.

Do czasów Edwarda Szymkowiaka był na pierwszym miejscu pod względem największej liczby występów w reprezentacji Polski wśród golkiperów. Z orłem na piersi zagrał osiemnaście razy. Wystąpił też na Igrzyskach Olimpijskich w 1936 roku, gdzie Polska wywalczyła czwarte miejsce. Sam Albański był zaś kapitanem w spotkaniu decydującym o medalach. Nie wspominał go jednak najlepiej, bo przy decydującej bramce piłka odbiła się od poprzeczki, spadła na jego plecy i wtoczyła się do siatki…

Mimo tej wpadki zasłynął jako najlepszy polski bramkarz ligowy sprzed II wojny światowej. Wiele lat później o losy tego golkipera dowiadywał się nawet Jan Paweł II, który sam za młodu stał na bramce. Albański w Rzymie znalazł się zresztą dużo szybciej niż jego sławny fan. Już w 1934 roku przyjechał tam z reprezentacją w drodze do Neapolu na mecz z Włochami. Razem z Michałem Matyasem złożyli, jako przedstawiciele polskiej delegacji, wieniec pod Grobem Nieznanego Żołnierza w Wiecznym Mieście. Zdążył też zdobyć uznanie miejscowej publiki. – *Albański ma nadzwyczajne wyczucie. Jest zwinny i jego parady były bardzo udane* – dodawała włoska gazeta „Meggiorno Sportivo”.

Ale nie tylko papież podziwiał Albańskiego. Kazimierz Górski opowiadał, że w czasach świetności tego golkipera, większość młodych chłopców we Lwowie zapragnęła nagle grać na tej pozycji i oczywiście przybierała w meczach

podwórkowych nazwisko swego idola. Nawet sam Górski, choć niewysoki, pod wpływem gry „pana Spirydiona” z ataku przeniósł się między słupki.

W czasie wojny Albański pracował w wypożyczalni sprzętu sportowego i grał we lwowskich zespołach: Dynamie oraz Spartaku. Krótko potem reprezentował też barwy Resovii i Pogoni Katowice. Pracował jako trener w klubach z niższych klas rozgrywkowych.

Zmarł w 1992 roku.

źródło: NAC

JÓZEF KAŁUŻA

(pomocnik/napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Cracovia
Lata gry: 1928-1929
Mecze/gole: 43/19

Nie dane było mu pograć w Ekstraklasie zbyt długo. Szczyt jego piłkarskich osiągnięć przypadł na pierwszą połowę lat 20., czyli okres przed powstaniem ligi. Wtedy razem ze Stanisławem Mielechem, Leonem Sperlingiem, Bronisławem Kotapką i Ludwikiem Gintelem uczynił z Cracovii jedną z najlepszych polskich drużyn czasów międzywojnia. Jeszcze długo potem stawiano ich za niedościgły wzór dla kolejnych futbolowych pokoleń. Razem sięgnęli w 1921 roku po mistrzostwo Polski i wielokrotnie w meczach z zagranicznymi rywalami robili znakomitą reklamę dla polskiego futbolu.

To właśnie on w tym zespole pełnił rolę reżysera. Imponował szczególnie bliskim ideału prowadzeniem piłki.

– *Miał oczy dookoła głowy* – opisywał go Stanisław Mielech. Jego szczególną specjalnością były doskonałe podania. – *Świetne podania Kałuży – każde zawierające w sobie 50 procent możliwości bramki* – donosiła prasa. Dzięki tym zaletom stanowił również długoletni filar reprezentacji Polski. Rozegrał w biało-czerwonych barwach szesnaście oficjalnych spotkań i strzelił siedem goli. Uczestniczył też w Igrzyskach Olimpijskich w 1924 roku.

Ligowy debiut Kałuży przypadł jednak dopiero na 1928 rok. W porównaniu z pozostałymi rywalami Cracovia przystąpiła bowiem do elity o sezon później. Dopiero gdy świetny napastnik miał już 32 lata na karku, mógł rozegrać premierowe spotkanie na najwyższym poziomie rozgrywkowym. Mimo zaawansowanego wieku nie wyzbył się swoich atutów i przez dwa lata gry na najwyższym szczeblu nadal imponował formą na tle graczy młodszych o kilkanaście lat.

– *Kałuża przeżywa w sezonie bieżącym czasy swej świetności. Po paru latach wybitnie słabych, dziś błyszczy jego wielki talent, jak za czasów królowania Cracovii w polskim sporcie piłkarskim w latach 1920 – 1924. Kałuża piłkę kryje ciałem, trzyma przy sobie i dribluje tak, że wprost nie sposób mu ją odebrać, a już jeśli chodzi o prostopadłe podania do łączników, nie ma doprawdy rywala godnego sobie w całej Polsce* – pisał o nim „Przegląd Sportowy” po meczu z Warszawianką.

Właśnie w lidze przeżył swój 400. mecz rozegrany w barwach Cracovii. Uczcił go, jak na mistrza przystało. –

Świetne zwycięstwo pod batutą mistrza Kałuży – pisał „Przegląd Sportowy” po rozgromieniu 1. FC Katowice w rozmiarze 6:1. Do legendy przeszedł też jego występ w prestiżowych derbach Krakowa przeciwko Wiśle. – *Kałuża miał jeden ze swych najpiękniejszych dni. Niespożytą była wprost jego energia, kiedy w drugiej połowie pojawiał się to w pomocy, to na skrzydle ataku, wszędzie wykazując swe mistrzostwo* – donosili sprawozdawcy „Przeglądu Sportowego”.

W czasach gry systemem 1–2–3–5 był uznawany za największego specjalistę od roli tak zwanego „kierownika napadu”. – *Po wycofaniu z czynnego życia sportowego niedościgłego mistrza polskich dyrygentów napadu, Józefa Kałuży, na stanowisko to nie znalazł się dotąd prawdziwie godny następca* – odnotowywała prasa już po zakończeniu kariery przez tego zawodnika. Nie znaczy to jednak, że dyrygent Cracovii był bez wad. Potrafił poderwać drużynę do boju, ale niespożyta energia obracała się też czasem przeciw niemu. Przede wszystkim zbyt często stawał się zanadto nerwowy i histeryczny w swych reakcjach. Z tego względu momenty ocierające się o geniusz nawet w skali całej Europy przeplatał ze słabszymi epizodami.

Mimo wszystko dosłużył się tytułu „króla piłkarzy polskich”. Tak napisano o nim w 1931 roku. Nie była to odosobniona opinia. Niestety metryki nie dało się oszukiwać zbyt długo. W piłce nożnej był obecny od pierwszej dekady XX wieku. Już na początku lat nastych tego stulecia grał w reprezentacji Krakowa. Choć już na

samym starcie jego kariera zawisła na włosku. W czasach nauki wezwał go dyrektor gimnazjum, ksiądz Bielan, i ostrzegł: – *Źle z Tobą. Słyszałem, że jesteś sławnym bramkarzem*. – Niezrażony Kałuża wykorzystał pomyłkę kapłana i zgodnie z prawdą przyrzekł, że to nieprawda: nie jest i nie będzie bramkarzem. Ksiądz uspokojony tym powołaniem się na własne sumienie nie drążył już więcej tematu.

W 1929 roku Kałuża zdecydował się wziąć rozbrat z futbolem. Łącznie w lidze uzbierał 43 spotkania, w których strzelił 19 goli. Nadal ciągnęło jednak wilka do lasu. Po zakończeniu kariery zdecydował się na kurs trenerski w Warszawie oraz studia w Wyższej Szkole Handlowej. W tym czasie pełnił rolę kierownika technicznego Legii Warszawa i… okazjonalnie grywał w piłkę w pierwszym zespole. Podczas tournée stołecznego zespołu do Niemiec pozwolenia na grę w barwach tej drużyny udzielił mu sam Prezes PZPN, Władysław Bończa-Uzdowski. Udało się Kałuży nawet strzelić dla Wojskowych gola w jednym z takich spotkań. Tuż po praktycznym zakończeniu kariery grał w kadrze Krakowa, a nawet w reprezentacji Polski – w, uznawanym dziś za nieoficjalne, spotkaniu w Pucharze Amatorów Europy Środkowej przeciwko Węgrom. W Cracovii ostatni raz towarzysko wystąpił zaś w 1931 roku. Do dziś uznawany jest za najwybitniejszego piłkarza tej drużyny.

Po odwieszeniu butów na kołku szukał różnych dróg. Wszystkie ostatecznie wiodły jednak do piłki. To on

zapoczątkował coś, co dziś nazwalibyśmy „scoutingiem”. Jeszcze w czasach pracy dla Legii chodził po warszawskich podwórkach i zapisywał nazwiska najbardziej utalentowanych zawodników. Planował karierę sędziowską, był delegatem do zarządu ligi. Ostatecznie zaś skończył jako trener. Jako selekcjoner wprowadził reprezentację Polski na Igrzyska Olimpijskie w 1936 roku, gdzie wywalczył 4. miejsce. Został dzięki temu pierwszym (i jednym z dwóch w dziejach) Polakiem, który sam zagrał na IO, a potem poprowadził na imprezie tej rangi kadrę Polski. Dwa lata później awansował zaś z biało-czerwonymi na mistrzostwa świata. Przed nim nikomu nie udało się tego dokonać.

Rolę selekcjonera pełnił w nowoczesnym stylu. W swoim ręku dzierżył niemal pełnię władzy w zakresie zestawienia kadry narodowej, co szczególnie imponowało Niemcom. Zdarzało mu się też samemu przywdziewać strój sportowy, aby uczestniczyć w grach treningowych, jeśli brakowało zawodników.

Dbał również o ducha w drużynie. W 1932 roku podczas wyjazdu na mecz z Jugosławią zespół miał kilkugodzinny postój w Wiedniu. Kałuża zarządził wypad do słynnego lunaparku na Praterze. Zawodnicy upodobali sobie szczególnie zabawę na samochodzikach elektrycznych. Każdy z nich za punkt honoru obrał sobie, by… chociaż raz zderzyć się ze swoim selekcjonerem. Legenda polskiego futbolu nie obraziła się jednak za ten afront.

W przeciwieństwie do wielu innych kolegów z boiska nie zdecydował się na grę lub udział w innej roli w okupacyjnych rozgrywkach. Uważał, że nie należy stwarzać pozorów normalności w kraju znajdującym się pod butem Niemców. Zmarł w 1944 roku na zapalenie opon mózgowych. Jest patronem ulic w Krakowie, Przemyślu oraz Tenczynku. Przed stadionem Cracovii, leżącym na arterii noszącej nazwisko tego znakomitego piłkarza, w październiku 2017 roku odsłonięto jego pomnik.

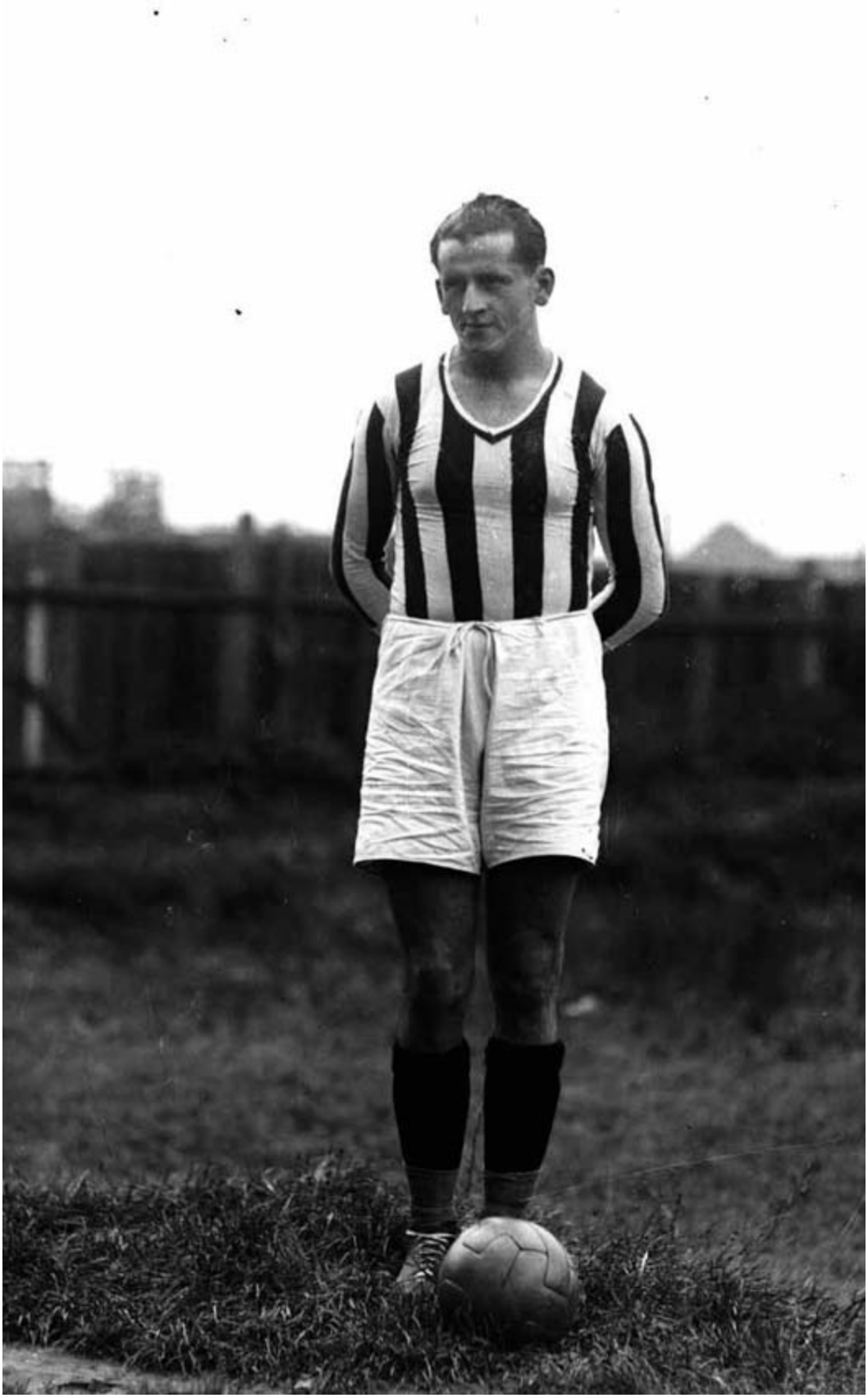

źródło: NAC

KAROL KOSSOK

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: 1. FC Katowice, Cracovia, Pogoń Lwów
Lata gry: 1927-1935
Mecze/gole: 117/100

Łatwo można było zlekceważyć tego zawodnika. W czasach gdy wzorcami piłkarskimi w Polsce byli Józef Kałuża czy Wacław Kuchar – obaj liczący poniżej 170 centymetrów – przerastający ich o głowę, a w dodatku barczysty Karol Kossok stanowił wyjątek na boiskach Ekstraklasy. Drugiego równie masywnego i wysokiego zarazem piłkarza wówczas nie było. Pozornie wydawał się więc niezwykle powolny i nieporadny.

Za tą olbrzymią sylwetką kryły się jednak wielkie umiejętności. Naturalny ciąg na bramkę, nienaganna technika, a przede wszystkim jeden z najlepszych

dryblingów w tych czasach w Ekstraklasie, budziły prawdziwy postrach wśród golkiperów. „Wózkowanie” – jak wtedy nazywano kiwanie przeciwników – wykonywane przez tego snajpera należało do stałego repertuaru meczów z jego udziałem. Znak rozpoznawczy Kossoka wśród mistrzów owego elementu gry stanowił zaś przede wszystkim znakomity balans ciałem. – *Olbrzym śląski z jego balansem ciała, techniką piłki i dyspozycją strzałową jest na boisku polskim zjawiskiem naprawdę niecodziennym* – pisał „Przegląd Sportowy”. Uważano jednak, że zbyt wiele energii marnuje na zagrania „pod publiczkę”. Krytykom odpowiadał wówczas: – *Wolę przejechać przeciwnika z piłką, aniżeli oddać ją na oślep*. Usprawiedliwiał się, że drybluje po to, aby skupić uwagę obrony przeciwnika na sobie i dać swobodę swoim kolegom z linii ataku. Jego gra ściągała bowiem największą uwagę tak przeciwników, jak i kibiców.

Wielką sławę zapewnił mu też trik, który dopracował do perfekcji – markowanie strzału w sytuacji „sam na sam”. – *Wyszkolenie w dryblingu pomaga mi równocześnie mylić bramkarza przeciwnej drużyny, aby ten nie mógł się zorientować co do momentu mojego strzału* – opowiadał. Jego groźną bronią były ponadto strzały z rzutów wolnych. Kiedyś w meczu między reprezentacjami Budapesztu i Krakowa zmieścił piłkę z takiego fragmentu gry z odległości 40 metrów w samo okienko bramki przeciwników! Innym razem po strzale Kossoka z dystansu tak znokautowany został austriacki bramkarz Zankl, że

musiał opuścić boisko. – *Jeden, drugi wolny wystarcza w zupełności, aby pocisk wypuszczony spod dźwigni olbrzymiej nogi znalazł drogę do siatki przeciwnika* – opisywał jego umiejętności „Przegląd Sportowy”.

Chętnie prezentował takie zagrania w starciach z zagranicznymi drużynami. Może dzięki temu wyrobił sobie też dobrą opinię poza Polską. – *Pod względem stylu i techniki jest graczem, jakiego dotychczas nie mieliśmy. Miarą umiejętności Kossoka jest, że po czwórmeczu międzymiastowym w Wiedniu prasa tamtejsza porównywała go z królem futbolu Schallerem. Technika i styl, ale też brak szybkości są obu graczom wspólne* – pisał „Przegląd Sportowy”. Włosi porównywali go zaś z racji sylwetki do argentyńskiego pomocnika Carlosa Volante.

Z powodu braku kondycji bardzo niechętnie wracał się po piłkę za swoją połowę, co z kolei nie zjednywało mu zwolenników. Nie lubił też specjalnie biegać po boisku bez futbolówki. Stąd źle się czuł w ataku reprezentacji, między innymi z Teodorem Peterkiem, który na środku ataku rozrzucał piłki do łączników prawie pod samą linię boczną. Osobliwą wadą tego napastnika była zaś chimeryczność powodowana… pogodą. Kossok fatalnie czuł się podczas upałów, i w pełnym słońcu lipcowych czy sierpniowych dni był tylko – nomen omen – cieniem samego siebie.

Prawdziwie obrazoburczo dla piłkarskich tradycjonalistów wyglądała jego ścieżka kariery. Swój pierwszy klub 1. FC Katowice porzucił zdruzgotany po śmierci brata, także piłkarza, Romana. Przeszedł do

Cracovii. Krok ten uzasadniał patriotycznymi względami. W rzeczywistości nie bez znaczenia był fakt dobrze płatnej pracy w dyrekcji krakowskiej kolei. Musiał jednak stanąć przed komisją, udowadniając, iż nie sprzeniewierzył się zasadom amatorstwa, przyjmując w Krakowie lepiej płatną posadę urzędnika kolejowego. Jeszcze długi czas potem kwestionowano jego zgłoszenie, ponieważ przysłano je telegramem, a w związku z tym nie powinno zostać zatwierdzone przez PZPN.

W ciągu jednego sezonu pod Wawelem rozkochał w sobie publiczność. Został królem strzelców, a jego gole w starciu z Czarnymi Lwów dały wygraną 2:1, która na kolejkę przed końcem pozwoliła Pasom wyprzedzić w tabeli Wisłę Kraków. Prymatu Cracovia już nie oddała i zapisała na swoim koncie swe pierwsze mistrzostwo Polski zdobyte w ligowym formacie rozgrywek.

Sam Kossok jednak nie został na dłużej idolem krakowskiej publiczności, bo po zaledwie jednym roku przeniósł się jeszcze dalej na wschód – do Pogoni Lwów. Podobno to on sam zaoferował swoje usługi temu klubowi. Szybko złapał kontakt z liderem zespołu Wacławem Kucharem. Razem regularnie grywali w tenisa. Entuzjastycznie reagowali też fani. W pierwszej kolejce po starciu z Warszawianką i pięknym strzale z wolnego Kossok został zniesiony z boiska na ramionach. Później jednak nastały długie chwile kryzysu. Prasa posunęła się już nawet do tytułu „Kossok zawodzi konkretnie”. Nie wytrzymali także fani. Jeden z nich przez cały mecz obrażał

renomowanego napastnika. Kossok podobno odpowiedział mu „argumentami ręcznymi”. Wydział Dyscypliny wszczął przeciwko niemu postępowanie. Śledztwo jednak nic nie wykazało, a zawodnik odkupił swe winy grą. W kilka tygodni potem, przy okazji dorocznego meczu o Puchar Żeleńskiego między reprezentacjami Krakowa i Lwowa, był najjaśniejszą postacią. Gdy podyktowano rzut karny, publiczność domagała się, aby to właśnie Kossok został jego wykonawcą.

W jednym sezonie strzelił dla Pogoni dwadzieścia dwa gole. Dzięki temu został pierwszym zawodnikiem w historii ligi z dwudziestoma bramkami zdobytymi dla trzech klubów. Wcześniej dokonał tego dla 1. FC Katowice oraz dla Cracovii. I kiedy miał u stóp publikę lwowską… powtórzył scenariusz sprzed roku, tyle że w drugą stronę – wracając do Krakowa. W tym momencie jednak szczęśliwa karta się od niego odwróciła. Poprzedni klub nie zgodził się na jego zwolnienie, w związku z tym musiał odbyć roczną karencję. Grywał tylko w spotkaniach towarzyskich. Pokazywał się w nich jednak z dobrej strony.

W końcu nawet selekcjoner Józef Kałuża zaczął zastanawiać się nad powołaniem do kadry zawodnika bez regularnej gry. Przed starciem ze Szwecją jeszcze się ugiął pod naciskiem prasy, ale już w październiku wyznaczył go do ataku w starciu z Łotwą i był to bardzo dobry ruch. Po kiwnięciu trzech obrońców oraz bramkarza strzelił gola. – *Na plan pierwszy wybił się Kossok. To co zademonstrował, było kunsztem pierwszej klasy* – oceniała prasa. Po solowej

akcji trafił zaś kilka miesięcy potem – nadal w okresie karencji – w starciu z Reprezentacją Ligurii we Włoszech.

Powrócił do gry w lidze po roku przerwy, ale opinia zmiennego w uczuciach klubowych ciągnęła się za nim jeszcze długo. Kiedyś – już po powrocie w szeregi Pasów – na łamach prasy wystosował oświadczenie, w którym zaprzeczał pogłoskom o rozmowach z Legią, 1. FC Katowice czy… znów Pogonią.

Wkrótce potem przyplątała mu się kontuzja. Wyjechał leczyć ją do Wiednia. Przy okazji kuracji trenował z piłkarzami Rapidu Wiedeń, uznawanego wtedy za jeden z najlepszych klubów świata. Stać było później jeszcze tego napastnika na wyczyny wielkiej miary, jak choćby strzelenie czterech goli Polonii Warszawa (za co „Przegląd Sportowy" nazwał go „królem minionej epoki"), zdobycie bramki w starciu reprezentacji Krakowa i Berlina, czy wreszcie setny gol w Ekstraklasie. Nawet pod sam koniec kariery prezentował wysoką klasę na tle ligowych rywali. – *Na pierwszym miejscu z napastników stawiam Kossoka* – mówił Ferenc Molnar, trener Pogoni Lwów, oceniając piłkarzy na tej pozycji. – *Brak mu tylko kondycji. Gdyby ją posiadał, to byłby niewątpliwie graczem wielkiej klasy.* W sumie strzelił równo 100 goli w 117 meczach. Pod względem średniej bramek na mecz ze wszystkich zawodników, którzy zdobyli minimum sto bramek, ustępuje w historii polskiej ligi tylko Ernestowi Wilimowskiemu i Henrykowi Reymanowi.

Kossok był też pierwszym zawodnikiem w dziejach w lidze, który strzelił cztery gole w jednym spotkaniu.

Dokonał tego już w inauguracyjnej kolejce rozgrywek. Dzięki temu stał się jednocześnie pierwszym liderem klasyfikacji strzelców Ekstraklasy. Tytuł króla strzelców zapisał na swoje konto dopiero w Cracovii w 1930 roku, choć nie wiadomo, czy się o nim kiedykolwiek dowiedział. Stanisław Mielech źle bowiem wyliczył statystyki strzeleckie i na ich podstawie koronę przyznał Józefowi Nawrotowi z Legii Warszawa. W tym samym sezonie został mistrzem Polski z Cracovią. Oprócz tego zanotował też wicemistrzostwo z 1. FC Katowice i z Pasami.

W biało-czerwonych barwach najlepszą partię rozegrał w starciu z Węgrami w ramach Pucharu Amatorów Europy Środkowej, dziś uznawanym już za mecz nieoficjalny. Strzelił wtedy dwa gole i rozmienił obronę przeciwników na drobne dryblingami oraz potężnymi bombami. Po meczu fala kibiców zniosła go z boiska na ramionach. W kolejnych meczach przypieczętował wraz z kolegami zdobycie tego trofeum. Kilka miesięcy później pod jego wrażeniem byli Łotysze. Ich selekcjoner stwierdził, że takiego gracza jeszcze nie widział. Bramkarz przeciwników dodawał: – *Kossok jest najstraszniejszym graczem dla bramkarza. Jego obojętne zagrania i przejeżdżanie po dwóch i trzech przeciwnikach doprowadza bramkarza do szału*.

Oficjalnie w reprezentacji Polski zagrał pięć razy i strzelił trzy gole. Zdarzyło mu się też pełnić rolę selekcjonera. W 1937 roku mecz eliminacji mistrzostw świata z Jugosławią wypadał wtedy co sparing z Łotwą w Katowicach. Pierwszą drużynę poprowadził dawny kolega

klubowy Kossoka – Józef Kałuża, on zaś stanął na czele zespołu rywalizującego z Łotyszami.

Poza kadrą pracował też z Cracovią i Polonią Warszawa. Chwalono go za metody treningowe i podejście do zawodników. Zdarzyło mu się też jednak wywołać aferę. W 1936 roku odkryto, że próbował skaperować do Cracovii – co było surowo zakazane – kilku zawodników ze Śląska. Skandal wyszedł na jaw, bo udane transfery dwaj działacze postanowili uczcić kilkoma butelkami wódki. Podczas imprezy doszło do bójek i musiała interweniować policja.

Mimo tych grzeszków na koncie należał do najbardziej lubianych zawodników w Polsce. Kiedy już zakończył karierę, został zaproszony na imprezę dobroczynną – Rewię Asów Polskich. Wystąpił w niej między innymi w sztafecie. Jego zespół jednak stracił szansę na wygraną, bo ogromny Kossok potknął się na bieżni.

W czasie II wojny światowej przyjął obywatelstwo niemieckie. Mimo oficjalnych zakazów nie zaprzestał jednak kontaktów z Polakami. Dlatego zachowała się o nim dobra opinia. Zmarł w 1945 roku w obozie jenieckim.

Od prawej: Józef Kotlarczyk / źródło: NAC

JÓZEF KOTLARCZYK

(pomocnik)

Kluby w Ekstraklasie: Wisła Kraków
Lata gry: 1927-1939
Mecze/gole: 244/13

Jana Kotlarczyka uznawano pierwszym środkowym pomocnikiem z prawdziwego zdarzenia w Ekstraklasie. To on reżyserował większość ataków Wisły Kraków w sezonach 1927 i 1928, zakończonych przez Białą Gwiazdę na pierwszej pozycji. Uchodził dzięki temu, obok Henryka Reymana, za głównego architekta tych triumfów. Miał jednak jeszcze jeden ważny sukces na koncie – ściągnięcie do klubu z Nadwiślana Kraków swego młodszego brata – Józefa.

Nazywano ich powszechnie „Braciszkami”. Uważano, że jeden bez drugiego traci nawet połowę wartości.

W późniejszych latach Józef dawał sobie jednak radę bez Jana.

Na pewno przebijał go pod względem techniki użytkowej. – *Technik doskonały, bodajże lepszy od brata, gdyż w napadzie okazał się dobrym strzelcem. Duże zdolności wykazuje w wózkowaniu. Równie dobrze gra dla ofensywy, jak i ataku, napastnikom wyrabia dobre sytuacje do biegów (…) Gra odważnie i ambitnie* – oceniał go „Przegląd Sportowy” w 1930 roku, stawiając go na pierwszej lokacie wśród bocznych pomocników. Tej pozycji Kotlarczyka w rodzimym futbolu nie podważyło jeszcze kilka pokoleń graczy.

W dwóch mistrzowskich sezonach Wisły Kraków zagrał łącznie w trzydziestu czterech meczach ligowych i strzelił w nich osiemnaście goli. W trzech kolejnych edycjach nie pojawił się na boisku tylko raz. Od 1929 do 1939 roku zabrakło go natomiast w ligowych starciach w sumie… zaledwie siedmiokrotnie! Nic dziwnego zatem, że udało mu się zostać rekordzistą Ekstraklasy pod względem liczby spotkań. Łącznie pojawił się na boiskach najwyższego szczebla rozgrywkowego 244 razy. Ten wynik przebili dopiero piłkarze w latach pięćdziesiątych XX wieku.

Poza dwoma złotymi medalami na koncie jeszcze trzy razy sięgał po wicemistrzostwo Polski, cztery razy kończył zaś zmagania z ukochaną Wisłą Kraków na trzecim miejscu w tabeli. Łącznie miał więc dziewięć medali wywalczonych w starciach ligowych. Pod tym względem nie mógł się z nim równać nikt przed II wojną światową. Z dwunastu

dokończonych edycji rozgrywek poza podium znalazł się tylko w 1932, 1936 i 1937 roku.

Świetnie wspierał ofensywę Wisły. – *Należy on do rzadko w Polsce spotykanego typu bocznych pomocników, którzy poza grą defensywną potrafią również iść za napadem i karmić go dobrymi piłkami w czasie ofensywy* – oceniał go dziennikarz Narcyz Susserman. Prawdziwe mistrzostwo wykazywał jednak w defensywie. – *Jego niezawodny stoping, świetne celne podania, wspaniała współpraca z bratem i mądra gra ciałem wysunęły go bodaj na czoło całej stawki obu zespołów* – pisał „Przegląd Sportowy" po reprezentacyjnym starciu z Niemcami. Zostało to ocenione jako najlepszy indywidualny występ ze wszystkich reprezentantów Polski w 1934 roku.

Mistrzostwo pod tym względem wykazał jednak w prestiżowym starciu z Chelsea Londyn. Spotkanie zorganizowano na trzydziestolecie Białej Gwiazdy, a Kotlarczyk okazał się jednym z jego największych bohaterów. Przybył na nie kilka godzin przed pierwszym gwizdkiem i pracowitością w defensywie nie pozwolił londyńczykom zdobyć ani jednej bramki. – *Bracia Kotlarczycy stworzyli tandem tak różnorodny i tak wszechstronnie się uzupełniający, że drugiego takiego szukać można by w Polsce nadaremnie. W oparciu o tak doskonałą dwójkę obrońcy pozwolić sobie mogli często na myślenie nie tylko o przeciwnym, ale i o własnym napadzie* – pisał „Ilustrowany Kuryer Codzienny". Spotkanie zakończyło się wygraną Białej Gwiazdy 1:0, co stanowiło

jeden z największych sukcesów klubowych polskiej piłki przed wojną.

Bywały i całe sezony w klubie, które spędzał w obronie. I wtedy uważano go za jednego z najlepszych specjalistów w tej materii: – *Kotlarczyk okazuje się bodaj jeszcze lepszym obrońcą niż pomocnikiem. Wykopy jego, technicznie bardzo dobre, idą przeważnie wprost do własnego gracza. W tacklingu również daje sobie radę, toteż tworzy ciężką do przebycia zaporę, tym bardziej że odznacza się wielkim spokojem i rutyną nabytą w pomocy* – pisał „Przegląd Sportowy" po starciu Białej Gwiazdy z Pogonią Lwów.

Przede wszystkim jednak został zapamiętany jako znakomity pomocnik, obdarzony ogromną odpornością psychiczną. To dzięki niemu i współpracy z bratem ta linia była uważana za najmocniejszą – zarówno w Wiśle Kraków, jak i reprezentacji Polski. – *Jak zwykle najpewniejszy i wywiązujący się w 100% ze swoich zadań* – oceniał go „Przegląd Sportowy" po meczu z Ruchem Chorzów. Świetna kondycja – tak jak u brata – pomagała mu pracować od początku do końca meczu. Choć chyba mieli też rację ci, którzy narzekali na jego leniwe kroki. Niegdyś w czasie zgrupowania reprezentacji nie chciało mu się chodzić na posiłki, ponieważ były zbyt oddalone od hotelu! Na tym samym obozie przeżył bolesny zawód, gdy selekcjoner zabronił jemu oraz Antoniemu Kellerowi wyjścia do teatru.

W 1937 roku wyrównał najlepsze osiągnięcie w liczbie występów w kadrze biało-czerwonych, dzięki swemu 27.

spotkaniu z orłem na piersi. Rekord wyśrubował ostatecznie do trzydziestu spotkań. Wyprzedził go dopiero Władysław Szczepaniak po ostatnim meczu Polaków rozgrywanym przed wybuchem II wojny światowej. Najpiękniejsze chwile związane z grą z orzełkiem na piersi Kotlarczyk przeżył w 1936 roku, gdy był kapitanem biało-czerwonych na Igrzyskach Olimpijskich w Berlinie. Podobno uparcie nocami nachodził go wtedy sen o medalu. Ostatecznie skończyło się na czwartym miejscu.

Po II wojnie światowej pracował jako trener. Uchodził za odkrywcę talentu Józefa Kohuta, jednego z najlepszych polskich napastników lat 40. i 50. Zmarł w 1959 roku. Wraz z bratem został patronem stadionu Nadwiślana Kraków.

Od lewej: Wacław Kuchar / źródło: NAC

WACŁAW KUCHAR

(pomocnik/napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Pogoń Lwów
Lata gry: 1927-1935
Mecze/gole: 161/50

W Wacławie Kucharze w latach dwudziestych kochał się nie tylko Lwów, ale też cała piłkarska Polska. Był sportowym bożyszczem kraju. Mecze z jego udziałem przyciągały tłumy kibiców. Nawet sympatycy przeciwnych drużyn akurat o nim zazwyczaj wypowiadali się z wielką życzliwością i życzyli mu powodzenia. To właśnie on zwyciężył w pierwszym plebiscycie na Sportowca Roku przeprowadzanym przez „Przegląd Sportowy".

Tradycją Lwowa było, że piłkarze przed wejściem na stadion oddawali małym adeptom piłki nożnej swoje rzeczy w neseserze, aby ci wnieśli je na stadion. Jednym z tej masy chłopców był Kazimierz Górski, najlepszy selekcjoner

w historii reprezentacji Polski. – *Można? – wykrztusiłem zdyszany, zerkając w górę i w tym momencie kompletnie mnie zatkało. To był sam Wacek Kuchar, idol i obiekt naszych westchnień, zawodnik idealny. Spostrzegł zmieszanie na mojej twarzy i chcąc dodać mi otuchy, wręczył walizeczkę. I potem już zgodnie wkroczyliśmy na boisko. Puszyłem się jak paw, udając, że nie zauważam zawodu malującego się na twarzach kolegów* – relacjonował spotkanie z idolem Górski w swej książce „Pół wieku z piłką”. – *Życzę Ci, żebyś wyrósł na drugiego Kuchara* – usłyszał kiedy indziej od lekarza.

Przede wszystkim uwielbiano jego wszechstronność. Był reprezentantem Polski w lekkiej atletyce, hokeju na lodzie (wicemistrzostwo Europy i 4. miejsce na MŚ!) oraz łyżwiarstwie szybkim. Do tego dochodziły osiągnięcia mniejszego kalibru w łyżwiarstwie figurowym, pływaniu czy tenisie. – *Dumą i chlubą czwarty w hierarchii wieku z braci Kucharów. Jest przez długie lata uważany za najlepszego sportowca Polski, jest bowiem niezapomnianym typem prawdziwego sportowca-dżentelmena* – pisał „Przegląd Sportowy”.

A w futbolu Wacław Kuchar był prawdziwym królem Polski w latach dwudziestych. – *Najlepszym graczem, jakiego kiedykolwiek Polska posiadała był Wacław Kuchar. Zespalał w sobie jak w soczewce wszystkie wartości wszechstronnego sportowca i gentlemana. Na tle tej postaci bledną dzisiejsi piłkarze* – twierdził jego boiskowy rywal Eugeniusz Pohl z 1. FC Katowice. Podobno przez całą

karierę ponad tysiąc razy pokonał bramkarzy rywali! Nie jest to takie nieprawdopodobne. Przed powstaniem ligi, w mistrzostwach Polski zdobył w sumie aż 125 bramek dla Pogoni Lwów w rywalizacji tej rangi! Dało to Pogoniarzom cztery mistrzostwa kraju z rzędu. W reprezentacji Polski od 1924 do 1936 roku był samodzielnym rekordzistą pod względem liczby występów. Po nim tak długi okres udało się spędzić na tej pozycji jedynie Władysławowi Szczepaniakowi (1939–1955) oraz Grzegorzowi Lacie (1982–2010). Zagrał z nią także na Igrzyskach Olimpijskich w 1924 roku w Paryżu. Najmocniej ze wszystkich występów utkwiło mu w pamięci starcie z Turcją w Konstantynopolu z racji przejażdżki na ośle po ulicach miasta.

Obchody jego jubileuszu dwudziestolecia kariery piłkarskiej zamieniły się w prawdziwe święto. Na stadionie Pogoni podczas starcia Ekstraklasy z Cracovią zasiadła rekordowa liczba 7.000 kibiców. Na uroczystość przybył nawet delegat Polskiego Komitetu Olimpijskiego. W nieskończoność ciągnęły się przemówienia na cześć jubilata. Zanim rozpoczęło się spotkanie, trzeba było odczekać kilka chwil, by uprzątnąć z murawy wszystkie podarki otrzymane przez Kuchara! Na tym jednak nie zakończyła się celebracja. Tydzień później, podczas następnego meczu ligowego, otrzymał dla uczczenia rocznicy kwiaty od przedstawicieli ŁKS Łódź.

Nie zachowały się żadne fotografie z nagradzania Wacława Kuchara, bo prawdopodobnie nigdy nie powstały. Zawodnik ten na ogół nie pozwalał robić sobie zdjęć przed

meczem, gdyż uważał, że przynoszą pecha. To jednak nie był wcale najdziwniejszy z jego przesądów. Kiedy Pogoń grała u siebie, niezależnie od pory meczu, wychodził bardzo wcześnie z domu. A to dlatego, że na stadion zmierzał okrężną trasą. Wszystko po to, by nie natknąć się na pogrzeb lub zakonnicę. Zawsze też dbał, aby lwowianie wychodzili jako pierwsi na boisko. Nigdy ponadto nie zmieniał koszulki w trakcie spotkania.

Ale nie tylko z liczb i sukcesów brała się jego sława. Kiedy już mistrzostwa Polski przeszły na system ligowy, Pogoń Lwów straciła nieco blasku. Kuchar, już też nie tak zwrotny jak kiedyś, nie tak szybki, nie tak skuteczny, ale zawsze szalenie pracowity, podbijał serca publiczności. – *Do ofiarności, ambicji i wszędobylstwa jego jesteśmy przyzwyczajeni, tak doskonałej gry pod względem technicznym i taktycznym nie widzieliśmy jednak jeszcze nigdy* – pisano po jego ligowym debiucie. Kiedy indziej, gdy zapisał na swe konto hat–trick, dodawano: – *Kuchar jest graczem wspaniałym. Dysponuje walorami, które spotykamy u graczy w kontynentalnej klasie. Szybkość, energia, wytrzymałość siły w parze ze spokojną rozwagą, błyskawiczną orientacją i wyśmienitą techniką strzałową. Wszystkie trzy bramki Wacka były majstersztykiem swego rodzaju.*

Wyglądał zazwyczaj tak, jakby każdy mecz miał być już tym ostatnim w jego karierze. Na boisku po prostu umierał za zespół. – *Pogoń miała najlepszą swoją jednostkę w osobie Kuchara, który grał jako trzeci bek* [boczny

obrońca – red.] *i szósty napastnik, ratując w sytuacjach wprost beznadziejnych* – opisywał kiedyś „Przegląd Sportowy”.

Nic dziwnego, umierał w końcu za Pogoń, która była… praktycznie jego siostrą. Ojciec tego zawodnika, Ludwik, dał Polsce kilku wybitnych działaczy oraz sportowców. Poza Wacławem jego synami byli także: Tadeusz (prezes PZPN, prezes PZLA, selekcjoner reprezentacji Polski w piłce nożnej), Władysław (piłkarz, tenisista), Mieczysław (tenisista), Zbigniew (łyżwiarz). Był on jednak również założycielem Pogoni Lwów oraz twórcą tej nazwy. Nic zatem dziwnego, że relacje Wacława z tymi barwami były wyjątkowe. Jego matka, Ludwika, nie miała w sobie natomiast nic z matrony zakazującej sportu pociechom. Przeciwnie – Wacławowi płaciła drobne pieniądze za każdego gola strzelonego w podwórkowych spotkaniach! Stawka wynosiła jedną koronę za trafienie, ale w pewnym momencie Ludwika Kuchar przestała nadążać z wypłatą środków, bo talent strzelecki Wacka jaśniał w pełnej krasie.

Pani Ludwika była także jego pierwszym dietetykiem, co nie stanowiło wcale łatwego zadania. We wtorki i czwartki nie jadał nic przed treningami. W sobotę poprzedzającą spotkania ligowe zajadał się tylko lekkimi potrawami. W niedzielę zaś znów głodował, aż do meczu, po czym po końcowym gwizdku potrafił zjeść na raz nawet kilka kur, co przy jego mizernej sylwetce wyglądało naprawdę niecodziennie. Mimo wszystko zawsze prezentował raczej szczupłą sylwetkę.

W międzyczasie z ataku poprzez pomoc powędrował aż na obronę. – *W obronie miał Kuchar momenty, jakich by się nie powstydził młodszy i bardziej renomowany obrońca* – oceniano jego występy na tej pozycji. Dane było mu w lidze jeszcze dwukrotnie przywiesić wicemistrzowski medal. On też został pierwszym zdobywcą minimum stu bramek w mistrzostwach Polski (finałach oraz lidze). – *Zamiast wprawiać w ruch, przydałoby się go raczej przywiązać na kilka godzin do ściany, by sobie raz odpoczął* – radziła prasa.

Coraz trudniej było mu odnaleźć się jednak we współczesnym futbolu. Za jego czasów dominowała technika. W latach trzydziestych do głosu zaczynała dochodzić już także fizyczność. On natomiast ze swoimi tendencjami do gry półwysokich piłek nie miał zrozumienia u młodszych partnerów. Frustracja coraz częściej objawiała się faulami i dyskusjami z sędziami. Po kolei schodzili natomiast z murawy zarówno jego dawni koledzy (Garbień, Batsch, Słonecki), jak też wielcy rywale – Józef Kałuża i Henryk Reyman. Trzej wielcy liderzy swoich drużyn i dawne filary reprezentacji. Może dlatego tak symboliczne było powitanie Reymana i Kuchara na meczu ligowym między ich zespołami w 1931 roku, gdy do obu już pasowało miano weterana, choć nadal dzielnie rywalizowali na boisku. – *Sportowe gesty stają się na boiskach naszych coraz rzadsze, toteż z zadowoleniem należy przyjąć każdy taki niecodzienny objaw. Przywitanie się Reymana z Kucharem przed zawodami miało szczególnie serdeczny*

charakter, co publiczność przyjęła aplauzem. Całe szczęście, że zakaz PZPN co do całowania się graczy odnosi się tylko do zawodników własnej drużyny, w przeciwnym razie obydwu kapitanów spotkałaby kara – donosił „Przegląd Sportowy”.

Ostatecznie „pas” powiedział w 1934 roku po towarzyskim starciu z AC Milanem. W lidze nie grał wtedy prawie od roku. Miał już trzydzieści siedem lat, co w tych czasach uchodziło za naprawdę niezwykłe wśród zawodników. Za tajemnicę swojej długoletniej formy uważał zdrowy styl życia. Przez całą karierę nie pił wódki ani nie palił papierosów. Dopiero w ostatnich latach pozwalał sobie na niewielkie ilości piwa. Ogromną wagę przykładał też do racjonalnego treningu.

Po zakończeniu kariery zajął się pracą trenerską. Prowadził Pogoń Lwów, reprezentację Lwowa, Dynamo Lwów, a po II wojnie światowej także Polonię Bytom (której był współzałożycielem), Legię Warszawa czy Polonię Warszawa. Stał też na czele sztabu szkoleniowego w reprezentacji Polski w hokeju na lodzie i piłce nożnej.

W międzyczasie prowadził również spotkania Ekstraklasy w roli arbitra głównego. Jeszcze przed wybuchem wojny we Lwowie założył sklep sportowy. Ponadto należał do władz Okręgowych Związków w hokeju na lodzie i w piłce nożnej. Nie zaprzestał także – zgodnie z obietnicą – gry w old–boyach.

Zmarł w 1981 roku.

źródło: NAC

HENRYK MARTYNA

(obrońca)

Kluby w Ekstraklasie: Legia Warszawa, Warszawianka
Lata gry: 1928-1939
Mecze/gole: 188/19

Był zjawiskiem na polskich boiskach w latach dwudziestych i trzydziestych. Niski, korpulentny, potężnie rozbudowany w barach o wadze dochodzącej do dziewięćdziesięciu kilogramów! Mimo to ten człowiek o tak mało piłkarskim wyglądzie stał się wśród kibiców jednym z najpopularniejszych polskich graczy ze względu na swój styl. To on ściągał swą grą rzesze fanów. – *Jak podchodził do piłki, to zawsze było poruszenie na trybunach, że coś będzie się działo* – opowiadał znany aktor Andrzej Łapicki.

Ogromną sławę zapewniał mu potężny wykop. Ludzie specjalnie przychodzili na stadion, aby przyjrzeć się, jak piłka spod pola karnego Legii Warszawa wędruje wysoko aż

do „szesnastki” przeciwników po jego kopnięciach. Lotowi futbolówki towarzyszył najczęściej zgodny okrzyk podniecenia. Nic zatem dziwnego, że to jemu trenerzy najczęściej oddawali wykonywanie rzutów wolnych oraz karnych, które wielokrotnie grzęzły w siatkach bramek rywali lub torowały drogę do gola kolegom z drużyny. Kiedyś z własnego pola karnego dośrodkował idealnie na głowę Witolda Wypijewskiego, który spokojnie pokonał bramkarza rywali.

Dzięki znakomicie wykonywanym stałym fragmentom gry stał się najskuteczniejszym defensorem przedwojennym Ekstraklasy. Jego rzuty wolne były swoistym rytuałem. Martyna wolnym truchtem przemierzał odległość od swojej bramki do miejsca położenia piłki. Potem długo uderzał czubkiem buta o murawę i dopiero po wykonaniu tego ceremoniału podbiegał wyegzekwować szansę przyznaną przez sędziego. Często z bardzo dobrym skutkiem. Podczas meczu ligowego Legii z 22. pp Siedlce już strzelił piłkę. Arbiter jednak zauważył, że jeden z rywali wybiegł za wcześnie z muru. Niezrażony Martyna w powtórce zmienił sposób strzału i… trafił do siatki! – *Martyna jak na nasze warunki jest wyjątkowym talentem. Wykop jego można porównać tylko ze strzałem Steuermanna. Wykop ten jest czysty, niezbyt wysoki, o przeciętnej długości 50 metrów. Głową gra Martyna pewnie i śmiało, biorąc nawet ostre strzały. Mimo dużej wagi jest on szybki* – opisywał go „Przegląd Sportowy”.

Wcale nierzadko imponował też solowymi rajdami z piłką, aż pod bramkę przeciwników. Zdarzyło mu się nawet zagrać kiedyś w ataku Legii w obliczu jej słabej formy! Był w pewnym momencie najsłynniejszym polskim piłkarzem tak w kraju, jak i poza granicami. Jan Paweł II jako nastoletni chłopak nawet przybrał pseudonim… „Martyna" podczas spotkań piłkarskich rozgrywanych z kolegami z Wadowic.

W prasie jednak zbierał również często cięgi za grę pod „publiczkę". Uważano, że futbolówka zbyt często ląduje na autach po jego popisowym numerze. – *Musi się wyzbyć odrobiny pozerstwa tak jak kilku kilo tłuszczu. Wykop jest atutem bardzo wielkim, ale przesada we wszystkim nudzi*.

Rzadkich malkontentów poskramiał jednak licznymi wybitnymi występami. Po starciu z Czechosłowacją praska prasa pisała: – *U Polaków Martyna przypominający figurą i sposobem gry Bluma reprezentował najprzedniejszą klasę.* Czesi widzieli więc w nim Josefa Bluma, słynnego austriackiego defensora. Szwedzi, gdy pojawił się niedługo potem w Sztokholmie, ujrzeli w nim drugie wcielenie swojego idola Folke Linda. Z racji wykopów w górę nazywanych „świecami" niektórym przywodził na myśl sławnego w pewnym czasie Vinzenza Dittricha. Najczęściej jednak porównywano go do innego Austriaka – Karla Sesty.

Zyskał też olbrzymie uwielbienie niemieckich fanów i pseudonim „Moppel", co znaczyło „buldożek". W starciu ich reprezentacji z Polską w walce o piłkę z Ernstem Lehnerem został znokautowany przez rywala głową. Na

boisko wbiegli sanitariusze. Podnieśli nieprzytomnego polskiego obrońcę z ziemi, ale ten za chwilę znów zemdlał. Kiedy jednak zaczęli go wynosić na noszach, odzyskał świadomość i jasno dał do zrozumienia, że chce dokończyć mecz. – *Na trybunach brawa* – komentował „Przegląd Sportowy" to wydarzenie, które na dobre ugruntowało sławę Martyny.

Po tournée Legii po Austrii Wiener Sontag odnotował: – *Ciężkoatleta Martyna straszył przeciwnika swą wagą, grał jednak zupełnie fair.* Inna z gazet „Der Morgen" dodawała zaś: – *Martyna zaawansował od razu na ulubieńca naszej publiczności*. Po zwycięstwie odniesionym w barwach reprezentacji Polski nad Szwecją sztokholmskie dzienniki następnego dnia zamieściły na stronach sportowych zdjęcie polskiego obrońcy. – *Martyna mały, szybki, agresywny, zapalczywy (...). Takiego gracza jak Martyna, Sztokholm dawno nie oglądał. Nie wiedzieliśmy, że Polska ma takiego gracza jak Martyna*. Flamandzki sędzia piłkarski i dziennikarz, Jan Baauwens, wspominał niegdyś: – *Pamiętam, że wróciłem z Krakowa zachwycony tym graczem*. Był z pewnością najbardziej znanym polskim piłkarzem poza granicami aż do czasów Ernesta Wilimowskiego. Nie było stadionu, który pozostałby obojętny na jego grę.

Najbardziej na pieńku miał z kibicami… we Lwowie. Nie lubili go tu za twardą, zdecydowaną postawę. Trzeba jednak przyznać, że czasem zachowywał się bardzo prowokująco. Nawet przeciwnicy musieli jednak czasem

złożyć dłonie do oklasków – *Martyna osiągnął formę, jakiej we Lwowie nigdy jeszcze nie pokazał. Toteż publiczność która miała z nim stare porachunki jeszcze z roku ubiegłego, próbowała go wprawdzie peszyć. Jednak okrzyki traciły z każdą chwilą moc przekonywającą. Przed faktyczną dozą umiejętności ustąpić musiała nawet złośliwość bezmyślnej zresztą masy* – opisywał zdarzenie „Przegląd Sportowy”. Gwizdy zebrał też kiedyś w Poznaniu. Na tym samym stadionie, na którym równo tydzień wcześniej publiczność zniosła go z wdzięczności na rękach z boiska za świetne starcie przeciwko Jugosławii.

Trzy razy w lidze zdobył z Legią Warszawa brązowy medal. W reprezentacji natomiast ukoronowaniem jego gry był udział w Igrzyskach Olimpijskich w 1936 roku, gdzie spisał się znakomicie w starciu z Węgrami. Polacy zajęli ostatecznie 4. miejsce. Zabrakło więc nieco do upragnionego medalu. Sam Martyna brak tego sukcesu upatrywał w dyskwalifikacji dyscyplinarnej dla Ernesta Wilimowskiego. Na pocieszenie odebrał osobiste gratulacje od Jana Kiepury, śpiewaka, którego sława sięgała wtedy wszelkich zakątków świata, niczym dzisiejszych gwiazd muzyki. Na spotkaniu w Domu Polskim w Berlinie sławny artysta pozwolił sobie na złożenie hołdu znakomitemu obrońcy.

Martyna był pierwszym strzelcem gola dla reprezentacji Polski w historii występów w eliminacjach Mistrzostw Świata, a także autorem pierwszego trafienia na obecnym stadionie Legii. W obu przypadkach te bramki

zanotował dzięki rzutom karnym. W rywalizacji z FC Europą Barceloną na otwarcie obiektu swojego klubu wytrzymał próbę sił psychicznych z jednym z najsłynniejszych bramkarzy tamtych lat, Franceskiem Florenzą. – *Raz tylko musiał wspaniały bramkarz skapitulować – przy rzucie karnym. Ale kto obroniłby silny, celny, splasowany strzał Martyny?* – pytał retorycznie „Przegląd Sportowy". Nie było wśród zwycięzców takich pojedynków z polskim obrońcą innego ze sławnych golkiperów – Ferenca Plattki. W towarzyskim starciu Legii z Red Starem, słynny Węgier skapitulował dwa razy po „jedenastkach" Martyny. Nic dziwnego więc, że paryżanie przywieźli o nim opinię jednego z najlepszych piłkarzy Polski. *Bek światowego formatu* – pisał o nim „Przegląd Sportowy".

Nie znaczy to jednak, że nie popełniał błędów. Gubił się zwłaszcza przy szybszych, lepszych technicznie rywalach. Najczęściej wypominano mu wpadkę ze starcia z Niemcami, gdy poślizgnął się w 89. minucie i rywal zdobył jedyną bramkę spotkania. Kiedyś też spotkała go dyskwalifikacja za kopnięcie bez piłki Nahaczewskiego na meczu ligowym z Pogonią Lwów. Brał też udział w pobiciu swego kolegi z obrony – Ziemiana.

Rodowity Krakus wielokrotnie łączony był z powrotem pod Wawel do jednego z miejscowych klubów. Już w 1936 roku zdawało się, że przejdzie do Pasów lub nawet wyjedzie do zagranicznego klubu. Wystąpił z Wojskowych. Józef Nawrot stwierdził jednak: – *Nie dziwię się rozgoryczeniu*

Heńka, gdyż ostatnio brak było u nas zrozumienia dla spraw piłkarskich i gdyby nie interwencja grupy dawnych członków, kto wie jak wyglądałby skład I drużyny (...). *Mowy nie ma o jego wystąpieniu z klubu! Musi grać i koniec. Przyrzekł to zresztą nam, trójce starych kolegów: mnie, Cebulakowi, Szallerowi, i Warszawa zobaczy nas znów razem na boisku. Zachcianki „zawodowe" wybiliśmy Martynie z głowy i klub został o tym zawiadomiony*.

Pozostał wierny Warszawie, choć przerwy między sezonami spędzał w Krakowie, gdzie trenował na bieżni Cracovii. Z Legii przeniósł się do Warszawianki, gdzie grał do 1939 roku. Podczas II wojny światowej brał między innymi udział w powstaniu warszawskim. Potem nie powrócił już do piłki w żadnej roli.

Zmarł w 1984 roku.

źródło: NAC

MICHAŁ MATYAS

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Pogoń Lwów, Polonia Bytom
Lata gry: 1929-1948
Mecze/gole: 175/106

Lwów miał szczęście do znakomitych napastników. Jak nie król pola karnego Rochus Nastula, to bombardier Zygmunt Steuermann. Jak nie „Dusiek” to jeden z najinteligentniejszych graczy przedwojennej Polski – Józef Garbień. Miano tego najlepszego przylgnęło jednak do pracowitego, ofiarnego Wacława Kuchara, bożyszcza sportowego całej Polski. Na jego grze wzorowała się cała lwowska młodzież. Wśród nich też Michał Matyas, który w momencie zakończenia kariery przez „Wacka”, sam został królem Lwowa. – *Jestem urodzonym piłkarzem* – mówił.

Obu łączyło węgierskie pochodzenie ich ojców. W innych detalach trudno jednak byłoby Wackowi

o bardziej różniącego się następcę niż właśnie Matyas. Kuchar był lubiany nie tylko na swoim terenie, ale też w całej sportowej Polsce. Z sympatią przyjmowano każde pojawienie się tego gracza. Tymczasem „Myszka”, jak nazywano młodszego napastnika, bardziej pasował do wzoru popularnego lwowskiego „batiara”, czyli walecznego, pewnego siebie awanturnika. Pokazał to już w samych początkach kariery. W piątym meczu w karierze w lidze został wyrzucony z boiska za silne kopnięcie przeciwnika w plecy. Ukarano go jednak symboliczną dwutygodniową karą, uznając, że był prowokowany przez rywala.

Wisiała też nad nim kiedyś groźba usunięcia z ligi. Regulamin nie pozwalał wszak na grę uczniom gimnazjum. Matyas rozwiązał to po swojemu i w meczach występował pod pseudonimami. Pierwszego gola strzelił w debiucie jako… Myszkowski, drugiego jako „Prass”. Potem były jeszcze „Myszka”, „Motylewicz” czy „Motylewski”. Dopiero w 1932 roku mógł już oficjalnie zostać Matyasem.

Piłkarsko jednak dobrze wszedł w buty Kuchara. Pierwszy raz pokazał, że godny jest miana następcy mistrzów w meczu towarzyskim Północ – Południe Polski, gdy zagrał rewelacyjną partię. – *Jest materiałem na gracza. Z tego, co można było zaobserwować w roku ubiegłym, piłkarzowi temu można rokować przyszłość nieprzeciętną. Dobre warunki fizyczne, wystarczająca szybkość, ruchliwość oraz zdolności kombinacyjne – wszystko to posiada* – oceniał „Przegląd Sportowy”. Aż do czasów Ernesta Wilimowskiego i Teodora Peterka to on uważany

był za najlepszego polskiego napastnika. Został pierwszym – i jedynym – w historii Pogoni Lwów zawodnikiem z tytułem króla strzelców Ekstraklasy. Sukces ten zanotował na swoim koncie w 1935 roku. Świetnie prezentował się w samej końcówce zmagań. W czym nie było nic dziwnego – *Pod koniec jesieni i wczesną wiosną zawsze osiągam najlepszą formę* – twierdził po przypieczętowaniu tego sukcesu.

Przeszkodą okazały się jednak jego liczne kontuzje. – *Nie było ani jednego meczu w tym sezonie, w którym Matyas byłby w 100% zdrowy* – narzekał szkoleniowiec Pogoni Lwów – Ferenc Molnar. A był to właśnie sezon, gdy zdobył koronę króla strzelców.

Lista poważniejszych urazów Matyasa zaczyna się od 1932 roku, gdy w starciu z reprezentacją Ligurii złamał nogę. W kolejnym sezonie doznał „zerwania żyły pod kolanem”. Kilka miesięcy później musiał zszywać powiekę. Następne tygodnie przyniosły mu zaś uraz kolana. W 1938 roku zdarzyła mu się nawet kontuzja, po której wielu wieszczyło piłkarzowi koniec kariery. „Myszce” udało się wyleczyć i wrócić do formy. Musiał opuścić jednak mistrzostwa świata. Tradycyjnie urazy najczęściej leczył w uzdrowisku w Iwoniczu-Zdroju.

Trzy razy sięgał po srebro mistrzostw Polski. Najbliżej złota był w 1935 roku. W bezpośrednim starciu między dwójką pretendentów Pogoń wygrała 4:1 z Ruchem. Hat–tricka w tej prestiżowej rywalizacji z Teodorem Peterkiem

i Ernestem Wilimowskim uzyskał Michał Matyas. – *Trzeba było wówczas widzieć, co działo się na ulicach miasta. Sformowane spontanicznie pochody obnosiły swój triumf przy akompaniamencie śpiewów i dźwięków różnych instrumentów* – wspominał świadek tych wydarzeń, Kazimierz Górski. Zabrakło zaledwie jednego punktu, choć przed decydującą kolejką Pogoń była liderem, a zajmujący drugie miejsce Ruch Chorzów tylko zremisował z Cracovią. Lwowianie jednak przegrali z Wartą Poznań. Sam strzelił w tym decydującym starciu aż trzy gole, jego koledzy stracili pięć. Nie omieszkał więc skrytykować imiennie obrońców i bramkarza zaraz po spotkaniu. A na tej pozycji grał nie byle kto, bo najsłynniejszy golkiper przedwojenny – Spirydion Albański. Matyas też nieco przyczynił się do porażki. W poprzedniej kolejce w końcówce zmarnował rzut karny na 2:2 z dołującym Śląskiem Świętochłowice. Pogoń przegrała z outsiderem i spadła z pozycji lidera. Przeżył więc lekką powtórkę z rozrywki. Dwa sezony wcześniej Pogoń Lwów w przedostatniej kolejce wygrała 9:0 z ŁKS Łódź, między innymi dzięki dubletowi Matyasa. W ostatniej serii potrzebowała urwania punktów przez Cracovię Ruchowi Chorzów, ostatecznie jednak skończyło się na porażce Pasów.

Dopiero II wojna światowa oddzieliła go od ukochanej Pogoni Lwów. W czasie zawieruchy zaliczył epizod w Dynamie Kijów. Po odzyskaniu niepodległości odnalazł się na Śląsku – w Polonii Bytom, będącej następczynią Pogoni. Dojrzałość nie zabrała mu dawnej czupurności. Kiedy jeden

z rywali rzucił w jego kierunku: „Polaczku”, bez wahania zdzielił go w twarz. Zagrał w Polonii kilka razy, ale zdążył podbić swój łączny bilans bramkowy w Ekstraklasie do 106 bramek. Dzięki temu został pierwszym piłkarzem, który po wojnie zasilił szeregi Klubu 100.

Na ten moment czekał ponad 3.500 dni. Do 1 września 1939 roku zdołał bowiem uzbierać na koncie 99 bramek, a potem wszystkie plany zniweczyła niemiecka inwazja. Nie wiadomo jednak, czy nawet gdyby Hitler nie wkroczył do Polski, to i tak Matyas nie musiałby czekać nieco dłużej na „setkę”. Był on bowiem głównym winowajcą wielkiej awantury na meczu Pucharu Polski Lwowa ze Stanisławowem, za co spotkała go roczna dyskwalifikacja!

Z reprezentacją Polski pojechał na Igrzyska Olimpijskie w 1936 roku. – *Matyas potrafi zmienić styl gry, dać ciągłość i płynność akcjom* – oceniała go prasa. Szczególnie ceniono go za grę po ziemi. Myliłby się ten, kto uznałby Matyasa za surowego króla pola karnego. Był bardzo dobrym technikiem, ze znakomitą prawą nogą. – *Wielki Matyas* – twierdziła prasa choćby po starciu reprezentacji z Niemcami.

Piękną kartę zapisał również jako trener. Jeszcze w czasach kariery piłkarskiej prowadził kadrę juniorską okręgu lwowskiego. Trzy razy prowadził reprezentację Polski, Wisłę Kraków, Polonię Bytom czy Cracovię. Największy sukces odniósł jednak z Górnikiem Zabrze. Z tym klubem grał w finale Pucharu Zdobywców Pucharów. Z bytomianami sięgnął zaś po Puchar Ameryki.

Zmarł w 1975 roku.

źródło: NAC

JÓZEF NAWROT

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Legia Warszawa, Polonia Warszawa
Lata gry: 1927-1939
Mecze/gole: 180/116

„Mała Cracovia” bądź „Cracovia bis”. Tak nazywano swego czasu Legię Warszawa. W krótkim czasie stworzyła ona bowiem linię ataku z trzech byłych zawodników Pasów – Mariana Łańki, Józefa Ciszewskiego oraz Józefa Nawrota. Właściwie to Cracovia mogła sobie pluć w brodę, że nie zdołała zatrzymać tych graczy. Szybko uznano ich wszak za najlepszą „środkową trójkę napadu” w Polsce. Każdy z nich miał inne zadania. Ciszewski był mózgiem tego tercetu, Łańko wykańczał większość akcji. Siłą Nawrota była zaś improwizacja. On też – jak się później okazało – najdłużej z tercetu cieszył się sławą.

– *Wojskowi po skompletowaniu wspaniałej pary Łańko – Ciszewski przez trzeciego gracza Cracovii – Nawrota, posiadają niewątpliwie najlepszą trójkę środkową w Polsce. Ich umiejętności techniczne stoją na wyżynach obserwowanych u zawodowców Austrii czy Węgier – taktyka i strzał nie pozostawia również nic do życzenia* – pisał „Przegląd Sportowy”, gdy w trakcie sezonu 1927 do Legii dołączył Nawrot. Współpracę tego tercetu najlepiej podsumował mecz z Warszawianką, wygrany aż 7:1. – *Za trzema bramkami Ciszewskiego przyszły cztery dalsze. Czwartą sfabrykował z wolnego Łańko przy żywym współudziale Ciszewskiego i Nawrota, który punkt ten zapisał na swoje konto. Punkt piąty był dziełem centry Ciszewskiego i strzału Łańki, (...) a siódmy – przynosi zaszczyt Nawrotowi*.

Najdłużej z nich w Ekstraklasie występował właśnie Nawrot. – *Przedstawia typ rzemieślnika wyspecjalizowanego w swym fachu do granic możliwości. W grze sprawia on wrażenie człowieka, który w najzawilszej sytuacji znajduje momentalnie wprost odruchowo receptę na jej rozwiązanie* – oceniali go dziennikarze.

Najczęstszym jego sposobem na wyjście z „najzawilszej sytuacji” było kiwanie. Drybling, trwający nieraz długie sekundy, a nawet minuty, oraz rozmaite sztuczki stały się jego znakiem rozpoznawczym. – *W momencie najmniej spodziewanym Nawrot drybluje parokrotnie w polu karnym Wisły, przerzuca piłkę kozłem do przodu i tuż przed nogami*

obrońców oraz padającym Koźminem pakuje ją pod górną poprzeczkę. Był to majstersztyk techniki – opisywał jedną z najładniejszych akcji w przedwojennej Ekstraklasie „Przegląd Sportowy”.

Oskarżano go jednak, że nie jest produktywny. Często zamiast do przodu, dryblując, schodził do środka, przez co pomimo długiego posiadania piłki akcja zazwyczaj nie posuwała się ani na metr do przodu. – *Nawrot kiwał przeciwnika dla samego siebie i publiki* – opisywał dziennikarz jeden z jego występów.

Kiedyś wraz z Henrykiem Martyną, Edwardem Drabińskim i Franciszkiem Cebulakiem zaokrętował się na „Batorego”, aby zagrać w pokazowych meczach w USA. – *Nawrot zagrał jak Paderewski koncert. Amerykanie stanęli i za głowę się wzięli. Jak on potrafił tymi nogami zawijać* – opisywał jeden z marynarzy dziennikarzom. Zgadzał się z nim też Henryk Martyna: – *Na Nawrota patrzyli jak w cyrku. Sędzia powiedział, że jeszcze nie widział tak pięknej gry*. Pamiątką z tego wyjazdu pozostał niebieski, elegancki kapelusz kupiony za pięć dolarów. – *Gdyby graczowi temu dodać technikę strzału udającego mu się zasadniczo jedynie na ciężkim terenie i mokrą piłką oraz pewną dozę lojalności i rycerskości wobec przeciwnika, można by go uważać za gracza w naszych stosunkach niemal doskonałego* – wzdychali dziennikarze.

Z czasem stał się jednym z najgroźniejszych polskich napastników. To on jako drugi zawodnik w historii strzelił aż cztery gole w jednym spotkaniu dla reprezentacji Polski.

Dołączył do tego potem jeszcze trzy gole w jednym meczu, co czyniło z niego pierwszego zawodnika z dwoma hat–trickami dla drużyny narodowej. Od 1932 do 1938 roku był liderem klasyfikacji strzelców kadry. Jako pierwszy w historii przekroczył barierę piętnastu zdobytych bramek w biało-czerwonych barwach. – *Bezwzględnie Nawrot jest najgroźniejszym polskim napastnikiem* – twierdzili Niemcy, na czele ze swym napastnikiem Buschem, po jednym ze spotkań między reprezentacjami tych krajów.

Jego wyróżnikiem na tle konkurencji była umiejętność gry na rozmokłym boisku i ciężką piłką. Im trudniejsze warunki atmosferyczne, tym groźniejszy się stawał. – *Lepki błotnisty teren i ciężka jak ołów piłka odpowiadają Nawrotowi wprost wyjątkowo. W warunkach tych wrodzony mu brak szybkości nadrabia z naddatkiem zwrotnością i umiejętnością wykorzystywania błędów obrony, a nieczysty normalnie strzał, zyskuje również na sile i celności* – opisywał jego grę „Przegląd Sportowy” po jednym meczu ligowym, w którym zdobył cztery bramki.

Najlepiej pod tym względem wypadł jednak w ostatnim starciu tamtych rozgrywek przeciwko Ruchowi Chorzów, strzelił rywalowi aż sześć goli! Z tego powodu… obwołano go nawet królem strzelców tamtego sezonu. Dopiero po latach wyszło, że był to błąd w liczeniu, a korona należała się tak naprawdę Kossokowi, zaś Nawrot uplasował się na drugim miejscu. Franciszek Zorzycki, obrońca Niebieskich w akcie rozpaczy zdecydował się w tamtym meczu na brzydki faul i po jednej z akcji naskoczył na piszczel

Nawrota. Zdawało się, że noga została złamana, ale Nawrot wrócił na boisko i… jeszcze strzelił gola, stojąc tyłem do bramki!

Trzeba jednak przyznać, że trafiła kosa na kamień. Sam bowiem słynął z bardzo ostrego stylu gry, balansującego na granicy brutalności. – *Gracz ten jest niestety najbardziej niesympatycznym typem piłkarza jaki można zaobserwować na boiskach polskich. Chcemy napiętnować jego faule, czynione z zimną premedytacją na przeciwnikach zarówno w zwarciach przy piłce, jak nawet bez niej* – pisał „Przegląd Sportowy”. Kiedyś w walce o piłkę dostrzegł, że jest zasłonięty przez obrońców Warty Poznań, w związku z tym niezauważony przez arbitra odepchnął golkipera rywali i bez problemu strzelił gola. – *Jego intencje w grze są zawsze jak najgorsze. Nawrot stale walczy o piłkę w ten sposób, aby jeśli nie unieszkodliwić przeciwnika, to przynajmniej pokopać go po kostkach – ile się tylko da. Fakty te są tym bardziej ubolewania godne, że obaj gracze wymienieni operują tak wielkimi walorami czysto sportowymi, iż te niegodne metody walki doprawdy są w ich grze nielogiczne* – pisał „Przegląd Sportowy”. Wszelkie granice przekroczył jednak, gdy pobił w szatni swego kolegę z drużyny – Józefa Ziemiana. Groziła mu za to długoletnia dyskwalifikacja, ale szczęśliwie udało się jej uniknąć.

Choć co jakiś czas nosił się z zamiarem powrotu do Cracovii albo gry w Garbarni, to jednak do końca kariery pozostał w Warszawie, gdzie pracował jako fotograf

w Wojskowym Instytucie Geograficznym. Po Legii występował jeszcze dla Polonii Warszawa. Podczas II wojny światowej jako żołnierz Armii Andersa uczestniczył w bitwie o Arnhem. Potem pozostał w Wielkiej Brytanii i zerwał prawie wszystkie kontakty ze znajomymi z kraju. Nawet z Łańką i Ciszewskim. Podobno niesnaski zaczęły się jeszcze w Polsce. Choć trójka krakusów lubiła się prywatnie, to… nie przepadały za sobą ich żony!

Zmarł w 1982 roku.

Od lewej: Teodor Peterek / źródło: NAC

TEODOR PETEREK

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Ruch Chorzów
Lata gry: 1928-1948
Mecze/gole: 192/157

Maradona, Cruyff, Mueller, Best, Platini, van Basten, Puskas, di Stefano, Ronaldo, Baggio, Romario, Inzaghi… Wszyscy najwybitniejsi napastnicy świata, którzy grali w Europie przez dekady, zmagali się z rekordem ustanowionym przez Polaka z Ekstraklasy i żaden nie mógł dać mu rady. Tak wysoko poprzeczkę dla kolejnych pokoleń ustawił Teodor Peterek. Z pozycji lidera zrzucił go dopiero sam Lionel Messi w 2013 roku.

Szesnaście spotkań z rzędu. Tak długą serię meczów ligowych ze strzelonym golem zaliczył Peterek. To właśnie ten wynik był najlepszym osiągnięciem w najwyższych klasach rozgrywkowych Starego Kontynentu, aż przez

siedemdziesiąt pięć lat. Dawało mu to olbrzymią sławę w całej Europie. Pewnego dnia „Przegląd Sportowy" przyniósł informację: – *I nas wreszcie dojrzeli! I po naszych piłkarzy wysuwają macki menadżerowie z Zachodu, nobilitując nas na równouprawnionych Europejczyków. A zawdzięczać musimy to Peterkowi, środkowemu napastnikowi Ruchu, na którego zarzucił swe sieci menadżer czołowego klubu Francji. Ofiaruje graczowi Ruchu 2500 franków miesięcznej gaży i 250 franków za każdy wygrany mecz.* Kiedy indziej OSC Lille zaproponowało mu kontrakt, przesyłając już bilet kolejowy na podróż. Do Francji zresztą trafił, ale już po II wojnie światowej, gdzie rozegrał kilka spotkań dla prowincjonalnego St. Avon.

Oferty podkreślały jego pozycję w polskim piłkarstwie w drugiej połowie lat trzydziestych. Peterek pozostał jednak wierny barwom Ruchu, w którym grał od 1928 roku. Z Niebieskimi zdobył pięć razy mistrzostwo Polski. Sam zaś dwukrotnie zasiadał na tronie króla strzelców. Oprócz – dzierżonego do dziś w Ekstraklasie – rekordu w najdłuższej serii meczów ligowych ze zdobytą bramką został również rekordzistą pod względem zdobytych bramek w rozgrywkach mistrzowskich w Polsce. W 1937 roku wyprzedził na tej liście Henryka Reymana i pozycję lidera oddał dopiero w latach pięćdziesiątych swojemu następcy w ataku Niebieskich – Gerardowi Cieślikowi, z którym zresztą miał okazję krótko grać.

Długo nie zapowiadał się na gwiazdę aż takiej miary. Ruch nie należał z początku do potentatów ligowych, a Teodor Peterek nie był na pierwszym ani nawet na drugim planie wśród napastników. Nie pokazywał zbyt wielu swoich atutów. – *Peterek jest niewątpliwie graczem utalentowanym, jednak do pełnej, dobrej sylwetki brak mu przede wszystkim szybkości no i… umiejętności zachowania się na boisku* – oceniał go „Przegląd Sportowy” w 1929 roku.

Właśnie – umiejętność zachowania… W 1929 roku, gdy został na stałe członkiem pierwszego zespołu, wygrał ligową klasyfikację na najczęściej napominanego gracza. Potem powtarzał ten niechlubny wyczyn kilka razy. Tej ułomności zresztą nie wyzbył się aż po kres kariery. Dyskusje z sędziami stały się jednym z jego znaków rozpoznawczych. Kiedyś nie mógł nawet pogodzić się z anulowaniem gola strzelonego przez niego ręką. Dlatego często określano go mianem „primadonny”. Z drugiej strony ta „primadonna” jak mało kto nie unikała twardej, męskiej gry.

Ciężko było grać przeciwko niemu, ciężko jednak bywało też razem z nim. W 1932 roku bramkarz Ruchu, Eryk Kurek, minął się z piłką i dał sobie strzelić łatwego gola. Jako pierwszy pospieszył do niego Peterek. Ale nie z otuchą, lecz z ironicznymi gratulacjami. Impulsywne reakcje nie mogły jednak dziwić, skoro sam był narażony na niewybredne komentarze ze strony najbliższych osób. „Przegląd Sportowy” odnotował, że w trakcie meczu

ligowego z Cracovią musiał znieść połajanki własnej… narzeczonej Elfrydy.

Na szczęście w cień te negatywy odsuwała jego niezwykła skuteczność. Ogółem przez całą karierę w Ekstraklasie w 192 meczach strzelił 155 goli. Był pierwszym zawodnikiem, który przekroczył barierę 150 bramek. Do dziś to grono zasilili po nim jeszcze tylko Ernest Pohl, Lucjan Brychczy, Gerard Cieślik, Włodzimierz Lubański, Kazimierz Kmiecik i Tomasz Frankowski.

Silny, dobrze zbudowany kierownik ataku najlepiej czuł się w nieskomplikowanych zagraniach. Najczęściej piłkę rozgrywał do boku, na skrzydła. Szczególnie do Gerarda Wodarza, skąd otrzymywał wymuskane zwrotne podanie, otwierające mu drogę do bramki rywali. Stąd u wielu zawodników lepiej usposobionych technicznie nie miał zrozumienia. Do tego grona nie zaliczał się słynny przebojowiec, a zarazem kolega klubowy Peterka – Ernest Wilimowski. Przez długie lata zgodnie współpracowali, ale też zacięcie rywalizowali o miano najlepszego krajowego bombardiera.

Na Peterka najczęściej mówiono „Mietlorz”, od charakterystycznej, rozwichrzonej fryzury. Złośliwi nadali mu jednak dodatkowo przezwisko – „Wicemajster”, dla podkreślenia, że w 1934 roku przegrał rywalizację o koronę króla strzelców z młodym Wilimowskim, choć jeszcze w lipcu prowadził sześcioma trafieniami. Ten pseudonim doprowadzał go do szału, nie mógł bowiem przeboleć tej porażki pod względem strzelonych goli. Być może – znając

jego charakter – miał też pretensje do partnera z ataku o jedną z sytuacji z meczu Ruchu z Wisłą Kraków. Peterek strzelił nie do obrony. W ostatniej chwili tor lotu przeciął jednak „Ezi", co pozwoliło bramkarzowi na skuteczną paradę zwolnionej piłki. Paradoksalnie jednak przyjście Wilimowskiego zmobilizowało go do podniesienia własnych umiejętności. To właśnie od zetknięcia tych dwóch graczy datuje się obecność w ścisłej ligowej czołówce napastników Peterka. W pierwszym mistrzowskim sezonie (1933) Ruchu nie był wiodącą postacią. Duży wpływ na to miał jednak przebyty na początku rozgrywek dur brzuszny.

Panom daleko było do przyjaźni, ale wzajemnie cenili swoje umiejętności. Peterek na pewno przewyższał „Eziego" w grze głową. Mierzył w końcu prawie dziesięć centymetrów więcej i uczynił z tego swój groźny atut. „Kapą" – jak mówił gwarą – kiedyś w reprezentacji Śląska strzelił pięć goli z czego cztery właśnie tą częścią ciała.

On też wykonywał rzuty karne w drużynie Ruchu Chorzów. Wilimowski dwa razy w 1934 roku podszedł do „jedenastki" i za każdym razem spektakularnie pudłował, paląc się nerwowo. Peterek zaś dzięki silnemu strzałowi wyspecjalizował się w tym elemencie gry. Często to on zaszczepiał na polskim gruncie nowe sposoby egzekwowania „jedenastek", jak choćby w starciu z Polonią Warszawa. Ale kiedy przydarzyło mu się pudło – w prestiżowych derbach Chorzowa z AKS – od razu skończyło się dyskwalifikacją, bo zdenerwowany rzucił piaskiem w bramkarza…

Na boisku potrafił jednak zgodnie współpracować z Wilimowskim. Po podaniu właśnie tego gracza między innymi zdobył jedyną bramkę wygranego spotkania z Bayernem Monachium. Prasa niemiecka nazwała go wtedy „doskonałym taktykiem”.

Mniej natomiast od Wilimowskiego spełnił się w reprezentacji. Zagrał w dziewięciu meczach, w których strzelił sześć goli. Ciążył mu zapewne słaby występ z Rumunami w 1932 roku, nazywany wprost „kompromitacją”. Partnerzy wyraźnie nie rozumieli jego zamysłu prowadzenia ataku, a że gwiazdą pierwszej wielkości był lewy łącznik, doskonały technik Karol Kossok, to Peterek na długie lata znalazł się w drugim szeregu. Czasami też rzucano go na obce mu pozycje, jak właśnie na lewego łącznika w starciu z Jugosławią, gdzie znów wypadł niekorzystnie. Dostał powołanie na Igrzyska Olimpijskie w 1936 roku, za to zabrakło go na Mistrzostwach Świata. Jedyny raz, gdy naprawdę przyćmił „Eziego” w biało-czerwonych barwach, zdarzył się w 1938 roku podczas starcia z III Rzeszą. Wilimowski gościł wtedy na wszystkich czołówkach gazet za zachodnią granicą. To Peterek jednak strzelił honorowego gola dla Polski.

Dwadzieścia lat. Tyle dzieliło jego pierwsze i ostatnie trafienie w Ekstraklasie. Po II wojnie światowej w pełni sił fizycznych wrócił bowiem do Ruchu Chorzów i w pierwszej powojennej edycji ligi znów grał dla Niebieskich. U jego boku wyrastały gwiazdy Gerarda Cieślika, Czesława Suszczyka czy Henryka Alszera. Miał już wtedy 38 lat.

Zmarł w 1969 roku. W Ekstraklasie, w Śląsku Wrocław, grał jego syn – Zygmunt. Nie udało mu się jednak nawiązać do wielkiej kariery ojca.

źródło: NAC

HENRYK REYMAN

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Wisła Kraków
Lata gry: 1927-1933
Mecze/gole: 130/108

Major Henryk Reyman, międzywojenny oficer Wojska Polskiego, a zarazem czołowy napastnik ligi i dziś jedna z największych legend Białej Gwiazdy, piłkę nożną traktował dokładnie niczym powinności żołnierskie – jak służbę. Wyróżniała go skuteczność i instynkt strzelecki. Największym atutem była jednak olbrzymia charyzma.

Od swego pojawienia się w Wiśle szybko zdobył wielki autorytet. Cechy przywódcze sprawiały, że wyraźnie górował w szatni Wisły Kraków. Reyman potrafił przywołać do porządku i strofować nawet największe gwiazdy. Znany jest epizod, gdy rozzuchwalonego dryblingami Józefa

Kotlarczyka okrzyczał: – *Smarkaczu, próbujesz wjechać do bramki?* Reprymenda podziałała niemal z miejsca.

– *Ostoją napadu Wisły od lat paru jest Reyman na środku (...). Stanowi typ gracza niezastąpionego w Wiśle raczej ze względu na swe znaczenie moralne dla tej drużyny oraz rolę głównego dyrygenta całego zespołu. Zresztą nie można pominąć milczeniem jego nieprzeciętnych zdolności strzeleckich, które zapewniły Reymanowi wspaniały dorobek strzelecki* – pisał o nim „Przegląd Sportowy".

Dziś gra Reymana dałaby mu zapewne w oczach kibiców miano „klasycznego snajpera". – *Reyman, choć nie posiada wspaniałego zmysłu taktycznego i opanowania ciała i gry Kałuży, ma jednak doskonałą dyspozycję do strzału* – oceniał „Przegląd Sportowy". Zresztą akurat z Kałużą rozpoczynał swą przygodę z piłką. Dwie wielkie osobowości polskiej piłki lat dwudziestych spotkały się w Polonii Kraków w 1908 roku. Tam Reyman odniósł swój pierwszy duży „sukces", za jaki uważał wygraną 8:5 z reprezentacją Bieżanowa. Potem jednak ich drogi podążyły w innych kierunkach, choć kilkukrotnie się przecinały. Kałuża odszedł do RKS Kraków, zaś Reyman związał swe życie z Wisłą Kraków. W 1913 roku zmienił Kowala w ataku przeciwko BBSV Bielsko-Biała i tego miejsca już nie oddał praktycznie przez dwie dekady.

Pod względem skuteczności swego głównego konkurenta krakowskiego – jak też i wszystkich innych napastników z pierwszych dwóch sezonów Ekstraklasy –

przebijał wyraźnie. Nie był wielkim technikiem, za to w polu karnym przeciwnika muskularny atleta siał prawdziwe spustoszenie. To on został królem strzelców premierowej edycji rozgrywek z wynikiem 37 bramek (a według Jarosława Owsiańskiego nawet 38) na sezon! Do dziś nikt nie pobił tego niebotycznego rezultatu. A konkurencję miał największą w historii. Był to jedyny sezon w historii ligi, gdy aż siedmiu graczy zanotowało ponad dwadzieścia goli. Osiągnął wtedy zawrotne średnie: 1,43 gola na ligową kolejkę i 1,61 na występ. W tej pierwszej kategorii przebił go w całej historii rozgrywek tylko Ernest Wilimowski w 1934 roku. Dzięki sześciu bramkom zdobytym przeciwko TKS Toruń stał się także głównym architektem najwyższego do dziś zwycięstwa w historii ligi (15:0). Bliski korony był też w następnej edycji. Według dzisiejszych wyliczeń Andrzeja Gowarzewskiego tytuł ten należy jednak samodzielnie do Ludwika Gintla z Cracovii, wówczas obaj ci zawodnicy współdzielili go z wynikiem dwudziestu dziewięciu bramek. Sprawa ta pewnie nigdy nie doczeka się ostatecznego rozstrzygnięcia.

Kto wie, czy to nie jemu w ogóle liga zawdzięcza powstanie. Był najgłośniejszym orędownikiem przekształcenia rozgrywek w format ligowy wśród piłkarzy. W opozycji do niego stali dwaj koledzy z zespołu – Jan Kotlarczyk oraz Emil Skrynkowicz, którzy sprzyjali starym porządkom i grozili transferem do Tarnovii. Ostatecznie przeważył autorytet znakomitego napastnika, a duet

rozłamowców pozostał w szeregach Białej Gwiazdy i wspólnie sięgnęli po dwa mistrzostwa w dwóch pierwszych edycjach Ekstraklasy.

Reyman indywidualnie został zaś pierwszym zawodnikiem, który pokonał barierę pięćdziesięciu oraz stu goli strzelonych w najwyższej polskiej lidze i drugim po Wacławie Kucharze, który dokonał tego w mistrzostwach Polski. Według różnych wyliczeń zanotował w Ekstraklasie od 108 do 115 trafień. Pod względem średniej bramek (0,86) z członków Klubu 100 ustępuje miejsca tylko Ernestowi Wilimowskiemu.

Był też pierwszym w historii ligi kapitanem, który mógł się cieszyć ze swoim klubem zdobytym mistrzostwem w lidze polskiej. Pokazał przy tym kawał niebywałej odporności psychicznej. O tytule decydowało spotkanie z klubem mniejszości niemieckiej 1. FC Katowice, które elektryzowało całą piłkarską Polskę. Nikt jednak nie mógł lepiej od niego udźwignąć brzemienia odpowiedzialności. Wisła wygrała to starcie 2:0, a sam Reyman podwyższył wynik spotkania, co pozwoliło krakowskiemu zespołowi wrócić do domu z tarczą, choć… pierwotnie świętowano wynik 3:0, a napastnikowi oficjalnie zaliczono dublet. Drużyna 1. FC Katowice, po tym jak sędzia podyktował karny, zeszła bowiem z boiska. Reyman wykonał więc strzał z jedenastu metrów do pustej bramki. Wobec braku powrotu gospodarzy na boisko, arbiter zakończył spotkanie. Dopiero później wynik został zweryfikowany do stanu sprzed karnego.

Sukces z Wisłą powtórzył też w roku kolejnym. Było to ostatnie mistrzostwo tego klubu przed wojną. Spadek formy drużyny splótł się ze słabszą dyspozycją Reymana. Nie można było jednak powiedzieć, by grał on gorzej. Po prostu rzadziej mógł się pojawiać na boisku. Zawodowo związany z wojskiem, na pewien czas został przeniesiony do Wilna, mimo to starał się pojawiać w progach klubu najczęściej, jak się dało. Kiedyś po 24-godzinnej podróży z obecnej stolicy Litwy niemal prosto z pociągu wyszedł na boisko. – *Mimo to pracował z Balcerem za całą pomoc i atak* – pisał „Przegląd Sportowy".

Sam czuł też upływ czasu i brak sił. Zgodnie z honorem wojskowego postanowił zrezygnować z występów, czując przeciążenie pracą w CIWF. Po przyjeździe do Krakowa na Zielone Świątki złożył prośbę o zwolnienie. Została ona jednak potraktowana odmownie, a pod Wawelem wybuchła prawdziwa histeria. – *Podzielam w zupełności stanowisko zajęte w tej sprawie przez Zarząd Wisły. Jak już Panowie słusznie w jednym z ostatnich numerów „Przeglądu" podkreślili, cała opinia krakowska jest po prostu zaskoczona krokiem kpt. Reymana. Uważam to tylko za jakąś psychozę, która jest jednak tylko chwilowa i przejdzie wkrótce. Nie mogę bowiem zrozumieć, aby gracz tej miary, związany z historią swego klubu jak właśnie kpt. Reyman, decydował się nagle na zmianę swych barw. Tym bardziej, że nie jest mu obce przecież przyjeżdżanie na mecze swojego klubu. Czy bawiąc w Wilnie, nie przybywał na mecze do Krakowa?* – powiedział kapitan Dembiński,

kierownik Białej Gwiazdy. Dodatkowo podejrzewano go o konszachty z Legią Warszawa, ponieważ w czasie pracy w CIWF trenował z tym klubem, co wzmagało negatywne nastroje w Krakowie. Ostatecznie Reyman poprosił o kilka tygodni do namysłu. Ten okres skrócił się do kilkunastu dni, po których znów pojawił się w składzie swego zespołu przeciwko Warcie Poznań.

Szczególnym rywalem w jego życiorysie była Cracovia. Nie tylko z powodu napięć między dwoma krakowskimi zespołami. W meczu przeciwko temu zespołowi rozegrał swoje 400. spotkanie w barwach Białej Gwiazdy. Kilka miesięcy potem w starciu z Pasami zanotował też swoje setne trafienie w lidze. Na nim przyszło mu jednak również zakończyć karierę piłkarską.

W 1933 roku Reyman został wykluczony przez sędziego w końcówce starcia z Pasami z boiska. Za nim podążyła cała drużyna. Kapitan nakazał im powrót na boisko, po minucie jednak zmienił zdanie i starcie zakończyło się walkowerem. Prawdopodobnie przekazał on tylko czyjeś polecenie. Znając jego charakter, ciężko jednak przypuszczać, by w tej sprawie postąpił wbrew sobie. Sprawę zakończył dowódca okręgu Kraków – generał Bernard Mond, który zakazał gry w lidze zawodowym oficerom. – *Nie możemy się zgodzić, aby piłkarz w służbie czynnej schodził z boiska wśród gwizdów i okrzyków kilkutysięcznego tłumu* – napisał oburzony w oświadczeniu. Generał pozwolił oficerom na grę tylko w wojskowych

klubach, samemu będąc prezesem… takiego tworu – Wawelu Kraków!

W reprezentacji rozegrał dziewięć meczów i strzelił w nich pięć goli. Był pierwszym w historii kapitanem kadry Polski na Igrzyskach Olimpijskich.

W czasie II wojny światowej pozostał wierny mundurowi. Ranny w bitwie nad Bzurą dostał się do niewoli niemieckiej, ale zdołał zbiec, za co poszukiwany był przez gestapo. Po wojnie trzykrotnie obsadzano go na stanowisku selekcjonera reprezentacji Polski. Jego imię nosi ulica w Krakowie, a także stadiony – Wisły Kraków i w Kutnie.

Zmarł w 1963 roku.

źródło: NAC

FRYDERYK SCHERFKE

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Warta Poznań
Lata gry: 1927-1939
Mecze/gole: 236/129

Od 1792 roku przez 126 lat Poznań, wielowiekowa brama Polaków na zachód, pozostawał pod panowaniem Niemców. Nic zatem dziwnego, że w stolicy Wielkopolski znalazła się spora kolonia przedstawicieli tego narodu. Jednym z nich był Fryderyk Scherfke. Postać, której piłkarskie umiejętności nadawały wybitność, a wybory życiowe – tragizm.

Na początku czerwca 1938 roku Warta Poznań rozgrywała towarzyski mecz z jedną z gliwickich drużyn. Nie szło jej najlepiej. – *Nic dziwnego, skoro grało tylko jedenastu zawodników* – komentował „Przegląd Sportowy”. Pozostali gracze – wszyscy ubrani w zielono-białe stroje – co

chwilę podlatywali do trybun, by posłuchać radia. Akurat transmitowano pierwsze w historii spotkanie Polski na mistrzostwach świata. Biało-czerwoni musieli stawić czoła słynnej Brazylii z Leonidasem w składzie. Wśród nich kolega klubowy Warciarzy – Fryderyk Scherfke, zwany tu po prostu „Frycem" bądź „Fryckiem". Zapłatę za tę dekoncentrację stanowiła chwila radości na początku drugiego kwadransa spotkania. Za faul na Erneście Wilimowskim podyktowano rzut karny. Sam poszkodowany nigdy nie rwał się do tego elementu gry. Do piłki podszedł więc jedyny zawodnik z mundialowej ekipy, który pamiętał jeszcze pierwszą edycję Ekstraklasy – Fryderyk Scherfke – i pewnie pokonał brazylijskiego golkipera. Został dzięki temu zdobywcą pierwszej w historii MŚ bramki Polaków.

Aż trudno uwierzyć, że bohaterem tego dziejowego momentu stał się właśnie Scherfke. Zawsze rzucał się mniej w oczy niż reszta kolegów. On jednak grał po prostu inteligentnie, ekonomicznie, za to bardzo skutecznie. – *Fryc Scherfke jest typem piłkarza-flegmatyka. Jego szlachetna sylwetka Skandynawa jest zawsze pełna dystynkcji – nie widać w niej nigdy stuprocentowego eksploatowania swych sił. Największą wadą Scherfkego jest zbytnia powolność w aranżowaniu ataków oraz absolutny brak ciągu na bramkę i woli zwycięstwa. Wady te Scherfke w niemałej mierze łagodzi niezwykłym spokojem i zrównoważeniem podczas pracy na boisku* – tak oceniał go „Przegląd Sportowy" po sezonie, który przyniósł mu największy sukces w klubowej karierze – mistrzostwo Polski w 1929

roku. – *Graczy leniwych i ociężałych mamy bardzo wielu. O Schefkem nie można jednak powiedzieć ani jednego, ani drugiego. Jemu po prostu się nie spieszy. Na wszystko ma czas, nic go nie przejmuje, na czym drużyna często wychodzi jak najgorzej* – dodawali dziennikarze kilka lat potem.

Jego wielkim atutem była znakomita technika – jedna z najlepszych w tym czasie w Polsce – oraz zmysł do kombinacji wykazywany w grze z kolegami z linii ataku. Najmocniej przemawiały jednak za niego liczby. W ciągu trzynastu sezonów gry w Ekstraklasie strzelił łącznie aż 129 goli. Do wybuchu II wojny światowej był to drugi wynik za Teodorem Peterkiem. Z podium Scherfke spadł dopiero na przełomie lat 50. i 60. Królem strzelców Ekstraklasy został jednak tylko raz – w 1932 roku, gdy podzielił się tytułem ze swym kolegą klubowym – Kajetanem Kryszkiewiczem.

Dla Warty Poznań był bezcenny. Kiedy po mistrzowskim sezonie otrzymał powołanie do wojska, władze klubu ze stolicy Wielkopolski dosłownie stawały na głowie, aby wyrwać go z Krakowa, gdzie „Fryc” trafił do jednostki wojskowej. Zadanie zakończyło się pełnym sukcesem. Scherfke powrócił do Poznania i wspomógł Wartę w kolejnych bojach ligowych. W dodatku nabrał więcej energii i animuszu.

Na ogół grywał w ataku, rzadziej na środku pomocy – choć uważano go za znakomitego zawodnika na tej pozycji – a raz zdarzyło mu się nawet przymusowo zastępować bramkarza.

Razem z Wartą Scherfke zdobył także poza mistrzostwem srebrny krążek i cztery brązowe medale. Jest posiadaczem rekordów tego klubu w liczbie występów i strzelonych goli w Ekstraklasie. Został również wybrany Piłkarzem Stulecia tego klubu. Za Wartę potrafił przyjąć razy. Kiedyś został bardzo mocno pobity przez przeciwników po bezpośrednim starciu z Cracovią.

Do reprezentacji oprócz mistrzostw świata został powołany na Igrzyska Olimpijskie w 1936 roku. W kadrze zagrał w dwunastu spotkaniach. Po raz ostatni z Łotwą kilkanaście tygodni po mundialu. Wystąpił w tym starciu z opaską kapitańską na ramieniu.

Tym bardziej szokujący był fakt, że dawny kapitan reprezentacji Polski w czasie II wojny światowej paradował w mundurze Wehrmachtu, a także pełnił funkcję prezesa okupacyjnego wydziału piłki nożnej w urzędzie ds. sportu w Poznaniu. To wystarczyło do otoczenia go niesławą wśród polskich kibiców. Wiele złego zrobiła też działalność jego rodzonego brata, także dawnego piłkarza Warty – Guenthera, aktywnego członka gestapo. Sam Fryderyk aktywnie pomagał swoim dawnym kolegom. Uratował z rąk oprawców między innymi Mariana Fontowicza, Michała Fliegera czy Bolesława Genderę. Dlatego został oczyszczony z zarzutów. Wyjechał do Niemiec, gdzie działał w stowarzyszeniu polonijnym – Strzecha Polska. Zmarł w 1983 roku.

źródło: NAC

WŁADYSŁAW SZCZEPANIAK

(obrońca/pomocnik)

Kluby w Ekstraklasie: Polonia Warszawa
Lata gry: 1928-1948
Mecze/gole: 172/37

Nim powstała liga, Ludwik Gintel był uważany za jednego z najnowocześniejszych obrońców. W ciągu kilku lat został jednak przekwalifikowany na napastnika. Ta zmiana dała mu tytuł króla strzelców sezonu 1928. W odwrotną stronę podążył Władysław Szczepaniak. Przez skrzydło, środek ataku i pomoc trafił do defensywy, gdzie zapisał piękną kartę w historii polskiego futbolu.

Naprawdę duże umiejętności musiał pokazać Szczepaniak w czasie pierwszych meczów ligowych rozgrywanych w wieku zaledwie osiemnastu lat, skoro prasa dziwiła się, że mając tak utalentowanego gracza, Czarne Koszule trzymały go pod kloszem i dawały grać

weteranom. – *Dlaczego gra przechodzący okres spadku formy Seichter w chwili, gdy klub rozporządza graczami choćby takimi jak (...) Szczepaniak tego doprawdy zrozumieć nie sposób*.

Szybko podbił szeregi swojej drużyny, dzięki czemu stał się pierwszym wyborem na pozycję prawoskrzydłowego. – *Rewelacją jest przede wszystkim Szczepaniak. Gracz ten wspiął się po szczeblach kariery piłkarskiej rzeczywiście niezwykle szybko i już dziś reprezentuje niewątpliwie poważną siłę skrzydłową. Brak szybkości nadrabia Szczepaniak nieprzeciętną techniką, która pozwala mu oddawać zarówno precyzyjne centry, jak i świetnie uderzone, płaskie strzały* – pisał o nim „Przegląd Sportowy". Kiedyś jego szarże doprowadziły do prawdziwej piłkarskiej rozpaczy Wacława Przeździeckiego podczas derbów stolicy z Legią. Próbował upolować przeciwnika w czarnym stroju faulem, w końcu nie wytrzymał i uderzył go ręką w twarz.

„Cudowne dziecko" szybko zostało ulubieńcem trybun. Gdy miał ledwo dwadzieścia lat, kibice chórem zaczęli żądać jego podejścia do rzutu karnego. Ostatecznie jednak po gwizdku, nim zdołał wziąć rozbieg, zza jego pleców wyrwał się bardziej doświadczony Józef Pazurek i… fatalnie przestrzelił. Szczepaniak na ogół takich błędów z jedenastu metrów nie popełniał.

Jednak nie na tej pozycji dane było mu zrobić zawrotną karierę. Także nie na ataku, głównie z braku szybkości oraz słabego strzału. Władysław Szczepaniak ze swą bajeczną

techniką został za to jednym z najlepszych polskich obrońców międzywojnia. Aż dziwne, biorąc pod uwagę jedną z opinii o nim z czasów, gdy był skrzydłowym: – *Ciężarem tym był rozwijający się ciągle talent Szczepaniaka. Polonia ryzykując osłabienie swych formacji defensywnych, wzmocniła również kolosalnie siłę ofensywną, zamieniając prymitywnego Biedrzyckiego właśnie Szczepaniakiem* – pisano.

Od starcia z Łotwą w 1934 roku został na stałe obrońcą. Zmiana pozycji okazała się jednym z najszczęśliwszych zrządzeń losu w polskiej piłce przed II wojną światową. Z błyskotliwego skrzydłowego, obdarzonego dobrą centrą, wyrósł bowiem jeden z najsolidniejszych obrońców w Europie. Potwierdzała to też opinia prasy francuskiej. Po meczu z Brazylią, debiucie reprezentacji Polski na MŚ, gdy stworzono wybitne widowisko z jedenastoma bramkami, Szczepaniak został uznany przez francuską gazetę „L'Auto" za najlepszego prawego obrońcę pierwszej rundy rozgrywek! Opinię tę podzielał też świetny brazylijski napastnik, Leonidas, późniejszy król strzelców imprezy: – *Największe trudności sprawiali mi osobiście obaj obrońcy, którzy przed przerwą doskonale się ustawiali*. Znany dziennikarz z Kraju Kawy, Gazelo, dodawał: – *W drużynie polskiej podobali mi się: bramkarz Madejski, obrońca Szczepaniak i wspaniały Wilimowski*. Szczepaniak sprawiał problem rywalom, nie tylko naprzykrzając się Leonidasowi oraz kolegom z ataku, ale też… nazwiskiem. Komentator brazylijskiego radia

poddał się, gdy przyszło mu kolejny raz wymówić „Szczepaniak”.

W tym historycznym spotkaniu Szczepaniak pełnił rolę kapitana. Tak jak podczas eliminacyjnego dwumeczu z Jugosławią. Z zadania wywiązał się bez zarzutu. Po wygranej 4:0 w Warszawie, w Belgradzie, to on jako kapitan był na celowniku kibiców przeciwników. Kiedy polscy zawodnicy pojawili się w Jugosławii, do Władysława Szczepaniaka podbiegł jeden z miejscowych chłopców zatrudnionych do koszenia murawy i pokazał mu na palcach liczbę „pięć”, sugerując, ile goli stracą Polacy w starciu z kadrą „Plavich”. Szczepaniak mógł odetchnąć po spotkaniu zakończonym nikłą porażką 0:1. – *Jego interwencje wprowadziły w polskie szeregi spokój i pewność siebie* – podsumowywała prasa. Zdaniem sędziego spotkania to właśnie on był najlepszym graczem meczu.

Grał zupełnie inaczej, niż poprzednia ostoja defensywy – Henryk Martyna. Jego wykopy były dużo krótsze. Po etapie doświadczeń na skrzydle miał jednak większą skłonność do gry kombinacyjnej. Z tamtego czasu wyniósł też elegancję. Nazywano go dżentelmenem boiska. Również wizualnie mocno odróżniał się od kolegi. Włosy przyczesywał brylantyną, tworząc z nich skorupę. Ludzie śmiali się, że pomaga mu to w grze głową.

Mimo wszystko wiele razy stawiano go za Martyną w klasyfikacji polskich obrońców. Raz jednak odniósł wielkie zwycięstwo w prestiżowym pojedynku ze swym

poprzednikiem. W czerwcu 1939 roku jeden z koncernów prasowych zorganizował pokazowe zawody sportowe pod nazwą „Rewia Asów”. Jednym z elementów widowiska była rywalizacja w długości wykopu… bez opadnięcie piłki. Wśród zaproszonych znaleźli się między innymi Karol Kossok czy Henryk Martyna. Obrońca – faworyt zmagań – był jednak drugi. Zwyciężył właśnie Szczepaniak z wynikiem 57 metrów.

Nie porzucił piłki nożnej nawet w czasie II wojny światowej. *Mimo przekroczenia trzydziestki i obowiązków rodzinnych, stanął jako jeden z pierwszych na apel. Na peryferyjnych boiskach grał ten piłkarz dobrze znany na wielkich stadionach Europy. (…) Przecież jeszcze przed niespełna rokiem prowadził on reprezentację Polski do sensacyjnego zwycięstwa nad wicemistrzem świata – Węgrami 4:2. Nic więc dziwnego, że teraz młodzi chłopcy z zapartym tchem śledzili jego grę – był dla nich wzorem i przykładem* – opisywał Mieczysław Szymkowiak w „Za cenę życia”. Zagrał między innymi w słynnym meczu między reprezentacjami Krakowa i Warszawy w 1943 roku w Piasecznie.

Przez cały okres międzywojenny nie doczekał się medalu mistrzostw Polski. Złoto udało mu się zapisać na swoje konto już w pierwszym roku po wojnie. Po raz ostatni w najwyższej klasie rozgrywkowej zagrał w 1948 roku, w wieku 38 lat.

Rok wcześniej zakończył karierę reprezentacyjną. Między jego pierwszym a ostatnim spotkaniem w biało-

czerwonych barwach upłynęło siedemnaście lat. Do dziś ten wynik pobił tylko Włodzimierz Lubański. W ostatnim przedwojennym występie (zwycięskim 4:2 z Węgrami) został samodzielnym liderem pod względem liczby występów w reprezentacji Polski. Z tej pozycji zepchnął go dopiero Gerard Cieślik w 1955 roku.

Jako trener doprowadził Polonię Warszawa do zdobycia Pucharu Polski. Zmarł w 1979 roku.

źródło: NAC

ERNEST WILIMOWSKI

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Ruch Chorzów
Lata gry: 1934-1939
Mecze/gole: 86/117

Mało jest piłkarzy, którzy stali się bohaterami tytułów powieści. W tej niewielkiej grupce znajduje się między innymi polski zawodnik – Ernest Wilimowski. Chorwacki pisarz Miljenko Jergović napisał bowiem książkę zatytułowaną „Wilimowski”, gdzie tłem wydarzeń był mecz Polska – Brazylia z Mistrzostw Świata w 1938 roku.

To starcie zamieniło się w futbolową bitwę dwóch wielkich snajperów – katowiczanina, gracza Ruchu Chorzów, zwanego „Ezim”, oraz uznawanego za czołowego napastnika świata, o którym mawiano „czarna perła” – Leonidasa. Górą w tym pojedynku, dzięki jednemu z najlepszych indywidualnych występów w historii mundiali,

był Polak – strzelec czterech goli. Kibice Ekstraklasy mieli szczęście oglądać te boiskowe czary mogli co tydzień.

Już w młodości dał się poznać z ogromnej dozy piłkarskiego geniuszu. Jego wejście do ligi stanowiło sensację. W swym piątym meczu ligowym, z Warszawianką, strzelił aż pięć goli, między innymi po przedryblowaniu pięciu graczy. W 1934 roku został królem strzelców z wynikiem 33 bramek. W pokazowy sposób rozprawił się wtedy z Teodorem Peterkiem. W listopadowym spotkaniu z Warszawianką wyprzedził go dzięki czterem trafieniom. Jedno z nich zdobył po solowym rajdzie z połowy boiska, drugie po strzale piętą. Miał wtedy ledwie osiemnaście lat! Do dziś jest najmłodszym zawodnikiem z takim tytułem w historii Ekstraklasy, a także jednym z trzech – z Henrykiem Reymanem i Józefem Kohutem – z trzydziestoma bramkami w jednym sezonie. Nikt też nie przebił go pod względem średniej goli na kolejkę w skończonej edycji rozgrywek (1,5). A to był dopiero początek jego osiągnięć.

Cztery razy z Ruchem Chorzów zdobył mistrzostwo Polski. Już w pierwszym sezonie, jako osiemnastolatek, strzelił gola w spotkaniu dającym tytuł z Cracovią. Indywidualnie dwa razy był królem strzelców. Koronę w obu przypadkach zakładał przed ukończeniem dzisiejszego wieku młodzieżowca. W sumie w 86 spotkaniach zdobył aż 117 bramek. Dzięki temu jest jedynym członkiem Klubu 100 ze średnią powyżej jednego gola na spotkanie. Wyniosła ona ostatecznie 1,34. Gdyby dane było mu pograć jeszcze

65 spotkań (około trzech sezonów) i utrzymałby taką skuteczność, to w 1942 roku zostałby jedynym do dziś zdobywcą dwustu bramek w najwyższej polskiej klasie rozgrywkowej!

A to wszystko podlane sosem sporej bezczelności. – *Jeśli ja zagram, to szkoda gadać. Nie będzie nawet dyskusji, kto zostanie mistrzem w przyszłym sezonie* – mówił, gdy kontuzjowany w szpitalu dowiedział się o mistrzostwie Polski dla Ruchu w 1935 roku. Już w pierwszym sezonie, gdy zaczął przewyższać bilansem bramkowym całą ligę, coraz rzadziej oddawał piłkę partnerom. – *Gra tylko dla oklasków publiki* – krytykowano go, biorąc wrodzoną bezczelność za oznakę sodówki. W reakcjach bywał jednak rzeczywiście zbyt histeryczny. W meczu z AKS Chorzów kiedyś ominął bramkarza, ale z 6 metrów spudłował. Tarzał się kilka sekund po boisku. Wstał dopiero, gdy zorientował się, że nikt się tym nie przejął.

W jego oczach pojawiały się jednak też łzy, jak po meczu ligowym z Pogonią Lwów, przegranym 1:4 przez Niebieskich. Wilimowski wtedy w szatni się po prostu popłakał z bezsilności. Faktem jest jednak, że największą rolę odegrał tutaj uraz. Wilimowskiego coraz częściej usiłowano zatrzymywać nieprzepisowo. Tym razem faul jednego z graczy Pogoni Lwów doprowadził do bardzo poważnej kontuzji, wykluczającej go z gry do końca sezonu. Stąd o wywalczeniu przez Ruch mistrzostwa Polski w 1935 roku dowiedział się w szpitalu. – *Panowie wstawać, Ruch mistrzem! Nie spać!* – krzyczał, kiedy dziennikarz

„Przeglądu Sportowego” doniósł mu o sukcesie. – *Panie poruczniku, wygrałem tabliczkę czekolady, bo mówiłem, że Ruch zdobędzie mistrzostwo.*

Jego sława wyszła daleko poza granice Polski. W 1937 roku usiłował go ściągnąć między innymi Racing Paryż. – *Wilimowski to klasa światowa, nadawałby się do wszystkich reprezentacji zawodowych świata* – przyznawał selekcjoner Jugosłowian po porażce 0:4 w eliminacjach MŚ, Svetozar Popović. Gwiazdę największego światowego formatu uczynił jednak z niego mecz z Brazylią na MŚ.

W trakcie tej potyczki strzelił aż cztery gole! Jego wynik na mundialu pobił dopiero – występujący krótko w Pogoni Szczecin – Oleg Salenko z pięcioma golami w 1994 roku. Do dziś lista zawodników z co najmniej czteropakiem na imprezie tej rangi, poza Rosjaninem i „Ezim”, zawiera jeszcze tylko Ademira, Juste’a Fontaine’a, Sandora Kocsisa, Eusebio i Emilio Butragueno. Wilimowski jako jedyny z nich jednak przegrał swoje spotkanie…

Polacy przegrywali w tym słynnym spotkaniu z Brazylią 0:1, 1:2, 1:3, 2:3, 2:4, 3:4. W samej końcówce zdołali jednak wyrównać. Regulaminowy czas gry skończył się zatem wynikiem 4:4. W dogrywce Leonidas strzelił dwa gole, Wilimowski odpowiedział mu jednym trafieniem. Więcej bramek już nie było, w związku z czym Polacy przegrali 5:6. Indywidualnie zaś Wilimowski pokonał Leonidasa 4:3. Gdy tylko zbliżał się do piłki, brazylijski komentator, jak opętany ze strachu, krzyczał: *Serce wyleci mi z piersi*. A przecież wcześniej w Brazylii mówiono, że Polska to drużyna

outsiderów. Martin, pomocnik Canarinhos, odpowiedział więc po meczu: – *Jak wrócę do Brazylii i ktoś mi powie, że Polska nie umie grać, to mu plunę w twarz. Polacy mają gracza, który wart jest złota, a jest nim Wilimowski*. Pamiętał go też Prezydent FIFA, sir Stanley Rouss. – *Mieliście przed wojną piłkarza wielkiego formatu. Nazywał się Wilimowski* – wspominał rozmowę z nim Kazimierz Górski. „Ezi" trafił zaś po tym występie do „Złotej księgi FIFA".

– *Wilimowski stał się jednym z najpopularniejszych piłkarzy mistrzostw świata. Prasa całego świata poświęca mu dużo miejsca, oceniając jego talent w najwyższych superlatywach, m.in. praski „Star" pisze o Wilimowskim „znakomity lewy łącznik, gracz o wielkiej inteligencji, przypomina trochę Nejedlego z roku 1934 z okresu jego największej formy. Francuscy menadżerowie chodzą za nim jak urzeczeni. Ma znakomity drybling. Potrafi zmylić ciałem rywala niemal w miejscu* – pisał „Przegląd Sportowy".

Największą sławę poza Polską zdobył chyba jednak w Brazylii. – *Wilimowski urósł w oczach tamtejszych sportowców do roli bohatera* – relacjonował „Przegląd Sportowy". Od zamorskiej prasy dostał nawet tytuł „a maravilla poloneza" (polskie cudo). Wszyscy kibice z Kraju Kawy chcieli poznać tego zawodnika. Do tego stopnia, że brazylijska „Gazeta Wanguardo" umieściła zdjęcie reprezentacji bokserów polskich, bo tylko takie miała pod ręka, a podpis „sławny Wilimowski" znalazł się

poniżej zdjęcia… pięściarza Szapsela Rotholca, nieco podobnego z sylwetki do piłkarza!

To był jego największy mecz w karierze. Jednak również w lidze przeżył wiele ważnych momentów. Między innymi w 1939 roku, gdy strzelił aż dziesięć goli Unionowi-Tournig Łódź. Dziesięć goli! To tylko jedna bramka mniej, niż zdobył król strzelców całego sezonu 1952. Do dziś nikomu nie udało się nawet wyrównać tego bezapelacyjnego rekordu. Następni zawodnicy w tej klasyfikacji mają ledwie sześć trafień w jednym spotkaniu. – *Wykorzystywał każdy zły wybieg, każdy zły chwyt*. Zganiono go zaś tradycyjnie za *zbyt dużo cyrkowych sztuczek*. Kilka tygodni wcześniej uzyskał hat-trick w starciu Ekstraklasy przeciwko Cracovii w ciągu trzech minut! – *Wilimowski jest znów fenomenalny. Biega, zwodzi, przebija się, podaje, a przede wszystkim strzela bramki i to jak strzela! Kiedy wszystkim się zdaje, że zamieszanie podbramkowe zostanie wyjaśnione przez broniących się, z tłumu wyrywa się Wilimowski, dotyka jakby niewinnie piłkę i już jest ona w siatce* – pisał „Przegląd Sportowy”. Do dziś nikt nie powtórzył tego wyniku „Eziego”.

To właśnie skuteczność była główną domeną Wilimowskiego. Potrafił wykorzystać każdą nadarzającą się okazję. – *Samym czubkiem buta lokuje piłkę, na wpół przewrócony dosięga piłkę, która ugrzęzła przed bramką* – opisywał raz „Przegląd Sportowy” jego ekwilibrystyczne sztuczki w starciu ligowym. W tym samym meczu strzelił

jednak też gole po przedryblowaniu obrony, a potem po strzale piętką. Może więc rację miał Fritz Walter, wielki fan Wilimowskiego, gdy powiedział o nim: – *Jedyny zawodnik w historii, który strzelał więcej goli, niż miał okazji*. Łącznie w karierze strzelił 1.175 goli w oficjalnych i nieoficjalnych meczach. Na liście RSSSF zajmuje 10. miejsce pod względem skuteczności w całej historii piłki nożnej!

Do atutów tego gracza nie należała zaś karność. Już w 1935 roku został po raz pierwszy dyscyplinarnie usunięty z reprezentacji za nieprzestrzeganie regulaminu obozowego. Największa awantura rozpętała się jednak w kolejnym sezonie. Za alkoholowy wybryk spotkała go dyskwalifikacja, obejmująca IO. – *Ernest był w takiej formie, że sam by nas przeciągnął przez półfinał. Cóż, kiedy zachował się niezbyt fair na zgrupowaniu przedolimpijskim i trener Józef Kałuża słusznie go zdyskwalifikował. Postąpił słusznie, ale nam przeszedł koło nosa medal. Kto wie, czy nie złoty* – opowiadał Kazimierzowi Górskiemu obrońca Henryk Martyna.

W 1939 roku zespół grający w niebieskich barwach przewodził w lidze. Sam Wilimowski wyraźnie nadawał zaś ton klasyfikacji strzelców z dorobkiem dwudziestu sześciu bramek po czternastu meczach i średnią 1,86 bramki na kolejkę! Szykował się nowy, wspaniały rekord ligi pod względem największej liczby goli, ale na przeszkodzie stanęła II wojna światowa. Jeszcze kilka dni przed jej wybuchem strzelił hat-tricka Węgrom.

W czasie gdy Polska stała się obszarem okupowanym przez III Rzeszę i Związek Radziecki, Wilimowski… został reprezentantem Niemiec oraz zawodnikiem niemieckich klubów. Zdobył podczas tego etapu kariery Puchar Związku Rzeszy, Puchar Niemiec, był królem strzelców Pucharu Niemiec, Saksonii, Bawarii. W wieku 39 lat wygrał zaś tę klasyfikację w Oberlidze Sudwest. Sezon wcześniej był podobno mocnym kandydatem do wyjazdu na MŚ, gdzie Niemcy zdobyli złoto. Werner Schilling z „Kickera" podsumował go krótko: *„Pele i Best w jednej osobie"*.

Już wcześniej był bliski gry w niemieckiej lidze. Po jednej z kilku afer alkoholowych ze swoim udziałem, w 1939 roku chciał przenieść się do SV Beuthen 09. Plotki te potwierdzili dziennikarzom piłkarze Ruchu.

Za grę dla okupanta spotkało go jednak wymazanie z kart historii Polski, choć niewątpliwie był jednym z najwybitniejszych graczy z kraju nad Wisłą. Sam próbował odwrócić zły nurt wspomnień, ale dwukrotnie spotkały go ciosy. Raz do reprezentantów Polski nie dopuściła go SB – choć udało mu się porozmawiać z Kazimierzem Górskim, drugim razem kilka dni przed przyjazdem, redaktor Bohdan Tomaszewski stwierdził, że nazywanie go zdrajcą „nie jest bezpodstawne".

Zmarł w 1997 roku.

źródło: NAC

GERARD WODARZ

(pomocnik/napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Ruch Chorzów
Lata gry: 1929-1939
Mecze/gole: 184/51

„W 13. minucie centruje dokładnie Wodarz i główkuje Peterek”. Tak padła jedna z pierwszych w historii bramek po akcji, która stała się znakiem firmowym Ruchu Chorzów na wiele lat. Teodor Peterek oraz Ernest Wilimowski byli królami skuteczności. Wiele z ich goli jednak nie miałoby miejsca, gdyby nie rezolutny lewoskrzydłowy, który obsługiwał ich dokładnymi centrami – Gerard Wodarz. Dlatego ten tercet nazywano „Trzema Królami”.

Aż dziwne, że ta współpraca układała się tak dobrze. Trio tworzyły bowiem kompletnie różne osobowości. Ernest Wilimowski kochał zabawę i brylował w towarzystwie. Ambitny, ale też pesymistyczny do granic możliwości,

zamknięty w sobie Teodor Peterek chodził zawsze własnymi drogami. Mózgiem tej grupy był zaś sympatyczny, skromny inteligent o artystycznych zainteresowaniach – Gerard Wodarz. Na boisku wyglądali jak najlepsi przyjaciele. Poza murawą stronili od wzajemnych kontaktów. „Ezi" nie został nawet zaproszony na ślub Wodarza.

Inną dziwną rzeczą jest fakt, że wśród tych mocnych osobowości, kapitanem mistrzowskiego Ruchu Chorzów z lat 1934–39, w którym dobra zabawa była na porządku dziennym, został właśnie Wodarz. – *Jest piłkarzem spokojnym, wzorowym, stroni od częstych w obozie mistrza hulanek, a przez stworzenie ogniska domowego zjednał sobie całą drużynę* – pisał o nim „Przegląd Sportowy". To on i Edmund Giemsa jako jedyni zakończyli torunee po Niemczech bez skandali. Może z powodu tej cichości i skromności wcześniej ledwo go zauważano. W 1930 roku, mimo że rozegrał wszystkie spotkania w drużynie, jego ocenę „Przegląd Sportowy" skrócił do zdania: *Stoi na średnim poziomie drużyny*. Długo nawet – aż do 1934 roku – nazywano go „Włodarzem", zanim odważył się sprostować nieprawdziwe informacje.

Do tego był znakomitym harmonistą. – *Wodarz gra doskonale!* – opisywał kiedyś jego recital na zgrupowaniu reprezentacji Polski „Przegląd Sportowy". Upodobał sobie zwłaszcza śląski repertuar. W przeciwieństwie do innych zawodników Ruchu – w większości prostych robotników lub bezrobotnych – był umysłowym pracownikiem, urzędnikiem w młynie, a potem w Hucie Batory. Stąd jednak brały się

czasem dodatkowe problemy. Pracodawcy nie chcieli mu bowiem udzielić urlopu na zgrupowanie reprezentacji.

Jego spokojny charakter często rzutował na opinie o grze. Uważano go nawet za nieco zbyt lękliwego. Wielu nie rozumiało, dlaczego selekcjonerzy wciąż stawiają na uznanego ligowca, ale zbyt słabego do rywalizacji międzynarodowej. Po jego debiucie w kadrze prasa pisała: – *Niestety Włodarz jest zbyt słaby psychicznie, aby mógł z powodzeniem dla siebie rozstrzygać walki indywidualne z idącym ostro w gracza pomocnikiem lub obrońcą*. Taką opinię o nim ugruntowało spotkanie z Niemcami, gdy rzeczywiście został stłamszony przez rosłych obrońców przeciwnika. Drugim minusem, który u niego dostrzegano, było zbytnie przywiązanie do schematów klubowych. Uważano, że Wodarz radzi sobie tylko w otoczeniu Peterka i Wilimowskiego. Ba! Długo ze skrzydłowych Ruchu był nawet klasyfikowany za Ewaldem Urbanem. Dopiero ucieczka kolegi do Niemiec i zwyżka formy pozwoliła mu zająć pozycję numer jeden. Przełom w jego postrzeganiu datuje się od starcia z Duńczykami, kiedy zachwycił miejscowych znawców futbolu.

Popisową arią okazały się Igrzyska Olimpijskie w 1936 roku. Wodarz zaprezentował się wówczas jako prawdziwy lider polskiego zespołu. Strzelił gola przeciwko Węgrom w I rundzie oraz hat-tricka w starciu z Wielką Brytanią w ćwierćfinale! Był to pierwszy taki wyczyn Polaków w historii występów na imprezie tej rangi. Zakończył ją zaś bramką przeciwko Norwegii w przegranej rywalizacji

o brąz. Dzięki temu znalazł się na trzecim miejscu w klasyfikacji strzelców zawodów za Włochem Anniballe Frossim oraz Peruwiańczykiem Teodoro Fernandezem, co stanowiło pierwsze podium w klasyfikacji strzeleckiej Polaka na wielkiej imprezie międzynarodowej. – *Wodarz sieje spustoszenie. Jest on w Berlinie już dostatecznie znany, toteż coraz bardziej utrudniano mu zadanie. Każde przejęcie piłki przez lewoskrzydłowego wywoływało niepokój w kolonii norweskiej. Starano się go jak najdokładniej pilnować* – pisał „Przegląd Sportowy".

Szczególnie meczem z Wielką Brytanią zachwycił publikę. Anglicy usiłowali ściągnąć go po tym olśniewającym występie do swojej ligi. Dawali za niego nawet 10 tysięcy funtów, co w tych czasach było olbrzymią sumą. Z drugiej strony „Przegląd Sportowy" wyśmiewał te plotki. Mimo to, tak jak dawniej uważano go za lękliwego, tak po wydarzeniach z Berlina zyskał miano przebojowca. – *Wodarz zdobywał się na takie strzały, które w podziw wprawiały siedzących obok dziennikarzy angielskich. Przy sposobności pozwalamy się zapytać, czy nie będzie wskazane powierzyć Wodarzowi rzutów wolnych w pobliżu pola karnego?* – pytał „Przegląd Sportowy". Po igrzyskach okrył się sławą poza granicami Polski. Potem uczestniczył w mistrzostwach świata w 1938 roku, gdzie znalazł się jednak w cieniu kilku kolegów, choć zaliczył asystę przy trafieniu Wilimowskiego.

Był dobrze wyszkolony technicznie, świetnie grał po ziemi, potrafił podać piłkę do nogi i łatwo wygrywał

pojedynki „jeden na jednego” z obrońcami przeciwników. W zestawieniu z Wilimowskim i Peterkiem strzelał jednak najmniej goli. Ale zdarzyło mu się błyszczeć i w tym elemencie gry. Piękną bramkę zdobył na przykład w starciu Ruchu z Warszawianką, posyłając bombę aż z czterdziestu metrów!

Jeszcze jedną cechą charakterystyczną dla Wodarza, poza umiejętnościami piłkarskimi, była sympatia, jaką budził, dzięki spokojnemu, niekonfliktowemu charakterowi. – *Reprezentacyjny i najelegantszy piłkarz nie tylko Śląska, ale bodaj i całej Polski. Wodarz jest jedynym graczem bez złośliwego przydomka.*

W ciągu dziesięciu lat gry w lidze zdobył pięć mistrzostw Polski. Na początku II wojny światowej walczył w kampanii wrześniowej. Potem pod przymusem wcielony do Wehrmachtu. Cudem uratował się od śmierci z rąk francuskich partyzantów. Przeżycie dała mu nominacja olimpijska, trzymana w kieszeni. Jako trener prowadził między innymi Górnik Zabrze oraz Ruch Chorzów.

Zmarł w 1982 roku.

źródło: NAC

ARTUR WOŹNIAK

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Wisła Kraków
Lata gry: 1931-1939
Mecze/gole: 140/102

Zdawać by się mogło, że wraz z obniżką formy Henryka Reymana, a później kresem jego kariery, długo przyjdzie po wiślackiej stronie Błoni czekać na kolejnego tak bramkostrzelnego snajpera. Okazało się jednak, że pod okiem dawnego bombardiera wyrósł znakomity napastnik, który wkrótce zaczął zaliczać się do najgroźniejszych strzelców w lidze – Artur Woźniak.

Minęło trochę czasu nim Polska mogła poznać jego nazwisko. Długo – nawet w sezonie, gdy zdobył pierwszą koronę króla strzelców – grać bowiem musiał pod pseudonimem. Regulamin rozgrywek zabraniał wszak wówczas uczniom gimnazjum występów w lidze. Dla

kamuflażu posługiwał się więc zmienionymi danymi. Nieznacznie zresztą, bo w protokołach figurował jako „Artur”.

Jego talent zdążył już dojrzeć przez krótkie chwile gry przy rutynowanym Reymanie. Występował obok niego na pozycji prawego napastnika. – *Wstawienie Artura na łącznika przy Reymanie przyniosło pożądane owoce. Dobry zmysł kombinacyjny, umiejętne ustawianie się i całkowite opanowanie piłki uczyniło go najlepszym napastnikiem czerwonych* – pisał „Ilustrowany Kuryer Codzienny”. To właśnie z weteranem grał na początku najczęściej. Z jego podania strzelił nawet gola… w ostatnim meczu Reymana w Ekstraklasie. Było to jedyne trafienie Białej Gwiazdy w tym spotkaniu.

– *Będę grał, dopóki nie znajdę odpowiedniego zastępcy. Mogę jednak pana zapewnić, że już go sobie wychowuję. Uważam, że zastąpi mnie godnie i będzie potrafił poprowadzić naszą drużynę* – powiedział kiedyś Reyman. Może dlatego też nie walczył zaciekle o powrót do futbolu. Artur już w tydzień później popisał się z kolei hat-trickiem. Publiczność szybko go pokochała i zniosła na ramionach do szatni. – *Co się wtedy działo na trybunach, tego bez aparatu dźwiękowego opisać nie można* – odnotowywali dziennikarze.

Od swego poprzednika różnił się zdecydowanie większą szybkością i ruchliwością. Był jednym z najszybszych napastników przedwojennych. Wykorzystując tę umiejętność, popisowego gola strzelił Pogoni Lwów. – *Rzut*

wolny z 35 m, piłka ląduje daleko poza obrońcami i tutaj biegnie do niej Albański. Biegnie jednak i Artur. Był szybszy. Wygrał wyścig o ułamek sekundy i przeniósł piłkę nad Albańskim, zdobywając za jednym zamachem jedną bramkę – dziesięć uścisków – tysiące oklasków.

Częściej też wikłał się w akcje kombinacyjne, rezygnując ze statusu lisa pola karnego. Dlatego współczesnym bardziej przypominał Stanisława Czulaka, ale z Reymanową skutecznością.Po abdykacji poprzednika to on objął stanowisko środkowego napastnika i wraz z braćmi Kotlarczykami pozwolił szybko otrzeć łzy kibicom rozpaczającym po dawnym idolu. W 1933 roku tylko w trzech meczach, w których Biała Gwiazda zdobywała bramki, Woźniak ani razu nie wpisał się na listę strzelców.

– *Piłkarz o możliwościach bardzo jeszcze niewykorzystanych. W każdym razie będzie to najprawdopodobniej nasz reprezentacyjny środek ataku* – donosił „Kuryer sportowy”. Lubił urywać się obronie, korzystać z prostopadłych podań. Sam wiele też dryblował. Szczególnie zaś wyróżniał się strzałami półgórnymi. Miał również szczęście do pięknych bramek, szczególnie zdobywanych wolejem. – *Najlepszy specjalista od wolejów* – dowodził „Przegląd Sportowy”. Potrafił tak uzyskać bramkę nawet w dwóch meczach z rzędu. – *Zawodnik o pięknej przyszłości piłkarskiej. Jego główne zalety to zwrotność, rozumne podanie i dobry strzał. Dzięki tym atutom będzie to zapewne przyszły kierownik napadu reprezentacji polskiej*. Jednego z najsłynniejszych swych goli strzelił

w słynnych derbach z Cracovią, gdy Wisła wygrała aż 5:0, choć przez 75 minut grała w „10”. Sam Woźniak wrócił zaś wtedy po kontuzji.

Skuteczność łączył z olbrzymią ruchliwością. Wiele biegał i pokazywał się kolegom. Miał zmysł do gry kombinacyjnej. Jego pomysły jednak często nie znajdowały zrozumienia u kolegów z ataku, którzy nie nadążali za jego ideami. – *Gdyby Wisła miała pięciu Kotlarczyków w linii obrony i pomocy i tylu samych Arturów w ataku, mielibyśmy zespół o klasie europejskiej*. Kiedyś sędzia odgwizdał mu bramkę ze spalonego. Niezdeprymowany Woźniak strzelił jednak gola kilkanaście sekund później. Czasami tylko przesadzał z kiwaniem. – *Artur znów popadał w nałóg driblingowy* – oceniał go „Przegląd Sportowy”.

Łącznie dwa razy zdobył tytuł króla strzelców, trzy razy był wicemistrzem Polski. W 140 spotkaniach strzelił 102 bramki. Jego średnia goli wyniosła 0,71. Jest jednym z pięciu członków Klubu 100 ze średnią powyżej 0,7 bramki na spotkanie.

Mniej radości przyniosła mu gra w reprezentacji. Został w niej sprawdzony tylko pięć razy i ani razu nie zdobył bramki. Prawie do końca swej kariery został „Arturem”. Choć już nie było przeszkód formalnych w używaniu jego nazwiska, prasa przyzwyczaiła się do nazywania go tylko po imieniu.

W czasie II wojny światowej był więziony w obozie koncentracyjnym. Po wznowieniu rozgrywek w 1947 roku zapisał na swoim koncie trzecie z wicemistrzostw kraju

w swojej karierze. Dzięki temu stał się jednym z nielicznych graczy z medalem zdobytym zarówno przed wojną, jak i po jej zakończeniu. Grał jeszcze potem krótko w Orle Ząbkowice Śląskie. Był pierwszym z królów strzelców, który poprowadził zespół w Ekstraklasie. Był też jednym z trenerów reprezentacji Polski w czasach komisji selekcyjnej.

Zmarł w 1991 roku.

TEODOR ANIOŁA

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Lech Poznań
Lata gry: 1948-1961
Mecze/gole: 196/138

Tylko trzem zawodnikom rozpoczynającym swą karierę w Ekstraklasie po II wojnie światowej udało się strzelić ponad sto goli na tym poziomie i zanotować średnią co najmniej 0,7 bramki na spotkanie. Tercet ten tworzą: Ernest Pohl, Gerard Cieślik oraz największa legenda Lecha Poznań w historii – Teodor Anioła.

Choć przed wojną na boiskach było rojno od znakomitych napastników w rodzaju Wacława Kuchara, Henryka Reymana, Fryderyka Scherfke, Wawrzyńca Stalińskiego, Artura Woźniaka, Michała Matyasa, Teodora Peterka czy Ernesta Wilimowskiego, to żadnemu nie udało się sięgnąć po koronę króla strzelców w dwóch edycjach rozgrywek z rzędu. Pierwszym zawodnikiem z takim

osiągnięciem na koncie został dopiero Teodor Anioła. W kolejnym sezonie, po tym wyczynie także on okazał się najlepszy w klasyfikacji bramkowej. Do dziś tę serię udało się przebić jedynie Włodzimierzowi Lubańskiemu. Równy Aniole pod tym względem jest zaś wyłącznie Kazimierz Kmiecik.

Szczególnie emocjonujący przebieg miała pierwsza kampania – w 1949 roku – zakończona sukcesem zawodnika Lecha. – *W tabeli najlepszych strzelców pod nieobecność kontuzjowanego na finiszu rozgrywek Anioły, największe szanse na zajęcie pierwszego miejsca ma Łącz, który w tej chwili zrównał się z napastnikiem drużyny poznańskiej pod względem ilości zdobytych bramek. Poprawili swój dorobek bramkowy Cieślik i Kohut, toteż walka o ostateczny prymat w tej klasyfikacji rozegra się pomiędzy wyżej wymienionymi zawodnikami* – pisał magazyn „Piłkarz”. Przerwa Anioły potrwała trzy spotkania. W przedostatniej kolejce sezonu zawodnik ten wrócił do składu i od razu popisał się hat-trickiem w starciu z Szombierkami Bytom, co zapewniło mu wygraną w wyścigu po koronę przed znanym później aktorem – Marianem Łączem.

Za każdym razem zawodnik Lecha triumfował w klasyfikacji z dorobkiem co najmniej dwudziestu goli. W trzech edycjach z rzędu nie udało się w takim stylu zdobyć korony nikomu – ani przed nim, ani po nim. Był też drugim po Gerardzie Cieśliku zawodnikiem, który po II wojnie światowej strzelił minimum sto goli.

Życiorys bogaty w osiągnięcia indywidualne jest mniej zasobny w sukcesy zespołowe. Z Lechem Poznań udało mu się dwukrotnie zdobyć brązowy medal mistrzostw Polski. Mimo to – oprócz krótkiego epizodu w Warcie – Anioła pozostał wierny barwom klubu z Dębca. To on strzelił pierwszego gola w historii występów Kolejorza w Ekstraklasie, a także brał udział w największym zwycięstwie w dziejach gry tego klubu w najwyższej klasie rozgrywkowej – 11:1 z Szombierkami Bytom. Trafił w tym starciu sześć razy, co jest rekordem ligi po wojnie.

Ostatecznie w 196 meczach zdobył 138 bramek. Jego dorobek mógł być wyższy, ale w 1957 roku Kolejorz spadł na trzy sezony z ligi. Relegacja była związana zresztą z absencją Anioły. Wybitny napastnik w wypadku samochodowym doznał poważnej kontuzji obojczyka i nie mógł wspomóc kolegów w walce o utrzymanie. Do najwyższej klasy rozgrywkowej udało mu się powrócić na zakończenie kariery.

Wraz z Edmundem Białasem i Henrykiem Czapczykiem stworzył najskuteczniejszą ofensywę w lidze w latach 1949–50. Tercet ten od pierwszych liter nazwisk nazywano „ABC”. Każdy z nich został potem patronem jednej z trybun na nowym stadionie Lecha. Ich imieniem nazwano także skwer przed tym obiektem.

Sam Anioła został wybrany sportowcem 40–lecia Wielkopolski oraz 75–lecia Lecha Poznań. Jest też rekordzistą Kolejorza w liczbie strzelonych goli w Ekstraklasie.

W reprezentacji zagrał w siedmiu meczach i strzelił dwa gole (oba przeciwko NRD). Najlepsze spotkanie rozegrał jednak w nieoficjalnym spotkaniu na turnieju w Pradze. Kadra starła się wtedy z Honvedem Budapeszt, w którym grał Ferenc Puskas. Anioła udowodnił, że wcale nie ustępuje renomowanemu Madziarowi. Wprawdzie Polacy przegrali 2:4, ale to właśnie on zdobył dwie bramki, w tym jedną po przepięknym strzale z dystansu.

Karierę zakończył w 1961 roku. Zmarł w 1993 roku.

źródło: 400mm.pl

LUCJAN BRYCHCZY

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Legia Warszawa
Lata gry: 1954-1972
Mecze/gole: 368/182

„Veni, vidi, Kici” – głosił napis na współczesnej oprawie Legii Warszawa. To był hołd dla piłkarza nazywanego po węgiersku „Kicim”, czyli „małym”, uznanego za jedną z największych legend tego klubu – Lucjana Brychczego. Zawodnika, którego w latach, gdy Polska była zamkniętym krajem na transfery zewnętrzne, chciały największe kluby Europy.

Symbolem stołecznego zespołu został więc rodowity Ślązak. Legia wyciągnęła go z rodzinnych stron dzięki powołaniu do wojska. Nie naruszyła tym jednak miru największych drużyn z regionu słynnego z węgla. Wcześniej Brychczy tylko krótko trenował z Ruchem Chorzów, ale

szkoleniowiec Niebieskich, słynny Teodor Peterek, sam mierzący ponad 180 centymetrów, nie poznał się na ofensywnych umiejętnościach niższego o głowę Brychczego. A były one nie byle jakie.

Świetnie panował nad piłką, od przyjęcia, aż do oddania jej koledze. Prawie nie notował strat, co przy jego stylu gry było prawdziwym wyczynem. Bardzo dobrze wykonywał też rzuty wolne. W ten sposób powstał pokaźny wykaz goli, o których dziennikarze mogli napisać: „stadiony świata". Nic dziwnego zatem, że podbijał piłkarską Europę i gdzie tylko się zjawiał, tam jego kunszt zachwycał miejscowych kibiców. Mnożyły się oferty transferowe, w tym z Realu Madryt i FC Barcelony. Jego pechem były jednak lata, na które przypadał szczyt kariery. Z Polski wówczas w świat nie wyjeżdżał nikt… Jemu zaś taki krok dodatkowo utrudniał etat oficerski. Jako zawodnik Legii Warszawa był bowiem żołnierzem Wojska Polskiego. Dziś posługuje się stopniem pułkownika.

W Legii spinał klamrą dwie epoki piłkarskie. Mistrzostwo Polski zdobył z tym klubem czterokrotnie – w 1955 i 1956 roku, a potem, po trwającej niemal półtorej dekady przerwie, w 1969 i 1970 roku. W obu rozdaniach należał do najważniejszych postaci drużyny. Najpierw stworzył legendarny skład z Ernestem Pohlem i Edmundem Kowalem, a potem z Januszem Żmijewskim i Kazimierzem Deyną. Pośrodku tych dwóch okresów – w 1957, 1964 i 1965 roku – został też trzykrotnie królem strzelców.

Cztery bramki. Tylko tyle zabrakło mu do pierwszej pozycji w klasyfikacji strzelców wszech czasów Ekstraklasy. Ostatecznie jego dorobek zamknął się na 182 bramkach dla Legii. Do dziś jednak nikomu nie udało się zepchnąć go z fotela wicelidera. Nie ma również zawodnika w całej historii Ekstraklasy, który strzeliłby więcej goli dla jednego klubu niż właśnie Lucjan Brychczy. Tylko on ze wszystkich piłkarzy Legii zdołał dla tego klubu zdobyć hat-tricki w dwóch kolejkach Ekstraklasy z rzędu.

Doczekał się ponadto wielkiego sukcesu w europejskich pucharach. Razem z Legią dotarł do półfinału Pucharu Europejskiego Mistrzów Klubowych, czyli poprzednika dzisiejszej Ligi Mistrzów w 1970 roku. W tamtej edycji strzelił w sumie cztery gole, co było najlepszym wynikiem w zespole Wojskowych. Praktycznie w pojedynkę przeprowadził ich przez ćwierćfinał z Galatasaray Stambuł, przeciwko któremu zdobył trzy bramki, czyli wszystkie uzyskane przez Legię w tej fazie rozgrywek. W kolejnej edycji świętował ćwierćfinał tych rozgrywek (ale tylko w roli rezerwowego), zaś w edycji 1964/65 udało mu się dotrzeć do ćwierćfinału Pucharu Zdobywców Pucharów.

Jedyną wielką imprezą w jego dorobku reprezentacyjnym były Igrzyska Olimpijskie w 1960 roku, na których jednak Polska zakończyła zmagania już w grupie. – *Rzymska drużyna, w której występowałem, była moim zdaniem tak samo silna, jak słynna złota jedenastka w Monachium. Tworzono ją długo i mozolnie, graliśmy od wielu lat praktycznie w tym samym składzie. Doskonale się*

rozumieliśmy, a zdecydowana większość zawodników właśnie w okresie igrzysk uzyskała życiową formę. Ja w każdym razie na pewno. Dziś, oceniając tamte wydarzenia, wydaje się, że tylko złośliwe fatum pozbawiło nas medalu – wspominał po latach.

Ponadto wystąpił w słynnym starciu ze Związkiem Radzieckim w 1957 roku w eliminacjach mistrzostw świata. Biało-czerwoni wygrali 2:1, a jednym z bohaterów potyczki okazał się właśnie Brychczy – asystent przy drugim golu Gerarda Cieślika. Cała akcja była zresztą popisem kunsztu „Kiciego". Oszukał przeciwników zupełnie niespodziewanym pomysłem. Uciekł skrzydłem, choć jedynym logicznym sposobem na wykończenie ataku było złamanie akcji do środka. Kiedy wydawało się, że zagrożenie zostało zażegnane, znakomicie dośrodkował spod samej linii końcowej. – *„Kici" poszedł jak lawina przedarł się na pole karne i już miał doskonałą pozycję strzałową. Nie patrzyłem na niego, tylko na Jaszyna, ciekaw, jak sobie da radę przy obronie strzału Brychczego. Gdy jednak on nie następował, skierowałem wzrok na naszego łącznika. I cóż się okazało:* Brychczy *w ostatniej chwili został przez stopera zepchnięty w prawo, zmniejszył kąt i z nowej pozycji nie mógł strzelać. Wówczas pomyślałem sobie: trzeba wyjść na pozycję. Tuż obok stał Neto i zamiast odejść od niego, zbliżyłem się do tego pomocnika na tyle, by wiedział o tym, że jestem tuż, tuż. W ten sposób uśpiłem jego czujność i dopiero wtedy wyskoczyłem jak z procy, by pokazać się Brychczemu.*

„Kici” to widział i posłał piękną centrę, która przeleciała tuż nad głową Neto, wprost na mój „globus”. Gdym obserwował piłkę w locie, wiedziałem dokładnie, że trafi do mnie – opisywał Gerard Cieślik. – *Brychczy był doskonały! Współdziałał on jak najbardziej czynnie przy obydwu bramkach, obie padły po jego przebojach. Niezwykle pracowity, często wspomagał kolegów z defensywy* – dodawała „Trybuna Robotnicza”. On sam jednak miał do siebie pretensje. W ostatniej minucie zmarnował bowiem sytuację „sam na sam”. – *Trochę więcej szczęścia, a wpisałbym się na listę strzelców. Nie wytrzymałem jednak nerwowo, podobnie jak nasza publiczność, która przy stanie 2:1 zapomniała o dopingu* – opowiadał o tej sytuacji.

Od 1963 do 1973 roku był liderem pod względem liczby spotkań rozegranych w reprezentacji Polski. Jako pierwszy przekroczył liczbę pięćdziesięciu spotkań w kadrze. Swój dorobek zamknął na 58 spotkaniach. Premierowy i ostatni występ dzieliło aż piętnaście lat.

W koszulce Legii spędził dziewiętnaście sezonów. W tym czasie rozegrał 368 meczów w najwyższej lidze. Nadal jest zawodnikiem z największą liczbą spotkań w tym klubie w Ekstraklasie.

Gdy kończył karierę w 1972 roku, piastował pozycję lidera pod względem liczby występów, także na całym najwyższym poziomie rozgrywkowym. Był też trzecim w historii zawodnikiem, po Edwardzie Szymkowiaku i Horście Mahselim, który awansował do Klubu 300. Jako pierwszy znalazł się zarówno w tym zestawieniu, jak

i w Klubie 100, zrzeszającym strzelców trzycyfrowej liczby goli.

Kres kariery nie oznaczał jednak pożegnania ze swoim klubem. Do dziś – w różnych rolach pełnionych w sztabie szkoleniowym – Lucjan Brychczy obecny jest w szeregach Wojskowych. Uważany jest za jedną z największych legend Legii Warszawa. Uhonorowano go między innymi miejscem w Galerii Sław klubu, członkostwem honorowym PZPN czy miejscem w Klubie Wybitnego Reprezentanta.

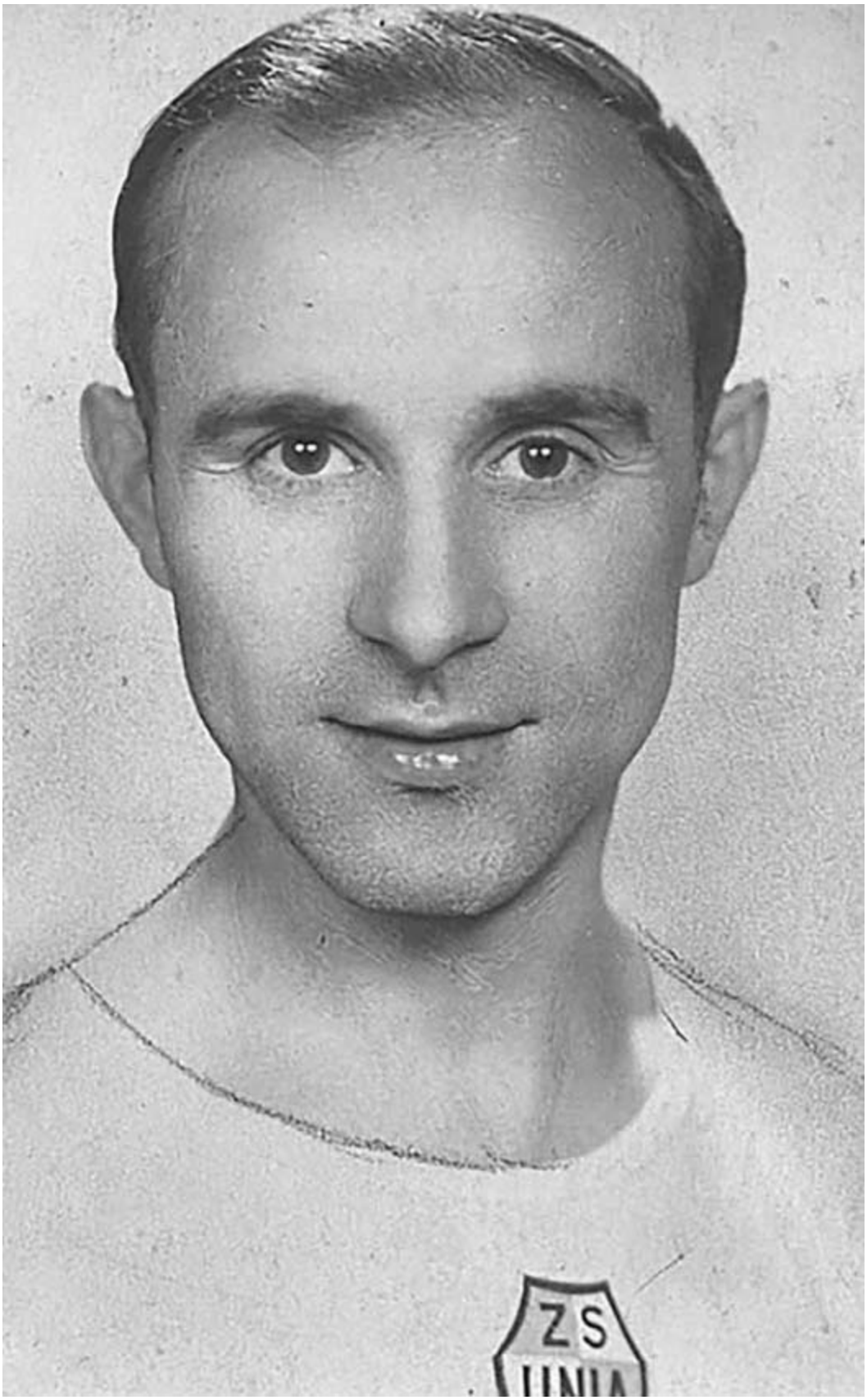
ZS
UNIA

źródło: archiwum Ruchu Chorzów

EWALD CEBULA

(napastnik/pomocnik/obrońca)

Kluby w Ekstraklasie: Śląsk Świętochłowice, Ruch Chorzów
Lata gry: 1935-1936 i 1948-1952
Mecze/gole: 110/17

Spora była grupa piłkarzy, którym II wojna światowa zabrała najlepsze lata kariery. Trwała w końcu blisko siedemdziesiąt miesięcy. Jeśli ktoś miał na jej początku 22 lata, to wyzwolenia doczekał tuż przed trzydziestką, czyli w wieku bliskim kresu kariery, zwłaszcza w tamtych czasach. Taki los był udziałem także Ewalda Cebuli. Mimo to zdołał zapisać swą niepowtarzalną kartę w dziejach ligi.

Zdarzyło się kilku zawodników Ekstraklasy, którzy zagrali w reprezentacji Polski zarówno przed wojną, jak i po zakończeniu okupacji. Tylko jeden z nich powołany został natomiast na dwa wielkie turnieje międzynarodowe w obu okresach. Był nim właśnie Ewald Cebula. W 1938 roku

znalazł się w składzie zgłoszonym na mistrzostwa świata. Ostatecznie jednak został w domu, ponieważ Polska nie miała wystarczających środków finansowych, aby zabrać wszystkich zgłoszonych zawodników. Czternaście lat później pojechał już na Igrzyska Olimpijskie do Helsinek. Tam wystąpił tylko w spotkaniu rundy wstępnej z Francją i doznał wtedy poważnej kontuzji kolana.

Te wydarzenia przedzieliła cezura wprowadzona do światowej historii przez Adolfa Hitlera 1 września 1939 roku. Jeszcze cztery dni wcześniej Cebula był jednym ze współautorów znakomitego zwycięstwa 4:2 nad Węgrami, uznawanego za znakomity polski triumf reprezentacyjny przed II wojną światową. – *Cebula początkowo sztywny, nagle się rozruszał. Nie był może ideałem kierownika ataku, ale zawziętością swą i nieustępliwością w walce stwarzał defensywie węgierskiej sporo kłopotów* – pisano o nim w „Przeglądzie Sportowym”. Selekcjoner kadry, Józef Kałuża, powołał go też na kolejne spotkanie, które miało się odbyć tydzień później – przeciwko Bułgarii.

Ostatecznie jednak Cebula zamiast na murawie, znalazł się na froncie. Grał w czasie wojny dla TuS Schwientochlowitz i był kandydatem do gry w kadrze III Rzeszy. Kiedy jednak otrzymał powołanie do Wehrmachtu, udało mu się zbiec do Armii Andersa. We Włoszech, przez które wiódł jego szlak bojowy, grywał w drużynie wojskowej, był zawodnikiem klubu Ancona Calcio i podobno zachwyciło się nim nawet Lazio Rzym. On zdecydował się na powrót do Polski.

W Ekstraklasie ponownie pojawił się w 1948 roku w barwach Ruchu Chorzów. Działo się to już trzynaście lat po jego debiucie w najwyższej klasie rozgrywkowej, a zarazem… dwanaście po rozegraniu ostatniego spotkania w elicie. Jego pierwsze zetknięcie z tym szczeblem było bowiem krótkotrwałe. Zaliczył je w Śląsku Świętochłowice, który w kolejnej edycji, po premierowym występie Cebuli, spadł z ligi i już do wybuchu II wojny światowej nie zdołał powrócić do elity. Sam zawodnik pozostał zaś wierny temu klubowi. Do mundialowej kadry został więc powołany jako przedstawiciel A klasy, czyli ówczesnego drugiego poziomu rozgrywkowego.

Do Ekstraklasy powrócił nie tylko w barwach innego klubu, ale też… z nowym imieniem. Komunistyczne władze wymogły na nim zmianę niemiecko brzmiącego „Ewalda” na „Edwarda”. Zresztą Cebula, z racji Andersowskiej przeszłości, był szczególnie narażony na szykany ze strony notabli. Uratował go od większych prześladowań Wiktor Markiefka, były napastnik Śląska Świętochłowice, a po wojnie poseł.

„Edward” odwdzięczył się znakomitą grą. Z początku wspomagał Gerarda Cieślika, Henryka Alszera i Czesława Suszczyka w ataku. Z czasem jednak trenerzy zaczęli go cofać. Skończył ostatecznie jako środkowy obrońca. Nie była to dla niego nowość. Jeszcze w 1939 roku selekcjoner reprezentacji Polski, Józef Kałuża, przesunął go w trakcie gry na tę pozycję w starciu kadry ze Szwajcarią.

Wszechstronny zawodnik wszędzie odnajdował się z równym powodzeniem.

Z Ruchem Chorzów wywalczył dwa mistrzostwa Polski (w tym jedno przyznane za zdobycie Pucharu Polski). Do historii przeszedł szczególnie drugi z tych tytułów. Przed sezonem 1952 świeżo upieczonemu Olimpijczykowi powierzono funkcję pierwszego szkoleniowca. Z zadania wywiązał się bez zarzutu. Doprowadził klub do wygranej w Ekstraklasie. Co więcej, dowodził nim nie z ławki rezerwowych, ale z boiska. Rozegrał osiem z dwunastu spotkań tamtej edycji. Dzięki temu stał się jedynym w dziejach grającym trenerem z mistrzowskim tytułem w Ekstraklasie. Nie ograniczył się tylko do statystowania w tym triumfalnym pochodzie. „Przegląd Sportowy” uznał go boiskowym bohaterem pierwszego z dwóch spotkań finałowego dwumeczu – wtedy dwie najlepsze drużyny w tabeli spotykały się w bezpośrednim starciu decydującym o tytule – który Ruch wygrał aż 7:0 z Polonią Bytom.

Był wówczas jedynym zawodnikiem, który w Ekstraklasie grał jeszcze w sezonie 1935. Od 1949 roku wraz ze Stanisławem Baranem z ŁKS Łódź tworzyli duet jedynych formalnych uczestników mundialu występujących na polskich boiskach najwyższej klasy rozgrywkowej.

Mistrzostwo zdobyte w roli grającego trenera jednocześnie zakończyło jego wyczynową karierę. Pozostał jednak szkoleniowcem klubu. Udało mu się obronić mistrzostwo w kolejnym sezonie, a przy kolejnym powrocie do klubu, brał udział w triumfie w 1960 roku. Mistrzostwo

zdobył też z Górnikiem Zabrze w 1963. Czyni to z niego jednego z najbardziej utytułowanych trenerów w historii ligi. To on dał ponadto zadebiutować szesnastoletniemu Włodzimierzowi Lubańskiemu w lidze. Wielokrotnie pełnił rolę asystenta selekcjonerów. Przed słynnym spotkaniem ze Związkiem Radzieckim w 1957 roku osobiście długo namawiał Henryka Reymana, by dał szansę późniejszemu bohaterowi potyczki – Gerardowi Cieślikowi. Podczas zgrupowania przed tym starciem musiał się też opędzać od natrętnego wynalazcy, który próbował mu wcisnąć maszynę… do przepowiadania składu. Po zakończeniu kariery nadano mu członkostwo honorowe PZPN.

Zmarł w 2004 roku.

źródło: 400mm.pl

GERARD CIEŚLIK

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Ruch Chorzów
Lata gry: 1948-1959
Mecze/gole: 237/168

Wiele Gerard Cieślik zrobił dla polskiego futbolu. Największą sławę dało mu jednak starcie reprezentacyjne ze Związkiem Radzieckim w 1957 roku, które zakończyło się zwycięstwem Polski 2:1. Oba gole biało-czerwonych – strzelone słynnemu Lwu Jaszynowi – były autorstwa właśnie wieloletniego, znakomitego napastnika Ruchu Chorzów.

Cała Polska świętowała tę wygraną nad drużyną narodową znienawidzonego tu kraju. Relatywnie dała ona niewielkie zyski. Pozwoliła tylko przedłużyć nadzieje na awans do mistrzostw świata o dodatkowe starcie na neutralnym boisku. Symbolika tego wydarzenia była jednak

olbrzymia. Sport pozwolił się odgryźć za dekadę stalinizmu w Polsce ojczyźnie tego systemu.

Pierwsze trafienie zaliczył po szybkiej kontrze w wykonaniu Edwarda Jankowskiego i Lucjana Brychczego. – *„Muszę strzelić płasko i w sam róg”– przeleciało mi przez głowę. Nie zdążyłem się jednak zastanowić, w który róg mam strzelać. Jaszyn chciał mnie wziąć na wyczucie i szykował się do obrony swego prawego rogu, wobec czego skierowałem piłkę w przeciwną stronę. Strzeliłem jednak trochę za słabo i bramkarz radziecki miał czas, aby zrobić zwrot o 90 stopni i rzucić się na mojego szczura. Gdy to zrobił, nie wierzyłem, że piłka znajdzie się w siatce, gdyż widziałem wyraźnie, jak dotknął ją koniuszkami palców. Piłce nadałem jednak odpowiedni fałsz i po palcach spłynęła mu do siatki* – wspominał tamtą chwilę „na gorąco” po zakończeniu spotkania. Drugiego gola strzelił dzięki świetnemu strzałowi z główki. Niektórzy, nieprzychylni mu kibice, odczytywali te bramki jako wynik farta. Reszta uznawała je za rezultat niebywałego instynktu strzeleckiego tego snajpera. W obu przypadkach radziecki, słynny golkiper miał przecież futbolówkę na palcach, a tymczasem wtaczała się ona do siatki pomimo rozpaczliwych robinsonad. Sam snajper skromnie uważał, że wszystko było efektem błędu… sprzętowego Jaszyna, a ściślej – zbyt krótkich rękawic.

A przecież według niektórych, znajdował się już w schyłkowym etapie kariery. Tak twierdził choćby selekcjoner kadry, słynny Henryk Reyman. Dopiero jego

asystent, Ewald Cebula, nakłonił go do powołania Cieślika. Podczas zgrupowania zawodnik odpłacił się za to zaufanie. Na treningach odznaczał się największą pracowitością i pilnie wykonywał wszystkie zadania szkoleniowców, niczym chcący się pokazać debiutant. – *Rewelacją dla wszystkich jest zwyżkująca forma Cieślika. Czym sobie wytłumaczyć fakt, iż pod koniec sezonu piłkarz ten zaczyna się tak dobrze spisywać? Cieślik ostatnio musiał pilnie trenować, nadrabiając zaległości całoroczne wynikłe z tego, że w jego klubie treningi postawione były na słabszym poziomie niż w innych latach. Trenerzy kadry spodziewają się, że w dniu meczu osiągnie swą szczytową formę* – opisywał dziennikarz „Trybuny Robotniczej" obóz poprzedzający spotkanie. Dla niego szczególne. Wedle ówczesnych wyliczeń, był to bowiem jego 40. mecz w kadrze. – *Przez 10 lat rozbijam się po różnych obozach. Trenowaliśmy przed różnymi spotkaniami, nieraz o wielkiej wadze, ale żaden z nich nie dorównuje obecnemu zgrupowaniu. Tu jest atmosfera pracy, każdy z piłkarzy robi wszystko, by w niedzielę przeciw drużynie radzieckiej stanąć w jak najlepszej kondycji, zdobyć się na szczyt swych umiejętności, bo mecz ten chcemy wygrać* – mówił sam bohater. O kondycję fizyczną dbał na treningach. Psychicznie odpoczywał zaś, słuchając muzyki ze swojego radioodbiornika. Efekt tej ambitnej pracy oraz relaksu okazał się piorunujący. Jako kapitan poprowadził zespół do jednego z najsłynniejszych triumfów polskiej reprezentacji w historii.

Zadziwiające, że takie targi odbywały się akurat o tego piłkarza. W dniu rywalizacji ze Związkiem Radzieckim od dwóch lat był bowiem już rekordzistą w liczbie strzelonych goli dla reprezentacji Polski (wyprzedził Ernesta Wilimowskiego) oraz w liczbie meczów rozegranych w biało-czerwonych barwach (wyprzedził Władysława Szczepaniaka). Od 1953 roku należał też do grona liczącego wówczas ledwie dziesięciu piłkarzy, którzy w mistrzowskich rozgrywkach w Polsce strzelili co najmniej sto goli. Jako pierwszy zdobył taką liczbę bramek w lidze po II wojnie światowej. Na nieco ponad miesiąc przed występem z ZSRR stał się nawet drugim w historii po Teodorze Peterku zawodnikiem ze stu pięćdziesięcioma trafieniami w Ekstraklasie. Ostatecznie swojego wielkiego poprzednika i krótkotrwałego partnera w ataku Ruchu wyprzedził w klasyfikacji strzelców wszech czasów w 1958 roku. Na pierwszym miejscu pozostał przez siedem lat. Jego dorobek zamknął się na 168 golach, co do dziś daje mu trzecią lokatę w Klubie 100 za Ernestem Pohlem oraz Lucjanem Brychczym. Na drugim miejscu – za „Kicim” – znajduje się zaś w liczbie bramek zdobytych dla jednego klubu w Ekstraklasie.

Przez dwanaście sezonów gry w Ekstraklasie tylko dwukrotnie zdarzyło mu się, że zszedł poniżej „dwucyfrówki” w swym bilansie strzeleckim. Tyle samo razy – w 1952 i 1953 roku – zdobył koronę króla strzelców. W drugim z tych sezonów strzelił aż 24 gole w 22 kolejkach. Z Ruchem Chorzów świętował trzy razy

mistrzostwo Polski (w 1951, 1952 i 1953 roku), zawsze będąc najlepszym strzelcem w szeregach swego zespołu. Jako drugi – i ostatni zarazem – zawodnik w historii tego klubu, uzyskał hat-tricki w dwóch kolejkach Ekstraklasy z rzędu.

– *To wkrótce będzie napastnik numer jeden w kraju* – przewidywał mu na starcie kariery znakomity przedwojenny zawodnik Pogoni Lwów, Józef Słonecki – *Szkoda tylko, że jest nie do wyciągnięcia, bo bez reszty oddany Ruchowi*. Uparł się na niego jednak Janos Steiner z Legii Warszawa. Sam pojechał do Budapesztu, a polecenie skaperowania gracza ze Śląska wydał kierownikowi drużyny – Franciszkowi Głowackiemu. Plany zablokował jednak Wiktor Markiefka, słynny przodownik pracy, interweniując u samego Bolesława Bieruta. Nieszczęsny wysłannik próbował wytłumaczyć Steinerowi, kim jest Markiefka i dlaczego sprzeciwił się jego planom. – *Markiefka nie Cieślik ja und sofort nach Zakopane, donnerwetter* – przeklinał Steiner. Jednak nie udało mu ściągnąć napastnika.

Niebieskim, jak przewidział Słonecki, wierny był przez całą karierę, choć… zdarzyło mu się okazjonalnie zagrać dla Górnika Zabrze. Drużyna zza miedzy jechała bowiem na tournée do Związku Radzieckiego i specjalnie na ten wyjazd Cieślik został dokooptowany do składu. Po raz kolejny udowodnił swój patent na sowieckie zespoły, strzelając gola Zenitowi Sankt Petersburg. Rolę jaką odgrywał na Śląsku, podkreśla dodatkowo fakt, że był jednym z nielicznych

piłkarzy w tym regionie, któremu po II wojnie światowej władza nie zmieniła niemiecko brzmiącego imienia. Innym razem, gdy do wojska chciała go powołać Legia, strajkiem zagrozili górnicy.

W reprezentacji w 45 meczach strzelił 27 goli, co do lat sześćdziesiątych dawało mu pozycję numer jeden w obu tych klasyfikacjach. Z kadrą wystąpił też na Igrzyskach Olimpijskich w Helsinkach w 1952 roku. Pełnił na nich funkcję kapitana. Był bliski zdobycia bramki w rundzie wstępnej z Francją, ale jego strzał trafił w poprzeczkę. Za to dobitkę po kolejnej z jego prób wykorzystał Kazimierz Trampisz, pokonując bramkarza Trójkolorowych. Za swoje wyczyny w 1969 roku został uhonorowany tytułem Piłkarza 50–lecia PZPN. W 1994 roku na gali z okazji 75–lecia krajowej federacji znalazł się na piątym miejscu, jako najwyżej sklasyfikowany nie-medalista wielkiej imprezy. Był też członkiem Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Zmarł w 2013 roku. Pochowano go z wielkimi honorami. Jego pogrzeb był wielką manifestacją sympatii do niewielkiego (163 cm), ale bardzo skutecznego zawodnika. W Chorzowie jego imieniem nazwano szkołę. Na jednej z kamienic uwieczniono jego wizerunek na okolicznościowym muralu.

źródło: archiwum Górnika Zabrze

STEFAN FLORENSKI

(obrońca)

Kluby w Ekstraklasie: Górnik Zabrze
Lata gry: 1957-1971
Mecze/gole: 258/2

Dziś wślizgi są już powszechnym widokiem na piłkarskich meczach. W latach pięćdziesiątych stanowiły jednak nowość. Na polskie boiska wprowadził je Stefan Florenski, obrońca Górnika Zabrze, jeden z najbardziej utytułowanych zawodników w historii ligi.

Florenski podpatrzył takie zagranie u Austriaków. Potem sam zaczął je stosować. Za pierwszym razem wywołał spore zdziwienie, zwłaszcza w szeregach rywali i kibiców, ale gwizdek sędziego milczał. Akurat udało mu się trafić podczas tej polskiej premiery wślizgu na arbitra międzynarodowego obeznanego z przepisami. Później bywało różnie z interpretacją tego elementu. Również

dziennikarze nie znali dokładnej nazwy tej ewolucji, stąd czasem nazywano je „szpagatami Florenskiego”. Oprócz wślizgów wyróżniał się też bardzo dalekim celnym wykopem z obu nóg i świetną grą głową.

To pozwalało mu pełnić rolę środkowego (rzadziej prawego) obrońcy w Górniku Zabrze w latach największej świetności tego klubu. Dziewięć razy zdobył z nim mistrzostwo Polski, co daje mu drugie miejsce w klasyfikacji najbardziej utytułowanych zawodników w historii rozgrywek ligowych za długoletnim kolegą klubowym – Ernestem Pohlem. Przewodzi zaś w liczbie mistrzostw zdobytych w jednym klubie (9).

Pierwszy i ostatni tytuł zdobyty przez niego dzieliło aż czternaście lat (1957 – 1971). Do dziś nikomu nie udało się pobić tego wyniku. Gdy w ostatniej z tych edycji rozgrywek na piersi zakładał złoty medal był tuż przed 38. urodzinami. U jego boku grał wtedy między innymi czternaście lat młodszy Włodzimierz Lubański, którego w początkach swojej kariery piłkarskiej… nosił na rękach! Tak się bowiem złożyło, że zaczynał w GKS Sośnica, gdzie prezesem był ojciec Lubańskiego. Jego pociecha często zaś jeździła na mecze z drużyną i była nieformalną „maskotką” klubu. Między innymi dlatego też senior rodu namówił syna na angaż do Górnika, w którym mógł liczyć na opiekę niezawodnego Florenskiego.

Sezon przed swym ostatnim mistrzostwem Polski w karierze należał do współautorów awansu Górnika Zabrze do finału Pucharu Zdobywców Pucharów.

W końcowym starciu został zmieniony w 85. minucie. Wcześniej wystąpił w czterech innych spotkaniach tamtej edycji, w tym w wieńczącym półfinałowy tryptyk meczu z AS Romą.

Mniej pomyślnie układała się jego przygoda z kadrą, choć trafił do niej już w swym pierwszym sezonie spędzanym w Ekstraklasie. To właśnie wtedy przeżył najpiękniejsze chwile w biało-czerwonych barwach. Trzy tygodnie po debiucie zagrał w słynnym spotkaniu ze Związkiem Radzieckim i z miejsca podbił publiczność. Był to jeden z najlepszych występów obrońców w historii polskiej drużyny narodowej. – *Na równi z Cieślikiem, a może nawet jeszcze wyżej trzeba postawić prawego obrońcę Florenskiego. Błyskawicznie wyrósł nam ten piłkarz! Przecież jeszcze początku tego sezonu nazwisko jego nie było znane miłośnikom futbolu. A wczoraj rozegrał on bezbłędną partię, będąc zaporą naprawdę nie do przebycia. Gdy w akcję wkraczał Florenski, można było być pewnym, że piłkę zdobędzie zespół Polski* – opisywała entuzjastycznie prasa. Był on w tym starciu osobistym opiekunem mistrza olimpijskiego Anatolija Iljina. – *Nie spodziewałem się, że pójdzie mi tak dobrze. Ze swej gry jestem na ogół zadowolony. Stwierdziłem jednak, że muszę więcej trenować na szybkość* – powiedział sam bohater.

W 1959 roku pokłócił się jednak z Czesławem Krugiem, selekcjonerem, o należne mu wedle umowy buty. Metka konfliktowego zawodnika utrudniała mu potem powrót do zespołu. Swój następny mecz rozegrał dopiero dziewięć lat

później, co stanowi jedną z najdłuższych przerw między dwoma kolejnymi spotkaniami w reprezentacji Polski w historii. Wyłom w tym długim czasie oczekiwania stanowiło tylko powołanie na Igrzyska Olimpijskie w 1960 roku. Florenski pojechał z zespołem do Rzymu, ale nie zagrał w żadnym spotkaniu, bo krótko przed startem zmagań złamał nogę i choć oficjalnie stał się olimpijczykiem, to mecze musiał śledzić z wysokości trybun. Ostatecznie jego dorobek reprezentacyjny zamknął się na ledwie jedenastu spotkaniach.

Oprócz mistrzostw Polski wywalczył też pięć Pucharów Polski. W Ekstraklasie rozegrał w sumie 258 spotkań. Odszedł po ostatnim wywalczonym tytule w lidze. W niższych ligach grał aż do czterdziestki (w Górniku Wesoła i GKS Tychy). Potem krótko był asystentem w Górniku Zabrze. Od wielu lat mieszka w Niemczech w Hamm.

W czasach gry dziennikarzom kłopot sprawiało nie tylko nazywanie pokazywanych przez niego wślizgów, ale też pisownia jego… imienia i nazwiska. Władze zmieniły mu bowiem przymusowo dane z „Ginter Florenski” na „Stefana Floreńskiego”. Dopiero po wielu latach udało mu się pozbyć kreski znad „n”.

HENRYK KEMPNY

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Polonia Bytom, Legia Warszawa
Lata gry: 1951-1962
Mecze/gole: 194/99

Przed kilku laty wielki podziw wzbudził sposób wykonania karnego przez FC Barcelonę, gdy Leo Messi zamiast strzelać, podał piłkę Luisowi Suarezowi, a ten pokonał bramkarza rywali. W Polsce taki trik zastosowano już sześćdziesiąt lat temu. Jego prekursorem był Henryk Kempny, który potem może i żałował tego pomysłu…

Taką sztukę pokazał na Stadionie Śląskim w 1959 roku w barwach Polonii Bytom przeciwko imienniczce z Bydgoszczy. Bytomianie prowadzili już wtedy 4:0, co zapewne ośmieliło Kempnego do wypróbowania manewru, podejrzanego parę miesięcy wcześniej we Francji. Okazję do zaprezentowania zagrania miał jednak nie byle jaką. Był to bowiem pierwszy w historii Ekstraklasy mecz

rozgrywany przy sztucznym świetle. Kempny z jedenastu metrów zagrał piłkę do Jana Liberdy, a ten pociągnął kilka kroków i pokonał Henryka Burchardta.

Zresztą, nawet gdyby nie udało się zakończyć tej akcji golem, byłaby spora szansa, aby wymagająca publika wybaczyła taką „błazenadę” swemu ulubionemu napastnikowi. Już wtedy był bowiem zawodnikiem z uznaną marką. To on jako pierwszy w historii Ekstraklasy zdobył tytuł króla strzelców w dwóch różnych klubach. W 1954 dokonał tego w Polonii Bytom, w 1956 – w barwach Legii Warszawa. Po nim dokonali tego tylko Ernest Pohl, Tomasz Frankowski oraz Marcin Robak. Gdy sięgał po pierwszy z nich, miał ukończone zaledwie dwadzieścia lat.

Był też pierwszym zawodnikiem w historii, który zdobył mistrzostwo w dwóch sezonach z rzędu w dwóch różnych klubach (1954 – Polonia B., 1955 – Legia). Ogółem zaś czterokrotnie udało mu się wywalczyć ze swymi zespołami pierwsze miejsce w lidze. Po dwa razy zrobił to w Polonii i Legii.

W barwach Legii nie tylko był mistrzem Polski, ale też w dwóch sezonach zakończonych na pierwszym miejscu zdobył Puchar Polski. W 1955 roku został bohaterem finałowego starcia o to trofeum. W meczu przeciwko Lechii Gdańsk strzelił aż trzy gole. Był to pierwszy taki wyczyn w historii. Po nim powtórzyli go tylko Ernest Pohl, Włodzimierz Lubański (dwukrotnie), Jerzy Wilim, Jan Furtok. Rok później dzięki triumfowi w tych rozgrywkach

oraz w lidze, a także tytułowi króla strzelców został pierwszym w historii zdobywcą potrójnej korony.

Dane było mu wystąpić w europejskich pucharach. Szczególnie zapisał się w rywalizacji Polonii Bytom z Panathinaikosem Ateny w 1/16 finału Pucharu Europy. U siebie bytomianie wygrali 2:1 z Grekami. W wyjazdowym rewanżu rozgromili zaś przeciwników 4:1. Kempny w tym drugim starciu dwukrotnie trafił do siatki. Był to pierwszy dublet polskiego zawodnika w najważniejszym z europejskich pucharów. Dwie wygrane dały zaś premierowy awans polskiego zespołu w historii występów w PEMK do II rundy rozgrywek.

Chwalono go za dobre wyszkolenie techniczne i skuteczność. Osiągnął on wskaźnik 0,51 gola na mecz w Ekstraklasie. Do pełni szczęścia zabrakło mu jednak… jednej bramki. Jego licznik trafień zatrzymał się bowiem na 99 bramkach. Klub 100 otworzyłby więc przed nim swoje podwoje, gdyby zamiast podawać z karnego, sam pokonał bramkarza przeciwników…

W reprezentacji Polski zagrał szesnaście meczów, w których strzelił sześć goli. Wszystkie te spotkania zostały rozłożone na okres trzydziestu sześciu miesięcy, gdy miał od 21 do 24 lat. Później jego karierę wyhamowały poważne kontuzje, w tym dwukrotnie złamana noga. Udało mu się „załapać” jeszcze na słynny mecz ze Związkiem Radzieckim, choć miał do siebie spore pretensje o własną postawę w tym starciu. W II połowie wyszedł „sam na sam” z Lwem Jaszynem, ale przy oddawaniu strzału zarył nogą

o murawę. – *Pluję sobie w brodę, że nie udało mi się strzelić trzeciej bramki. Aj, to byłoby piękne zakończenie meczu* – powiedział wprost. Narzekał też na jakość sprzętu, w którym grał, błogosławiąc wytężoną pracę szewców w trakcie tej potyczki. Oprócz gry w ataku w tym meczu pełnił też inną rolę. Ponieważ regulamin nie przewidywał zmian, to jego selekcjoner, Henryk Reyman, wyznaczył na zmiennika… bramkarza w razie kontuzji Edwarda Szymkowiaka!

Przygodę z piłką nożną zakończył w wieku zaledwie 29 lat. Po finiszu kariery piłkarza został trenerem. W Ekstraklasie prowadził Polonię Bytom oraz Górnika Wałbrzych. Do dziś jest jednym z siedmiu królów strzelców najwyższej ligi pracującym potem na tym poziomie jako trener.

Zmarł w 2016 roku.

JÓZEF KOHUT

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Wisła Kraków
Lata gry: 1948-1954
Mecze/gole: 125/81

Wisła Kraków miała szczęście do znakomitych napastników. Henryk Reyman był pierwszym zawodnikiem, który strzelił w lidze sto goli. Niewiele ustępował mu potem skutecznością Artur Woźniak. Po II wojnie światowej pierwsze skrzypce w ataku Białej Gwiazdy zaczął zaś odgrywać ich następca – Józef Kohut, chłopak rodem z grodu pod Wawelem. W dodatku posiadł rekord, jakiego nie mieli w dorobku ci dwaj pozostali gracze ani żaden z innych napastników w lidze.

W czasie okupacji z lubością podglądali go nawet Niemcy, którzy darzyli szacunkiem jego fantazję oraz waleczność. Nic zatem dziwnego, że w pierwszych powojennych sezonach to on był czołowym strzelcem

w kraju. Szczególnie zabłysnął w edycji rozgrywanej w 1948 roku. Kohut strzelił wtedy aż 31 goli, co dało mu koronę króla strzelców. Dzięki temu jest do dziś ostatnim zawodnikiem w historii, który przekroczył barierę trzydziestu bramek w jednym sezonie. Nikt od tego czasu nie zbliżył się do uzyskanej wówczas przez niego średniej goli na kolejkę – 1,11.

Z tamtej edycji pochodzi też jego wciąż niepobity rekord. Kohut jako jedyny w historii w trzech kolejnych spotkaniach Ekstraklasy – z Legią Warszawa, Tarnovią i Polonią Warszawa – uzyskał po trzy gole! Do dziś jest jedynym zawodnikiem w historii ligi z takim wyczynem na koncie. Był zresztą wtedy w niespotykanym gazie. W pięciu sąsiadujących ze sobą kolejkach aż cztery razy popisał się hat-trickiem, raz poprzestał zaś na dublecie. Nikt inny nie miał równej passy. Jest też autorem jednego z najszybszych goli w historii ligi. Już w 12. sekundzie pokonał bramkarza Legii. Ostatecznie spotkanie zakończyło się wynikiem 8:0, a on uzyskał w nim hat-tricka. Ten strzelecki rezultat powtarzał jeszcze w dwóch następnych kolejkach rozgrywanych przy Reymonta po tym wydarzeniu.

Indywidualne osiągnięcia z tamtych rozgrywek nie dały jednak wtedy Wiśle mistrzostwa, Biała Gwiazda przegrała bowiem baraż o końcową wygraną z Cracovią i została ze srebrnym medalem. Niepowodzenie powetowała sobie w dwóch kolejnych sezonach. Za każdym razem czołową postacią tej drużyny był Kohut. W obu mistrzowskich edycjach notował na koncie dwucyfrówkę w strzelonych

golach. Tytuł zdobył też w 1951 roku, ale wskutek regulaminu było to oficjalnie tylko „mistrzostwo ligi”. Mistrzostwo Polski jako zdobywca Pucharu Polski zgarnął zaś Ruch Chorzów. Poza tym dwa razy został wicemistrzem Polski i dwa razy zdobył brąz. Na dziewięć rozegranych sezonów siedem razy kończył więc na podium. Indywidualnie jego dorobek wyniósł 81 goli w 125 meczach w Ekstraklasie. Średnia wyniosła zatem 0,65 trafienia na mecz.

Kibiców ujmowała jego skuteczność, ale też pełen fantazji styl gry oparty na ciągłych przyspieszeniach, szybkości niekonwencjonalnych rozwiązaniach. Tworzył znakomitą parę z Mieczysławem Graczem, dużo bardziej pracowitym od niego. Dlatego Gracza bardzo denerwowało, że jego partner z ataku nie wraca się po piłkę do linii środkowej. Z drugiej strony nie było w tych czasach bardziej lubianego piłkarza Wisły od Kohuta. Łatwość wyrabiania pozycji strzeleckich przysłaniała wszelkie wady. Dostrzegał to też trener Białej Gwiazdy – Josef Kuchynka. Jego zawodnik regularnie dawał mu pozasportowe powody do usuwania go ze składu. Zamiast skreślić towarzyskiego napastnika ordynował mu jednak treningi, w czasie których Kohut ćwiczył ubrany w podwójny sweter, aby wypocić toksyny nagromadzone nocą… Może zresztą dzięki tym słabostkom, zdawał się kibicom bliższy niż pozostali zawodnicy. Imponował też walecznością. Tak na boisku, jak i poza nim. Kiedyś wdał się nawet w bójkę z oficerem

Służby Bezpieczeństwa, co mogło przekreślić jego karierę. Sława uratowała go od większych konsekwencji.

W reprezentacji Polski zagrał jedenaście razy i zdobył cztery bramki. Dwukrotnie udało mu się wpisać na listę strzelców w starciach z Węgrami. W kadrze zadebiutował zaś, zmieniając Kazimierza Górskiego w meczu zakończonym porażką 0:8 z Danią.

Karierę piłkarską zakończył w 1953 roku. Zmarł zaś niespełna siedemnaście lat później. Wisła Kraków swego czasu organizowała memoriał jego imienia.

źródło: Muzeum Lechii Gdańsk, z archiwum rodziny Koryntów

ROMAN KORYNT

(obrońca)

Kluby w Ekstraklasie: Legia Warszawa, Lechia Gdańsk
Lata gry: 1951-1962
Mecze/gole: 222/2

Lechia Gdańsk w latach pięćdziesiątych nie była drużyną ścisłej krajowej czołówki. Miała jednak w składzie zawodnika, którego zazdrościły jej wszystkie zespoły. Przedmiot pożądania stanowił jeden z najlepszych polskich obrońców w historii – Roman Korynt.

Możliwe, że jego nazwisko pojawiłoby się na pierwszych stronicach prasy sportowej, ale w rubrykach bokserskich. Młody Korynt należał bowiem do czołówki juniorów w tej dyscyplinie sportu w swoim regionie. Dwukrotnie zdobył tytuł Mistrza Wybrzeża – w 1946 i 1947 roku. Na szczęście dla futbolu zatarg z trenerem pięściarskim spowodował zwrot młodego sportowca ku innej aktywności. Po boksie

została mu za to potężna muskulatura, co ułatwiło potem wyrobienie sobie pozycji w gronie najlepszych polskich defensorów. Imponował siłą, przygotowaniem fizycznym oraz nieustępliwością. Przez to, w opinii wielu napastników – w tym swego serdecznego przyjaciela, Gerarda Cieślika – był najtrudniejszym zawodnikiem do przejścia na tej pozycji.

Dodatkowo dzięki umiejętnościom przywódczym, znakomicie dowodził liniami defensywnymi swych zespołów. Po wejściu na murawę momentalnie budził się w nim prawdziwy lider. A że ze swojej pozycji miał doskonały przegląd pola, to stanowił przedłużenie ręki trenera na boisku.

W Ekstraklasie zadebiutował w Legii Warszawa. Jego pobyt w stolicy – związany z powołaniem do wojska – był jednak dość krótki. Od 1953 roku aż po kres kariery nie porzucił już biało-zielonej koszulki Lechii. Z liczbą 207 występów jest rekordzistą tego klubu pod względem meczów rozegranych w Ekstraklasie. Zagrał z nią w finale Pucharu Polski, a także wywalczył brązowy medal w lidze. Do dziś pozostaje to jedynym miejscem na podium w dorobku gdańskiego zespołu. Defensywa z nim w składzie straciła wtedy tylko 21 goli w 22 kolejkach.

Dużo bardziej imponująco wygląda jego dorobek indywidualny. W 1959 i 1960 roku Roman Korynt dwukrotnie w zestawieniu katowickiego „Sportu” pod nazwą „Złote Buty” uznany został za najlepszego piłkarza sezonu w Polsce. Jako pierwszy w historii tej punktacji

obronił tytuł. Po nim powtórzyli to tylko Stanisław Oślizło, Edward Szymkowiak, Leszek Pisz oraz Maciej Żurawski. To dawało mu przepustkę do odgrywania poważnej roli w reprezentacji. Niestety dwa razy Igrzyska Olimpijskie odjechały mu dosłownie sprzed nosa.

W 1952 roku selekcjonerzy zrezygnowali z niego po bardzo słabym występie przeciwko Węgrom. Ferenc Puskas nie miał litości dla obrońcy, który raptem pięć lat wcześniej rozpoczął regularne treningi. Osiem lat później był już liderem polskiej drużyny. Do Rzymu nie pojechał jednak ze względu na „aferę listową". Wtedy na IO mogły grać tylko zespoły amatorskie. Polacy oraz reszta drużyn z krajów bloku komunistycznego oficjalnie za takie uchodziły, ponieważ piłkarze byli zatrudnieni na fikcyjnych etatach w zakładach pracy. Korynt na swoje nieszczęście pochwalił się w liście koledze mieszkającemu w Niemczech, ile otrzymuje zwrotu za udział w zgrupowaniach, a ten z rewelacjami pobiegł do prasy. W razie jego występu w Rzymie biało-czerwonym groziła więc dyskwalifikacja.

Ogółem w reprezentacji Polski zagrał trzydzieści cztery razy. W czterech meczach na ramieniu dzierżył opaskę kapitańską. Najmilsze wspomnienia łączą się jednak z występem przeciwko ZSRR w słynnym meczu. Korynt świetnie współpracował w tym spotkaniu ze Stefanem Florenskim. Wyłączył wtedy całkowicie z gry najgroźniejszego napastnika przeciwników – Eduarda Strielcowa, za co nazwano go „cichym bohaterem". – *W miarę upływu czasu stal się niezawodnym punktem*

jedenastki i także rozegrał wielki mecz – opisywała prasa. Chyba sam czuł doniosłość tego wydarzenia, bo po spotkaniu skomentował: – *Czuję się jak w siódmym niebie. Wygraliśmy bardzo trudny mecz, którego wynik szerokim echem odbije się na całym świecie.*

W 1962 roku przeżył ze swoją Lechią spadek z Ekstraklasy. Grał w niej jednak jeszcze potem kilka sezonów. Do dziś jest jedną z największych ikon pomorskiego futbolu. Został wybrany Piłkarzem 50–lecia Wybrzeża, wespół ze Zdzisławem Puszkarzem dzieli zaś tytuł Piłkarza 70–lecia Lechii Gdańsk. Odsłonił też swą gwiazdę w Alei Gwiazd Lechii Gdańsk. Uhonorowano go ponadto muralem.

Zawsze gdy pojawiał się na stadionie Lechii, obowiązkowo witany był owacjami na stojąco. W Ekstraklasie grał też jego syn Tomasz, który został nawet najlepszym strzelcem Arki Gdynia w historii występów tego klubu na najwyższym poziomie rozgrywkowym.

Zmarł w 2018 roku.

TADEUSZ PARPAN

(pomocnik/obrońca)

Kluby w Ekstraklasie: Cracovia, Garbarnia Kraków
Lata gry: 1948-1951
Mecze/gole: 63/13

W pierwszym sezonie po II wojnie światowej, w bitwie o pierwsze miejsce w tabeli łeb w łeb szły ze sobą dwa krakowskie zespoły: Wisła i Cracovia. Biała Gwiazda górowała w ofensywie dzięki takim piłkarzom, jak Józef Kohut czy Mieczysław Gracz. Pasy potrafiły się jej jednak przeciwstawić znakomitą defensywą. I to one wyszły z tego boju zwycięsko. A największą zasługę w tym dziele miał znakomity obrońca – Tadeusz Parpan.

Kiedy UEFA po II wojnie światowej organizowała mecz Reprezentacji Europy z Wielką Brytanią, wysłała do selekcjonerów kadr narodowych listy zgłoszeniowe dla kandydatów do tego prestiżowego starcia. Henryk Reyman – Wiślak z krwi i kości – nie miał wątpliwości, kto z Polaków

mógłby unieść to ważne brzemię odpowiedzialności. Na karcie skreślił nazwiska Mieczysława Gracza oraz defensora Cracovii – Tadeusza Parpana. Ostatecznie piłkarzowi Pasów, pomimo powołania, nie udało się zagrać w tym meczu z powodu braku paszportu.

Parpan budził wielkie zainteresowanie kibiców w tych pierwszych powojennych sezonach ze względu na swój wzrost. Mierzył 186 centymetrów, co wówczas stanowiło rzadko spotykany wymiar u piłkarza. Stąd nazywano go powszechnie „Wielkoludem z Cracovii”. Te warunki fizyczne dawały mu znaczną przewagę w pojedynkach główkowych. Jego główną zaletą było jednak znakomite „czyszczenie pola”. Parpan nie dopuszczał po prostu przeciwników w pobliże swojej „jedenastki”, przez co mawiano, że bramkarz Cracovii na ogół jest bezrobotny. Znakomicie kierował też defensywą swej drużyny.

Przyczyniło się to do wywalczenia przez Cracovię mistrzostwa Polski w 1948 roku. O wszystkim – jedyny raz w historii Ekstraklasy – decydował baraż dwóch najlepszych drużyn tabeli. Po zakończeniu rozgrywek okazało się bowiem, że Pasy i Biała Gwiazda wywalczyły równą liczbę punktów. Ostatecznie na neutralnym boisku Garbarnii Cracovia wygrała 3:1, i po raz ostatni w swej historii zdobyła najważniejsze trofeum w krajowej piłce nożnej.

Parpan nie mógł zagrać w tym decydującym spotkaniu. Przez cały sezon był jednak zdecydowanie najważniejszą postacią defensywnie nastawionych Pasów. Dowodzą tego liczne wyróżnienia indywidualne za ten okres. Obrońca

znalazł się na szóstym miejscu w Plebiscycie „Przeglądu Sportowego” na Najlepszego Sportowca 1948 roku. Przez kolejne ćwierć wieku jedynym futbolistą, któremu udało się wyrównać ten wynik, był Kazimierz Deyna. W 1949 roku Parpan znalazł się zaś na 9. miejscu. Przez następne dwadzieścia lat dwa razy z rzędu pozycję w TOP-10 udało się utrzymać tylko Gerardowi Cieślikowi oraz Edwardowi Szymkowiakowi.

Oprócz mistrzostwa z Cracovią, wywalczył wicemistrzostwo. Miał wtedy 32 lata. Najlepszy okres zabrała mu, niestety, wojna. Nim wybuchła – a był przecież ledwie rok młodszy od Ernesta Wilimowskiego – nie zdążył wypłynąć na szerokie wody. Grał tylko w Łagiewiance, klubie założonym przez swego ojca Piotra, z braćmi – Tadeuszem i Leopoldem. Dopiero podczas okupacyjnych rozgrywek zwrócił na siebie uwagę Pasów, co pozwoliło zasilić szeregi tej drużyny w pierwszym okresie po odzyskaniu niepodległości. Podczas II wojny światowej nie tylko kopał piłkę, ale był też żołnierzem Armii Krajowej i za swoje męstwo został uhonorowany odznaczeniami.

Do dziś nikt z piłkarzy Cracovii nie pobił go w liczbie występów w reprezentacji. Jako zawodnik tego klubu rozegrał w biało-czerwonych barwach dwadzieścia meczów. Po ledwie czterech występach został nominowany kapitanem, co dowodziło jego umiejętności przywódczych. W biało-czerwonych barwach strzelił jednego gola.

Lepiej pod względem skuteczności wygląda jego dorobek w Cracovii. W 63 meczach w Ekstraklasie zdobył

trzynaście bramek. Średnia 0,2 trafienia do dziś wygląda imponująco, jak na obrońcę. Trzeba jednak wiedzieć, że Parpan zaczynał jako pomocnik i czasem jeszcze ustawiany był przez trenerów w linii środkowej. A nawet jeśli grywał już tam, gdzie pokazywał najwięcej ze swych umiejętności, to nie udało się całkowicie wyplenić z niego ciągu na bramkę. Po odejściu z Cracovii krótko występował jeszcze w Garbarnii, razem ze swoim bratem Leopoldem.

Karierę zakończył w 1951 roku. Później pełnił rolę trenera obydwu krakowskich zespołów, w których występował w Ekstraklasie. Był też kierownikiem Pasów. Nie zdecydował się jednak na powiązanie tego etapu życia wyłącznie z piłką. Jako inżynier z wykształcenia pracował przede wszystkim na Politechnice Krakowskiej.

Tadeusz Parpan został wybrany do najlepszej jedenastki 105-lecia Małopolskiego Związku Piłki Nożnej. Jest też patronem stadionu Armatury Kraków (dawnej Łągiewianki). Zmarł w 1990 roku.

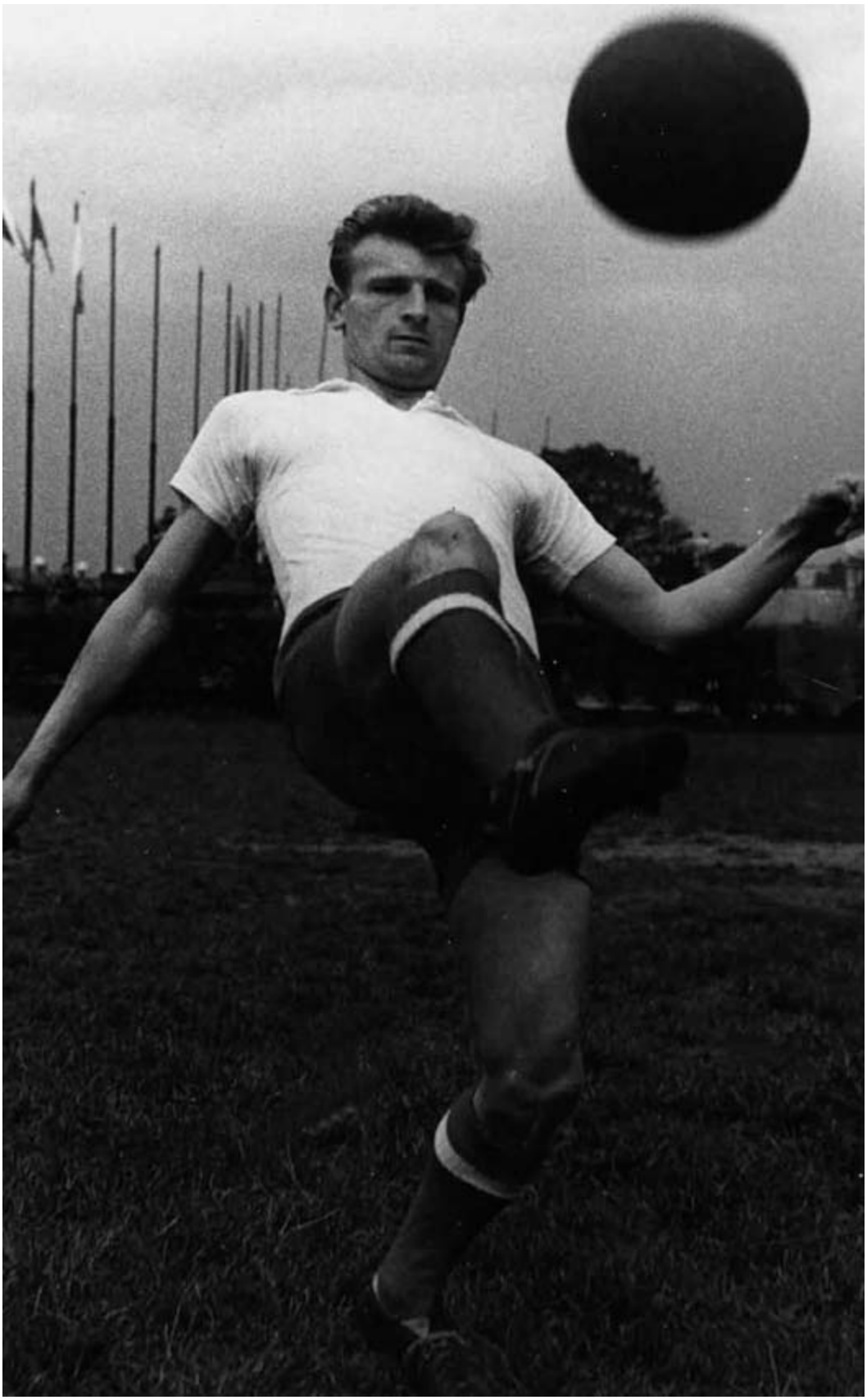

źródło: archiwum Górnika Zabrze

ERNEST POHL

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Legia Warszawa, Górnik Zabrze
Lata gry: 1954-1967
Mecze/gole: 264/186

Snajper nad snajperami. Jego futbolowy los nie ograniczał się jednak tylko do pobytu na polu karnym przeciwników. Ernest Pohl miał zmysł do ukochanej dyscypliny, jak może nikt przed nim ani po nim w Polsce.

Dziś najbardziej znany jest chyba ze swojego rekordu wszech czasów w liczbie strzelonych goli w Ekstraklasie. Pohl aż 186 razy pokonał bramkarzy przeciwników w najwyższej klasie rozgrywkowej. Dokonał tego w zaledwie 264 meczach, co daje mu wybitną średnią 0,7 gola na mecz. Na pozycji lidera gości w klasyfikacji strzeleckiej Ekstraklasy nieprzerwanie od 1965 roku, gdy wyprzedził Gerarda Cieślika.

Jeden raz strzelił w meczu ligowym sześć goli, co stanowi najlepsze indywidualne osiągnięcie w powojennych rozgrywkach. Dwukrotnie notował po pięć goli i aż sześciokrotnie – cztery gole. Jeden z „pięciopaków” uzyskał w barwach Legii. W ten sposób przyczynił się do najwyższego zwycięstwa w polskiej lidze w powojennej historii (12:0). Pozostałe wyniki strzeleckie takiego kalibru miały miejsce już w Górniku Zabrze. Jest więc jedynym piłkarzem, który w dwóch różnych klubach w Ekstraklasie zdobył w jednym meczu co najmniej po pięć bramek.

W ośmiu sezonach z rzędu legitymował się dwucyfrową liczbą trafień. Żaden inny zawodnik nie miał takiego osiągnięcia w swym dorobku. Ponadto tylko jemu oraz Henrykowi Reymanowi w dziejach ligi udało się dwukrotnie w karierze strzelić hat-tricki w dwóch kolejkach z rzędu.

Swoimi umiejętnościami strzeleckimi popisywał się nie tylko w lidze. W reprezentacji od 1961 do 1973 roku był rekordzistą w liczbie strzelonych goli. Potem wyprzedził go Włodzimierz Lubański, a po nim jedynie Kazimierz Deyna, Grzegorz Lato i Robert Lewandowski. Żaden z tych znakomitych zawodników nie osiągnął jednak takiej średniej jak Pohl. Trzydzieści dziewięć bramek w czterdziestu siedmiu spotkaniach daje mu imponujący rezultat trafień – 0,85 na spotkanie!

W tej liczbie znajdują się między innymi: hat-tricki przeciwko Danii i Finlandii, cztery gole przeciwko Norwegii, a przede wszystkim pięć strzałów w siatce ze starcia z Tunezją podczas Igrzysk Olimpijskich. Do dziś jest

to rekord w liczbie bramek w jednym spotkaniu kadry Polski wyrównany potem tylko przez Włodzimierza Lubańskiego. – *W czasie meczu z Tunezją dziennikarze zagraniczni żywo zaczęli się interesować zabrzaninem, zasypując swoich kolegów z Polski pytaniami dotyczącymi jego osoby. Pełna uznania dla gry Pohla jest również prasa włoska* – pisał „Dziennik Łódzki” po tym wielkim meczu Pohla.

Wraz z Sophusem Nielsenem, Gottfriedem Fuchsem, Herbertem Carlssonem, Teodoro Fernandezem, Ferencem Bene i Nilsem Petersenem, jest jednym z siedmiu zawodników, którzy w turnieju olimpijskim w jednym spotkaniu strzelili co najmniej pięć goli. Tylko on, Bene oraz Petersen dokonali tego już po II wojnie światowej. Dzięki temu na IO w Rzymie zajął trzecie miejsce w klasyfikacji strzelców, choć Polska odpadła z rozgrywek już po fazie grupowej.

Na najniższym stopniu podium uplasował się w zestawieniu klasyfikacji strzelców w Pucharze Europejskich Mistrzów Klubowych w edycji 1966/67, choć był to już jego ostatni sezon w wyczynowym futbolu. Strzelił wtedy pięć goli. Łącznie jego bilans w tych rozgrywkach wyniósł 19 meczów i 11 goli. W lidze polskiej trzykrotnie wkładał na skronie koronę króla strzelców (raz w Legii, dwukrotnie w Górniku Zabrze).

Skuteczność nie była jednak jego jedyną charakterystyczną cechą. Przede wszystkim wykazywał się znakomitą techniką i wszechstronnością oraz wielką

inteligencją boiskową. Potrafił zaskoczyć bramkarzy na wiele sposobów. Bardzo dobrze współpracował ze swoimi partnerami z ataku. – *Podawał nam na nos. Miał jeszcze jedną niezwykłą umiejętność. Patrzył w lewo, ale podawał w prawo. Albo odwrotnie. Przeciwnicy nie mogli się w tym połapać. W czasie meczu potrafił mi wyłożyć trzy-cztery razy piłkę marzenie. Był piłkarskim fenomenem* – twierdził Włodzimierz Lubański. Kiedyś Pohla wstawiono do składu pomimo kontuzji, po to tylko, by absorbował uwagę przeciwników. Stało się to w meczu na szczycie Górnik Zabrze – Legia Warszawa. On – choć niesprawny – strzelił w tym spotkaniu stołecznej drużynie aż cztery gole! Może z tego powodu również – grający w tym spotkaniu Jacek Gmoch – uważa go za najlepszego polskiego piłkarza wszech czasów. Na premierze swej książki stwierdził, że nie było możliwości go przewrócić. Zdanie to podziela Hubert Kostka. Według innego ze słynnych kolegów klubowych, Stanisława Oślizły, ma on z kolei miejsce w piątce najwybitniejszych zawodników w historii naszego kraju: – *Poza szybkością był piłkarzem doskonałym* – dodawał.

Sukcesy indywidualne szły w parze ze zdobyczami drużynowymi. Do dziś nikt nie pobił rekordu Pohla w liczbie zdobytych mistrzostw Polski. Jako jedyny legitymuje się w tej klasyfikacji dwucyfrowym wynikiem. Dwukrotnie sięgał po to trofeum z Legią Warszawa, osiem razy dokonał tego już w barwach Górnika Zabrze. Wystąpił w sumie w czternastu sezonach Ekstraklasy, i tylko w pierwszym z nich nie stanął na podium ze swoją drużyną. Od 1955 do

1967 roku zawsze więc kończył z medalem. Jego dorobek zamknął się na dziesięciu złotach, jednym srebrze i dwóch brązach!

Trenerzy mieli do niego pretensje o nie zawsze sportowe podejście do piłki nożnej. Włodzimierz Lubański wspominał, że to Pohl był autorem jego chrztu w klubie, gdy kazał szesnastolatkowi oraz niewiele starszemu Waldemarowi Słomianemu przynieść wódkę. Na nazbyt natarczywe przypomnienia o zdrowym trybie życia odpowiadał jednak: – *Ernest pije, ale Ernest gro*. Po czym wychodził na boisko i znów zadziwiał publiczność.

Po zakończeniu kariery pracował jako asystent w Górniku Zabrze. Po upadku komuny powrócił do swojego rodowego nazwiska Pohl, na czas kariery zmienionego na „Pol”. W latach 90. wyjechał do córek mieszkających w Niemczech, gdzie zmarł w 1995 roku. Jego imię nosi stadion Górnika.

CZESŁAW SUSZCZYK

(pomocnik)

Kluby w Ekstraklasie: Ruch Chorzów
Lata gry: 1948-1959
Mecze/gole: 233/17

Przed II wojną światową, gdy Ruch Chorzów dominował w lidze, największymi gwiazdami Niebieskich byli „Trzej Królowie” – Ernest Wilimowski, Teodor Peterek, Gerard Wodarz. Po wznowieniu rozgrywek po okupacji, Niebiescy znów znajdowali się w czołówce, i znów ich ofensywnymi poczynaniami rządził tercet. Tworzyli go w tym rozdaniu: Gerard Cieślik, Henryk Alszer oraz znakomity prawy pomocnik – Czesław Suszczyk.

Długą wędrówkę zaliczył, zanim znalazł swoje miejsce na boisku. Zaczynał jako bramkarz, potem został napastnikiem (w jednym sezonie w juniorach Ruchu strzelił aż 123 gole!), aż w końcu przekwalifikowano go na prawą pomoc, gdzie długie lata rządził w polskiej lidze.

Drugą przełomową decyzją w jego życiu była… zmiana imienia. Pierwotnie bowiem nazywał się Gerard. Władze uzależniły jednak od tej ingerencji w dane osobowe wydanie zgody na ślub! Dopiero jako „Czesław” mógł być też powołany do reprezentacji Polski. Do końca życia wolał jednak, aby tytułowano go „Gerardem”.

Jak kiedyś Wodarz obsługiwał Wilimowskiego oraz Peterka dokładnymi podaniami, tak w latach 50. rolę głównego asystenta przy trafieniach piłkarzy ataku Ruchu przejął Suszczyk. To właśnie z jego podań sporą część swoich bramek uzyskał Gerard Cieślik. Suszczyk zdaniem Andrzeja Gowarzewskiego również uchodził za pierwszego zawodnika w Polsce, który potrafił strzelać „fałszem”. Dodatkowo znakomicie wykonywał auty dzięki silnemu, precyzyjnemu wyrzutowi. Przede wszystkim jednak odznaczał się wielką walecznością i pracowitością. Stąd nazywano go czasem „Kombajnem”.

Problemem były jednak nerwy. Choć w lidze na ogół nie zawodził w najważniejszych momentach, to jednak w kadrze przeszedł do historii w niefortunnej klasyfikacji. Jako pierwszy w dziejach gry w biało-czerwonych barwach nie wykorzystał rzutu karnego. Potem jeszcze dwukrotnie zawodził podczas podchodzenia do tego stałego fragmentu gry. Przez to przoduje w liczbie niewykorzystanych „jedenastek” wśród reprezentantów Polski. Ostatecznie zagrał w barwach narodowych dwadzieścia pięć razy, ale jego konto strzeleckie pozostało nietknięte. Z drużyną

narodową był między innymi na Igrzyskach Olimpijskich w 1952 roku.

Na początku lat pięćdziesiątych to on pełnił funkcję kapitana Ruchu Chorzów. Dlatego do niego należał zaszczyt trzykrotnego odebrania nagród za mistrzostwo Polski. Razem z Niebieskimi sięgał po to trofeum w 1951 (za zdobycie Pucharu Polski), 1952 oraz 1953 roku. Półtorej dekady wcześniej właśnie w tym zespole rozpoczynał swą juniorską karierę. Na jednym z turniejów młodzieżowych dzikich drużyn wypatrzył go słynny Teodor Peterek i namówił na przejście do Niebieskich. Krótko po II wojnie światowej było im dane grać ze sobą. Od swego mentora Suszczyk przejął także konfliktowy styl. Lubił często wdawać się w dyskusje, tak z arbitrami, jak i z przeciwnikami.

Poza trzema złotymi medalami ma na koncie także wicemistrzostwo Polski oraz dwa brązowe krążki. W ostatnim etapie kariery, przez dwa lata, był grającym trenerem Ruchu Chorzów. Po jej zakończeniu krótko prowadził Niebieskich, a także m.in. ROW Rybnik – z którym wywalczył awans do elity – i Stal Mielec. Z młodszą kadrą Ruchu zdobył mistrzostwo Polski juniorów.

Zmarł w 1993 roku.

HENRYK SZCZEPAŃSKI

(obrońca/pomocnik)

Kluby w Ekstraklasie: Polonia Bydgoszcz, ŁKS Łódź, Odra Opole
Lata gry: 1954-1966
Mecze/gole: 275/6

Do Henryka Szczepańskiego koledzy rzadko mówili po imieniu, jeszcze rzadziej po nazwisku. Od pewnego czasu przylgnęło do niego przezwisko „Burza”. Twardy, zdecydowany obrońca nie bał się odważnych wyjść do przodu ani bezpośredniej walki z rywalem. Dlatego po jednym z treningów w ŁKS Łódź jego kolega klubowy, świetny napastnik Władysław Soporek powiedział do niego: „Idziesz jak burza” i tak już pozostało.

Znakomicie zresztą oddawało ono jego styl gry. W obronie waleczny Szczepański pozbawiał rywali chęci do gry. Kiedy ruszał do ofensywy, budził natomiast popłoch w szeregach rywali. Wyrastał im wszak wtedy kolejny

niespodziewany przeciwnik do krycia. A jego ruchliwość w połączeniu z kondycją sprawiała, że był obecny właściwie przy każdej akcji meczowej.

Przekonali się o tym między innymi zawodnicy Górnika Zabrze. Szczepański został bohaterem spotkania ostatniej kolejki decydującego o mistrzowskim tytule w 1958 roku. Dzięki jego skutecznym interwencjom, które powstrzymały Ernesta Pohla oraz Romana Lentnera, udało się zremisować 0:0, co pozwoliło zachować „Ełkaesiakom" pierwsze miejsce w tabeli. – *Szczególny zawód sprawił Lentner, który przy bojowym Szczepańskim nie miał dosłownie nic do powiedzenia* – pisała po spotkaniu „Trybuna Ludu". Mało było tak wszechstronnych graczy jak on. W swojej karierze grał w ataku, pomocy oraz obronie. Najlepiej czuł się w tylnej formacji, ale dzięki ruchliwości, można go było zastać praktycznie w każdym fragmencie boiska.

Do ŁKS-u trafił z Polonii Bydgoszcz. W tym mieście jego talent odkrył były znakomity piłkarz Wisły Kraków – Józef Kotlarczyk, który trafił tu po II wojnie światowej. Sam Szczepański wzorował się jednak szczególnie na Rudolfie Patkolo, reprezentancie Węgier i Polski. Krótko miał go okazję podglądać właśnie w Bydgoszczy. Już po odejściu idola, zadebiutował w barwach tego klubu w Ekstraklasie. Największe sukcesy odniósł jednak w Łodzi oraz Opolu.

W barwach ŁKS-u oprócz mistrzostwa wywalczył jeszcze brąz i Puchar Polski. Ex aequo z Romanem Koryntem wybrano go też Piłkarzem 1960 Roku w Polsce. Na początku lat sześćdziesiątych – trochę niespodziewanie

– przeniósł się jednak do Odry Opole. Nawet niedawno dziennik „Nowa Trybuna Opolska” nazwał to „największym hitem transferowym w dziejach opolskiego futbolu”. Do ligowego średniaka przechodził przecież zawodnik z sukcesami, dużą klasą, a przede wszystkim obyciem międzynarodowym. Razem z nową drużyną wywalczył brązowy medal, co stanowi do dziś największy sukces tej drużyny w historii występów w Ekstraklasie.

W 1960 roku pojechał z reprezentacją Polski na Igrzyska Olimpijskie do Rzymu, gdzie zagrał w meczu z Tunezją wygranym 6:1. Poważne obrażenia kolana uniemożliwiły mu jednak dalszy udział w tym turnieju, a kadra odpadła na etapie grupowym. Ogółem zaś w kadrze Polski wystąpił 45 razy. Kiedy kończył karierę, lepszy wynik od niego pod tym względem mieli tylko Lucjan Brychczy oraz Edward Szymkowiak. Wówczas nikt nie równał się z nim pod względem ilości spotkań rozegranych jako kapitan reprezentacji. Łącznie na jego koncie znalazły się aż dwadzieścia cztery takie mecze. Do dziś częściej od niego z opaską na ramieniu występowali tylko Kazimierz Deyna, Jakub Błaszczykowski, Tomasz Wałdoch, Jacek Bąk, Robert Lewandowski oraz Michał Żewłakow. Więcej zaliczonych meczów jako kapitan powoływany z klubu Ekstraklasy ma zaś wyłącznie Deyna.

Na koncie Szczepańskiego znajduje się również gra w „Reprezentacji Warszawy” na meczu inaugurującym działalność słynnego Camp Nou. Po 57 latach znów odwiedził ten obiekt zaproszony przez polski fan club FC

Barcelony. Żaden piłkarz Odry Opole nie rozegrał tylu spotkań w kadrze, co właśnie Szczepański.

W Ekstraklasie wystąpił 275 razy. Po raz ostatni – w 1966 roku. Potem został trenerem. Prowadził m.in. Odrę Opole, Gwardię Warszawa, Olimpię Poznań, Gwardię Koszalin, Stomil Olsztyn, Motor Lublin, Okęcie Warszawa.

Zmarł w 2015 roku.

źródło: archiwum Ruchu Chorzów

EDWARD SZYMKOWIAK

(bramkarz)

Kluby w Ekstraklasie: Ruch Chorzów, Legia Warszawa, Polonia Bytom
Lata gry: 1950-1969
Mecze/gole: 354/0

Przez wielu uznawany jest za pierwszego z wielkich polskich bramkarzy w dziejach światowego futbolu. Wiele jego rekordów pobiły dopiero odległe pokolenia, sporo zaś jeszcze czeka na poprawienie… Edward Szymkowiak dla przyszłych następców w tym fachu poprzeczkę zawiesił bardzo wysoko.

Starcia Polonii Bytom z Górnikiem Zabrze miały na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych olbrzymi ładunek emocjonalny. W 1960 r. na boisku spotkali się aktualni mistrzowie oraz wicemistrzowie Polski. Drużyny nie szczędziły sobie ostrej gry. Arbiter Jan Maciarz

podyktował łącznie aż cztery „jedenastki”. Jedną dla Polonii – wykorzystaną przez Jana Liberdę – oraz trzy dla Górnika. Do pierwszej z nich podszedł Ernest Pohl. Sędzia jednak po jego strzale zarządził powtórkę. Tę drugą „jedenastkę” na bramkę chciał zmienić Roman Lentner. Trzecia próba padła natomiast udziałem Erwina Wilczka. Po zakończeniu meczu wynik brzmiał jednak… 3:0 dla Polonii Bytom. Wszystkie rzuty karne wybronił bowiem Edward Szymkowiak!

Dokonał przy tym zresztą nie lada sztuki. Przy karnym Lentnera rzucił się w przeciwną stronę, ale zdołał jeszcze wykonać szpagat i wybił piłkę nogą. – *W tym dniu nie było na „Szymka” sposobu. Jeszcze kilkakrotnie napastnicy Górnika mieli świetne sytuacje podbramkowe, ale polonista łapał wszystkie strzały. Świetnie spisywał się zarówno na linii bramkowej, jak i przedpolu.* (…) *Szymkowiak był głównym bohaterem meczu, nie tylko dlatego, że świetnie bronił swej świątyni, ale również i dlatego, że zupełnie wyprowadził z równowagi napastników Zabrza. Doszło w końcu do tego, że stracili oni wszelką nadzieję, aby strzelić w tym dniu bramkę i przy stanie 2:0 zrezygnowali z walki* – pisał o nim katowicki „Sport” po tym występie.

Rzuty karne w tak ważnych spotkaniach były zresztą jego wielką specjalnością. Znakomicie potrafił wygrywać te wojny psychologiczne nawet z najbardziej renomowanymi przeciwnikami. Kiedyś w spotkaniu reprezentacji, wybronił karnego wykonywanego przez jednego z najlepszych piłkarzy Europy w tym czasie – Ferenca Puskasa. Za czołowego bramkarza świata uważał go też kolega po fachu

Villiam Schrojf, wicemistrz świata z kadrą Czechosłowacji z 1962 roku.

W Ekstraklasie Edward Szymkowiak był pierwszym zawodnikiem w historii, który rozegrał dwadzieścia sezonów na tym poziomie rozgrywkowym. Do dziś jego wynik przebił wyłącznie Łukasz Surma. Został też założycielem Klubu 300. Trzechsetny mecz rozegrał w 1965 roku. Rekordzistą pod względem występów w elicie pozostał jeszcze przez kolejne sześć lat.

Na najwyższym poziomie rozgrywkowym grał w trzech klubach: Ruchu Chorzów, Legii Warszawa i Polonii Bytom – i w każdym z nich minimum raz zdobył mistrzostwo kraju. Jego wynik pod tym względem pobił dopiero Maciej Szczęsny (mistrzostwo w czterech klubach). Łącznie pięć razy stawał na najwyższym stopniu podium rozgrywek krajowych. Tyle samo razy zdobył srebro i dołożył dwa brązowe krążki. Do tego doszły dwa Puchary Polski. Sam cztery razy uznawany był za Piłkarza Roku w Polsce w klasyfikacji katowickiego „Sportu” „Złote Buty”. Wraz ze Stanisławem Oślizłą jest rekordzistą tego zestawienia. Dwukrotnie znajdował się też w TOP-10 Plebiscytu „Przeglądu Sportowego”.

Znakomicie pokazał się też na arenie międzynarodowej. Z Polonią Bytom w dwóch sezonach z rzędu osiągnął finał Pucharu Rappana. Drugi z nich przyniósł mu triumf w finale przeciwko Lokomotiwowi Lipsk. W pierwszym spotkaniu tego dwumeczu nie grał z powodu kontuzji i bytomianie

przegrali aż 0:3. W drugim – już z nim na bramce – drużyna ewidentnie poczuła się pewniej. Ostatecznie wygrała 5:1, choć kilkanaście sekund przed końcem rywale mieli na nodze strzał na wagę dogrywki, ale Szymkowiak znalazł się na posterunku i obronił tę próbę w doskonałym stylu. Nic dziwnego, że po spotkaniu reporter „Trybuny", Zbigniew Dutkowski, napisał: – *Na pochwałę najbardziej zasłużyli Liberda, Banaś, Orzechowski i Szymkowiak*. Do dziś jest to jedyne trofeum polskiej drużyny, wywalczone w oficjalnych europejskich całosezonowych rozgrywkach klubowych przeprowadzonych pod egidą UEFA.

Również w reprezentacji zapisał piękną kartę. W dwóch okresach (1962–1963 i 1965–1967) był rekordzistą w liczbie występów w kadrze. Ostatecznie zakończył grę z orłem na piersi z dorobkiem 53 spotkań. Wśród jego kolegów po fachu przewyższył go pod tym względem dopiero Jan Tomaszewski. Do dziś oprócz „Tomka" wyprzedzili Szymkowiaka jeszcze tylko dwaj golkiperzy znani z XXI wieku – Artur Boruc i Jerzy Dudek.

Pozostaje on natomiast jedynym bramkarzem, który dwukrotnie nosił miano olimpijczyka (w 1952 i 1960 r.). Oprócz niego z przedstawicieli innych pozycji taki wyczyn padł udziałem jeszcze tylko Antoniego Szymanowskiego, Jerzego Gorgonia, Zygmunta Maszczyka, Grzegorza Laty, Kazimierza Kmiecika i Kazimierza Deyny. W pierwszym podejściu został bohaterem starcia z Danią. – *Szymkowiak w bramce zdobył sobie uznanie publiczności doskonałymi interwencjami w najcięższych momentach* – odnotował

„Dziennik Bałtycki”. W obu próbach skończyło się jednak tylko na fazie grupowej.

Szymkowiak był także jednym z największych bohaterów spotkania przeciwko ZSRR. Doskonałą postawą przyćmił swego konkurenta z drugiej strony boiska, uznawanego za najlepszego golkipera świata – Lwa Jaszyna. – *Szymek fruwał w powietrzu, imponując zwłaszcza w pierwszym kwadransie niezwykle trudnymi interwencjami. Również po przerwie, dzięki wspaniałemu refleksowi, zapobiegł wielokrotnie katastrofie* – pisała „Trybuna Ludu”. Wagę jego postawy docenił sam kapitan drużyny i zarazem zdobywca dubletu w tamtym spotkaniu – Gerard Cieślik. Po końcowym gwizdku podbiegł i ucałował z wdzięczności swego bramkarza. – *Dużo miałem w tym meczu roboty. Śliska piłka nie chciała się kleić do rąk. Zawaliłem bramkę, bo nie wyczułem intencji strzelca. Myślałem bowiem, że strzał pójdzie w krótki róg, a tymczasem stało się odwrotnie. Przy zmianie pozycji do interwencji poplątały mi się ręce i piłka niepotrzebnie wpadła mi do siatki. Myślę, że ten błąd podarują mi kibice, bo przecież wygraliśmy mecz* – komentował Szymkowiak swą grę.

Karierę zakończył w 1969 roku w wieku 37 lat. Potem trenował drużyny młodzieżowe Polonii Bytom. Zmarł w 1990 roku. Dziś jego imię nosi stadion Polonii. Przed wejściem znajduje się pomnik Szymkowiaka w pozie efektownej robinsonady. Wielu uznaje go nawet dziś za najlepszego bramkarza wszech czasów w Polsce.

JERZY WOŹNIAK

(obrońca)

Kluby w Ekstraklasie: Legia Warszawa
Lata gry: 1954-1967
Mecze/gole: 217/3

„Polska szkoła bramkarska”, wielu napastników światowej klasy czy skrzydłowych ze sławą międzynarodową. Na kilku pozycjach Polska ma wielkie tradycje. Piłkarskim Waterloo w szkoleniu kraju nad Wisłą pozostaje niezmiennie lewa obrona. Zdarzyło się jednak kilka wyjątków w tej feralnej serii. Bodaj pierwszym z nich był Jerzy Woźniak, świetny defensor Legii Warszawa z przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

Niefartu w kluczowym momencie nie uniknął zresztą nawet on. Brał udział z reprezentacją Polski w towarzyskim starciu z NRD. Było to pierwsze w dziejach spotkanie na Stadionie Śląskim. Dlatego władze przewidziały okolicznościową statuetkę dla autora premierowego gola na

tym obiekcie. I teoretycznie powinna ona trafić w ręce Woźniaka. On jako pierwszy skierował piłkę do siatki. Problem polegał na tym, że do swojej… Ostatecznie więc trofeum nie zmieniło nigdy właściciela.

To jednak jedna z niewielu pechowych rys na karierze Woźniaka. Dziennikarz Roman Hurkowski, umieścił go w pierwszej „50” najwybitniejszych zawodników w historii Polski. – *Wyprzedzał swoje czasy o dwie epoki do przodu* – stwierdził, uzasadniając ten wybór. Woźniak był bardzo pewny na lewej flance, popełniał niezwykle mało błędów i posiadał świetną technikę. Jednak najmocniej wyróżniał się ciągłym podłączaniem do akcji ofensywnych własnego zespołu. W odróżnieniu od kolegów po fachu przywiązanych raczej do pola karnego. Dlatego znajdował się w czołówce najnowocześniejszych pod względem stylu gry defensorów lat pięćdziesiątych na całym świecie.

Z tych jego talentów skwapliwie korzystała Legia Warszawa. Wprawdzie skuteczność nie należała do najmocniejszych stron Woźniaka, ale już dośrodkowania wychodzące spod jego nóg były ważnym atutem Wojskowych w starciach z rywalami. Nieźle też wykonywał stałe fragmenty gry. Do tego stopnia, że czasem rzuty wolne czy rożne oddawał mu sam mistrz tego fachu, klubowy kolega – Lucjan Brychczy. Na zgrupowaniu reprezentacji Polski przed słynnym meczem ze Związkiem Radzieckim to jemu selekcjoner Henryk Reyman powierzył wykonywanie rzutów karnych. – *Na treningach strzały Woźniaka wszystkim zaimponowały. Szymkowiak był przy*

nich dziecinnie bezradny – odnotowywali obserwatorzy. Wielu zapamiętało też charakterystyczny styl biegu Woźniaka. Był bardzo szybki, ale przede wszystkim poruszał się bardzo elegancko. W ogóle rzadko musiał się też posuwać do fauli.

Razem z Legią Warszawa w latach 1955-1956 wywalczył dwa dublety składające się z mistrzostwa i Pucharu Polski. W tych dwóch edycjach, gdy na Wojskowych nie było mocnych, Woźniak rozegrał w pełnym wymiarze wszystkie mecze ligowe! Potem jeszcze raz wywalczył Puchar Polski, a na podium mistrzostw kraju stanął dwukrotnie (po razie na drugim i trzecim stopniu). Brał też udział w pierwszym w historii zwycięskim spotkaniu polskiego zespołu w europejskich pucharach. Razem z kolegami z Legii pokonali w nim 2:0 Slovan Bratysława. Kilka lat później z Wojskowymi doszedł do ćwierćfinału Pucharu Zdobywców Pucharów. W sumie przez trzynaście lat gry w Ekstraklasie rozegrał 217 spotkań i strzelił trzy gole.

Łatka pechowca ze Śląskiego może i długo się za nim ciągnęła, ale na pewno nie przeszkodziła w zrobieniu imponującej kariery reprezentacyjnej. W biało-czerwonych barwach rozegrał 35 spotkań, co wtedy plasowało go w TOP-10 tej klasyfikacji. Brał udział w słynnej potyczce ze Związkiem Radzieckim – *Po wygranym meczu wydaje się, że wszystko było wspaniale. Z trybun było z pewnością widać nasze błędy, lecz nie mówmy o tym, co było złe. Dziś przecież nasze święto* – komentował na „gorąco” ten

występ. Zagrał też w dwóch spotkaniach podczas Igrzysk Olimpijskich w 1960 roku.

Legia Warszawa uhonorowała go miejscem w Galerii Sław tego klubu. Jerzy Woźniak zmarł w 2011 roku.

EDMUND ZIENTARA

(pomocnik)

Kluby w Ekstraklasie: Polonia Warszawa, Legia Warszawa, Gwardia Warszawa
Lata gry: 1948-1962
Mecze/gole: 251/6

Syrenka, starówka, Park Łazienkowski. To najbardziej znane symbole Warszawy. Wśród piłkarskich znaków rozpoznawczych stolicy nie może zaś braknąć sylwetki Edmunda Zientary. Piłkarza, który zarówno życie, jak i karierę związał z tym miastem.

Pierwsze spotkania po II wojnie światowej rozgrywane tutaj, były dla niego przeżyciem szczególnym. Jeszcze kilkanaście miesięcy wcześniej widział swoje rodzinne miasto obrócone w gruz. Powstanie Warszawskie zabrało mu ojca, ostatnia okupacyjna zima położyła zaś do grobu schorowaną matkę. On sam ledwo wyrwał się spod ściany śmierci, tylko dlatego, że znał po niemiecku akurat słowo

„piętnaście” i uznano go za zbyt młodego do rozstrzelania. Musiał też potem w konspiracji używać dokumentów zabitego Andrzeja Szczepańskiego. Dlatego długi czas po wojnie wiele osób mówiło do niego per „Andrzej”. Ciężkie przeżycia go jednak nie złamały, ale zahartowały jego ducha, czyniąc z niego twardego zawodnika z wielkimi zdolnościami przywódczymi.

Był jednym z nielicznych piłkarzy, którzy w Ekstraklasie zagrali w barwach trzech różnych warszawskich klubów. Zaczynał w Polonii Warszawa. Potem przeniósł się do Legii, a następnie do Gwardii, by wrócić po kilku sezonach w szeregi Wojskowych. I głównie z tą drużyną jest dziś Zientara kojarzony.

Jako kapitan sięgnął z nią po dublet, czyli mistrzostwo i Puchar Polski w 1956 roku. Świetnie wyszkolony technicznie, wszechstronny zawodnik z bardzo dobrym przeglądem pola nadawał tempo grze Wojskowych. W ataku rządzili wtedy Edmund Kowal, Lucjan Brychczy, Henryk Kempny oraz Ernest Pohl. On zaś był ostoją pomocy. Sam kiedyś zdradzał umiejętności do gry w najbardziej wysuniętej formacji. Ostatecznie jednak z powodu zbyt słabego strzału został nieco cofnięty. Poza jedynym mistrzostwem wywalczył po jednym medalu z pozostałych kruszców.

Jest do dziś jedynym w historii piłkarzem, który zagrał w reprezentacji Polski jako przedstawiciel trzech klubów ze stolicy. Jeden raz zrobił to, będąc powołanym z Polonii, trzy razy z Gwardii, a aż trzydzieści sześć razy z Legii

Warszawa. Był dopiero drugim po Gerardzie Cieśliku zawodnikiem, który uzbierał czterdzieści występów w drużynie narodowej. W biało-czerwonych barwach występował aż jedenaście lat. Ostatni selekcjoner, pod którego wodzą grał, Ryszard Koncewicz, uważał go za jednego z najinteligentniejszych polskich zawodników.

Brał udział w zwycięskim starciu przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Nie wspominał tego jednak najlepiej. Prasa uznawała Zientarę za jednego z najsłabszych piłkarzy po polskiej stronie. Omal też nie strzelił samobója. Na usprawiedliwienie – do rywalizacji przystąpił z kontuzją. Musiał dostać kilka zastrzyków, aby stanąć na nogi. Podobnie jak w Legii, tak i w kadrze narodowej pełnił funkcję kapitana. Opaskę przejął po Gerardzie Cieśliku. Na ramieniu z nią wystąpił dziewiętnaście razy. W tej roli poprowadził również zespół narodowy podczas Igrzysk Olimpijskich w 1960 roku w Rzymie.

Karierę zakończył w Australii. Nawet po zawieszeniu butów na kołku nie rozstał się całkowicie z piłką. Przez wiele lat był jednym z najlepszych szkoleniowców w Ekstraklasie. To on poprowadził Legię Warszawa do półfinału PEMK, a Stal Mielec do ćwierćfinału Pucharu UEFA, co czyni z niego jedynego szkoleniowca, który z dwoma polskimi klubami występował na tak zaawansowanym etapie w europejskich pucharach. Trzy razy w tej roli zdobył mistrzostwo Polski. Aż do czasów Jacka Magiery był jedynym w historii Legii człowiekiem, który po ten tytuł sięgał zarówno jako piłkarz, jak

i szkoleniowiec Wojskowych. Prowadził także Pogoń Szczecin, Wisłę Kraków oraz kluby cypryjskie. Jego niespełnionym marzeniem pozostawała jednak reprezentacja Polski. Ostatecznie krótko pełnił w niej tylko rolę asystenta.

Był sekretarzem generalnym PZPN w latach 1991-1995. Krajowa federacja uczciła go tytułem członka honorowego. Legia Warszawa przyjęła go natomiast do swojej Galerii Sław.

Zmarł w 2010 roku.

źródło: archiwum Górnika Zabrze

ZYGMUNT ANCZOK

(obrońca)

Kluby w Ekstraklasie: Polonia Bytom, Górnik Zabrze
Lata gry: 1963-1974
Mecze/gole: 232/0

Ból głowy związany z obsadą lewej obrony był całkowicie obcy selekcjonerom reprezentacji Polski na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Dysponowali bowiem w swoich szeregach jednym z najlepszych specjalistów od gry na tej flance defensywy na świecie – Zygmuntem Anczokiem.

Potwierdzeniem tej pozycji w międzynarodowym futbolu było powołanie zawodnika grającego wówczas w Polonii Bytom do reprezentacji Europy, przez Seppa Herbergera na mecz pożegnalny Lwa Jaszyna rozgrywany w Moskwie przy stu tysiącach widzów. Akurat w tamtym starciu zagrał on na prawej stronie obrony. Zyskał jednak

bardzo pozytywne recenzje, a dodatkowo zdobył na własność piłkę, którą rozegrano spotkanie i zebrał na niej autografy swoich kolegów z boiska. A było od kogo zbierać. U jego boku wystąpili między innymi Bobby Charlton, Gerd Müller, Dragan Dżajić, Christo Bonew, Giacinto Facchetti. On sam zmienił Jeana Djorkaeffa (ojca przyszłego mistrza świata – Youriego) po przerwie.

W tym gronie mistrzów i medalistów najważniejszych imprez Anczok nie był postacią anonimową. O jego sile zdołali się już wcześniej przekonać Garrincha, Pele czy Allan Ball. – *Anczok w szybkim tempie wyrósł nam na obrońcę klasy doprawdy już międzynarodowej. Nazywanie go „polskim Facchettim" jest już uzasadnione* (…). *Anczok jest w chwili obecnej najlepszym naszym piłkarzem* – pisali dziennikarze po spotkaniu reprezentacyjnym z Anglią, gdy stanowił mur nie do przebicia dla dumnych synów Albionu.

Wielkie wrażenie robiła jego elegancja, szybkość i wytrzymałość, ale przede wszystkim dalekie ofensywne wypady, rzadkie jeszcze wtedy u zawodników na jego pozycji. Sam wziął ten styl od Facchettiego, którego podglądał dzięki… nielegalnie oglądanej czechosłowackiej telewizji. Znakomita wydolność pozwalała mu bez szwanku dla drużyny wracać do swojej formacji, gdzie już z wielką pieczołowitością zajmował się przeciwnikiem.

Swoimi występami w kadrze przeciwko Brazylii, Argentynie czy Anglii wywołał tak wielkie wrażenie, że już jako dwudziestolatek został pierwszym w historii Piłkarzem Roku w plebiscycie katowickiego „Sportu". Ale ten

elegancki, dystyngowany wręcz obrońca był autorem „psikusa” zrobionego sędziemu Victorowi Padureanu na pomeczowym bankiecie. Rumuński arbiter w starciu z Bułgarią wyraźnie forował rywali. Anczok udał, że ostrzy nóż i pokazał sędziemu kilka wyzywających gestów. Podobno ten nieomal wybiegł z sali…

Duże sukcesy odnosił także ze swoim klubem na arenie międzynarodowej. W 1965 roku z Polonią Bytom zdobył Puchar Rappana. Brał udział w obu spotkaniach finałowego dwumeczu przeciwko Lokomotiwowi Lipsk. Kilka miesięcy później przyczynił się do sukcesu w rozgrywkach Interligi oraz Pucharu Ameryki, czyli prestiżowych turniejach organizowanych w USA dla europejskich zespołów. Po powrocie do kraju kibice z Bytomia nieśli na rękach cały zespół, od dworca aż do stadionu.

Na pierwsze – i jedyne – mistrzostwo Polski w karierze musiał jednak poczekać do przenosin w szeregi Górnika Zabrze. Złoto udało mu się zdobyć w sezonie 1971/72. Był to zresztą szczęśliwy dla niego rok. Kilka miesięcy po triumfie w lidze odniósł swój największy sukces reprezentacyjny. Razem z zespołem kierowanym przez Kazimierza Górskiego zdobył mistrzostwo olimpijskie. Anczok czuwał nad lewą stroną w każdym z siedmiu spotkań tego turnieju.

Niewiele później musiał jednak zakończyć poważną karierę. Wielokrotne kontuzje kości śródstopia uniemożliwiły mu wyjazd na Mistrzostwa Świata w 1974 roku. W tym samym czasie zagrał po raz ostatni

w Ekstraklasie. Swój bilans zamknął na 232 meczach na tym szczeblu rozgrywek i czterech medalach (złoto, srebro, dwa razy brąz). Zdobył także Puchar Polski.

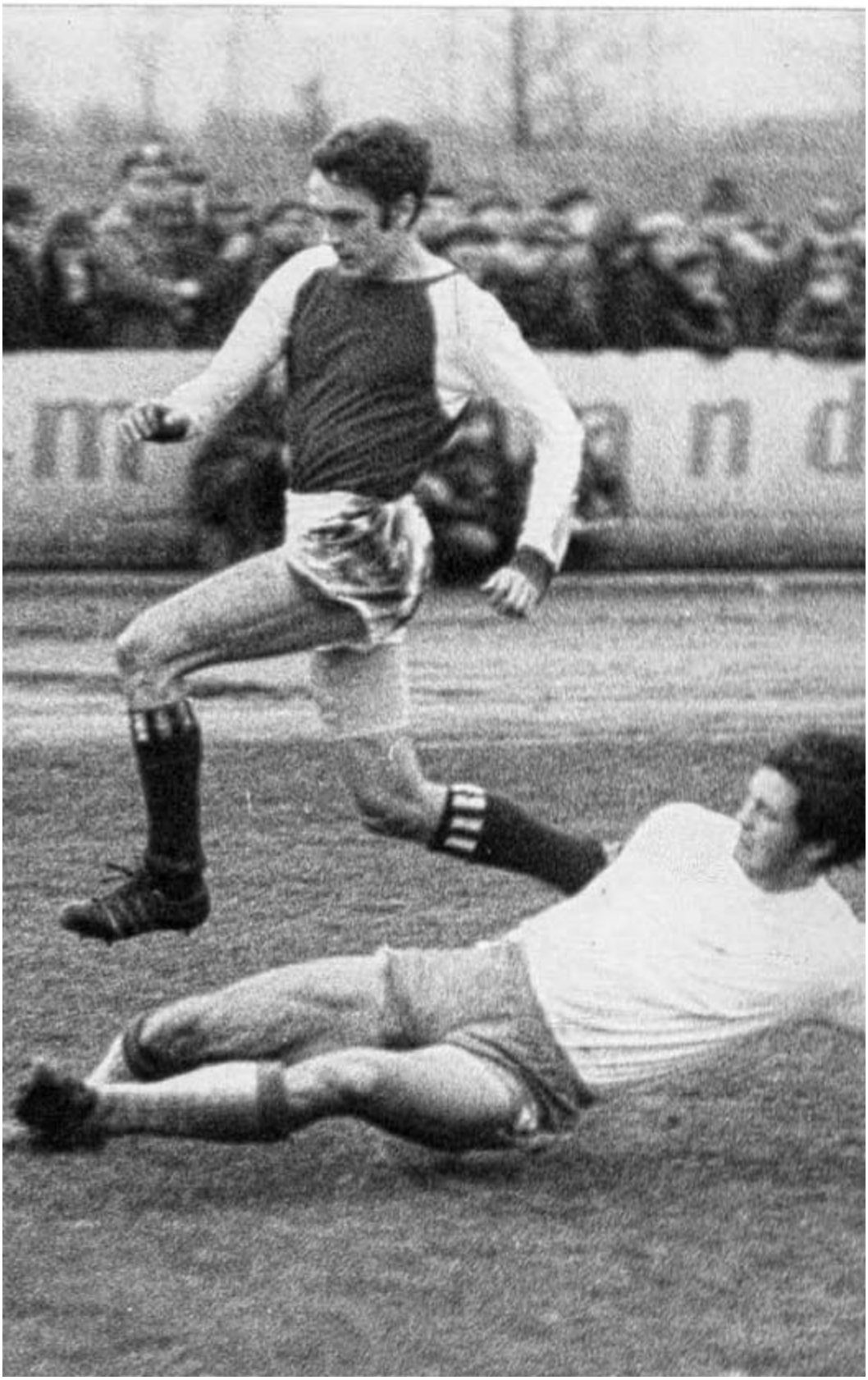

źródło: archiwum Górnika Zabrze

JAN BANAŚ

(pomocnik)

Kluby w Ekstraklasie: Polonia Bytom, Górnik Zabrze
Lata gry: 1962-1975
Mecze/gole: 269/85

– *Manchester to welki zespol. Nejlepszi je tam Bobby Charlton. Jeszcze lepszi je Law. Ale nejlepszi to je George Best. To je ancykryst. Tak Best je najlepszi. Na niego przede wszystkim pozior!* – mówił przed ćwierćfinałowym spotkaniem PEMK z Manchesterem United, łamanym polsko-słowackim językiem, węgierski trener Górnika Zabrze Geza Kalocsay. Jego zawodnicy stawili zacięty opór faworyzowanym przeciwnikom. W Anglii przegrali 0:2, u siebie pokonali Czerwone Diabły 1:0. Zabrakło im może tylko krzty szaleństwa, które w zespole kierowanym przez sir Matta Busby'ego wprowadzał George Best. Radą na ten problem okazał się ściągnięty kilka miesięcy potem… „polski Best". Tak właśnie nazywano Jana Banasia. Polak na

słynnym Irlandczyku wzorował swój styl gry, ubiór, a nawet fryzurę.

Niski, ale znakomity technicznie, ze zmysłem do gry kombinacyjnej i obdarzony świetnym strzałem Banaś, występujący w juniorach Zrywu Chorzów, zwrócił uwagę działaczy mistrzowskiej Polonii Bytom. Już jego debiut w Ekstraklasie, 9 września 1962 roku przykuł uwagę kibiców. – *Dawno nie byliśmy świadkami tak udanego debiutu. Z dużą przyjemnością i prawdziwą satysfakcją patrzyliśmy wczoraj na grę młodziutkiego Banasia, który pięknie wprowadził się do zespołu Polonii Bytom. Jest to młodzieniec bardzo piłkarsko utalentowany, o znacznym już zaawansowaniu technicznym, poprawnej grze pozycyjnej i – co bardzo ważne – dobrym strzale* – pisał reporter „Trybuny”. Premiera zakończyła się golem strzelonym z 20 metrów w samo okienko bramki Lechii Gdańsk. Wkrótce piękne trafienia stały się jego znakiem firmowym. Wolej z trzydziestu metrów między „widłami” z ŁKS Łódź, przyjęcie na klatkę i strzał z półobrotu zza pola karnego z Odrą Opole, rajd przez połowę boiska z Unią Racibórz – to raptem wierzchołek listy tych najbardziej efektownych goli jego autorstwa.

Na znajomo brzmiące nazwisko w jednej z gazet trafił skarbnik drugoligowego niemieckiego klubu SpVgg Hof, Paul Helmig. Ojciec Banasia, zamieszkały w Niemczech, który nie utrzymywał z nim kontaktu. Kilka skreślonych przez niego w liście słów otwierało przed młodym piłkarzem perspektywy znalezienia klubu za zachodnią

granicą. Na ucieczkę zdecydował się podczas wyjazdu Polonii do szwedzkiego Norrkoping na mecz Pucharu Intertoto. W Bundeslidze jednak nigdy nie zagrał. – *Zarząd klubu stwierdza, że niegodny postępek trzech byłych zawodników KS Polonia spotkał się ze stanowczym jednomyślnym potępieniem ze strony wszystkich zawodników i członków klubu, a także szerokich rzesz jego sympatyków. Równocześnie zarząd klubu wystąpił poprzez PZPN do FIFA o dyskwalifikację w/w piłkarzy* – głosił komunikat Polonii. FIFA nie miała wyjścia i na Banasia nałożona została dwuletnia karencja.

Banaś w Niemczech mógł tylko trenować z FC Koeln. Na półmetku dyskwalifikacji postanowił więc wrócić do kraju. Na szczęście władze wyraziły zgodę na ponowną grę tego znakomitego futbolisty. – *Banaś znów zadziwia techniką* – napisał „Sport” po jego pierwszym występie. Historia zatoczyła koło. Jego ostatnim meczem przed wyjazdem były derby Bytomia przeciwko Szombierkom i od starcia z tym rywalem, zaczął pisać swą historię od nowa i spłacać kredyt zaufania. Pierwszą ratę stanowiło trafienie w premierowym pojedynku po powrocie. Ale to nie gwarancja goli stanowiła klauzulę powrotu. Warunki były dwa. Po pierwsze zmiana imienia „Heinz” na „Jan”. Po drugie zakaz wyjazdu z reprezentacją do Niemiec. Pechowo właśnie w tym kraju odbywały się Igrzyska Olimpijskie 1972 i Mistrzostwa Świata 1974. W ten sposób piłkarzowi uciekły dwa medale. Za pierwszym razem próbował jeszcze oponować selekcjoner Kazimierz Górski. Działacze

twierdzili jednak, że „Bild” grozi wywleczeniem tej sprawy i automatyczną dyskwalifikacją całej reprezentacji, w związku z tym, musiał spasować.

Na osłodę pozostał mu gol strzelony w starciu eliminacyjnym Anglikom w słynnym meczu oglądanym przez sto tysięcy kibiców na Stadionie Śląskim, chociaż i tu nie ma pełnej zgodności. Niektórzy to trafienie przypisują wykonawcy rzutu wolnego – Robertowi Gadosze, inni uznają za samobója Anglików. – *To moja bramka* – przecina wątpliwości Banaś. – *Musiałem jej dotknąć, żeby nabrała takiej wysokości. Nie ma mowy o koźle albo samobóju Anglika*.

Brak sukcesów reprezentacyjnych powetował sobie też na niwie klubowej. Z Górnikiem Zabrze dwa razy sięgnął po mistrzostwo Polski i trzy Puchary Polski. Był też jednym z bohaterów słynnej batalii Zabrzan w Pucharze Zdobywców Pucharów w sezonie 1969/70. Drużyna doszła wtedy do finału walki o to trofeum. W poprzednich rundach strzelił dwa gole Olympiakosowi Pireus, zaliczył decydujące trafienie w ćwierćfinale z Lewskim Sofia, a także zdobył bramkę w Rzymie w słynnym półfinałowym tryptyku z AS Roma.

Właśnie z tym klubem i finałem PZP Banaś jest kojarzony najmocniej. Ale już jako piłkarz Polonii Bytom notował spore sukcesy na arenie kontynentalnej. Razem ze swą pierwszą drużyną Ekstraklasy zdobył pięć lat wcześniej Puchar Rappana. Do dziś jest to jedyne trofeum polskiej

drużyny, wywalczone w europejskich całosezonowych rozgrywkach klubowych.

Banaś brał udział w zwycięskich potyczkach grupowych m.in. z RC Lens (4:0) czy Schalke 04 (6:0), w którym strzelił dwa gole, w ćwierćfinale z SC Karl-Marx Stadt z NRD, półfinale z RFC Liege, a także finałowym dwumeczu z Lokomotiwem Lipsk. Po pierwszym spotkaniu bytomianie przegrywali 0:3. W rewanżu u siebie zaczęli od straty bramki. Nie poddali się jednak. Banaś strzelił gola na 4:1 wyrównującego stan rywalizacji finałowej, a przy ostatecznym trafieniu zaliczył asystę. Chwilę później wraz z kolegami mógł podnieść okazałą figurę z brązu.

Aż do batalii Górnika w PZP i Legii w PEMK był to największy sukces polskiego futbolu klubowego. Rok wcześniej Polonia również uczestniczyła w Pucharze Rappana, ale starcie finałowe zakończyło się porażką. W ten sposób Jan Banaś po batalii w PZP z Górnikiem Zabrze stał się jedynym piłkarzem w historii, który uczestniczył w trzech finałach europejskich pucharów w barwach klubów z Ekstraklasy!

Do tego doszły triumfy w USA, gdzie Polonia z Banasiem w składzie najpierw wygrała rozgrywki Interligi, a następnie w dwumeczu finałowym o Puchar Ameryki pokonała Duklę Praga. Banaś strzelił gola w finałach obu tych rozgrywek.

Jednak nie tylko wspaniałe gole, sztuczki techniczne czy pokaźna półka z trofeami były źródłem jego popularności. Barwne było także jego życie prywatne.

Otaczała go sława playboy’a. Eleganckie ubrania kupował właściwie podczas każdego wyjazdu zagranicznego. Do tego dochodził styl wzorowany na George’u Beście, modna fryzura, dusza podrywacza zapewniały mu stałe towarzystwo płci pięknej. Najbardziej wyróżniał go jednak na szarych ulicach Śląska… czerwony ford mustang.

Sam po boisku poruszał się zawodowo, a potem półzawodowo do 47. roku życia! Po Górniku Zabrze bronił jeszcze barw klubów amerykańskich, belgijskich, francuskich, meksykańskich. – *Nic na to nie poradzę, że mnie ciągnie w świat. Już bym nie mógł usiedzieć w Bytomiu czy gdzie indziej, mówię panu o tym otwarcie* – powiedział Kazimierzowi Górskiemu. Potem dorabiał, prowadząc biznes i szkoląc młodych piłkarzy ze Śląska.

Po latach ciszy znów stanął w świetle jupiterów. Na prapremierze filmu „Gwiazdy”, która odbyła się 20 kwietnia 2017 r. w zabrzańskim multikinie. Stawili się na niej selekcjoner reprezentacji Polski – Adam Nawałka, wielu znakomitych piłkarzy dawnego Górnika na czele ze Stanisławem Oślizłą, Władysławem Szaryńskim, Henrykiem Latochą czy Janem Gomolą. Ponadto przybyli też kolega z Polonii Bytom – Zygmunt Anczok oraz dawny druh ze Zrywu Chorzów, później trener medalistów MŚ – Antoni Piechniczek.

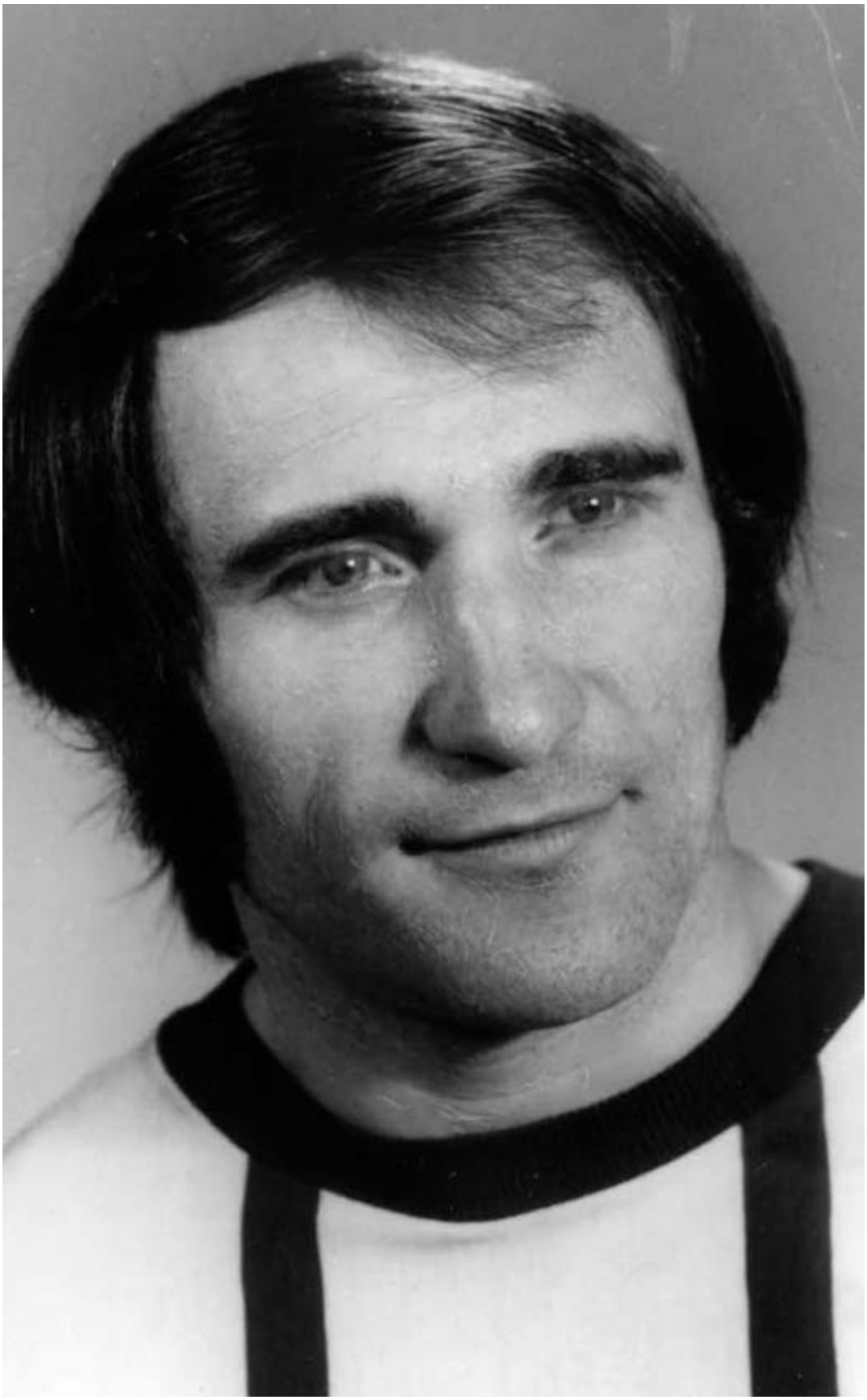

źródło: archiwum Ruchu Chorzów

PIOTR CZAJA

(bramkarz)

Kluby w Ekstraklasie: GKS Katowice, Ruch Chorzów
Lata gry: 1965-1979
Mecze/gole: 329/0

Wraz z pierwszym gwizdkiem meczu Ruchu Chorzów przeciwko Stali Rzeszów w sezonie 1970/71 Piotr Czaja stał się pierwszym w historii bramkarzem z czterocyfrową serią minut bez przepuszczonej bramki w Ekstraklasie. Do dziś z wynikiem 1.005 minut nie znalazł pogromcy w tej klasyfikacji.

Piotr Czaja wyróżniał się przede wszystkim intuicją, świetną grą na przedpolu i skutecznością w pojedynkach „jeden na jeden” z napastnikami. Te umiejętności wyniósł jeszcze z czasów gry w piłkę ręczną, gdzie należał do najlepszych obrotowych na Śląsku. Dostał nawet powołanie na konsultację kadry juniorskiej w szczypiorniaku. Przez

przypadek w tym samym czasie stanął kiedyś na bramce w halowym turnieju juniorskim i wypadł tak dobrze, że zainteresował trenera reprezentacji juniorów regionu. To przestawiło zwrotnicę w jego życiu sportowym na piłkę nożną.

Do Ekstraklasy dostał się razem z GKS Katowice. W tym klubie rozpoczął też swoją rekordową serię. Od 81. minuty spotkania 16. kolejki sezonu 1969/70 nie dał sobie wbić już ani jednego trafienia, aż po kres rozgrywek. GKS, choć zajął wtedy dopiero 7. miejsce, w liczbie straconych goli ustąpił pola tylko mistrzowskiej Legii (18–17). Sam Czaja w przerwie letniej przeniósł się do Ruchu Chorzów i tam przyłożył pieczęć do niepobitego, aż do dziś, wyniku w najdłuższej serii bramkarskiej bez straconego gola. W ciągu całej kariery w Ekstraklasie w ponad stu meczach nie stracił żadnej bramki.

To z Niebieskimi sięgnął po swoje największe sukcesy drużynowe w Ekstraklasie. Dwa sezony z rzędu (1973/74 i 1974/75) zostawał wraz z nimi mistrzem Polski. Ten sam sukces powtórzył w 1979 roku w swej ostatniej edycji w karierze. Był wicemistrzem w 1973 roku. Do tego dołożył Puchar Polski, co w 1974 roku dało mu dublet. Razem z Niebieskimi doszedł ponadto do ćwierćfinałów w Pucharze UEFA i Pucharze Europejskich Mistrzów Klubowych rok po roku.

Stosunkowo niedługo po pobiciu rekordu, nastąpił jednak kryzys. W krótkim czasie doznał dwóch urazów

głowy po starciach z przeciwnikami. Dlatego też długo borykał się z lękiem przed interwencjami.

Był zaledwie drugim bramkarzem, po Edwardzie Szymkowiaku, z ponad trzystoma występami w Ekstraklasie. Dziś poza tym golkiperem na liście wyprzedzają go z następców w tym fachu tylko Janusz Jojko, Bogusław Wyparło i Piotr Lech.

Mniej spełniony jest w reprezentacji. Przez cały czas kariery musiał rywalizować o prawo gry w biało-czerwonych barwach z wybitnymi konkurentami: Edwardem Szymkowiakiem, Hubertem Kostką, Marianem Szeją, Janem Tomaszewskim, Zygmuntem Kalinowskim, Zygmuntem Kuklą, Piotrem Mowlikiem czy Józefem Młynarczykiem. Stąd w kadrze nie wyszedł poza rolę zmiennika. Tylko dwukrotnie udało mu się dla niej zagrać. Był też trenerem bramkarzy podczas MŚ 1982, na których Polacy zajęli trzecie miejsce. To on czuwał nad formą Józefa Młynarczyka w tym turnieju.

źródło: archiwum Zagłębia Sosnowiec

ANDRZEJ JAROSIK

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Zagłębie Sosnowiec
Lata gry: 1963-1975
Mecze/gole: 265/113

Ponury cień na jego karierze kładzie historia z półfinału Igrzysk Olimpijskich w 1972 roku. Przy stanie 1:0 dla Związku Radzieckiego, selekcjoner Kazimierz Górski chciał wpuścić bramkostrzelnego napastnika do gry na ostatnie dwadzieścia pięć minut gry za Zbigniewa Guta. Obrażony za brak szans w poprzednich spotkaniach Andrzej Jarosik odparł bez namysłu – *Teraz to ja nie gram…* – (choć sam trener twierdził, że gracz raczej zawahał się, niż odmówił). Trener postawił więc ostatecznie na Zygfryda Szołtysika, a sam Jarosik popadł w niesławę, choć był niewątpliwie jednym z najlepszych napastników Ekstraklasy w latach sześćdziesiątych.

To nie był zresztą jednorazowy wyskok Jarosika. Piłkarski geniusz miał raczej ciężki charakter. Zwykle trzymał się na uboczu. Lubił za to narzucać swoje zdanie i grać pod siebie. Uważany za nieprzystępnego samoluba nie cieszył się wielką sławą w Polsce. Bez względu na opinie o charakterze, jego osiągnięcia boiskowe nie podlegają żadnej dyskusji.

Gole Jarosika powiodły Zagłębie do trzykrotnego wicemistrzostwa Polski oraz do dwóch brązowych medali. Najcenniejszy z nich padł w 1972 roku. Był on setną bramką tego napastnika, a w dodatku w starciu ze Stalą Mielec zapewnił jego drużynie srebro na koniec sezonu. Raz wystąpił też w finale Pucharu Polski (1971). W 1964 wygrał w USA Inernational Soccer League z Zagłębiem, trzy lata później awansował zaś do półfinału Pucharu Rappana.

– *Był przebojowym napastnikiem, obdarzonym silnym strzałem* – wspominał go Kazimierz Górski. Indywidualnie Andrzej Jarosik należał do grona najskuteczniejszych zawodników lat sześćdziesiątych. W 1970 i 1971 roku przez dwa sezony z rzędu nakładał koronę króla strzelców. W czterech sezonach w swej karierze strzelił co najmniej piętnaście goli, a sześć razy zanotował dwucyfrowy dorobek. Kiedy wyjeżdżał z Zagłębia do Francji w 1974 roku, zajmował dziesiątą pozycję na liście najskuteczniejszych zawodników w historii ligi. Dziś z dorobkiem stu trzynastu goli w tej klasyfikacji spadł o siedem lokat. Zdobył ponadto „Złote Buty” dla

najlepszego ligowego piłkarza 1970 roku. Nikt z następców Jarosika w barwach Zagłębia nie przebił jego osiągnięć w tym zakresie. Ba! To on nadal pozostaje ostatnim zdobywcą hat-tricka dla tego klubu w Ekstraklasie.

W reprezentacji Polski rozegrał dwadzieścia pięć meczów i strzelił w nich jedenaście goli, w tym hat-tricka przeciwko Norwegii i dublet w starciu eliminacji MŚ 1970 z Bułgarią. Po niesławnym epizodzie związanym z odmową gry w półfinale igrzysk, już nigdy nie został powołany do kadry. Nie dostał też medalu olimpijskiego ani odznaczeń państwowych, w przeciwieństwie do reszty drużyny. Dopiero w XXI wieku Polski Komitet Olimpijski nadał mu zasłużony status mistrza olimpijskiego.

Po zakończeniu gry w barwach Zagłębia Sosnowiec Andrzej Jarosik wyjechał do Francji. Karierę zakończył pięć lat później. Nie utrzymuje kontaktów z kolegami z boiska i nie przyjeżdża do Polski.

źródło: archiwum prywatne, udostępnione przez Karolinę Biedrzycką

WŁADYSŁAW KAWULA

(obrońca)

Kluby w Ekstraklasie: Wisła Kraków
Lata gry: 1956-1964, 1965-1971
Mecze/gole: 329/26

Nawet w latach sześćdziesiątych, gdy zmiany klubu były dużo rzadsze niż obecne, lojalność Władysława Kawuli budziła podziw. Dobrze zbudowany stoper z atomowym strzałem, na dobre i złe związał się z Wisłą Kraków. Do dziś uważany jest za jednego z najlepszych obrońców w historii tego klubu.

Był dopiero czwartym zawodnikiem w historii – po Edwardzie Szymkowiaku, Horście Mahselim, Lucjanie Brychczym – który na najwyższym poziomie rozgrywkowym w Polsce rozegrał ponad trzysta spotkań. Być może nawet wyprzedziłby dwóch z tych zawodników, gdyby nie spadek Wisły do II ligi w 1964 roku. Mimo to pozostał wierny Białej

Gwieździe i po roku absencji znów wywalczył prawo gry w elicie.

Był to zresztą jeden z efektowniejszych powrotów w historii rozgrywek. Wisła Kraków jako beniaminek wywalczyła bowiem wicemistrzostwo Polski. Wcześniej świeżo po awansie w TOP-2, sezon kończyły tylko Cracovia (1. – 1937), AKS Chorzów (2. – 1937), Garbarnia Kraków (2. w 1929 i 1951) oraz Zagłębie Sosnowiec (2. w 1955). Kawula odegrał w tej kampanii decydującą rolę. Nikt nie stracił mniej goli w tamtej rozgrywce, niż właśnie krakowski klub, co było zasługą defensywy kierowanej przez tego stopera. Do tego rok później Wiśle udało się zdobyć jeszcze Puchar Polski. Sam Kawula jednak nie do końca pozytywnie wspominał finał.

Do czasów Kazimierza Węgrzyna to on figurował na 1. miejscu wśród najskuteczniejszych graczy na swej pozycji. Potrafił z trzydziestu-czterdziestu metrów posłać strzał zaskakujący dla bramkarza przeciwników. Raz zdarzyło mu się złamać poprzeczkę po takiej próbie. Często kibice z trybun nawoływali więc głośnymi okrzykami, aby to właśnie on podszedł do rzutu karnego lub wolnego. Za każdym razem wywoływało to dreszczyk podniecenia wśród fanów…

Tak było też w lipcu 1967 roku podczas finału Pucharu Polski przeciwko Rakowowi Częstochowa. Tym razem jednak nerwy go zawiodły. Strzelił za lekko, w dodatku blisko środka bramki, dzięki czemu dał golkiperowi szansę na skuteczną interwencję. Na szczęście w defensywie nie

pozwolił przeciwnikom skierować piłki do siatki. Jego koledzy natomiast zdobyli dwie bramki, co pozwoliło mu podnieść, jako kapitanowi, trofeum za triumf w tych rozgrywkach. Pomyłka nie zmieniła zaś nastawienia trybun do niego. Nadal Władysław Kawula pozostał ulubieńcem kibiców zasiadających przy Reymonta.

Odwdzięczał się za to skuteczną grą w obronie. W dodatku bardzo uczciwą. Przez całą swoją karierę ani razu nie został wyrzucony z boiska. W sumie rozegrał na najwyższym poziomie rozgrywkowym 329 meczów, co do 2017 roku było rekordem Wisły Kraków. Wszystkie te spotkania zanotował bowiem w barwach Białej Gwiazdy. Zawsze zaczynał spotkania w wyjściowym składzie i tylko raz został zmieniony (z powodu kontuzji). Daje to liczbę ponad 29.500 minut spędzonych w koszulce z Białą Gwiazdą na boiskach Ekstraklasy! Do dziś figuruje na 10. miejscu pod względem liczby spotkań w jednym klubie w najwyższej klasie rozgrywkowej.

Przez wiele lat pełnił funkcję kapitana Wisły, między innymi podczas debiutu klubu w Pucharze Zdobywców Pucharów z HJK Helsinki. Wcześniej uczestniczył z Białą Gwiazdą też w Pucharze Rappana. W tych rozgrywkach wpisał się nawet dwa razy na listę strzelców, pokonując bramkarzy 1.FC Kaiserslautern i Malmoe FF.

W reprezentacji Polski zagrał tylko pięć razy i jakoś tak się złożyło, że ani razu nie dane mu było cieszyć się z wygranej. Z nim w składzie drużyna narodowa raz zremisowała i czterokrotnie przegrała. Krótko występował

w Stanach Zjednoczonych, gdzie robił furorę w lidze halowej.

Zmarł w 2008 roku. Jego imię nosi stadion Prądniczanki Kraków. Kawula został wybrany do „Jedenastki Stulecia Wisły Kraków”.

źródło: archiwum Pogoni Szczecin

MARIAN KIELEC

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Pogoń Szczecin
Lata gry: 1959-1960, 1962-1971 i 1978
Mecze/gole: 218/80

Odległość między Kimpulungiem Mołdawskim, leżącym dziś w Rumunii a Szczecinem, to blisko półtora tysiąca kilometrów. Najszybsze połączenie samochodowe między tymi miejscowościami zabiera obecnie osiemnaście godzin, a cóż dopiero siedem dekad temu. Całe szczęście jednak, że tę trasę zdecydowali się przebyć – nie do końca z własnej woli – rodzice Mariana Kielca. Tej decyzji Pogoń może zawdzięczać jednego z najlepszych napastników w swojej historii.

On sam zaś zawdzięczał swoim rodzinnym stronom… połowę przydomka. Na wzór Eusebio („Czarna Perła z Mozambiku”) nazywano go „Czarną Perłą z Wielgowa”.

Autorów tego pseudonimu uprawniał do nazywania go w ten sposób styl gry Kielca, jego skuteczność, ale też śniada cera, odziedziczona po matce – rodowitej Rumunce.

Kielec zanotował jeden z bardziej spektakularnych początków w historii ligi. W 1959 roku miał ukończone zaledwie siedemnaście lat. W tym czasie na przestrzeni dwóch miesięcy zanotował: debiut, pierwszą bramkę oraz premierowego hat-tricka w Ekstraklasie! Podczas tego ostatniego wyczynu liczył sobie siedemnaście lat i dziewięćdziesiąt trzy dni. Do dziś nie znalazł się nikt młodszy, kto potrafiłby powtórzyć to dokonanie. Był to pierwszy hat-trick Pogoni w historii występów na najwyższym poziomie rozgrywkowym.

Skuteczność utrzymywał również w kolejnych sezonach. W pierwszej w historii edycji rozgrywanej systemem jesień-wiosna, przypadającej na lata 1962/63, udało mu się nawet zostać królem strzelców z wynikiem osiemnastu goli. To on zaczął korowód zwycięzców klasyfikacji strzeleckiej w barwach Portowców. Biorąc pod uwagę niezwykle silną konkurencję – Eugeniusza Fabera, Jana Liberdę, Erwina Wilczka, Józefa Gałeczkę, Ernesta Pohla czy Eugeniusza Lercha – był to wynik imponujący. Marian Kielec w swoim królewskim sezonie zdobył aż osiemnaście z trzydziestu jeden bramek Portowców (58%!).

Trafił jednak na czas, gdy jego klub wlekł się w drugiej połowie stawki ligowców. W tym okresie tylko dwa razy udało się Portowcom zanotować miejsca w TOP-6 (6. i 4.). Gdy został królem strzelców w sezonie 1926/63, jego zespół

został sklasyfikowany dopiero na 11. miejscu. Wcześniej tylko Rochus Nastula w 1929 roku ze wszystkich królów strzelców grał w tak nisko notowanej drużynie w tabeli.

Może z powodu niezbyt dużej siły Pogoni wziął się niezbyt duży udział Kielca w reprezentacyjnych potyczkach lat sześćdziesiątych. W 1962 roku został pierwszym piłkarzem Portowców w kadrze Polski. W przerwie meczu z Marokiem zmienił go Erwin Wilczek i na tym skończyła się jego przygoda z kadrą.

Karierę zakończył w wieku 28 lat, bo… uniósł się honorem. Postanowił bowiem, że kiedy pierwszy raz zostanie posadzony na ławce rezerwowych, to zamiast zmieniać klub, zerwie z boiskiem. Gdyby nie to, pewnie zostałby członkiem Klubu 100. Zabrakło mu ledwie dwudziestu goli. Po ośmiu latach przerwy wrócił na krótko do drużyny. Rozegrał w niej jeden mecz w 1979 roku.

Do dziś jest najlepszym strzelcem Pogoni w meczach ligowych. W samej Ekstraklasie zajmuje drugie miejsce wśród piłkarzy Portowców, za swoim zięciem Leszkiem Wolskim. Stracił do niego osiem goli. Na stałe mieszka w Kanadzie, regularnie jednak odwiedza Szczecin.

źródło: archiwum Górnika Zabrze

HUBERT KOSTKA

(bramkarz)

Kluby w Ekstraklasie: Górnik Zabrze
Lata gry: 1963-1970
Mecze/gole: 222/0

Lata sześćdziesiąte słynęły z barwnych pseudonimów. Jeden z nich nadany został świetnemu bramkarzowi – Hubertowi Kostce. Na poważnego, sumiennego z natury golkipera koledzy mawiali „Farorz”, co znaczy w gwarze śląskiej „proboszcz”. Rzeczywiście, wiele razy okazał się on mężem opatrznościowym Górnika Zabrze oraz reprezentacji Polski.

Grę w lidze łączył ze studiami na kierunku górniczym na Politechnice Śląskiej. W dodatku należał do ścisłej czołówki żaków na swoim roku. Zresztą długo wydawało się, że to właśnie raczej z inżynierią aniżeli z piłką nożną zwiąże swą przyszłość. Koledzy zaciągnęli go jednak już w czasie studiów na trening raciborskiej Unii, która szukała

bramkarza do gry w II lidze. Kostka spodobał się trenerom, a wkrótce ściągnął go do siebie wielki Górnik Zabrze.

Tak jak w nauce, tak i w lidze należał do najlepszych na swojej pozycji. Czołówkę tworzył z Edwardem Szymkowiakiem oraz… swym kolegą klubowym – Janem Gomolą. Często w duecie byli powoływani do reprezentacji Polski. Bywało nawet tak, że jeden grał w lidze, zaś drugi w kadrze.

Najważniejsze mecze w dziejach Górnika przypadły jednak w udziale Kostce. To on bronił – jako jedyny polski golkiper w historii – w finale Pucharu Zdobywców Pucharów, a także w całej kampanii wiodącej do decydującego starcia rozgrywek. Z zabrzanami uczestniczył również w ćwierćfinałach PZP i PEMK. Właśnie w tych ostatnich rozgrywkach w edycji 1967/68, obronił rzut karny wykonywany przez Dynamo Kijów. Żaden inny bramkarz nie miał takich osiągnięć w polskich klubach. Nikt z przedstawicieli tej pozycji nie zdołał też go przebić w liczbie mistrzostw Polski. Aż osiem razy sięgnął po to trofeum w barwach Górnika Zabrze. Sześć razy zdobył Puchar Polski.

W reprezentacji Polski „Farorz” rozegrał w sumie trzydzieści dwa mecze, w których stracił trzydzieści osiem goli. Długie lata pełnił rolę rezerwowego dla Edwarda Szymkowiaka. Dopiero od eliminacji Mistrzostw Europy w 1968 roku został pierwszym wyborem szkoleniowców. Wydawało się, że utracił to miano z początkiem kadencji Kazimierza Górskiego. Trener wszech czasów wolał stawiać

na początku swej kadencji na Władysława Grotyńskiego, Jana Gomolę, Jana Tomaszewskiego czy Mariana Szeję. Kiedy jednak przyszły decydujące spotkania o wejście do Igrzysk Olimpijskich w 1972 roku, znów między słupkami biało-czerwonych pojawił się Kostka i tej pozycji nie oddał podczas samego turnieju.

Bronił we wszystkich siedmiu spotkaniach na tej imprezie, przepuszczając ledwie pięć strzałów przeciwników. *Nieważne z kim gramy, najważniejsze to wygrać* – odpowiadał pewny siebie, gdy zaczęły się spekulacje nad rywalami w drugiej fazie turnieju. Po czym uzasadniał: – *Zarówno dla mnie, jak i dla kilku piłkarzy starszych już wiekiem jest to ostatnia szansa osiągnięcia wyniku na poziomie światowym. Dlatego też uczynimy wszystko, aby taki wynik zdobyć. A naszym młodszym kolegom na ambicji też nie zbywa. Po prostu rzucimy wszystko na jedną kartę.* Efektem tej postawy było mistrzostwo olimpijskie. Po wejściu na olimpijskie podium buńczuczność ustąpiła miejsca wzruszeniu: – *Wspaniałym przeżyciem jest turniej olimpijski, uroczysta dekoracja, hymn narodowy dla zwycięzców. Popłakałem się na podium, chociaż niejedno w czasie mojej kariery przeżyłem. Nawet na MŚ gratulacji nie składają tak wybitni działacze światowego sportu, jak Przewodniczący MKOl i prezes FIFA. Spotkał nas wielki zaszczyt* – mówił „Trybunie Ludu”. Sam w finale popisał się między innymi fenomenalną interwencją po strzale głową Antala Dunaia.

W Ekstraklasie zakończył grę w 1974 roku. Jego bilans na tym szczeblu rozgrywkowym zamknął się na 222 spotkaniach. Potem jako szkoleniowiec przygotowywał bramkarzy reprezentacji Polski przed MŚ 1974 (Jan Tomaszewski przyznaje, że to głównie Kostce zawdzięcza swą formę podczas tego mundialu), 1978 i 1982. Samodzielnie doprowadził zaś Szombierki Bytom oraz dwukrotnie Górnika Zabrze do mistrzostwa Polski. Trzy razy zostawał Trenerem Roku w Polsce.

źródło: archiwum Górnika Zabrze

ROMAN LENTNER

(pomocnik)

Kluby Ekstraklasie: Górnik Zabrze
Lata gry: 1956-1969
Mecze/gole: 242/75

Świetna lewa noga, ogromna szybkość, znakomita kondycja i talent do improwizacji sprawiły, że do dziś Roman Lentner uważany jest za jednego z najlepszych lewoskrzydłowych w historii Polski. Prawie całą seniorską karierę związał z Górnikiem Zabrze.

Do tego klubu trafił okrężną drogą. Choć jego rodzinny Chropaczów od Zabrza dzieli zaledwie dziesięć kilometrów, to zwrócił na siebie uwagę dzięki występom w reprezentacji LZS województwa koszalińskiego! Talent jednak musiał przedstawiać nie byle jaki, skoro próbował go ściągnąć też Ruch Chorzów. Ostatecznie z tej bitwy transferowej

zwycięsko wyszedł Górnik, bo zaproponował Lentnerowi garnitur i eleganckie buty.

Tej inwestycji chyba jednak nigdy nie pożałował. Szybki, lewonożny zawodnik stał się jednym z kluczowych elementów układanki dla kolejnych szkoleniowców Górnika Zabrze na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Łącznie zagrał na tym poziomie 242 razy i strzelił 75 goli. Kiedy miał niespełna dwadzieścia lat, w sezonie 1957, pokonał bramkarzy przeciwników aż czternastokrotnie. To właśnie wtedy był najbliżej korony króla strzelców. Wyprzedzili go jednak Lucjan Brychczy, Henryk Kempny, Władysław Soporek, Antoni Rogoza i Stanisław Baran. Ale bramki znajdowały się w drugim szeregu jego zadań boiskowych. On miał głównie stwarzać okazje swoim kolegom – a byli wśród nich Ernest Pohl, Erwin Wilczek, Edmund Kowal czy Włodzimierz Lubański – dzięki błyskotliwym rajdom po lewym skrzydle.

Znakomicie potrafił dośrodkowywać, zarówno w pełnym biegu, jak i ze stojącej piłki. W starciu z Polonią Bydgoszcz strzelił nawet gola z rzutu rożnego. Miał zresztą szczęście do niecodziennych goli. Kilka razy zaskoczył przeciwników strzałami z niemal zerowego kąta. Kiedyś przesądził tak o spadku Wisły Kraków. – *Tego strzału nie potrafiłby obronić żaden bramkarz* – komentowała prasa. Słynął też z elementu dziś nazywanego „centrostrzałem”. Tak między innymi sprokurował samobójczego gola Tottenhamu, w starciu w PEMK. – *Lentner jest jednym z najbardziej dynamicznych naszych napastników. Umie trzymać krótko*

piłkę, umie szybko przejść do przodu, umie centrować z pełnego biegu i strzelać – opisywano go po tym meczu.

Jego znakiem rozpoznawczym były jednak znakomite rajdy. – *U szczytu formy zaprezentował się również lewoskrzydłowy Lentner. Częstokroć był on za szybki, zarówno dla przeciwnika, jak i dla współkolegów. Niemal wszystkie jego wypady nosiły w sobie zarodek bramki* – pisał o nim „Sport”. Lentner jest też jednym z rekordzistów pod względem najszybszej zdobytej bramki w lidze! Już w szóstej sekundzie pokonał bramkarza Zagłębia Sosnowiec.

Z Górnikiem Zabrze osiem razy sięgał po mistrzostwo Polski, trzykrotnie po Puchar Polski. Do tego dochodzą dwa wicemistrzostwa oraz trzy brązowe medale. W każdym sezonie, w którym zagrał, mieścił się z Górnikiem na podium Ekstraklasy! Zagrał z nim także w ćwierćfinale PEMK.

W reprezentacji Polski wystąpił trzydzieści dwa razy i strzelił siedem goli. Ten najważniejszy padł w starciu eliminacji MŚ 1966 przeciwko Szkocji na Stadionie Śląskim. – *Lentner jest naszym najlepszym lewoskrzydłowym i jeśli ktoś mógł mieć co do tego jakieś wątpliwości, to wczoraj zostały one rozwiane bez reszty. Porywające rajdy Lentnera po skrzydle siały zamieszanie pod bramką szkocką. Zwłaszcza po przerwie, gdy częściej grano Lentnerem, jego niezbędność dla drużyny wyszła na jaw w całej pełni (...). Lentner był zawodnikiem nr 1 naszej drużyny* – napisała potem „Trybuna”. Potrafił też pokonać

bramkarzy brązowych medalistów MŚ Francuzów czy wicemistrzów świata – Czechosłowaków, gdzie bronił słynny Viliam Schrojff.

Był też najmłodszym uczestnikiem słynnego spotkania ze Związkiem Radzieckim w 1957 roku, wygranego 2:1. Zachodziło jednak spore ryzyko jego absencji. Został bowiem dowołany do kadry po terminie i na jego udział musieli wyrazić zgodę przedstawiciele drużyny radzieckiej. Na szczęście zachowali się on fair i zaakceptowali tę prośbę Polaków. Dodatkowo Lentnerowi przyplątała się grypa. I ten problem udało się – z pożytkiem dla kadry – pokonać. Uczestniczył ponadto w IO w 1960 roku w Rzymie. Wraz z Ernestem Pohlem i Edmundem Zientarą należał do najlepszych aktorów zwycięskiej potyczki z Tunezją.

Z Górnika Zabrze odszedł w 1969 roku, rok później zakończył karierę.

JAN LIBERDA

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Polonia Bytom
Lata gry: 1955, 1957-1971
Mecze/gole: 303/146

– *Do ceremonii oficjalnego wręczenia pucharu kapitanowi Polonii, Janowi Liberdzie, przez przedstawiciela UEFA p. Lo Brunta doszło dopiero po pewnej przerwie, niezbędnej dla zrobienia na boisku pewnego porządku. A potem długo jeszcze czekali kibice i wiwatowali na cześć Polonii, aż doczekali się wyjścia umytych już i ubranych zawodników. Wielki dzień bytomskich piłkarzy i kibiców!* – tak wyglądało wręczenie Pucharu Rappana piłkarzom Polonii Bytom po zwycięskim dwumeczu z Lokomotivem Lipsk. Odbierał go kapitan drużyny Jan Liberda, jeden z najważniejszych piłkarzy w historii tego klubu.

Szybki, a przede wszystkim obdarzony znakomitą skutecznością napastnik był jednym z bohaterów tego

starcia decydującego o jedynym zwycięstwie polskiej drużyny w międzykontynentalnych rozgrywkach klubowych UEFA. Tym razem nie udało mu się wpisać na listę strzelców. W poprzednich spotkaniach jednak dwa razy pokonał bramkarza przeciwników w ćwierćfinale i raz w półfinale.

W poprzednim sezonie także doszedł z Polonią do finału Pucharu Rappana. Po drodze każdemu przeciwnikowi swego klubu strzelił minimum jednego gola. „Goetborgs-Posten" pisał o nim wówczas nawet, że jest lepszy od Ferenca Puskasa! Spodobał się też Alfredo di Stefano, który z trybun przyglądał się spotkaniu Polonii z Slovnaftem Bratysława decydującym o trofeum. W dorobku miał ponadto wygraną w rozgrywkach Interligi i w Pucharze Ameryki. Do wszystkich tych sukcesów powiódł Polonię w roli kapitana.

Kibiców w Polsce taka postawa strzelecka w starciach z utytułowanymi klubami zagranicznymi nie dziwiła, Liberda bowiem także na krajowych podwórkach utrzymywał znakomitą skuteczność. Od 1959 do 1965 roku aż w siedmiu sezonach z rzędu potrafił strzelić dwucyfrową liczbę goli. Przy czym pięć razy notował na koncie co najmniej piętnaście bramek. W sezonie 1962 w czternastu spotkaniach aż szesnaście razy pokonał bramkarzy przeciwników. Jest dzięki temu ostatnim zawodnikiem, który zdobył więcej bramek, niż było kolejek w edycji zmagań. Wtedy też po raz drugi w karierze zgarnął koronę króla strzelców Ekstraklasy. Pierwszy raz udało mu się to

trzy lata wcześniej. Strzelił wówczas 21 goli w 22 spotkaniach i ex aequo z Ernestem Pohlem cieszył się wygraną w klasyfikacji strzeleckiej.

„Setkę” trafień skompletował w inauguracyjnym spotkaniu sezonu 1968/69. Łącznie aż 145 razy pokonał bramkarzy przeciwników w najwyższej klasie rozgrywkowej. Do dziś zajmuje w klasyfikacji wszech czasów pod względem liczby zdobytych bramek ósmą pozycję. W golach dla jednego klubu wyprzedzają go tylko Lucjan Brychczy, Gerard Cieślik, Teodor Peterek, Włodzimierz Lubański i Kazimierz Kmiecik. Był także drugim po Brychczym zawodnikiem w historii, który wszedł zarówno do Klubu 100, jak też Klubu 300. Do dziś nikt go nie przebił w trafieniach dla Polonii Bytom w najwyższej lidze.

Indywidualnie wygrał punktację „Złote Buty” w 1962 roku. W tym samym sezonie został też królem strzelców, a z Polonią Bytom stanął na najwyższym stopniu ligowego podium. Rozstrzygnęło to starcie w formie dwumeczu przeciwko Górnikowi Zabrze. W tej rywalizacji Liberda wpisał się dwukrotnie na listę strzelców. Poza mistrzostwem trzy razy był wicemistrzem i dwa razy zdobył brązowe medale.

Nie udało mu się pojechać na żadną wielką imprezę z reprezentacją Polski. Za to przeżył swój wielki moment w biało-czerwonych barwach. W dwóch spotkaniach przeciwko Brazylii rozegranych w odstępie trzech dni dwa razy strzelił gola. Do dziś jest jedynym Polakiem

z trafieniem na Maracanie. Jego drybling oraz skuteczność wpadła w oko nawet Pelemu. Ogółem w reprezentacji zagrał w 35 meczach i strzelił 8 goli.

Po raz ostatni w Ekstraklasie wystąpił w 1971 roku. Był to już jego piętnasty sezon na najwyższym poziomie rozgrywkowym. Potem jeszcze przez dwa sezony grał w Eredivisie w AZ Alkmaar. W momencie przyjazdu miał jednak 35 lat. Jako trener prowadził Polonię Bytom, GKS Katowice, Zagłębie Sosnowiec, MOKS Czeladź oraz kluby niższych klas rozgrywkowych w Niemczech.

źródło: 400mm.pl

WŁODZIMIERZ LUBAŃSKI

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Górnik Zabrze
Lata gry: 1963-1975
Mecze/gole: 234/155

Na początku swojej kariery Włodzimierz Lubański – cudowne dziecko polskiego futbolu – był seryjnym łowcą rekordów rozpoczynających się od przymiotnika „najmłodszy…”. Dzięki skuteczności i wielkim umiejętnościom płynnie w ciągu kilkunastu miesięcy przeszedł do osiągnięć z kategorii „największa liczba…”.

Wraz z Zygfrydem Szołtysikiem stał się pierwszym Polakiem, który zyskał punkty w plebiscycie na Złotą Piłkę. Wśród rutyniarzy nominowanych w 1967 roku do tej nagrody znalazło się dwóch dwudziestolatków – pewny siebie Holender Johann Cruyff oraz właśnie Włodzimierz Lubański. Pierwszy był nadzieją piłkarską, drugi już

uznanym strzelcem z wyrobioną marką. Nic zatem dziwnego, że znalazł się nad swoim rówieśnikiem.

Trener Górnika Zabrze, Ewald Cebula, wpuścił go pierwszy raz na plac gry cztery lata wcześniej, w starciu z Arkonią Szczecin. Było to 52 dni po 16. urodzinach Lubańskiego. Już premierowe spotkanie na tym poziomie przyniosło plon bramkowy. Do dziś pozostaje on dzięki temu najmłodszym zawodnikiem w historii z golem w Ekstraklasie. Zrządzeniem losu, równo co do dnia, pół wieku później uzyskano w polskiej lidze gola strzelonego przez najstarszego zawodnika (Piotra Reissa).

Pozostaje też najmłodszym zdobywcą bramki w historii występów polskich drużyn w europejskich pucharach. Pierwsze trafienie w Pucharze Europejskich Mistrzów Klubowych zanotował w wieku 16 lat i 258 dni, pokonując bramkarza Dukli Praga. Rok później w starciu z tym samym rywalem powtórzył swój wyczyn, dzięki czemu jest do dziś jedynym Polakiem, który przed uzyskaniem pełnoletności strzelił dwa gole na kontynentalnej arenie. Plasuje się też na pierwszym miejscu wśród najmłodszych strzelców goli dla reprezentacji Polski.

W Polsce z rzadka jednak ubierano go w aureolę „cudownego dziecka”. – *Na tle szybkiego, ostro wkraczającego przeciwnika wychodziły na jaw jego braki techniczne oraz nieumiejętność podskoku do przyjmowania piłek głową* – krytykowała go prasa po meczu z Gwardią w 1964 roku. Wypominano brak zwrotności, a przede wszystkim słabą skuteczność. – *On jest jeszcze młody, ale*

dobrze, że jest na boisku i ma te sytuacje, bo prędzej czy później nauczy się strzelać bramki – usprawiedliwiał go sam Ernest Pohl, którego – jak przyznaje Lubański – podania często marnował.

Problemy sprawiały mu rzuty karne. Premierowy strzał z „wapna" w Ekstraklasie, z Odrą Opole w 1965 roku, udało mu się zakończyć golem. Potem jednak spudłował w trzech kolejnych podejściach. – W *czasie treningu potrafił wyegzekwować 30 rzutów karnych bez pudła* – usprawiedliwiał go jego trener Władysław Giergiel. Przełamał się w 1969 roku z Ruchem Chorzów.

Aż dziw, że ten sam Lubański podjął się strzelenia jednego z najważniejszych karnych w historii polskiej piłki – w 1970 roku, w 90. minucie półfinałowego meczu Pucharu Zdobywców Pucharów przeciwko AS Roma. Przy wyniku 0:1 jego skuteczny strzał dał wtedy upragnioną dogrywkę. Dodatkowym utrudnieniem były wtedy całkiem nowe buty, w których grał. Wygodne i ściśle dopasowane do nogi, ale jednak jeszcze niesprawdzone w takim starciu. Udało się strzelić w prawy górny róg.

Jego popisowym numerem stały się starcia z Ruchem Chorzów. Do dziś Lubański jest rekordzistą w liczbie strzelonych goli w Wielkich Derbach Śląska. W siedemnastu meczach z tym rywalem zdobył aż osiemnaście bramek. Dwa razy – w 1967 i 1971 roku – trafiał po cztery razy w jednym spotkaniu. Nikt inny nie powtórzył takiego wyczynu choćby raz. Drugi z tych występów przyniósł mu wielki aplauz na stadionie

w Chorzowie. Publiczność żałowała nawet, że nie udało mu się strzelić piątego gola, gdy po rajdzie z własnej połowy boiska przeszedł trzech obrońców oraz bramkarza Niebieskich. W ostatniej chwili piłka podskoczyła jednak na murawie i nie udało się jej wepchnąć do siatki. – *Obiektywna publiczność mogła tylko fetować znakomity ciąg i drybling* – skomentował „Katowicki Sport”. Po raz drugi brawa w Chorzowie w czasie meczu ligowego usłyszał w 1974 roku…

Do ukończenia 18. roku życia na koncie miał już 24 zdobyte bramki na najwyższym poziomie rozgrywkowym. Swego setnego gola w Ekstraklasie Włodzimierz Lubański strzelił zaś w wygranym 4:2 starciu z Zagłębiem Sosnowiec w 1968 roku. Sześć miesięcy przed tym wydarzeniem obchodził dopiero 21. urodziny! Sto goli w lidze zanotował jako najmłodszy zawodnik w historii. Na koniec tej edycji znakomity napastnik po raz czwarty z rzędu świętował tytuł króla strzelców, czego przed nim (ani jak się okazało po nim również) nikt jeszcze nie dokonał.

Dwudziestodwuletni piłkarz oprócz indywidualnych osiągnięć posiadał już w tym momencie na koncie pięć mistrzostw Polski, trzy Puchary Polski, udział w ćwierćfinale PEMK. W wieku, w którym większość zawodników dopiero zaczyna poważną karierę, on miał już u stóp całą piłkarską Polskę, ale też aż sześć lat ciągłej gry na najwyższym poziomie. Być może dlatego ten sezon bramkowego jubileuszu okazał się jednocześnie przesileniem w jego karierze ligowej. Od początku gry

w Górniku do końca sezonu 1968/69 strzelił w sumie na tym poziomie dwa razy więcej goli, niż w ciągu kolejnych sześciu lat.

Wyczerpanie, zmęczenie i coraz większa agresja obrońców stały się chlebem powszednim Lubańskiego na polskich boiskach. W niektórych meczach pilnowało go po kilku przeciwników, jak w starciu z ŁKS Łódź w 1972 roku: – *Z uwagą śledzimy ruchy Włodka Lubańskiego. Kto też ma być jego aniołem stróżem? Wszyscy! W zasadzie Lubański miał swobodę ruchów, ale tylko w neutralnej strefie boiska i do tego ułamka sekundy, gdy partner adresował mu podanie. Potem wpadał w kleszcze obronne gospodarzy* – opisywali dziennikarze.

Zmorą Lubańskiego były kontuzje. Władze klubu znając wartość napastnika, nieraz zresztą wpuszczały go nie do końca zdrowego, jak z Legią w 1964, gdy kulejąc, grał cały mecz, choć kwalifikował się do zmiany. To igranie z losem omal nie doprowadziło do tragedii. Niedługo potem, pomimo niezaleczonej grypy, Lubański wystąpił w meczu ze Stalą Rzeszów. W rezultacie spowodowało to osłabienie mięśnia sercowego. Na ponowny smak rywalizacji w lidze czekał aż osiem miesięcy. Po powrocie świętował pierwszą koronę króla strzelców. Wspominał, że kiedyś przed starciem z Manchesterem City w ćwierćfinale PEMK miał olbrzymie spuchnięcie kostki. Trener Geza Kalocsay zapytał, czy ktoś ma kontuzję. Po podniesieniu ręki przez Lubańskiego odparł: – *Ciebie o nic nie pytamy* – i wystawił go do składu. Pomimo tego napastnik zdołał strzelić gola.

Happy end’u zabrakło niemal dekadę później w historycznym meczu dla polskiej piłki nożnej. Na wrzącym od emocji Stadionie Śląskim w Chorzowie Polacy podejmowali Anglię. W 47. minucie Lubański wykorzystał błąd Bobby’ego Moore’a. Po kilkuset sekundach nie było go już na placu boju… Napastnik Górnika Zabrze doznał kontuzji więzadeł krzyżowych.

Swój jedyny mecz w ciągu 652 dni po kontuzji rozegrał 4 kwietnia 1974 roku na tym samym obiekcie, gdzie kilka miesięcy wcześniej przeżył dramat. Była to jego ostatnia próba powrotu do gry o miejsce w kadrze na MŚ w 1974 roku. Starcie z Ruchem pogłębiło jednak tylko uraz, choć rywale specjalnie starali się grać delikatnie, znając wartość Lubańskiego dla kadry. Zawodnik przyznał się, że był pewien, iż to koniec jego gry w piłkę. Po raz drugi w karierze zebrał wtedy brawa w meczu z Niebieskimi od chorzowskiej publiczności…

Zresztą kibice gromadnie wyrażali współczucie dla losu tego zawodnika. Fani ŁKS-u podczas pierwszego spotkania ligowego rozgrywanego przez Górnik po feralnym starciu z Anglią wywiesili transparent: „Włodkowi współczujemy, ale punkty zabierzemy”.

Jego zapowiedziany powtórny powrót na boisko w marcu 1975 roku ściągnął na boisko ROW Rybik nadkomplet publiczności. – *Lubańskiego powitano nadzwyczaj serdecznie, kwiatami i długotrwałymi oklaskami* – pisali reporterzy „Katowickiego Sportu”. Napastnik Górnika w tym starciu strzelił zresztą swego

pierwszego od 683 dni gola w Ekstraklasie. Kwiaty wręczono mu także kilka tygodni potem na stadionie Śląska i w Poznaniu podczas meczu z Lechem.

Do końca sezonu uzbierał w sumie pięć trafień. Po jednym z nich Ryszard Kulesza, selekcjoner młodzieżówki, stwierdził: – *Jestem pełen podziwu dla Włodzimierza Lubańskiego, który po tak dramatycznych przeżyciach zdołał powrócić do drużyny. Zdobył kapitalną bramkę, a ponadto znakomicie dyrygował swymi kolegami.*

To były jednak już jego ostatnie gole w Ekstraklasie. Łącznie zdobył na tym poziomie 155 bramek. To rekord wśród wszystkich medalistów olimpijskich występujących w Polsce. Od 1975 roku przeniósł się do belgijskiego KSC Lokeren.

Z powodu kontuzji koło nosa przeszedł mu medal MŚ w 1974 roku. Siedział wtedy w studiu Telewizji Polski i pełnił funkcję eksperta. Jego udział w tym sukcesie nie pozostał jednak niezauważony. Świetny przedwojenny obrońca Władysław Szczepaniak, również gość studia, powiedział, że bez bramki Lubańskiego przeciwko Anglikom nie byłoby tych sukcesów. Koledzy odwdzięczyli mu się podarowanym zegarkiem, który dostali wszyscy członkowie mundialowej kadry. Zagrał na MŚ w 1978 roku, ale ledwie ogony, bo Jacek Gmoch przeprowadził badania psychologiczne, według których nie mógł grać w jednej drużynie z Andrzejem Szarmachem.

Odegrał za to jedną z najważniejszych ról na Igrzyskach Olimpijskich w 1972 roku jako kapitan zwycięskiego

zespołu. Sam dwukrotnie wpisał się na listę strzelców. W kluczowym starciu drugiej fazy grupowej przeciwko ZSRR wywalczył rzut karny, po faulu na nim Murtaza Churciławy. W ostatecznym starciu turnieju zaś – wprawdzie przypadkowo – zanotował asystę po zgraniu głową Deynie przy decydującym golu. Z radości po wygranej, dającej złoto, zrobił rundę honorową z biało-czerwonym sztandarem wokół stadionu. – *Znany dobrze w Europie Włodzimierz Lubański jeszcze raz potwierdził, że jest wielkim graczem i znakomitym strategiem* – pisał o nim „Suddeutsche Zeitung” po IO. W reprezentacji występował dłużej niż ktokolwiek inny. Pierwszy i ostatni jego mecz w biało-czerwonej koszulce dzieliło siedemnaście lat i dwa dni. Zostawił też po sobie wyrównanie rekordu Ernesta Pohla w największej liczbie strzelonych goli w jednym meczu kadry (5).

Prasa nadała mu kiedyś pseudonim „Biały Anioł” z powodu eleganckiego stylu gry. Z błotnistego boiska potrafił bowiem zejść jako jedyny nieumorusany. Jedyną czerwoną kartkę w karierze dostał w eliminacjach olimpijskich w Starej Zagorze przeciwko Bułgarii. Przyznał mu ją rumuński sędzia Victor Padureanu. Jeszcze długo potem w Polsce stronniczych arbitrów nazywano „Rumunami”. Winy jednak odkupił kilka lat później w eliminacjach MŚ przeciwko Danii. W starciu tym przeskoczył nad bramkarzem przeciwników, choć gdyby stanął w miejscu, na pewno strzeliłby gola. Za ten gest otrzymał nagrodę MKOl Fair-Play.

Po Górniku i Lokeren grał w niższych ligach francuskich i zajmował się menadżerką. Bardzo często pełni funkcję eksperta telewizyjnego. Na stałe mieszka w Belgii.

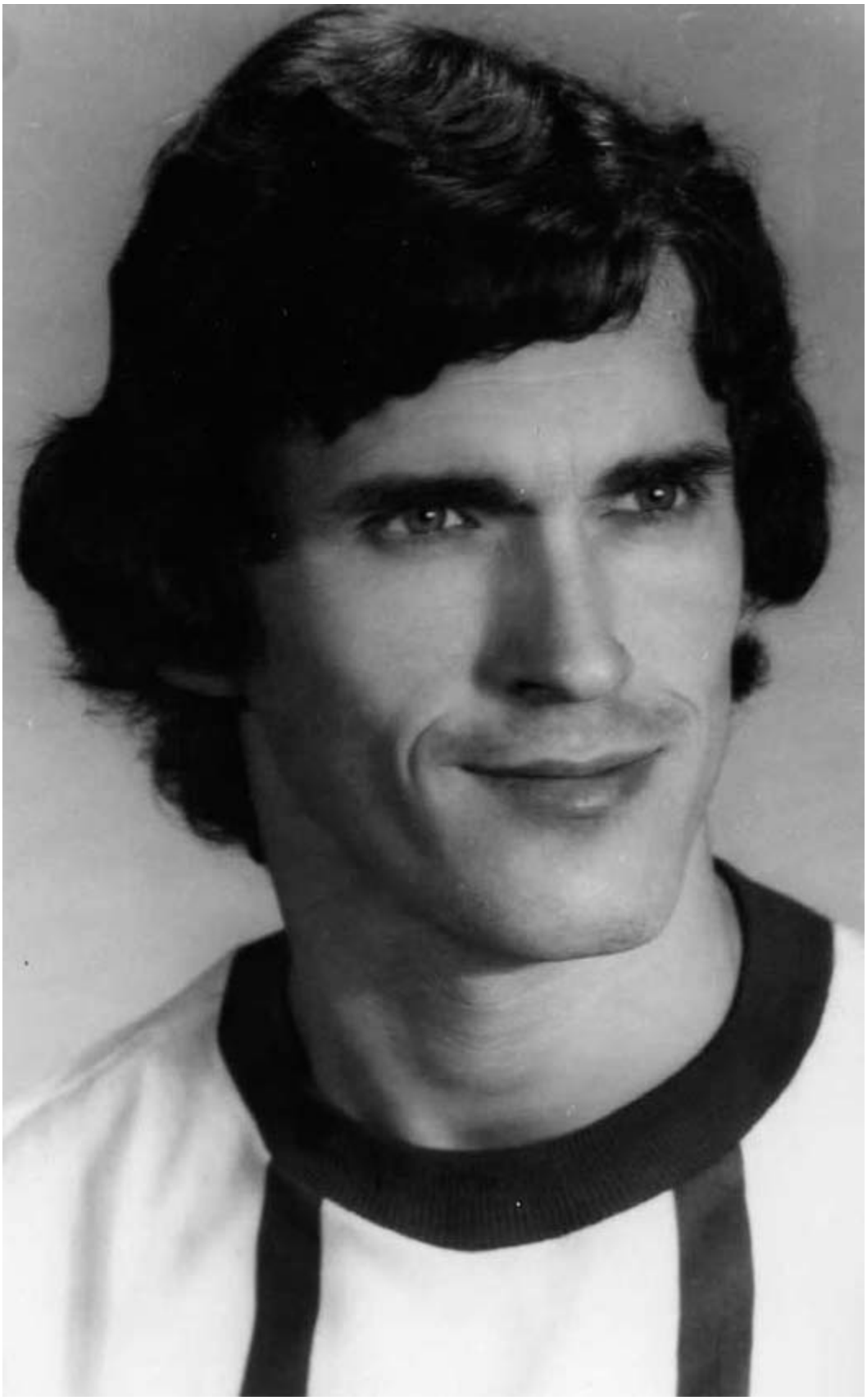

źródło: archiwum Ruchu Chorzów

JOACHIM MARX

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Gwardia Warszawa, Ruch Chorzów
Lata gry: 1963-1966, 1967-1968 i 1969-1976
Mecze/gole: 245/102

Z tym nazwiskiem Joachim Marx mógł zrobić absolutną karierę polityczną na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Wybrał jednak futbol, a sławę zawierzył swoim umiejętnościom strzeleckim, które nawet w tym okresie, pełnym znakomitych napastników, budziły respekt. Dwukrotnie był blisko angażu do Górnika Zabrze, opodal którego stadionu mieszkał. Ostatecznie jednak ponad sto goli w najwyższej lidze strzelił w barwach Gwardii Warszawa i Ruchu Chorzów.

Talent w tym kierunku zdradził już praktycznie na samym wejściu do ligi. W swym pierwszym sezonie w Ekstraklasie, w barwach Gwardii, strzelił aż 16 goli w 26

spotkaniach. Zabrakło mu ledwie dwóch do tytułu króla strzelców. Wyprzedzili go wtedy Lucjan Brychczy, Józef Gałeczka i Jerzy Wilim. Najmłodszy z nich był trzy lata starszy od dwudziestoletniego Marxa.

Nigdy zresztą tytułu tego nie udało mu się zdobyć. W rozgrywkach 1973/74 był znów dwie bramki od tego i znów musiał zadowolić się pozycją wicekróla za Zdzisławem Kapką. A i to było sporym osiągnięciem, ponieważ od marca do kwietnia pauzował z powodu kontuzji obojczyka. W kolejnym roku ustąpił zaś pola Grzegorzowi Lacie czterema trafieniami. Nieustannie jednak nękał bramkarzy przeciwników. W swych pierwszych dziesięciu sezonach w najwyższej lidze średnio strzelał dziesięć goli w jednej edycji, co dało mu w ciągu dekady gry miejsce w Klubie 100. Ostatecznie zakończył ten etap w piłkarskim życiorysie ze stu dwoma trafieniami. Większość z nich miało miejsce w czasach gry dla Ruchu Chorzów, gdzie przeszedł z Gwardii. Tu zaczął przeżywać najlepszy okres w karierze. W sześć sezonów strzelił ponad sześćdziesiąt goli, trzy razy zanotował „dwucyfrówkę” na swoim koncie, co dało mu prawo obecności w czołówce polskich snajperów obok Włodzimierza Lubańskiego czy Andrzeja Jarosika. Był najlepszym strzelcem w dwóch mistrzowskich sezonach Ruchu Chorzów (1973/74 i 1974/75). W pierwszym z nich na jego koncie znalazł się także Puchar Polski. Dwa razy był wicemistrzem kraju. Razem z Niebieskimi uczestniczył też w ćwierćfinale PZP i PEMK.

W meczu pierwszych rozgrywek jego gol w decydującym starciu doprowadził do dogrywki z Feyenoordem Rotterdam, ostatecznie jednak przegranej 1:3. Wcześniej przyczynił się do pogromu Honvedu Budapeszt w 1/8 finału, gdy Ruch wygrał 5:0, a on strzelił gola. Dwukrotnie pokonał golkipera Wuppertaler SV w pierwszej rundzie tego pucharu.

Wysoka skuteczność sprawiła, że Marx swój debiut w reprezentacji zaliczył jako gracz II ligi, zmieniając Andrzeja Jarosika. Obaj napastnicy pojechali na Igrzyska Olimpijskie do Monachium, gdzie Polska wywalczyła złoto. W przeciwieństwie do kolegi, Marx mógł jednak dobrze wspominać ten turniej. Na niemieckiej imprezie wystąpił w dwóch spotkaniach. Strzelił też gola w rewanżowym starciu zwycięskich eliminacji olimpijskich przeciwko Bułgarii.

Zabrakło go natomiast na MŚ w 1974 roku. Kilka tygodni wcześniej doznał kontuzji obojczyka. Zdołał jednak wrócić do ligi i strzelić kilka goli, które wywindowały go na drugą pozycję w klasyfikacji strzelców. Ostatecznie mimo tego Kazimierz Górski zrezygnował z niego i na MŚ wziął w jego miejsce Zdzisława Kapkę z Wisły Kraków. Marxa nie było nawet na liście rezerwowych. Figurował tam atakujący Pogoni Szczecin – Zenon Kasztelan. – *Rozważaliśmy długo problem środka ataku. Nie dysponujemy w tej chwili na tej pozycji wielkimi indywidualnościami. Z różnych względów Marx nie był ostatnio sprawdzany zbyt często, ale jego plusy i mankamenty znamy. Postawiliśmy na młodego*

Kapkę, który lepiej sprawdzał się w spotkaniach reprezentacyjnych – uzasadniał Górski. Do tego szkoleniowca miał zresztą mieszane szczęście. Z jednej strony pod jego wodzą zdobył złoto IO, z drugiej nie pojechał na mundial, a w lidze spadł z Gwardią Warszawa, gdy „Selekcjoner Tysiąclecia" pełnił funkcję szkoleniowca tego zespołu.

W kadrze ostatecznie zagrał dwadzieścia trzy razy i strzelił dziesięć goli. W całej karierze tylko cztery razy poniósł porażkę w biało-czerwonych barwach (dwukrotnie z Bułgarią, raz z Turcją i raz z NRD). W drużynie narodowej grał do 1975 roku. Po raz ostatni wystąpił przeciwko Włochom w zremisowanym 0:0 spotkaniu.

W tym samym roku opuścił Ruch Chorzów i wyjechał z Polski. Trafił do RC Lens we Francji. W jego barwach zdobył blisko czterdzieści bramek w Ligue 1. Udało mu się zostać wicemistrzem Francji. Karierę zakończył w prowincjonalnym zespole US Noeux-les-Mines. Obecnie pracuje jako skaut w RC Lens. Wcześniej prowadził ten klub jako szkoleniowiec.

źródło: archiwum Górnika Zabrze

STANISŁAW OŚLIZŁO

(obrońca)

Kluby w Ekstraklasie: Górnik Radlin, Górnik Zabrze
Lata gry: 1957, 1959-1973
Mecze/gole: 339/7

W klubie wybitnych napastników i pomocników – Ernesta Pohla, Włodzimierza Lubańskiego, Zygfryda Szołtysika, Romana Lentnera, Erwina Wilczka czy Jana Banasia – centralną postacią został, o dziwo, Stanisław Oślizło – środkowy obrońca. Do tego trzeba było zarówno nietuzinkowej osobowości, jak też nietuzinkowych umiejętności.

Polska piłka z przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych stała defensywą. Potwierdzają to wyniki plebiscytu „Złote Buty”. Pierwsze dwie edycje wygrał bramkarz Edward Szymkowiak (raz wraz z pomocnikiem Robertem Grzywoczem), w kolejnej górą był stoper Roman

Korynt, a w czwartej także ten zawodnik ex aequo ze swoim kolegą z reprezentacyjnej obrony – Henrykiem Szczepańskim. Ich następcą na pozycji laureata został zaś Oślizło. Potem po ten najważniejszy indywidualny laur w lidze sięgał jeszcze trzy razy. Do tego doszedł tytuł piłkarza roku w 1968 roku. Do dziś nikt nie pobił jego osiągnięcia. Ale to nie jedyny rekord na koncie Oślizło.

Do mistrzostwa Polski powiódł swą drużynę aż osiem razy z opaską kapitańską na ramieniu, czego również nie udało się pobić żadnemu z jego następców w Ekstraklasie. Tę funkcję powierzono mu już w pierwszym roku gry w Zabrzu. Tu otworzyły się przed nim wrota do jednej z największych kolekcji trofeów w historii polskich piłkarzy, ale także na europejską arenę, która może najmocniej zbudowała jego legendę.

– *Polska, Górnik… sprawiedliwości stało się zadość* – to jeden z najsłynniejszych okrzyków w historii polskiego dziennikarstwa sportowego. Autorem był Jan Ciszewski. Tak przyjął on moment awansu zabrzan do finału Pucharu Zdobywców Pucharów. Wcześniej Górnik stoczył trzy zacięte boje z AS Romą. W każdym z nich padł remis. Wielu twierdzi, że nawet gdyby stoczono jeszcze trzy spotkania, to i tak stosunek goli nie uległby zmianie. To właśnie Oślizło był w tym półfinale kapitanem Górnika Zabrze, i to on – zgodnie z regulaminem – musiał wybrać stronę specjalnego żetonu, użytego do wyłonienia zwycięzcy w drodze losowania…

Oślizło zdecydował się na zieloną stronę. Wkrótce obstąpili go koledzy i przeciwnicy. Dopiero po reakcjach Ciszewski, a z nim także publiczność przed telewizorami, mogli rozpoznać, kto awansował do finału. Okazało się, że to kapitan Górnika podjął słuszną decyzję i wkrótce utonął w ramionach kolegów. To on też jako jedyny Polak w historii wyprowadzał z opaską swój klub na finał Pucharu Zdobywców Pucharów. On również mógł zostać jedynym polskim kapitanem w historii z tym trofeum. Górnik jednak uległ 1:2 Manchesterowi City. Oślizło jednak i tak przeszedł do historii. Został pierwszym polskim zawodnikiem ze strzelonym golem w finale PZP. W jego ślady poszedł potem tylko Zbigniew Boniek, ale dokonał tego we włoskim Juventusie Turyn.

Poza tą kampanią Oślizło odegrał też decydującą rolę przy awansach Górnika do ćwierćfinałów PZP i PEMK w innych sezonach. Znakomicie potrafił wyłączyć z gry napastnika Dynama Kijów – Anatolija Byszowca, graczy Manchesteru United – Dennisa Lawa, Bobby'ego Charltona czy George'a Besta. Rzadko łamał przepisy. Grał zazwyczaj bardzo elegancko, dzięki czemu zasłużył sobie na miano dżentelmena boiska.

Być może ten jego niekonfliktowy charakter był jedną z przyczyn sukcesu Górnika Zabrze. To on bowiem stał za wprowadzaniem do zespołu młodych graczy, w tym między innymi Włodzimierza Lubańskiego czy Zygfryda Szołtysika. – *Opiekował się mną jak ojciec* – wspominał ten pierwszy na łamach swej biografii.

Łącznie w karierze rozegrał 339 meczów w lidze, co w momencie zakończenia przez niego kariery było czwartym wynikiem za Lucjanem Brychczym, Edwardem Szymkowiakiem oraz jego dawnym kolegą z juniorskich reprezentacji – Antonim Nierobą. Niedługo potem wyprzedził go Zygfryd Szołtysik.

W latach sześćdziesiątych był jedną z najważniejszych postaci w reprezentacji Polski. Rozegrał w niej 57 spotkań. W chwili rozegrania swego ostatniego spotkania plasował się na trzecim pod tym względem po Włodzimierzu Lubańskim oraz Lucjanie Brychczym. Nie udało mu się zagrać jednak na wielkim turnieju. Akurat dekada, w której rządził, wypadła między dwoma startami olimpijskimi. Zrezygnował z niego Kazimierz Górski, który zdecydował się budować drużynę narodową pod kątem przyszłości. Już w XXI wieku został wcielony do Klubu Wybitnego Reprezentanta, choć to ten szkoleniowiec jako pierwszy powołał go do kadry młodzieżowej.

Po zakończeniu kariery pracował w branży górniczej. Był także trenerem w swym ukochanym klubie. Na 75. urodziny wydana została jego biografia: „Stanisław Oślizło. Droga do legendy”.

JERZY SADEK

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: ŁKS Łódź
Lata gry: 1962-1968, 1971-1973, 1976-1978
Mecze/gole: 213/69

Drużyny z Wysp Brytyjskich długo budziły w Polakach lęk. Tę klątwę odczarował dopiero Jerzy Sadek – specjalista od widowiskowych, zapadających mocno w pamięć bramek. Napastnik bez sukcesów klubowych stał się jedną z głównych armat reprezentacji Polski w latach sześćdziesiątych. Mawiano nawet: „Lubański podaje do Sadka i trzepie się siatka”. A należałoby dodać, że czasami nawet rozrywa…

Sadek w ciągu piętnastu lat gry został jedną z największych legend ŁKS Łódź. Mało kto tak świetnie operował piłką w tych czasach. Miał duży talent do dryblingu. Jego akcją firmową był długi rajd skrzydłem, zakończony złamaniem akcji do środka i zaskakujący,

mocny, plasowany strzał z dystansu po ziemi. W tych dwóch specjalnościach osiągnął bardzo wysoki stopień zaawansowania. Dla takich popisowych numerów na stadion ŁKS-u ściągali tłumnie łódzcy kibice. Wysoką marką cieszył się też poza stolicą przemysłu włókienniczego. Próbowano go namawiać na zmianę barw klubowych, mimo to pozostał wierny Rycerzom Wiosny, choć z nim w składzie drużyna ta awansowała najwyżej na piąte miejsce w tabeli i do ćwierćfinału Pucharu Polski. Dla wielu obserwatorów był wybitnym następcą Władysława Soporka w składzie. Brakowało mu jednak partnerów o równej klasie. Zresztą nawet potem, gdy w składzie tej drużyny byli Jan Tomaszewski czy Stanisław Terlecki – ŁKS po mistrzostwie w 1958 roku na podium znalazł się ponownie dopiero ponad trzydzieści lat później!

Z powodu przeciętnych wyników swego klubów nie dane było mu zaprezentować się w jego barwach w Europie. Trampoliną do sławy okazała się dla niego natomiast reprezentacja. Tu – jak mało kto – miał szczęście do ważnych goli. Legendą obrosło szczególnie jego trafienie z debiutanckiego spotkania, przeciwko Szkocji w eliminacjach mundialu. Polacy od trzynastej minuty przegrywali z zespołem brytyjskim. Wyrównał na pięć minut przed końcem Ernest Pohl. Decydujące trafienie zadał zaś kilkadziesiąt sekund potem Sadek. Do dziś naoczni świadkowie są pod wrażeniem tej niezwykłej bramki. Potężny wolej napastnika z Łodzi przerwał bowiem siatkę w bramce – *Nie przeliczył się trener Koncewicz,*

powołując go do reprezentacji – pisał „Dziennik Łódzki”. To był jeden z największych dotychczasowych sukcesów Polaków w piłce nożnej. Pierwsza reprezentacyjna wygrana na Wyspach Brytyjskich! Sam Sadek skromnie dodawał, że gdyby siatka była lepszej jakości, to by wytrzymała. Wrażenie było jednak ogromne.

Patent na Brytyjczyków udowodnił też kilka miesięcy później. Tym razem w starciu z Anglią w Liverpoolu. Pod koniec I połowy po dograniu Jana Banasia wykazał się sprytem i zaskoczył bramkarza, słynnego Gordona Banksa. Anglikom udało się potem wyrównać, ale był to pierwszy w historii mecz z pierwszą reprezentacją Synów Albionu, w którym biało-czerwoni uniknęli porażki. Po tym starciu na dobre podbił ten zakątek świata. Everton z miejsca złożył ŁKS-owi propozycję wykupienia przebojowego napastnika ze zmysłem do dryblingu. Oczywiście musiała ona zostać odrzucona. Kilka miesięcy potem zaś Banks i jego koledzy zostali mistrzami świata.

Trzecią z jego słynnych bramek zainkasował bramkarz Brazylii. Sadek na Stadionie Dziesięciolecia skutecznie wykorzystał rzut karny. Polacy jednak przegrali 3:6. Sam łodzianin nie zawahał się po tym starciu oskarżyć o porażkę dużo bardziej utytułowanych – Jacka Gmocha i Huberta Kostkę.

W ŁKS Łódź od 1962 do 1968 roku strzelił w 151 meczach Ekstraklasy 52 gole. W każdym z tych sezonów był najlepszym strzelcem ŁKS w lidze. Dwukrotnie udało mu się osiągnąć dwucyfrową liczbę trafień. Jednak to nie

skuteczność, ale efektowna gra i mocne strzały były jego największym atutem, a zarazem magnesem ściągającym kibiców na mecze. Nie uchroniło to ŁKS-u przed spadkiem. Nawet jednak podczas gry szczebel niżej Sadek był powoływany do reprezentacji. W 1971 roku po trzech latach nieobecności klub powrócił do elity. On sam został zaś królem strzelców II ligi. Nie pograł jednak zbyt długo. W wieku 33 lat otrzymał bowiem wymarzone pozwolenie na transfer zagraniczny. Zamiast do Premier League trafił do Eredivisie, gdzie grał dla Sparty Rotterdam i HFC Haarlem. Razem z tym drugim zespołem udało mu się nawet wywalczyć awans do najwyższej klasy rozgrywkowej.

Na zakończenie kariery powrócił jeszcze w szeregi ŁKS-u. Ogółem jego bilans w Ekstraklasie wyniósł 213 meczów i 69 goli. W reprezentacji zagrał zaś 18 razy i zdobył aż 6 bramek, co oznacza, że w co trzecim spotkaniu wpisywał się na listę strzelców. Wybrano go do jedenastki stulecia ŁKS.

Po zakończeniu kariery trenował grupy młodzieżowe swego ukochanego klubu. Zmarł w 2015 roku.

źródło: archiwum Górnika Zabrze

ZYGFRYD SZOŁTYSIK

(pomocnik)

Kluby w Ekstraklasie: Górnik Zabrze
Lata gry: 1962-1974, 1975-1978
Mecze/gole: 395/91

„Oj Zyga, Zyga…” – to hasło padało w razie błędnej odpowiedzi jednego z pary w teleturnieju „Małżeństwo doskonałe” prowadzonego przez Jacka Fedorowicza. Tandem ten tworzyła najsłynniejsza para boiskowych przyjaciół z tych lat – strzelec wyborowy: Włodzimierz Lubański, a także jego wierny kompan, świetny asystent – Zygfryd Szołtysik. Zresztą „Oj Zyga, Zyga…” niezbyt często trzeba było puszczać z głośników, bo futbolowy duet zdominował konkurencję. Choć potem Lubański przyznał, że w pociągu, w drodze na nagranie, opracowali sposób udzielania odpowiedzi. Na boisku rozumieli się zaś bez słów i spora część goli popularnego snajpera to właśnie zasługa

Szołtysika. Panowie mieli nawet opracowany swój tajemny kod.

Okrzyk „Oj Zyga, Zyga…” podchwycił stadion Wisły Kraków, gdzie występowali w lidze kilka dni po emisji programu. Po zmarnowanej sytuacji przez „Małego” – bo i tak na niego wołano – trybuny huczały to hasło jak na komendę.

– *Czułem, gdzie „Zyga” rzuci piłkę, co zrobi, jak się ustawi (…) Mieliśmy nosa i wszelkie do siebie zaufanie* – pisał Włodzimierz Lubański. Ich losy przeplatały się wielokrotnie. Razem zadebiutowali w reprezentacji Polski, w tym samym meczu obaj zdobyli debiutanckie bramki w kadrze. Razem osiągnęli swój największy sukces w karierze reprezentacyjnej – mistrzostwo olimpijskie. Razem też zostali nominowani w plebiscycie Złota Piłka na najlepszego piłkarza 1967 roku w Europie. Byli pierwszymi zawodnikami z Ekstraklasy, którzy uzyskali punkty od jurorów w tym najbardziej prestiżowym konkursie futbolowym. Ostatecznie Lubański zajął w nim 16. miejsce, Szołtysik był zaś 27. ex aequo m.in. z samym Johannem Cruyffem. Uznano go zatem za jednego z trzydziestu najlepszych zawodników 1967 roku w Europie! Po tym duecie z piłkarzy z polskiej ligi punktowali w klasyfikacji tylko: Kazimierz Deyna, Jan Tomaszewski, Robert Gadocha, Grzegorz Lato, Jerzy Gorgoń, Zbigniew Boniek Włodzimierz Smolarek.

Filigranowego pomocnika o wzroście 162 centymetrów – to do dziś najniższy wynik w historii najwyższej polskiej

ligi – nazywano najczęściej „Małym”. Umiejętności skrywał jednak wielkie. Już w pierwszym sezonie zanotował swego premierowego hat-tricka. Łącznie zaś w ciągu całej kariery uzbierał dziewięćdziesiąt jeden goli. Imponował przyspieszeniem, żywotnością, przede wszystkim zaś dokładnymi, prostopadłymi podaniami zagrywanymi „na nos”. Do tego nigdy nie bał się pojedynków z lepiej zbudowanymi rywalami.

W barwach Górnika zdobył siedem mistrzostw Polski, trzy razy był wicemistrzem Polski, trzy razy zdobył brązowy medal. Tylko w swoim ostatnim sezonie w Ekstraklasie nie udało mu się stanąć z zabrzanami na podium. W tejże edycji został za to rekordzistą Ekstraklasy pod względem liczby występów. Ostatecznie zanotował w tej klasyfikacji 395 spotkań. Wyprzedził go dopiero siedemnaście lat później Marek Chojnacki. Tylko ten zawodnik wyprzedza też Szołtysika w liczbie występów dla jednego klubu w Ekstraklasie. Z medalistów olimpijskich więcej spotkań na tym szczeblu w Polsce rozegrał zaś wyłącznie Dariusz Gęsior. Pewnie byłby pierwszym w historii piłkarzem z „400” meczów na tym szczeblu, ale w 1974 roku wyjechał do Francji. Jego pożegnanie odbyło się z wielką pompą. Po powrocie znów grał przez dwa sezony w Górniku. Powrót tego piłkarza był wielkim wydarzeniem. Na pierwsze treningi z udziałem „Małego” przychodziło więcej kibiców niż na niektóre mecze w poprzednim sezonie. Amatorsko, w Górniku Knurów, a potem w klubach niemieckich

niższego szczebla, grał prawie do pięćdziesiątego roku życia.

Z Górnikiem Zabrze przeszedł drogę do finału Pucharu Zdobywców Pucharów w 1970 roku. Wystąpił też w decydującym spotkaniu. Wcześniej strzelił gole w I rundzie z Olympiakosem Pireus oraz w ćwierćfinale z Levskim Sofią. W innych sezonach wywalczył awans do ćwierćfinału PEMK i PZP. W 1/8 finału tych pierwszych rozgrywek z Dynamem Kijów strzelił dwa gole. Błyszczał w ćwierćfinale PZP przeciwko Manchesterowi City.

Swoje najsłynniejsze spotkanie rozegrał jednak w reprezentacji Polski. Bez niego prawie na pewno nie byłoby złotego medalu olimpijskiego w 1972 roku. W drugiej fazie grupowej Polska przegrywała 0:1 ze Związkiem Radzieckim. Selekcjoner Kazimierz Górski początkowo chciał z ławki rezerwowych posłać w bój Andrzeja Jarosika. Napastnik Zagłębia Sosnowiec odmówił jednak zmiany. Wybór padł tym sposobem na Zygfryda Szołtysika. – *Mały, zrób coś. My ledwo się już trzymamy na nogach* – powiedział do niego przy wejściu Robert Gadocha. Kilkoma szybkimi akcjami wespół z Włodzimierzem Lubańskim rozruszał polski zespół. Po jego zagraniu Lubański wywalczył karnego, zamienionego na gola przez Kazimierza Deynę. Kilka minut później sam Szołtysik natomiast wykorzystał podanie kolegi i z niebywałym sprytem pokonał radzieckiego golkipera, co dało biało-czerwonym wygraną 2:1 i awans do finału IO, gdzie udało się pokonać Madziarów. Wiktor Kołotow, świetny radziecki

pomocnik, jeszcze kilkanaście lat po tym spotkaniu stwierdził, mówiąc do Lubańskiego: – *Wiesz, Włodek, ja mam ciągle przed oczami, jak ten Szołtysik wchodzi na boisko…* Mało brakowało, a oszczędzono by mu tej traumy. Szołtysik bowiem z powodu kontuzji nie brał udziału w poprzedniej fazie turnieju i chodził przygnębiony po wiosce olimpijskiej z bolącą nogą. – *Dla takiego finału warto było pocierpieć. Miałem kontuzję, noga bardzo bolała. Trener nie wystawił mnie do dwóch pojedynków, ale ja trenowałem, wiedziałem, że kontuzja minie i będę mógł zagrać w decydujących meczach* – skomentował po starciu z ZSRR. W finale z Węgrami grał już od pierwszej do ostatniej minuty. – *Pewne jest, że ten mikrus był fenomenem piłkarskim* – dodawał Włodzimierz Lubański.

Indywidualnie, oprócz nominacji do Złotej Piłki, Zygfryd Szołtysik był także zwycięzcą plebiscytu „Zlote Buty” w 1969 roku oraz zdobywcą nagrody dla Piłkarza Roku w 1971 roku.

JANUSZ ŻMIJEWSKI

(napastnik/pomocnik)

Kluby w Ekstraklasie: Legia Warszawa
Lata gry: 1961-1973
Mecze/gole: 243/59

Janusza Żmijewskiego nazywano od nazwiska „Żmiją”. Kogoś niewtajemniczonego łatwo byłoby jednak oszukać, że pseudonim ten pochodził od stylu gry. Skrzydłowy jak wąż wił się bowiem z piłką przy nodze między bezradnymi obrońcami przeciwników. Slalomy dryblerskie były jego znakiem rozpoznawczym. Stąd kolejnym przydomkiem jaki mu nadano stał się „Pele”.

Janusz Żmijewski do Legii trafił w momencie przesilenia. Ze składu, który zwyciężał w lidze w 1955 i 1956 roku, pozostał praktycznie już tylko Lucjan Brychczy, Edmund Zientara, Jerzy Woźniak, Horst Mahseli czy Henryk Grzybowski. Tylko dwaj pierwsi z tego grona grali w ofensywie. Trzech pozostałych czuwało raczej nad

obroną. Toteż potrzeba było świeżej krwi wysokiej jakości do ataku. Dał ją właśnie Żmijewski, ściągnięty z Otwocka zawodnik kadry młodzieżowej.

W lidze zadebiutował zaledwie półtora miesiąca po uzyskaniu dowodu osobistego. Młodziak szybko pokazał gamę swoich największych atutów. W swym ósmym spotkaniu ligowym stał się drugim po Wacławie Sąsiadku najmłodszym strzelcem gola dla Legii w Ekstraklasie. Dziś znajduje się na siódmym miejscu w tej klasyfikacji. W tym samym meczu trafił jeszcze raz, a w następnej kolejce powtórzył swój wyczyn i zapisał na swym koncie dublet. Nic dziwnego, że kibice Legii z nadzieją zaczęli spoglądać na utalentowanego piłkarza popisującego się trikami w stylu brazylijskich piłkarzy. Już pierwszy sezon dał mu również brązowy medal mistrzostw Polski.

Kolejne lata nie zawodziły jego miłośników. Coraz częściej sam wpisywał się na listę strzelców. W rozgrywkach 1963/64 oraz 1964/65 osiągnął nawet dwucyfrowe wyniki w tym elemencie. Spora część jego bramek to prawdziwe majstersztyki techniczne. Znakomicie dośrodkowywał, grał bardzo szybko i ze swadą kombinacyjną oraz ogromnym luzem. W tym czasie Legia miała duet dwóch bodaj najlepiej wyszkolonych technicznie zawodników w polskiej lidze. Swobodnie drybling serwowali bowiem zarówno Brychczy, jak również właśnie Żmijewski.

Jednak to nie z Kicim stworzył najlepszą formację. Jego gwiazda rozbłysła w czasach gry z Kazimierzem Deyną oraz

Janem Pieszką. Znakomicie potrafił wykorzystywać swoje atuty dla korzyści partnerów. Razem z nimi doszedł do dwóch tytułów mistrzowskich w okresie najbardziej zaciętej rywalizacji Legii z Górnikiem Zabrze. Sam strzelił gola w decydującym spotkaniu o tytuł z 1969 roku. Ponadto dwa razy był wicemistrzem Polski i raz zdobył brązowy medal. W dodatku należał do najelegantszych zawodników na rodzimych boiskach. Wielu denerwowały te jego zwody. Czasem jego koledzy, przywiązani do schematów, nie nadążali za tymi pomysłami. Kibice z Łazienkowskiej jednak bezgranicznie go uwielbiali.

Dużą sławę przyniosły mu występy na arenie międzynarodowej. Wraz z Legią doszedł do półfinału Pucharu Europejskich Mistrzów Krajowych w 1970 roku. Żmijewski w tej kampanii strzelił dwa gole mistrzowi Rumunii – UT Arad w dwumeczu początkowej rundy. W kolejnym sezonie jego bramka zdobyta przeciwko Standardowi Liege dała awans do ćwierćfinału. W tym samym meczu po efektownym dośrodkowaniu zaliczył asystę przy trafieniu Jana Pieszki. W innych rozgrywkach trafiał przeciwko TSV Monachium, Ujpestowi Budapeszt, Admirze Wiedeń, Chemie Lipsk czy Fremowi Kopenhaga. Do dziś z dorobkiem dwunastu trafień jest piątym najlepszym strzelcem Legii w europejskich pucharach.

Niestety występy na kontynentalnej arenie położyły się cieniem na jego karierze w latach siedemdziesiątych. Podczas wylotu na mecz półfinału PEMK z Feyenoordem u niego i bramkarza, Władysława Grotyńskiego, znaleziono

dolary. Ich wywóz był surowo zakazany. Dziś uważa się, że cała afera została wyreżyserowana. Przeszła ona do historii jako „afera dewizowa”.

W reprezentacji Polski zagrał w piętnastu meczach, w których strzelił siedem goli. Znakomicie wypadł w starciu przeciwko Belgom, gdy zapisał na swe konto trzy trafienia. Był to pierwszy hat–trick reprezentanta Polski na wyjeździe w eliminacjach MŚ. Potem w kadrze nie widział go już Kazimierz Górski, choć u tego szkoleniowca debiutował w Ekstraklasie.

Po aferze dewizowej został zdyskwalifikowany na kilka miesięcy przez Legię. Próbował go wtedy ściągnąć Górnik Zabrze. Ostatecznie jednak został w szeregach Wojskowych, a niedługo potem zasilił Ruch Chorzów. Grał później na niższych szczeblach w Avii Świdnik, Polonii Warszawa, Pogoni Siedlce, Elektroniku Piaseczno. Karierę kończył w klubach kanadyjskich.

Obecnie nadal mieszka w Kanadzie. Jest członkiem Galerii Sław Legii.

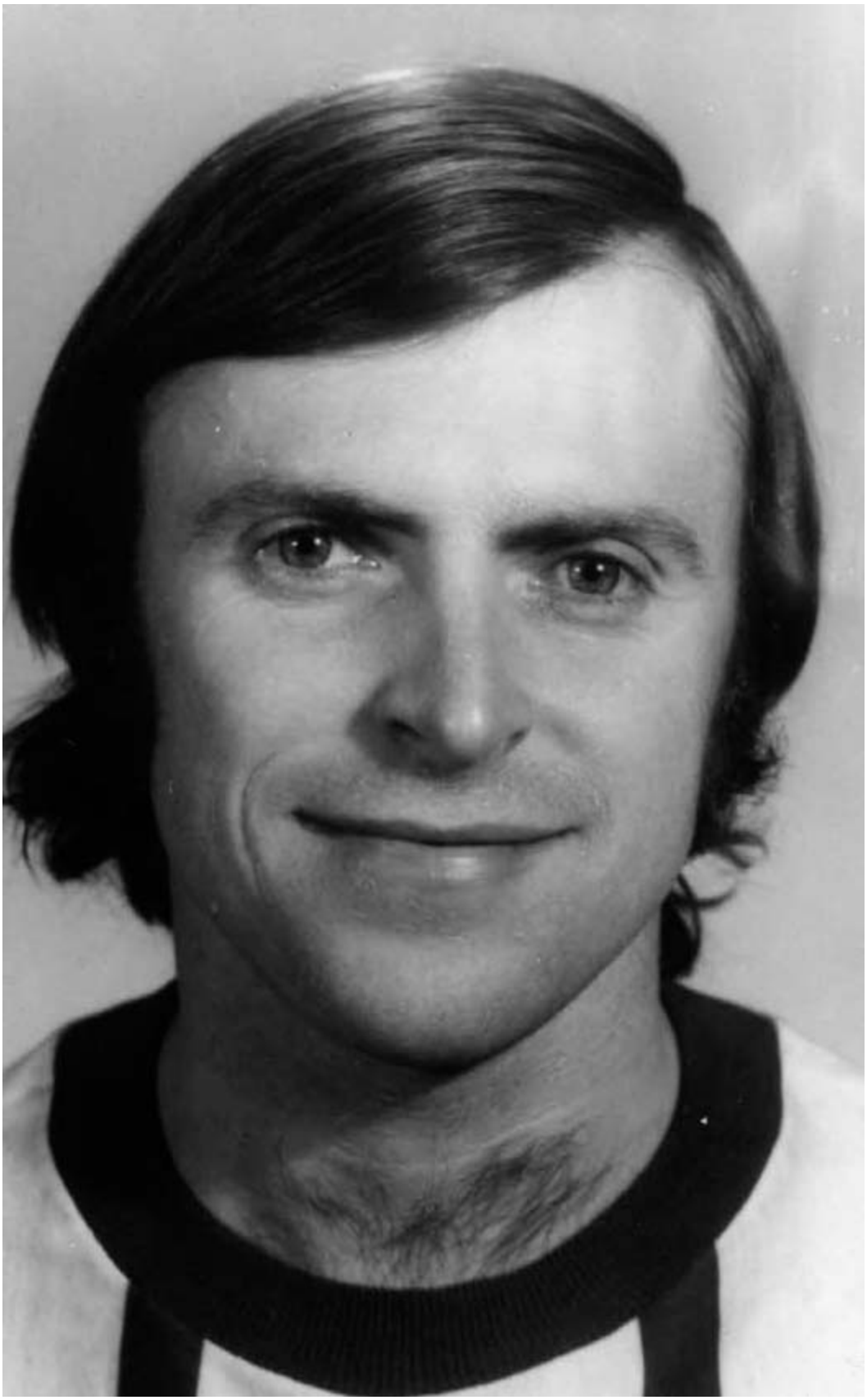

źródło: archiwum Ruchu Chorzów

BRONISŁAW BULA

(pomocnik)

Kluby w Ekstraklasie: Ruch Chorzów
Lata gry: 1965-1978
Mecze/gole: 318/81

„Bula! Nie ośmieszaj kadrowicza!” – skandowały trybuny podczas Wielkich Derbów Śląska między Ruchem Chorzów a Górnikiem Zabrze. Nie wiadomo, czy te okrzyki podnosiły dumę, czy raczej sprawiały przykrość świetnemu piłkarskiemu dyrygentowi. Choć intencja ich autorów była dobra – stanowiły przecież pochlebstwo – to z drugiej strony nieustannie przypominały o otwartej ranie, jaką w karierze Bronisława Buli stanowiła kadra narodowa.

Błogosławieństwem były jego ponadprzeciętne umiejętności piłkarskie. Świetny reżyser gry, z doskonałą umiejętnością kombinacyjnej taktyki, obdarzony bardzo przenikliwym okiem i zdolnością zagrania piłki „na nos”.

Przekleństwo stanowił zaś… Kazimierz Deyna, piłkarz niemal bliźniaczy w swym stylu. Dlatego też selekcjoner reprezentacji Polski przy wyborze składu decydował się tylko na jednego z nich i na ogół wybierał właśnie rozgrywającego Legii Warszawa.

Premiera kariery reprezentacyjnej obu zawodników, która przypadała na ten sam dzień – 24 kwietnia 1968 roku w starciu przeciwko Turcji w Chorzowie zdecydowanie wypadła na korzyść Bronisława Buli. W 62. minucie zdecydował się na strzał z dystansu, a piłka po rykoszecie wpadła do siatki rywali. W związku z tym już w debiucie zawodnik Niebieskich zapisał na swoje konto premierowego gola. – *Zadowolony jestem z debiutów wszystkich czterech młodych zawodników: Deyny, Maszczyka, Folbrychta i Buli* – podsumował ówczesny selekcjoner Ryszard Koncewicz. Później zarówno jemu, jak i jego następcom ciężko było znaleźć miejsce na boisku jednocześnie dla „Kaki” i Buli.

Razem zagrali zaledwie kilka razy. Kazimierz Górski w decydujących momentach trzymał się jednak sztywno koncepcji z Deyną. To on pojechał na Igrzyska Olimpijskie w 1972 roku oraz Mistrzostwa Świata dwa lata później, z których to imprez Polska przywiozła dwa medale. Dla Buli pozostawały tylko „resztki”. Dwukrotnie zagrał w eliminacjach MŚ, osiem razy w eliminacjach ME. Więcej meczów o stawkę w jego dorobku reprezentacyjnym brak. W wywiadzie dla katowickiego „Sportu” przyznawał, że sporo było jego winy, bo przesadzał z widowiskową grą pod publiczkę. Jacek Gmoch natomiast już całkiem odpuścił tę

kandydaturę. Może w grę weszły też zadawnione rany, bo Bula wspominał, że to właśnie z nim najostrzej rywalizował na boisku i na ogół nie szczędzili sobie razów.

Wetował to sobie na niwie ligowej. Okrzyki „Bula, nie ośmieszaj kadrowicza” wznoszone były przy okazji arcyprestiżowych Wielkich Derbów Śląska przeciwko Górnikowi Zabrze. Bula wraz z kolegami z Ruchu Chorzów mierzył się z odwiecznym rywalem w składzie, między innymi z medalistami MŚ – Andrzejem Fischerem, Jerzym Gorgoniem, Andrzejem Szarmachem, mistrzem olimpijskim Włodzimierzem Lubańskim czy finalistą Pucharu Zdobywców Pucharów Janem Banasiem. Tymczasem największą gwiazdą został właśnie Bula. – *Gwiazda Buli jaśniała potem już pełnym blaskiem, on narzucał grze Niebieskich tempo. Pełnymi finezji podaniami raz po raz puszczał w bój kolegów, sam nie rezygnując z każdej próby szturmowania przedpola zabrzan. On podjął ciężar odpowiedzialności za losy spotkania i dzięki jego grze, pełnej fantazji, polotu, i co najważniejsze, skuteczności* – pisał o nim katowicki „Sport”. W tym spotkaniu strzelił hat-tricka. Za swoje najlepsze spotkanie jednak uważał inne starcie z Górnikiem Zabrze, z 1970 roku. Choć nie strzelił w nim gola, to od „Sportu” otrzymał maksymalną notę – pięć gwiazdek. Do dziś zresztą jest najlepszym strzelcem Niebieskich w Wielkich Derbach Śląska. Inną wielką chwilę triumfu musiał przeżywać w 1975 roku, gdy Kazimierz Górski wręczał mu medal za mistrzostwo Polski.

Publiczność kochała jego widowiskową grę. Bronisław Bula należał do najbardziej wyróżniających się gwiazd ligi na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Od 1965 do 1978 roku rozegrał w sumie 318 spotkań w Ruchu Chorzów. Daje mu to drugie miejsce w klasyfikacji największej liczby występów w Ekstraklasie w tym klubie za Antonim Nierobą. Takie wyniki jednak nie dziwią, skoro Bula zagrał w lidze nawet w dniu swojego ślubu, zaledwie kilka godzin po ceremonii!

Tworzył w drużynie klubowej świetną parę środkowych pomocników z Zygmuntem Maszczykiem, z którym debiutował tego samego dnia w reprezentacji narodowej. Maszczyk odpowiadał za destrukcję i rozbijanie akcji przeciwników na linii środkowej. Bula natomiast grał jako bardziej wysunięty z duetu, obdarzony zadaniami kreatywnymi. To on dyrygował ofensywną grą Ruchu. Z dobrym skutkiem. W ciągu jego kariery Ruch Chorzów trzykrotnie zdobył mistrzostwo Polski (1968, 1974, 1975). Dwa razy był wicemistrzem Polski i jeden raz wywalczył brązowy medal. Do tego dochodzi Puchar Polski oraz dwa finały rozgrywek o to trofeum. W europejskich pucharach natomiast doszedł z Niebieskimi do ćwierćfinałów Pucharu UEFA oraz Pucharu Europejskich Mistrzów Klubowych w dwóch kolejnych sezonach.

Indywidualnie w Pucharze UEFA w sezonie 1973/74 strzelił cztery gole (w tym jednego w 1/8 finału), co ex aequo z Joachimem Marxem i Józefem Kopicerą czyniło go najlepszym strzelcem Ruchu w tamtej edycji rozgrywek.

W PEMK jego dublet dał natomiast awans w starciu z mistrzami Danii – Hvidovre IF. W ćwierćfinale z AS Saint-Etienne gol Buli przesądził natomiast o wygranej w pierwszym spotkaniu, w rewanżu jednak Niebiescy przegrali z rywalem z Francji.

Po wyjeździe z Polski w wieku 32 lat przeszedł do FC Rouen, występującym w Ligue 2, a następnie w Arras FA. Do tej pory mieszka we Francji.

Nieco mniej znany w Polsce od Deyny i innych piłkarzy kadry Górskiego, na Śląsku jest nadal bardzo popularną postacią. Reżyser filmu „Gwiazdy” o Janie Banasiu nadał nawet koledze głównego bohatera nazwisko „Bula”.

LESŁAW ĆMIKIEWICZ

(obrońca/pomocnik)

Kluby w Ekstraklasie: Śląsk Wrocław, Legia Warszawa
Lata gry: 1965-1979
Mecze/gole: 306/18

Eliminacje Mistrzostw Świata 1974 nie zaczęły się najlepiej. Polacy przegrali 2:0 z Walią. Do rewanżu z tym rywalem przystępowali więc pełni obaw. Selekcjoner Kazimierz Górski wraz ze swymi asystentami Jackiem Gmochem i Andrzejem Strejlauem wynalazł jednak idealną taktykę na tego rywala. Gole strzelili wtedy: Robert Gadocha, Grzegorz Lato i Jan Domarski. Cichym bohaterem spotkania okazał się jednak twardy, diabelnie pracowity, może i mało efektowny, ale niezwykle efektywny Lesław Ćmikiewicz, nazwany niegdyś przez Kazimerza Górskiego „człowiekiem od zadań specjalnych”. Na jego koszulce po tym spotkaniu zostały złożone podpisy przez reprezentantów. Potem trykot ten ofiarowany został dzieciom z jednej ze szkół.

Choć wielu zapamiętało go z tego spotkania głównie przez faul, jaki popełnił na nim Trevor Hockey. Potężnie zbudowany brodacz z Wysp Brytyjskich kopnął bez piłki Ćmikiewicza. – *Nie rozumiem tego, zwłaszcza że poza boiskiem Hockey to taki miły człowiek* – mówił Polak. Ćmikiewicz uprzykrzył mu grę w piłkę jednak do tego stopnia, że ten nie wytrzymał nerwowo. Do takich zadań nadawał się jak mało kto.

Na ogół nie wybijał się wizualnie swą grą, ale był cichym bohaterem wielu spotkań. Znakomicie asekurował swych kolegów z obrony. To dlatego „Piłka Nożna" przyznała mu jako jednemu z dwóch polskich piłkarzy klasę międzynarodową za 1973 rok. Wtedy też znalazł się w czołowej „10" Plebiscytu „Przeglądu Sportowego" na najlepszego sportowca roku.

Nietrafne jednak byłoby go uważać tylko za zwykłego „przecinaka". Jedną z jego akcji wspominał w „Spalonym" Andrzej Iwan. – *W końcu włączył się Heniek Maculewicz i doskonale uderzył. Wtedy Leszek Ćmikiewicz wyszedł w powietrze, by zablokować piłkę, ale gdy ta go minęła, momentalnie – jak kobra – obrócił się i wybił wpadającą do siatki piłkę perfekcyjnymi nożycami. Było to tak genialne zagranie, że chciałem przed nim uklęknąć i pocałować mu buta, ale nie wypadało – był z przeciwnej drużyny*.

– *Tradycyjna ostoja defensywy* – nazwał go kiedyś katowicki „Sport". To jednak nie wyczerpywało jego możliwości taktycznych. Ogromnym atutem tego zawodnika była wszechstronność. Los rzucał nim po różnych

pozycjach. Podczas turnieju olimpijskiego zakończonego na 1. miejscu grywał jako środkowy obrońca. Jeszcze w jego trakcie stał się zaś defensywnym pomocnikiem. I uważano go za jedną z największych gwiazd biało-czerwonych. Odegrał jedną z decydujących ról między innymi w starciu z ZSRR dającym awans do finału. Na tym jednak nie skończyła się jego wędrówka po pozycjach. Kiedyś ze Szwajcarią selekcjoner Kazimierz Górski wystawił go nawet na ataku, przed IO ćwiczył zaś czasami… na bramce. – *Cieszę się, że mamy aż trzech dobrych bramkarzy, bo może dzięki temu podczas MŚ nie będę musiał nikogo zastępować na tej pozycji. Przed IO trenowałem na bramce, ustawiając się tam awaryjnie* – stwierdził żartobliwie w wywiadzie.

Zmiana pozycji – z obrońcy na pomocnika – sprawdziła się też w lidze. Ćmikiewicz bronił barw Śląska Wrocław oraz Legii Warszawa. Łącznie rozegrał w Ekstraklasie 306 spotkań. Z medalistów MŚ wyprzedzają go pod tym względem jedynie Zdzisław Kapka oraz Zygmunt Maszczyk, wśród medalistów IO – jedynie ten drugi, Zygfryd Szołtysik oraz Dariusz Gęsior.

Lata siedemdziesiąte spędził w barwach Wojskowych. Razem z klubem ze stolicy dwukrotnie stał na podium mistrzostw Polski (srebro i brąz). Dwa razy zdobył także Puchar Polski. Do dziś jest uważany za jednego z najlepszych defensywnych pomocników Legii Warszawa. Bardzo dobrze uzupełniał się z ofensywnie nastawionym Kazimierzem Deyną. Razem z Legią awansował do

ćwierćfinału Pucharu Europejskich Mistrzów Klubowych, skąd odpadła po bojach z Atletico Madryt.

Sympatyczny, obdarzony dużym poczuciem humoru i sypiący dowcipami Ćmikiewicz doczekał się opaski kapitańskiej w Legii. To, że potrafił mobilizować kolegów, wiadomo było już od zwycięskiego turnieju olimpijskiego. – *Panowie, zamiast wymówek i wzajemnych pretensji niech każdy spojrzy na siebie. Zacznijmy grać, bo inaczej z medalu będą nici* – stwierdził w przerwie spotkania z Danią na IO.

Na Mistrzostwach Świata w Niemczech zagrał w sześciu spotkaniach, ale we wszystkich z nich pełnił rolę zmiennika. – *W drugiej linii w tej chwili Maszczyk jest lepszy od Ćmikiewicza* – przecinał dyskusje na temat swego wyboru Kazimierz Górski. Między innymi z powodu kontuzji, jakiej doznał po uderzeniu butelki o stopę. Pracowity, potrafiący zatrzymywać akcje przeciwników Ćmikiewicz świetnie się nadawał do przetrzymywania piłki jako dżoker.

Poza srebrem z tego turnieju (za 3. miejsce) oraz olimpijskim złotem z 1972 roku, zdobył też wicemistrzostwo igrzysk w 1976 roku. Na kolejny mundial nie pojechał z powodu zatargu z selekcjonerem Jackiem Gmochem, choć uchodził wówczas za jednego z najlepszych piłkarzy w lidze.

W 1980 roku wyjechał z Polski do Stanów Zjednoczonych. Później przez wiele lat pracował jako trener w Ekstraklasie. Prowadził m.in. Motor Lublin, Pogoń Szczecin czy Górnika Zabrze. Jako jedyny z zespołu

medalistów Górskiego z MŚ był też selekcjonerem reprezentacji Polski. Po dymisji Andrzeja Strejlaua poprowadził kadrę w trzech meczach.

Należy do Galerii Legend Legii Warszawa. Otrzymał nagrodę Miasta Stołecznego Warszawy za wkład w rozwój stolicy.

źródło: 400mm.pl

KAZIMIERZ DEYNA

(pomocnik)

Kluby w Ekstraklasie: ŁKS Łódź, Legia Warszawa
Lata gry: 1966-1978
Mecze/gole: 305/94

Pierwszy polski piłkarz w historii, który doczekał się pomnika. Pomnikową postacią dla fanów stał się jednak już za życia. – *Deyna Kazimierz, nie rusz Kazika, bo zginiesz!* – niesie się już od kilku dekad z Łazienkowskiej. Specjalista od zaskakujących strzałów i precyzyjnych podań, rozegrał w najwyższej polskiej lidze 305 meczów, w których strzelił 94 gole.

Na niespełna dwa tygodnie przed 19. urodzinami „Kaka” otrzymał szansę premierowego występu na tym poziomie rozgrywkowym, ale nie w Legii, lecz w barwach ŁKS Łódź. Tydzień wcześniej strzelił hat-tricka w rezerwach tego klubu w III lidze przeciwko Włókniarzowi

Białystok, co zwróciło uwagę szkoleniowca I drużyny Longina Janeczka. „Kaka” – zapisywany wtedy pod nazwiskiem „Dejna” – wyszedł w podstawowym składzie do rywalizacji z obrońcą mistrzowskiego tytułu – Górnikiem Zabrze, zestawionym z reprezentantów Polski: Huberta Kostki, Zygfryda Szołtysika, Włodzimierza Lubańskiego. Trudno było wtedy rozpoznać we flegmatycznym pomocniku z Łodzi ich przyszłego kolegę, z którym trzech z nich świętowało złoto olimpijskie zaledwie sześć lat później. Choć już od samego początku dał się poznać z dobrej strony. – *W drużynie ŁKS wystąpił młody Dejna i okazał się on jednym z lepszych. Ma on dobre rozeznanie sytuacji, celność podania piłki, a siłą strzału dorównuje Sadkowi* – pisał „Dziennik Łódzki”.

Był to jednak jego jedyny występ w ŁKS Łódź. Poprzedzał bowiem trzytygodniową przerwę w rozgrywkach spowodowaną meczami reprezentacji. W tym czasie, po ukończeniu 19. roku życia, Kazimierz stał się już „poborowym Deyną” wcielonym do Legii Warszawa. – *Być może służba wojskowa wyjdzie mu na dobre również i w przestawieniu jego mentalności, która ostatnio wyraźnie była nastawiona na brzęczące argumenty* – pisał zgryźliwie Rafał Stanowski w „Dzienniku Bałtyckim”, obrażony za to, że wychowanek Włókniarza Starogard Gdański przeszedł do Łodzi, a nie jednego z klubów regionu pomorskiego.

Był najważniejszą postacią Wojskowych, gdy sięgali po mistrzostwo Polski w 1969 i 1970. W pierwszej z tych edycji dokonał rzadkiego wyczynu. Na dwie kolejki przed końcem,

podczas meczu z Pogonią Szczecin, Deyna pięknym strzałem posłał piłkę w górny róg bramki. Arbiter uznał jednak, że doszło do przekroczenia przepisów i zarządził powtórkę stałego fragmentu gry. Niezrażony werdyktem „Kaka” zmienił sposób jego wykonania. Tym razem mur jego strzał ominął. I znów wpadł do siatki! Dwie kolejki później również popisał się dubletem w finałowym starciu, w którym Legia pokonała 6:2 Ruch Chorzów i ostatecznie przypieczętowała pierwszy od 13 lat mistrzowski tytuł. Rok później trafił w spotkaniu z Cracovią decydującym o mistrzostwie, gwarantując swemu klubowi triumf. Poza tym zdobył dwukrotnie wicemistrzostwo Polski oraz brązowy medal.

Największą sławę dała mu jednak reprezentacja. Żaden piłkarz nie rozegrał tylu spotkań w reprezentacji kraju jako zawodnik klubu Ekstraklasy, co właśnie „Kaka”. Przez ponad dekadę Deyna był głównym reżyserem gry biało-czerwonych, co czyniło z niego zarazem jedną z największych gwiazd światowego futbolu. Z igrzysk olimpijskich w 1972 roku przywiózł złoto. Na swoje skronie założył przy tym koronę króla strzelców tego turnieju. „Kaka” strzelił w Monachium aż dziewięć goli. Lepszy wynik od niego w całej historii zmagań na imprezach tej rangi osiągnęli tylko: Sophus Nielsen, Gottfried Fuchs, Domingo Tarasconi czy Ferenc Bene. Deyna z siedmiu spotkań turnieju nie trafił ani razu tylko przeciwko Niemcom z NRD. – *Życiowa forma przyszła właśnie w dniach turnieju olimpijskiego, ale choćbym grał nie wiem*

jak, to bez pomocy kolegów niewiele mógłbym zdziałać – skomentował skromnie.

W finale, po jego stracie Węgrzy strzelili gola na 1:0. Błąd jednak spłacił, zdobywając po przerwie dwie bramki, co zapewniło Polsce pierwszy w historii triumf w sportach zespołowych podczas igrzysk. Pierwsza z nich padła po fenomenalnej solowej akcji, gdy sam oszukał całą węgierską obronę.

Po raz drugi w ciągu kilku dni wykazał olbrzymią odporność psychiczną. Wcześniej w spotkaniu z ZSRR, decydującym o wejściu do finału, przy stanie 0:1 dla rywali, podjął się wykonania rzutu karnego. – *Kaziu, musisz!* – zwrócił się wcześniej do niego poszkodowany w tej akcji Włodzimierz Lubański. Sam Deyna wspominał ten moment, jako czas największego stresu w karierze. Bramkarz Związku Radzieckiego Jewgienij Rudakow wydawał mu się nadnaturalnie duży, mimo to „Kaka" precyzyjnym strzałem zdołał zmieścić piłkę między jego olbrzymimi rękami. Futbolówka otarła się o wewnętrzną część słupka i wpadła w sieci.

Na samym mundialu w Niemczech strzelił trzy gole. Trafienie zanotowane w starciu przeciwko Włochom do dziś uznawane jest za jedno z najładniejszych w historii reprezentacji Polski. Deyna dopadł do piłki przed polem karnym i z pierwszej piłki, potężnym mierzonym strzałem zmieścił futbolówkę obok Dino Zoffa. Legenda głosi, że przy wykonaniu tego zagrania pękł mu but. Ponadto pokonał bramkarzy Argentyny i Jugosławii (z karnego). Razem

z kolegami doszedł w ten sposób do trzeciego miejsca w turnieju. Dzięki swym wyczynom wybrany został trzecim najlepszym piłkarzem mundialu. Na podium po finale całego mundialu wszedł w towarzystwie Franza Beckenbauera i Johanna Cruyffa. Chwilę potem pojawił się jeszcze sam, bo Fritz Walter wręczył mu specjalny puchar jako kapitanowi Polaków – nagrodę dla najbardziej bramkostrzelnej drużyny. Do swoich jedenastek turnieju dały go AFP oraz „News of the World". Magazyn „Sunday People" uznał go zaś za szóstego zawodnika tego mundialu.

W plebiscycie na Złotą Piłkę za 1974 rok zajął trzecie miejsce. Ogółem zaś zdobywał punkty w tym najbardziej prestiżowym plebiscycie czterokrotnie. Od edycji 1971 do 1974 ani razu nie wypadł poza czołową szóstkę. Dzięki temu jest jedynym w historii polskim piłkarzem z taką serią. Wyniku tego nie pobili nawet Zbigniew Boniek ani Robert Lewandowski.

Często zestawiano go z bardzo dobrym kolegą i niedoszłym świadkiem na jego ślubie Włodzimierzem Lubańskim. Elokwentny, elegancki napastnik Górnika znacznie lepiej prezentował się przed kamerami niż wycofany, nieco niezgrabny, flegmatyczny Deyna. Tak samo było na boisku. Bez piłki „Kaka" gubił się w tłumie kolegów. Lecz gdy tylko futbolówka znalazła się w jego posiadaniu, w jednej chwili przemieniał się w głównego aktora widowiska. Potrafił świetnie zagrać kolegom. – *Kiedy widziałem, że Kaka ma piłkę, to wiedziałem, że nie muszę nic robić, a piłka znajdzie się dokładnie przy mojej nodze* –

opowiadał Lubański. Obsługiwał swoich partnerów znakomitymi asystami. Sam jednak też potrafił zaskakiwać przeciwników znakomitymi strzałami. W lidze przekonali się o tym choćby piłkarze ŁKS-u. W jednym meczu z nimi Deyna strzelił aż cztery gole. Jego specjalnością były strzały z dystansu, zwłaszcza z rzutów wolnych, nazywane „spadającymi liśćmi” lub „kaczkami”.

Z racji opaski kapitańskiej na ramieniu musiał jednak regularnie przełamywać nieśmiałość. On w imieniu drużyny przemawiał do tłumów, gdy reprezentacja wracała po sukcesie na Wembley. Dziękował publicznie też na koniec zgrupowania przed MŚ 1974, zorganizowanego w Zakopanem, kiedy górale wręczyli zawodnikom podhalańskie kapelusze. Kiedy zaś miesiąc później piłkarze wrócili z medalami, stwierdził na lotnisku: – *Nie mogliśmy na życzenia powodzenia odpowiedzieć inaczej niż postawą na boisku.*

Warszawa go kochała, skandując *Deyna Kazimierz, nie rusz Kazika, bo zginiesz*. Inne regiony jego wycofanie brały za wywyższanie się. Dlatego często spotykał się z porcjami gwizdów. Jak wtedy, gdy strzelił gola decydującego o awansie do MŚ przeciwko Portugalii na Stadionie Śląskim. Prowadzenie objęli Polacy po genialnym strzale bezpośrednio z rzutu rożnego Kazimierza Deyny. Niezwykły wyczyn został jednak skwitowany przez publiczność olbrzymimi gwizdami. – *Moja radość byłaby większa, gdyby udało mi się strzelić jeszcze jedną, a okazje były. Wtedy koledzy mogliby grać spokojni o końcowy rezultat.*

Zdeprymowało mnie jednak przyjęcie zgotowane prze kibiców. Kibice potrafią być okrutni… – stwierdził Deyna w wywiadzie pomeczowym. – *Nie rozumiem tych gwizdów* – krótko komentował zdarzenie Lubański, stając w obronie Deyny. Zdarzyło się jednak, że nawet we wrogim mu Zabrzu przyjmowano go po królewsku. Było tak w pierwszej kolejce rozgrywanej po awansie z reprezentacją na Wembley. Deyna w tym starciu strzelił jedynego gola spotkania, a komentator odnotował, że piłkarz został przywitany tak, jakby był zawodnikiem Górnika. Podobnie było po powrocie z MŚ, gdy przywitano go oklaskami w Mielcu.

Oprócz złota IO i srebra MŚ kolekcję jego trofeów reprezentacyjnych uzupełnia srebro olimpijskie z Montrealu. Tam w przypływie bezradności trener Kazimierz Górski wystawiał go nawet na ataku.

Ponadto grał na mundialu w Argentynie. Nie wspominał go jednak najlepiej. Miał na koncie piękny strzał z rzutu wolnego w meczu otwarcia z RFN, kilka dni później strzelił gola z Meksykiem. W drugiej fazie grupowej przyszło jednak załamanie. Pierwsze spotkanie w drugiej fazie – z gospodarzami turnieju – według ówczesnych wyliczeń było jego setnym meczem w kadrze. Takiej liczby nie osiągnął nikt przed nim. – *Rozegrać 100 spotkań w reprezentacji Polski to było moje marzenie. Na ten moment czekałem już od wielu lat. W reprezentacji Polski gram już 10 lat, a kapitanem jestem od 5 lat. Okres, kiedy pełniłem funkcję kapitana, wspominam bardzo przyjemnie zwłaszcza, że są to pomyślne lata dla naszego piłkarstwa.*

Po MŚ żegnam się z reprezentacją. Jest to decyzja nieodwołalna. Uważam, że sportowiec powinien zejść z areny wówczas, kiedy jest jeszcze dobry. W kraju mamy wielu młodych utalentowanych zawodników czekających na miejsce w reprezentacji, a mnie trudno będzie utrzymać wysoką formę przekroczyłem przecież 30. Na poziomie ligowym będę grał jeszcze 2-3 sezony. Potem mam zamiar zająć się szkoleniem młodzieży w Legii – mówił przed meczem.

Na IO 1972 strzelił karnego Jewgienijowi Rudakowowi, dwa lata później na MŚ powtórzył to przeciwko Enverowi Mariciowi na MŚ. Kolana ugięły się pod nim jednak w kolejnym mundialu. Przekombinował i właściwie podał piłkę z „wapna" do Ubaldo Fillola w starciu z gospodarzami. – *Myślę, że Deyna nie wytrzymał nerwowo* – na gorąco mówił jego kolega reprezentacyjny Adam Nawałka. Zadecydowało to o odpadnięciu Polski z walki o finał MŚ w 1978 roku. Deyna został obwołany głównym winowajcą przegranej. – *Zdarza się. Nawet Pele kiedyś spudłował* – próbował bagatelizować ten fakt, ale wewnątrz bardzo przeżywał porażkę. Tym bardziej, kiedy przed starciem z Brazylią o awans do strefy medalowej otrzymał mnóstwo wyzwisk od kibiców w telegramach. – *Ma już chyba dość futbolu. Podać to on jeszcze potrafi, ale cóż kiedy porusza się z szybkością żółwia* – komentował „Dziennik Polski". „Kaka" – cztery lata wcześniej wielbiony – po przylocie opuścił załamany lotnisko.

Wkrótce po powrocie „Kaka” wyjechał z Legii. Na odchodne pożegnał się dubletem strzelonym Odrze Opole. Po wyjeździe z Polski grał w Manchesterze City. Tam jednak, pomimo obiecujących początków, nie zdołał podbić angielskiej publiczności. Mimo to magazyn „Four Four Two” umieścił go na 48. miejscu na liście najlepszych zagranicznych piłkarzy, którzy kiedykolwiek grali w angielskiej lidze. „Sunday Times” sklasyfikował go zaś lokatę wyżej wśród najsłynniejszych zawodników Manchesteru City. Nim wyjechał do Anglii, zdarzyło mu się już wcześniej zetknąć z księciem tego kraju Filipem, mężem królowej Elżbiety. Wyraził on bowiem życzenie krótkiej rozmowy z selekcjonerem Kazimierzem Górskim i kapitanem kadry podczas Igrzysk Olimpijskich w Montrealu.

Później grał jeszcze w San Diego Soccers. W USA przeżywał ostatnie chwile chwały piłkarskiej. Był jedną z największych gwiazd ligi halowej. Kilka razy wywalczył mistrzostwo USA w tej specjalności.

W reprezentacji zagrał w sumie 97 razy i strzelił 41 goli. W obu tych kategoriach do dziś znajduje się w TOP-4 w historii kadry Polski. – *Dla nas, występujących z nim w jednej drużynie, był geniuszem. Nienaganna technika, fantastyczne przewidywanie sytuacji na boisku, niebywała umiejętność czytania gry, przewidywanie ustawienia rywali na dwie-trzy sytuacje wcześniej. Zalety wyjątkowe!* – pisał o nim Włodzimierz Lubański.

Dla wielu to najlepszy piłkarz w historii Polski. Został piłkarzem 75-lecia PZPN, tygodnik „Piłka Nożna” wybrał go zaś Piłkarzem XX wieku w Polsce. Sześć razy wybierano go do TOP-10 Plebiscytu „Przeglądu Sportowego” na Sportowca Roku. Po dwa razy był Piłkarzem Roku według „Piłki Nożnej” i „Sportu”. Raz wygrał też punktację „Złotych Butów”.

Zginął w wypadku samochodowym 1 września 1989 roku. Obecnie przed stadionem Legii znajduje się jego pomnik. Jego imię noszą ulice w Warszawie, Oleśnicy i rondo w Siedlcach. Powstał na jego temat film „Deyna”. Nazwisko znakomitego piłkarza występuje też w komedii „Być jak Kazimierz Deyna”, gdzie główny bohater rodzi się w dniu strzelenia przez Deynę gola z rzutu rożnego przeciwko Portugalii i otrzymuje jego imię. Nazwę „Deyna” nosi też pociąg TLK na trasie Łódź – Warszawa.

ummel

źródło: 400mm.pl

JAN DOMARSKI

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Stal Rzeszów, Stal Mielec
Lata gry: 1964-1976
Mecze/gole: 309/91

Jeśli umrę, to na moim nagrobku wystarczy napisać „Gol. 22.06.1974”. I tak wszyscy będą wiedzieć o kogo chodzi. Taką makabryczną dewizę wygłosił niegdyś Juergen Sparwasser, zdobywca jedynej bramki w słynnym meczu NRD – RFN z MŚ w 1974 roku. Podobne zdanie, ale z datą zamienioną na 17.10.1973, mógłby wygłosić Jan Domarski. Strzelec najsłynniejszego gola w historii Polski.

– *Przyszła, naszła, zeszła, weszła* – tak ponoć przedstawiał ten jeden z najważniejszych momentów w historii polskiej piłki sam zawodnik. Później jednak twierdził, że taką wersję kolportował głównie gadatliwy bramkarz Jan Tomaszewski. Według samego Domarskiego

akcja była raczej wynikiem przemyślanej taktyki. Włodzimierz Lubański nazywał ten strzał „podziemnym”.

– *No to co? Wytrzymaliście I połowę, to chyba w II też dacie radę?* – stwierdził Kazimierz Górski, przemawiając do swych zawodników w przerwie decydującego meczu eliminacji MŚ z Anglią, gdy statystyka strzałów wynosiła 11:1, a rzutów rożnych 16:0 dla rywali! Po powrocie na boisko biało-czerwoni otrząsnęli się z bojaźliwości. Coraz częściej przedostawali się w okolice pola karnego. Aż wreszcie w 57. minucie piłkę przejął Henryk Kasperczak, wypuścił Grzegorza Latę, a ten po rajdzie podał na linii pola karnego Janowi Domarskiemu. Niezbyt czysty strzał okazał się nie do zatrzymania dla Petera Shiltona. Później Anglicy zdołali wyrównać, ale remis 1:1 dał awans do mundialu biało-czerwonym.

Nie ma słynniejszego wydarzenia sportowego w historii Polski niż ten mecz. Nie ma słynniejszego gola w historii polskiej piłki niż nieczyste trafienie Jana Domarskiego. Nie ma słynniejszego cytatu w dziejach polskiego komentarza sportowego niż „Ucieka teraz… Gadocha, Domarski… gol! Gol, proszę państwa! Sensacja na Wembley!” Jana Ciszewskiego. Ta bramka trafiła na listę pięćdziesięciu najważniejszych trafień w historii futbolu. Gdy Domarski skierował piłkę do siatki, w Anglii zapadła cisza… Jak cenna była to chwila dla całego narodu polskiego świadczy scena z filmu „Wesele” Wojciecha Smarzowskiego. Jeden z bohaterów, Wujek Mundek, podczas zaślubin chrześnicy pokazuje gościom „oryginalną koszulkę Domarskiego

z Wembley”. Jest to w sumie o tyle prawdopodobne, że sam Domarski przyznawał, iż pamiątkowy trykot mu zaginął, a akcja filmu dzieje się na Podkarpaciu, z którym piłkarz związał prawie całą swą karierę.

Akcję, po której padła bramka, zapoczątkował Henryk Kasperczak, asystę zaliczył Grzegorz Lato, wykończył zaś Jan Domarski. Mawiano więc, że awans Polsce dała Stal Mielec. Wszyscy trzej główni bohaterowie tej akcji grali bowiem w tym czasie w owej drużynie i brali udział w wywalczeniu przez ten zespół mistrzostwa Polski w 1973 roku. Przed tym mistrzowskim sezonem Domarski został ściągnięty ze swojego rodzinnego Rzeszowa, gdzie reprezentował barwy miejscowej Stali. W swym macierzystym klubie dosłużył się statusu najlepszego strzelca w historii jego występów w Ekstraklasie z dorobkiem pięćdziesięciu pięciu goli. Maksimum tej drużyny stanowiła jednak siódma lokata na koniec sezonu 1966/67. Dlatego Domarski zdecydował się na transfer do sąsiedniego miasta, mniejszego, ale dysponującego zespołem z większymi perspektywami.

Właśnie tutaj odnosił swoje największe sukcesy klubowe. Był gwarantem co najmniej kilku goli w każdej edycji rozgrywek. Razem ze Stalą Mielec zdobył mistrzostwo Polski w 1973 i 1976 roku. Zgarnął też srebro oraz brąz w zmaganiach ligowych. W każdym z czterech sezonów, w których grał w barwach tego klubu, stał zatem na podium. Występował też w finale Pucharu Polski. Ze swoimi kolegami doszedł ponadto do ćwierćfinału Pucharu

UEFA, gdzie o odpadnięciu z Hamburgerem SV zadecydowała jedna bramka. Brał udział w największych wiktoriach Stali Mielec w historii rozgrywek. Jak wtedy, pokonała pewną siebie Legię 6:0, a Domarski strzelił dwa gole albo kiedy przeciwko ŁKS-owi pokonał Jana Tomaszewskiego, a mielczanie – miesiąc po wygranej na Wembley – zwyciężyli z łódzkim zespołem aż 7:0, lub w wyjazdowym triumfie 6:0 nad Polonią Bytom z trafieniem Domarskiego.

Stąd trafił do reprezentacji. Poza najsłynniejszą bramką przeciwko Anglii, popisał się w niej też równie ważnym golem dwa tygodnie wcześniej w spotkaniu eliminacji Mistrzostw Świata przeciwko Walii. Bez tego zwycięstwa na nic zdałby się remis z Synami Albionu pół miesiąca później. Domarski w tych decydujących spotkaniach zastąpił kontuzjowanego Włodzimierza Lubańskiego. Za dobrą postawę na finiszu selekcjoner Kazimierz Górski odpłacił się mu miejscem w kadrze na Mistrzostwach Świata 1974, zakończonych zdobyciem trzeciego miejsca, choć miał wątpliwości przed jego powołaniem. – *Domarski oddalony od wysokiej formy, ale ciągle mamy w pamięci jego bramkę na Wembley*. – komentowała „Trybuna Śląska” nominację. Selekcjoner Kazimierz Górski replikował: – *Domarski jest piłkarzem z tej trójki najbardziej doświadczonym, zdolnym znieść największe obciążenia psychiczne. Mam nadzieję, że zdoła jeszcze poprawić formę.* W turnieju wystąpił jako zmiennik w dwóch spotkaniach, a także jako podstawowy zawodnik w starciu z RFN. Po powrocie pracownicy

kolbuszowskiej fabryki szkła wręczyli jemu oraz dwóm pozostałym reprezentantom Stali Mielec specjalny puchar z żywicy kolorowej. W sumie w reprezentacji zagrał siedemnaście razy.

Po Stali Mielec wyjechał do francuskiego Olympique Nimes. Na zakończenie kariery grał jeszcze w Stali Rzeszów oraz Resovii. Obecnie pracuje jako trener. Osiągnął duże sukcesy w futbolu młodzieżowym. Mieszka obecnie w Rzeszowie.

źródło: archiwum Górnika Zabrze

JERZY GORGOŃ

(obrońca)

Kluby w Ekstraklasie: Górnik Zabrze
Lata gry: 1967-1980
Mecze/gole: 220/18

Mieszanka językowa, jakiej używał węgierski trener Górnika Zabrze, Geza Kalocsay, zawsze budziła wielką wesołość. Madziar przeplatał ze sobą język angielski, niemiecki, węgierski i czeski, tworząc niespotykane konstrukcje. Jedną z najśmieszniejszych była wiązanka, którą często rzucał pod adresem swego podstawowego stopera – Jerzego Gorgonia: „Ty jesztesz welky elefant. Ty must biegać!”. Bawiła ona jednak głównie zawodników Górnika, bo przeciwnikom nie było już do śmiechu, gdy stawali naprzeciwko potężnego, mierzącego blisko dwa metry środkowego obrońcy, z charakterystycznymi długimi blond włosami. Wtedy pojawiał się raczej strach.

W Ekstraklasie był wierny barwom Górnika Zabrze przez ponad dekadę. Trafił tam tuż po ukończeniu osiemnastego roku życia. Z miejsca budził ciekawość swoim wzrostem. Był prawie dziesięć centymetrów wyższy od dwóch pozostałych najbardziej okazałych pod względem wzrostu zawodników w składzie Górnika Zabrze – Jana Gomoli oraz Rainera Kuchty. Gdy zadebiutował w marcu 1968 roku, z miejsca stał się jednym z najwyższych zawodników w Ekstraklasie. Z czasem przylgnął do niego pseudonim „Wielka Biała Góra”, z racji gabarytów oraz długich blond włosów.

O tę górę potem rozbijali się prawie wszyscy napastnicy. Dobrze zbudowany, twardy, a dzięki pracy z Kalocsayem także znakomicie wyszkolony pod względem taktycznym, stanowił jednego z najlepszych obrońców Ekstraklasy w historii. – *Uważam, że był to jeden z lepszych środkowych obrońców w Europie. Warunki fizyczne miał wspaniałe, a przy tym był bardzo sprawny i szybki. Wygrywał wiele pojedynków, także biegowych, przede wszystkim głową, ze względu na wzrost. (…) Niektórzy, tak przypuszczam, to zwyczajnie się go bali… i wcale im się nie dziwię, bo jak taki „olbrzym” ruszył i się rozpędził, to nie było przeproś…* – opowiadał Kazimierz Górski w swej książce „Pół wieku z piłką”.

Nauki wyniesione od partnerów z obrony, Stanisława Oślizły oraz Stefana Florenskiego, sprawiały, że długo był liderem w kraju na swojej pozycji. Dowodziły tego indywidualne wyróżnienia. W 1973 roku wygrał punktację

„Złotych Butów” katowickiego „Sportu”. Sezon później został zaś sklasyfikowany na piętnastym miejscu w całej Europie w plebiscycie Złotej Piłki! Z obrońców wyżej od niego znaleźli się tylko Franz Beckenbauer, Paul Breitner oraz Berti Vogts, czyli trzej mistrzowie świata. Jurorom mógł dać się zapamiętać nie tylko ze skutecznej gry w obronie, ale też dzięki diabelskiej wręcz umiejętności strzelania goli z dystansu. – *Miał uderzenie nie od parady* – określał go Włodzimierz Lubański w swej biografii.

Pokazał go między innymi w spotkaniu fazy grupowej przeciwko NRD w turnieju olimpijskim w 1972 roku. Dwukrotnie z odległości trzydziestu metrów kropnął nie do obrony dla bramkarza przeciwników. Podobnym wyczynem popisał się dwa lata później w starciu Mistrzostw Świata przeciwko Haiti, gdzie przepięknym strzałem z dystansu zaskoczył bramkarza egzotycznych przeciwników. Został tym samym pierwszym polskim obrońcą ze strzelonym golem na mundialu. Do dziś jego wyczyn skopiowali tylko Stefan Majewski, Bartosz Bosacki i Jan Bednarek spośród przedstawicieli tej pozycji. Mało brakowało, a podobnie wpisałby się na listę strzelców, też przeciwko Argentynie, jednak bramkarz obronił jego strzał z dystansu końcami palców. Bramkostrzelność pokazywał też w lidze, gdzie skończył z osiemnastoma golami, co jak na stopera było znakomitym wynikiem. W ostatniej edycji, w której występował, zanotował aż pięć trafień.

W układance Kazimierza Górskiego Gorgoń był absolutnie bezcenny. Razem z reprezentacją Polski zdobył

złoto i srebro olimpijskie, a także srebro Mistrzostw Świata. We wszystkich tych turniejach opuścił tylko jeden mecz! Przed starciem o 3. miejsce na mundialu w 1974 roku mocno bolała go kostka, ale zacisnął zęby i zagrał, skutecznie powstrzymując brazylijskie gwiazdy. Po MŚ francuska agencja prasowa umieściła go w drugiej „11” turnieju. Na igrzyskach dwa lata wcześniej uznawano go zaś za drugiego po Kazimierzu Deynie największego bohatera Polaków.

W eliminacjach MŚ 1974 także był filarem drużyny, zwłaszcza w finiszowych spotkaniach z Walią i Anglią. Po pierwszym z nich selekcjoner rywali uznał go za najlepszego zawodnika w szeregach Polski. Po spotkaniu z Synami Albionu zachwycił Alfa Ramseya. Także Kazimierz Górski wyróżnił go na konferencji prasowej, przyznając, że znakomicie asekurował Jana Tomaszewskiego.

Tomaszewski zrewanżował się Gorgoniowi już na mundialu, gdy obronił karnego wykonywanego przez Steffana Tappera ze Szwecji, podyktowanego właśnie za faul Gorgonia. Niektórzy uważali, że jego konto obciąża gol stracony z RFN. Analizy wykazały jednak w tej sytuacji spalonego. – *Świadomie puściłem Holzenbeina na spalonego* – twierdził po meczu.

Potem pojechał z drużyną Jacka Gmocha na mundial do Argentyny. Selekcjoner postanowił z niego zrezygnować przed najważniejszym spotkaniem – z gospodarzami. Na obronie zastąpił go nominalny pomocnik – Henryk Kasperczak. Do dziś ta decyzja dla wielu znawców jest

szokująca. Zwłaszcza, że dwie bramki w tym starciu zdobył Mario Kempes, za którego upilnowanie odpowiedzialny był następca Gorgonia. Gmoch jednak twierdził, że absencja obrońcy wynikała tylko z powodu dyspozycji fizycznej. W kolejnym meczu – z Peru – udowodnił jednak dobrą formę. Trafił nawet do „11” tej kolejki.

Problem jednak często stanowiła jego dyspozycja psychiczna. Z tego powodu został szybko zmieniony w starciu IO 1972 z ZSRR, a cztery lata później, w finale turnieju nie wybiegł na boisko, choć był w awizowanym składzie. Selekcjoner Kazimierz Górski uważał fakt, że nie wymusił na nim udziału w spotkaniu za jeden ze swoich większych błędów szkoleniowych.

Na ogół cichy i spokojny raz wplątał się w olbrzymią aferę. Wracając pociągiem z meczu z Francji, wraz z Andrzejem Szarmachem naubliżali obsłudze. Dla Gorgonia skończyło się to półroczną dyskwalifikacją. Z tego powodu nie wziął udziału między innymi w spotkaniu decydującym o awansie do ME z Holandią, który kadra gładko przegrała 0:3.

Ostatecznie karierę w reprezentacji zakończył z 55 rozegranymi spotkaniami. Jest członkiem Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Na jego koncie znajduje się finał Pucharu Zdobywców Pucharów. Odznaczył się zwłaszcza w tryptyku półfinałowym z AS Romą. Po jego rajdzie przerwanym faulem, sędzia zarządził rzut karny zamieniony przez Włodzimierza Lubańskiego na gola. Brał też udział

w kolejnej kampanii zakończonej na ćwierćfinale tych rozgrywek.

Po wyjeździe z Górnika Zabrze grał w Sankt Gallen. Po zakończeniu kariery osiadł w Szwajcarii.

ROBERT GADOCHA

(pomocnik/napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Legia Warszawa
Lata gry: 1966-1975
Mecze/gole: 206/72

– *Jak nazwiesz dziecko*? – *Jak będzie syn, to Robert.* – *A jak córka? To Gadocha…* Ten dowcip robił furorę po Mistrzostwach Świata w 1974 roku. Najlepiej pokazywał rolę błyskotliwego lewoskrzydłowego w medalowym zespole. Choć nie zdobył on żadnej bramki, to właśnie charakterystyczny wąsacz był jednym tchem wymieniany wśród najlepszych zawodników tych zmagań. Zgadzał się z tym selekcjoner Niemców Helmut Schoen: – *W reprezentacji Polski najwyższe noty otrzymuje u mnie Gadocha. To zawodnik światowej klasy.*

Niewiele zresztą zabrakło do statusu strzelca gola w mundialowych zmaganiach. W starciu z Jugosławią Gadocha przeprowadził znakomity rajd lewą stroną

z połowy boiska aż pod bramkę przeciwników. Po strzale zatrzepotała nawet siatka, ale od zewnętrznej strony. W starciu z Argentyną piłka w jednej z prób strzału zatrzymała się na słupku. W tym samym meczu stał przed pustą bramką, ale Grzegorz Lato zamiast mu podać, strzelił z ostrego kąta. Jan Ciszewski westchnął tylko: – *Oj, Panie Grzegorzu, Panie Grzegorzu…* Z kolei w spotkaniu z Haiti piłka po jego strzale z rzutu wolnego powędrowała do siatki rywali, ale sędzia dopatrzył się spalonego u polskich napastników. – *Tak marzyłem o zdobyciu gola. Nie udało się. Trudno. Wyręczyli mnie za to moi koledzy: Lato i Szarmach* – stwierdził sam po powrocie z mundialu.

Na lewym skrzydle był jednym z najlepszych zawodników pierwszej połowy lat siedemdziesiątych w Europie. W 1974 roku został nawet wyróżniony ósmym miejscem wśród najlepszych piłkarzy Starego Kontynentu w plebiscycie Złotej Piłki. Zdobył wtedy jedenaście głosów, co pozwoliło mu wyprzedzić między innymi mistrzów świata – Bertiego Vogtsa, Seppa Maiera, Ulli Hoenessa, Włocha Jose Altafiniego, Bułgara Christo Bonewa czy Ukraińca Olega Błochina. Nie było w tym nic dziwnego.

Nikt w końcu podczas mundialu rozgrywanego w tym roku nie mógł się równać z Gadochą pod względem liczby asyst. Zaliczył on aż siedem decydujących podań. Agencje UPI i AFP umieściły go w jedenastkach turnieju. „Sunday People” uznał zaś Gadochę za czwartego zawodnika mundialu. On też został wybrany Piłkarzem Roku 1974 w plebiscycie „Piłki Nożnej”. Rok wcześniej tygodnik ten

wyróżnił go klasą międzynarodową. – *Co tam mistrzostwa! Entuzjazm naszych kibiców –– to dopiero przeżycie* – stwierdził sam po tej fali wyróżnień.

Do sytuacji dochodził dzięki znakomitym umiejętnościom dryblerskim. Potrafił kiwać na małej przestrzeni kilku przeciwników, co z miejsca wyrabiało przewagę. Ktoś kiedyś powiedział o nim, że *triki trzymają się go jak małpy wszy*. Repertuar jego zwodów był może największy w tym czasie w całej Polsce. Dodatkowo dzięki przyspieszeniu był jednym z najtrudniejszych do zatrzymania piłkarzy. Gdyby jeszcze skuteczność nie zawodziła… Oprócz MŚ 1974 ten element nie do końca zagrał też na Igrzyskach Olimpijskich w 1972 roku. Choć tam wpisał się na listę strzelców, to jednak zmarnował karnego przeciwko NRD. – *Najsmutniejszym piłkarzem był Gadocha. Koledzy pocieszali go, jak mogli, ale ambitny legionista machał tylko z rezygnacją ręką* – opisywał te wydarzenia „Dziennik Łódzki”.

Razem z Kazimierzem Deyną oraz Lesławem Ćmikiewiczem tworzył formację, która biła się o miano najlepszej drugiej linii z przedstawicielami Stali Mielec (Grzegorz Lato, Henryk Kasperczak). Ćmikiewicz usposobiony najbardziej defensywnie asekurował tyły, Deyna nadawał ton grze, natomiast Gadocha celował w improwizacji, a że swego czasu miał do pomocy innego specjalistę od tego rodzaju gry, Janusza Żmijewskiego, to gra Wojskowych wyglądała w tym czasie naprawdę widowiskowo. Ze swoim klubem lewoskrzydłowy świętował

dwukrotnie mistrzostwo Polski. Tyle samo razy zdobył wicemistrzostwo Polski. Raz włożył na szyję brązowy medal.

Do tego doszedł udział w kampanii w PEMK, zakończonej dopiero na półfinale. Dwukrotnie w tej edycji pokonał bramkarza mistrza Rumunii UT Arad. Sezon później, gdy Legia zatrzymała się na ćwierćfinale, dwa gole strzelił najlepszej szwedzkiej drużynie – IFK Göteborg. W innych rozgrywkach kontynentalnych wpisywał się na listę strzelców, między innymi w starciach z TSV 1860 Monachium czy KSV Waregem.

Jak wielu wybitnych dryblerów, także i on kipiał ogromną pewnością siebie. W finale olimpijskim przy prowadzeniu 1:0 rywali, rzucił do podłamanych kolegów: – *My im dopiero teraz pokażemy. Trenerze, musimy wygrać. Będzie 2:1 dla nas*. Przed meczem z Anglikami stwierdził zaś: – *Choćby te McFarlandy i Huntery były warte tyle funtów, ile ważą, to muszą pójść w lewo, gdy zrobię swój zwód*. Po jego podaniu padła pierwsza bramka w starciu z Synami Albionu w Chorzowie. Do dziś trwają zresztą dyskusje, czy jej zdobywcą jest Jan Banaś, czy właśnie Gadocha. Odegrał kluczową rolę też przy drugim golu w tym spotkaniu, gdy z wrodzoną sobie szybkością świetnie wyszedł do boku, co uwolniło Włodzimierza Lubańskiego od Roya McFarlanda, zmuszonego do asekuracji polskiego lewoskrzydłowego i dało polskiemu napastnikowi więcej miejsca. Na pewno za to pokonał bramkarza Walijczyków w przedostatnim spotkaniu kwalifikacji. Strzelił też gola

Holendrom w 1975 roku w meczu uznawanym za jeden z najlepszych w historii reprezentacji Polski. Swoją przygodę z kadrą zakończył na sześćdziesięciu dwóch spotkaniach i szesnastu golach. Z reprezentacją Polski zdobył złoto olimpijskie i srebro mundialu. Jest członkiem Klubu Wybitnego Reprezentanta.

W 1975 roku przeszedł z Legii do FC Nantes. Razem z tą drużyną zdobył nawet mistrzostwo Francji. Był pierwszym zawodnikiem, który zagrał w reprezentacji Polski jako przedstawiciel zagranicznego klubu. Zaczął jednak tracić kontakt z kolegami z kadry. Lubował się głównie w imponowaniu im zarobkami oraz warunkami życia. Po pobycie nad Sekwaną wyjechał do USA, gdzie przebywa do dziś. Krótko, za kadencji Władysława Stachurskiego, był także asystentem selekcjonera reprezentacji Polski.

Obecnie nie utrzymuje kontaktów z kolegami z boiska. Cieniem na jego życiorysie kładzie się historia z rzekomym przyjęciem pieniędzy od Argentyńczyków za zwycięstwo w 1974 roku z Włochami. Polacy postąpili fair, wygrywając z przeciwnikiem, choć nie zmieniało ono ich sytuacji w grupie. Gadocha jednak nie podzielił się tą „premią motywacyjną”.

HENRYK KASPERCZAK

(pomocnik/obrońca)

Kluby w Ekstraklasie: Stal Mielec
Lata gry: 1968-1978
Mecze/gole: 209/36

Dziś wszyscy znają strzelca decydującego gola w meczu z Anglią na Wembley – Jana Domarskiego. Wielu zapomina natomiast o inicjatorze tej akcji – Henryku Kasperczaku – albo przypomina go z racji sukcesów trenerskich. Tymczasem był to zdecydowanie jeden z najlepszych środkowych pomocników w historii polskiej piłki nożnej.

W meczu z Anglią zaprezentował właśnie swój największy atut. Znakomity odbiór piłki. W przeciwieństwie do wielu kolegów unikał jednak częstych zagrań do tyłu. Wolał raczej inicjować akcję podaniem do przodu lub w ostateczności do boku. Inna jego słynna asysta miała miejsce już podczas Mistrzostw Świata w 1974 roku. W starciu z Włochami, kończącym zmagania grupowe,

Kasperczak wybiegł do dalekiego podania i kątem oka zobaczył Kazimierza Deynę. Jakby linijką odmierzone podanie wzdłuż linii pola karnego idealnie usiadło na nodze „Kaki”. Ten z pierwszej piłki pokonał Dino Zoffa. – *Znów proszę państwa Henryk Kasperczak na ustach całej Polski* – wołał do mikrofonu rozentuzjazmowany Jan Ciszewski. Znów, bo w tym samym spotkaniu kilkaset sekund wcześniej popisał się znakomitym zagraniem na głowę Szarmacha, które ten zamienił na pierwszego gola. Spotkanie z wicemistrzami świata i Europy kończył więc z dwiema asystami. – *Milimetrowe dogranie* – dodawał Ciszewski, doceniając kunszt „Kaspera”. Jego kolega klubowy i reprezentacyjny Jan Domarski stwierdził po tym spotkaniu: – *W tym dniu precyzją nagrywania piłek dorównywał Gościniakowi* – porównując go do wybitnego rozgrywającego siatkarskiej reprezentacji. Bardzo dobrze wypadł też przeciwko RFN w słynnym „spotkaniu na wodzie”. – *W pamięci zapisał się nam Kasperczak, demonstrując arcymistrzowskie prowadzenie piłki, mimo zaciekłych ataków aż trójki obrońców* – komentowały „Nowiny Rzeszowskie”.

W całym turnieju Kasperczak był podstawowym wyborem Kazimierza Górskiego. Walecznego, bojowo usposobionego zawodnika trzeba było jednak zmienić na początku II połowy decydującego starcia z Brazylią o 3. miejsce na świecie. Zawodnik Stali Mielec, aby zapobiec wyjściu na czystą pozycję Mirandinhy, popełnił faul taktyczny, łapiąc go za koszulkę. Wtedy za takie

przewinienie groziła maksymalnie żółta kartka. Sędzia bez wahania nałożył na niego właśnie taką karę. Selekcjoner postanowił jednak nie ryzykować i za zawodnika zagrożonego wykluczeniem wprowadził Lesława Ćmikiewicza. – *W sumie dobrze, że to zrobił. Poświęcił się dla drużyny* – opisywał Jan Tomaszewski ten moment faulu Kasperczaka w materiale dla TVP Sport. Takie przewinienia były rzadkie u tego zawodnika. Na polskich boiskach znany był właśnie z dżentelmeńskiej postawy. Podczas turnieju dziennikarzy nurtowało też, czy nie czuje się on pechowcem, grając – przypadkowo – z „trzynastką" na plecach. – *Chyba nie, skoro trenerzy i koledzy uważają, że gram dobrze* – odparł niezrażony.

Był jedną z najważniejszych postaci drużyny Kazimierza Górskiego, choć „Trener Tysiąclecia" dostrzegł go późno. W szeregach reprezentacji pojawił się dopiero w marcu 1973 roku, gdy liczył sobie już prawie dwadzieścia siedem lat. W kilka miesięcy przeobraził się jednak w lidera zespołu. – *W linii środkowej najlepiej grał oczywiście Kasperczak. Piłkarz ten na przestrzeni roku (od Cardiff) zrobił duże postępy, stał się silnym punktem drużyny* – pisała prasa po spotkaniu towarzyskim z Węgrami przed wyjazdem na MŚ.

Do dania mu szansy skłoniła selekcjonera znakomita postawa Kasperczaka we wspinającej się o mistrzostwo Stali Mielec. „Kasper" dyrygował drugą linią tej drużyny. I szansę wykorzystał, choć rywali w walce o miejsce

w kadrze miał arcytrudnych – Lesława Ćmikiewicza, Zygmunta Maszczyka czy Zbigniewa Guta.

Tak się złożyło, że pierwsze spotkanie po medalowym mundialu w lidze było starciem Stali Mielec z Legią Warszawa. Prasa zapowiadała go, jako rywalizację dwóch najlepszych linii środkowych w Polsce: Henryka Kasperczaka i Grzegorza Laty przeciwko Kazimierzowi Deynie, Robertowi Gadosze oraz Lesławowi Ćmikiewiczowi. Zwycięsko wyszli z niego przedstawiciele Podkarpacia. – *Trzeba nagrodzić grę trójki reprezentantów w składzie Stali Mielec: Lato, Kasperczak i Domarski, która zdecydowanie rozstrzygnęła na swoją korzyść prestiżową rywalizację z równie renomowanym tercetem gości: Deyna, Gadocha, Ćmikiewicz* – pisały „Nowiny Rzeszowskie". Sam Kasperczak w tym starciu nie dość, że wyłączył z gry przeciwników, to jeszcze ustalił wynik spotkania strzałem z dystansu. Poza odbiorem to właśnie umiejętność precyzyjnych zagrań z dużej odległości była jego znakiem rozpoznawczym.

W tamtym sezonie Kasperczak zdobył wicemistrzostwo Polski. Dwukrotnie zostawał z mielczanami mistrzem kraju. Do tego doszedł też brąz. Dziwnym trafem rodowity zabrzanin nigdy natomiast nie zagrał w klubie z rodzinnego miasta – Górniku. Ze Sparty Zabrze trafił do II–ligowej Stali Mielec. Stąd został ściągnięty przez Legię. Wojskowi jednak go nie docenili i pozostało mu terminowanie w rezerwach. Po powrocie do Mielca został jedną z największych gwiazd ligi. W 1976 roku zdobył nawet tytuł Piłkarza Roku „Piłki

Nożnej” – jest jedynym piłkarzem w historii Stali Mielec z tą nagrodą – oraz katowickiego „Sportu”.

Z reprezentacją poza 3. miejscem na MŚ, zdobył także wicemistrzostwo olimpijskie w Montrealu. Jego bilans w drużynie narodowej wyniósł 61 meczów i 5 bramek. Karierę reprezentacyjną zakończył po MŚ w 1978 roku. Tam Jacek Gmoch wpadł na osobliwy pomysł i w decydującym starciu przeciwko Argentynie wystawił go… na środku obrony, z którą nie miał prawie nic wspólnego. Dwa razy nie upilnował on Mario Kempesa, co sprawiło, że Polska przegrała 0:2 i ostatecznie nie awansowała do strefy medalowej. Za to podczas tego mundialu powiększyła mu się rodzina. Jego żona urodziła wtedy syna.

Po wyjeździe z Polski grał we Francji w FC Metz. Zrobił największą karierę trenerską spośród swoich kolegów z drużyny Orłów Górskiego. Z dawnym klubem, gdzie występował jako piłkarz, zdobył Puchar Francji, z HSC Montpellier awansował do ćwierćfinału Pucharu Zdobywców Pucharów, Wisłę Kraków doprowadził zaś do 1/8 finału Pucharu UEFA, co stanowi największy sukces polskiego futbolu klubowego na arenie kontynentalnej w XXI wieku. Prowadził też reprezentacje afrykańskie: Wybrzeża Kości Słoniowej, Tunezji, Maroka i Senegalu. Zdobył srebro i brąz Pucharu Narodów Afryki. Trzykrotnie wywalczył mistrzostwo Polski, był też trenerem roku we Francji w plebiscycie France Football (1990) i Trenerem Roku w Polsce (2002). Jest pierwszym Polakiem, który

uczestniczył w MŚ zarówno jako piłkarz (1974, 1978), jak i jako trener (1998, z Tunezją).

źródło: archiwum prywatne, udostępnione przez Karolinę Biedrzycką

KAZIMIERZ KMIECIK

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Wisła Kraków
Lata gry: 1968-1981
Mecze/gole: 304/153

To Cracovia jako pierwsza dostrzegła w nim talent. On stał się jednak wiernym „żołnierzem” Wisły Kraków. Dziś Kazimierz Kmiecik nadal figuruje na pierwszym miejscu w liczbie goli strzelonych dla tego klubu w Ekstraklasie. Nie zabrakło na jego koncie także sukcesów reprezentacyjnych.

Kmiecik był jednym z najskuteczniejszych napastników lat siedemdziesiątych. Łącznie dla Wisły Kraków strzelił 153 gole w najwyższej klasie rozgrywkowej. Do dziś plasuje go to na siódmym miejscu w historii Ekstraklasy i na piątym pod względem liczby goli dla jednego klubu w tej lidze. Był przedostatnim w historii zawodnikiem, który przekroczył

liczbę 150 zdobytych bramek. Po nim dokonał tego już w XXI wieku Tomasz Frankowski.

Jego czas popisowy stanowiła zwłaszcza druga połowa dekady. To wtedy został drugim w historii zawodnikiem po Włodzimierzu Lubańskim z czterema tytułami króla strzelców na koncie. Do dziś ich osiągnięcie wyrównał tylko Frankowski. Kmiecik jest ostatnim graczem, który zdobył koronę w trzech edycjach z rzędu. Wcześniej udało się to tylko Teodorowi Aniole oraz Włodzimierzowi Lubańskiemu. Triumfował w czterech z pięciu ostatnich sezonów tej dekady. Jego dorobek mógł być nawet większy. W sezonie 1972/73 ustąpił jednym golem Grzegorzowi Lacie, w edycji 1980/81 o dwie bramki lepszy okazał się natomiast Krzysztof Adamczyk.

Był jednak w tej dekadzie gwarantem goli w lidze. Od sezonu 1971/72 do 1980/81 tylko raz nie zanotował dwucyfrowego dorobku strzeleckiego. Ani razu natomiast jego rezultat nie spadł poniżej ośmiu bramek! Poprzednim zawodnikiem z takimi osiągnięciami strzeleckimi na koncie w lidze był Ernest Pohl. Popisową partię rozegrał w starciu z Lechem Poznań. Biała Gwiazda wygrała 8:0 – co do dziś stanowi największą porażkę Kolejorza w Ekstraklasie – a Kmiecik strzelił aż pięć goli. Był pierwszym zawodnikiem od piętnastu lat z takim wyczynem na koncie. Rozbity psychicznie golkiper poznaniaków Andrzej Turek poprosił o zmianę… W tym okresie Kmiecik zanotował też rzadką serię – dziesięć goli w pięciu kolejnych meczach. Ponadto aż sześć razy w karierze notował hat-tricka na tym

szczeblu. Łącznie zaś w stu dwunastu meczach ligowych wpisał się na listę strzelców.

Do Wisły trafił z Cracovii jeszcze w juniorskich czasach. Szansę debiutu otrzymał przed siedemnastymi urodzinami. Dwa lata później po raz pierwszy wpisał się zaś na listę strzelców. Zrządzeniem losu… trafiło na Pasy. Niezbyt dobrze zbudowany napastnik, z przymrużeniem oka nazwany przez kolegów „Suchym" lub „Badylem", okazał się prawdziwym królem pola karnego. Z nim w składzie Biała Gwiazda w sezonie 1977/78 zdobyła swój pierwszy tytuł mistrzowski od 1950 roku! Kmiecik wówczas wywalczył tytuł króla strzelców, co dało mu podwójną koronę. Ponadto miał na koncie też wicemistrzostwo oraz brązowy medal. Grał też w finale Pucharu Polski.

W Wiśle Kraków Kmiecik był żądłem w tercecie 3-K, współtworzonego jeszcze przez Zdzisława Kapkę oraz Marka Kustę. Całe trio młodych (najstarszy z nich, Kmiecik, liczył sobie wtedy ledwie 23 lata), ambitnych i skutecznych zawodników znalazło uznanie Kazimierza Górskiego. Pojechali oni wspólnie na mundial w 1974 roku. Najwięcej z nich na tym turnieju zagrał Kmiecik. Selekcjoner postawił na niego dwukrotnie – przeciwko Szwedom oraz w słynnym „meczu na wodzie" z RFN. Szczególnie w tym drugim spotkaniu mógł zapisać się trafieniem. Wobec kontuzji Andrzeja Szarmacha miał on być tajną bronią selekcjonera. – *Tę sytuację pamiętam bardzo dobrze. Poszła centra z prawej strony. Do piłki ruszył niemiecki obrońca i ja. Uderzyłem w pełnym biegu. Maier ruszył się w drugą*

stronę, ale zostawił rękę i końcami palców udało mu się to wybronić – opowiadał o niej w wywiadzie dla portalu wisla.krakow.pl. Specjalnie na ten mecz przyjechała do niego matka, Julia – jeszcze do niedawna aktywna kibicka Wisły Kraków.

W starciu z Brazylią już nie wystąpił, ale do kraju przywiózł srebrny medal za trzecie miejsce. „Suchy" był zresztą obecny przy wszystkich najważniejszych triumfach kadry Górskiego, mimo że ten cały czas uważał go przede wszystkim za rezerwowego. Wystąpił także na Igrzyskach w 1972 i 76 roku, gdzie wywalczył odpowiednio: złoty i srebrny medal. Selekcjoner na pierwszą z tych imprez zabrał go zresztą bez sprawdzania w meczach towarzyskich. Kmiecik zadebiutował w reprezentacji dopiero na samym turnieju, w starciu z Ghaną.

Zrezygnował z niego przy doborze kadry Jacek Gmoch. Kmiecik powrócił na krótko dopiero już za czasów Ryszarda Kuleszy. Ostatecznie jego dorobek na tym polu wyniósł 34 spotkania i 8 bramek. Jest jedynym piłkarzem w historii, który ma na koncie medale MŚ i IO, a w Ekstraklasie rozegrał ponad 300 meczów i strzelił ponad 100 goli! Jest zresztą najbardziej bramkostrzelnym medalistą mundialu, który występował w najwyższej polskiej lidze.

Z Wisły Kraków wyjechał w 1981 roku do Sportingu Charleroi. Wrócił do Bialej Gwiazdy na jedną rundę, a następnie grał jeszcze w ligach greckiej i niemieckiej. Za zachodnią granicą doszedł nawet ze Stuttgarter Kickers do finału Pucharu Niemiec. Po zakończeniu kariery długo

pracował w Wiśle Kraków w roli pierwszego trenera lub asystenta. Ostatni raz awaryjnie przejął zespół w grudniu 2017 roku. Należy do Galerii Legend Wisły Kraków. Poza Białą Gwiazdą prowadził też grecką Larissę i Garbarnię Kraków.

źródło: 400mm.pl

GRZEGORZ LATO

(pomocnik/napastnik)

W Ekstraklasie: Stal Mielec
Lata gry: 1970-1980
Mecze/gole: 272/111

Były takie czasy, kiedy Ekstraklasa stanowiła jedyną ligę na świecie, gdzie w jednym meczu spotykali się dwaj królowie turniejów olimpijskich oraz król strzelców mundialu. Działo się tak podczas spotkań Legii Warszawa ze Stalą Mielec. W drużynie ze stolicy grał zdobywca korony z Monachium z Igrzysk 1972. Po stronie mielczan jego osiągnięcie skopiował Andrzej Szarmach w Montrealu. Natomiast Grzegorz Lato był najskuteczniejszym zawodnikiem Mistrzostw Świata w 1974 roku.

Do dziś jest jednym z dwóch – z Rosjaninem Olegiem Salenką – zawodnikiem z takim tytułem na koncie, który biegał po boiskach Ekstraklasy, ale jedynym, który go

zdobył jako przedstawiciel klubu z najwyższej polskiej ligi. W Niemczech wyszedł mu turniej życia. Lato pokonał po dwa razy bramkarzy Argentyny i Haiti. Był też autorem zwycięskich trafień w starciach ze Szwecją i Jugosławią. W spotkaniu ze skandynawską reprezentacją zakończył wyborną serię Ronniego Hellstroema – 595 minut bez straty bramki. Był pierwszym zawodnikiem, który go pokonał na tych MŚ. Na zakończenie zaś w spotkaniu z Brazylią, czyli obrońcą tytułu, jego błyskotliwy rajd dał Polakom trzecie miejsce na świecie.

W tej decydującej akcji pokazał swoje największe zalety. Ruchliwość, spryt, umiejętność zmiany tempa i dobre oko. Na linii środkowej otrzymał podanie od Zygmunta Maszczyka. Reszta, aż po sam moment wykończenia, należała już do niego. Balansem ciała oszukał obrońcę Canarinhos i wyrobił sobie nad nim kilka metrów przewagi. Tego dystansu przeciwnik nie był już w stanie nadrobić. Tymczasem Lato pociągnął aż pod pole karne i lekkim, ale bardzo precyzyjnym, a w dodatku niespodziewanym strzałem prawą nogą, posłał piłkę obok bramkarza. – *Zobaczyłem, że sędzia liniowy podnosi chorągiewkę. Zorientowałem się w tym momencie, iż Kapka jest na pozycji spalonej. W tej sytuacji zrezygnowałem z oddania mu piłki i zaryzykowałem samotny rajd. Na szczęście zakończył się on powodzeniem. Teraz niech pokażą Holendrzy, czy potrafią strzelić więcej niż ja bramek* – opowiadał o tej sytuacji dziennikarzom „Nowin Rzeszowskich”. *To była ekscytująca bramka* – dodawał

londyński dziennik „Observer”. Mógł jeszcze podwyższyć rezultat. W 88. minucie wyszedł bowiem „sam na sam”, ale bramkarz Canarinhos Emerson Leao tym razem był górą. Polska wygrała ten mecz 1:0 i cieszyła się z trzeciego miejsca na świecie. Holendrzy – o których mówił – na czele z Johannem Neeskensem nie dogonili go zaś w klasyfikacji strzeleckiej. W ten sposób Grzegorz Lato zdobył koronę króla strzelców z dorobkiem siedmiu goli. – *Zdobycie tytułu króla strzelców to zasługa wszystkich kolegów z zespołu* – odpowiadał sam skromnie.

O dwa trafienia wyprzedził wtedy Neeskensa i swego kolegę reprezentacyjnego, a wkrótce też klubowego – Andrzeja Szarmacha. Do dziś plasuje się pod względem liczby trafień na jednym mundialu na siódmym miejscu ex aequo z Jairzinho. W całej historii wyprzedzają ich tylko Argentyńczyk Guillermo Stabile, Brazylijczyk Ademir, Węgier Sandor Kocsis, Francuz Just Fontaine, Portugalczyk Eusebio i Niemiec Gerd Müller. Trafił też po tym mundialu do zespołu All-Stars według agencji UPI oraz jedenastek turnieju AFP i News of The World. Magazyn „Sunday People” sklasyfikował go na trzecim miejscu wśród najlepszych zawodników turnieju. – *Szybki, silnie strzelający* – podsumowali jego grę Niemcy z DPA.

Kiedy z mundialu w RFN wrócił do Polski, Ekstraklasa wraz z Bundesligą (Müller) i portugalską Primeirą Ligą stanowiła elitę lig, w których w sezonie 1974/75 występowali królowie strzelców mundialu. Od tego momentu kibice w najwyższej polskiej lidze ochoczo

skandowali: „Grzegorz Lato tego lata najlepszym piłkarzem świata”. Na krajowym podwórku również Lato błyszczał skutecznością, choć tak naprawdę… nie był on napastnikiem. Trenerzy ustawiali go najczęściej na prawym skrzydle. Jego ruchliwość sprawiała jednak, że można było się go spodziewać w każdym sektorze boiska. – *Czy Lato jest najlepszym polskim skrzydłowym? Na pewno najszybszym* – powiedział kiedyś Kazimierz Górski w wywiadzie dla walijskiej prasy. Podczas medalowego mundialu bardzo często zamieniał się stronami z Robertem Gadochą, co wzbudzało popłoch w szeregach rywali. – *W ataku czuję się nie gorzej niż w pomocy* – mówił sam o sobie. Bardzo dobrze grał też głową. Niektórzy żartowali, że gracz obdarzony niegdyś bujną czupryną, stracił włosy właśnie od częstych zagrań tą częścią ciała.

W pierwszym meczu po powrocie z MŚ od razu wpisał się na listę strzelców. Jego skuteczność zawodnicy z Ekstraklasy znali zresztą jeszcze sprzed turnieju. Już w sezonie 1972/73 Lato został królem strzelców najwyższej polskiej ligi. Powtórzył ten wynik także w edycji rozgrywanej bezpośrednio po mundialu. Dokonał tego z dorobkiem dziewiętnastu goli, co było najlepszym wynikiem w lidze od sześciu lat. Z mieleckim zespołem zdobył dwukrotnie mistrzostwo Polski, wicemistrzostwo oraz dwa brązowe medale. Grał również w finale Pucharu Polski.

W europejskich pucharach jego największym dokonaniem była gra w ćwierćfinale Pucharu UEFA. Zdobył

Ligę Mistrzów, ale w strefie CONCACAF, gdzie występował po wyjeździe z Europy.

Po 3. miejscu na mundialu oraz koronie króla strzelców znalazł się na 6. miejscu w plebiscycie Złotej Piłki 1974 wśród najlepszych piłkarzy Europy. Rok później był siedemnasty ex aequo z Christo Bonewem, Ivo Viktorem i Gerdem Müellerem. Został trzykrotnie piłkarzem roku w Polsce: w 1974 – według plebiscytu „Sportu", w 1977 i 1981 roku – według „Piłki Nożnej".

Wśród polskich piłkarzy wyróżnia się największą kolekcją medali z turniejów międzynarodowych. Posiada złoto i srebro Igrzysk Olimpijskich, ale też dwa srebra mundialowe (za 3. miejsca). Wraz z Władysławem Żmudą oraz Markiem Kustą i Andrzejem Szarmachem tworzył kwartet jedynych piłkarzy, którzy byli w kadrze na obu MŚ zakończonych podium Polaków – w 1974 i 1982 roku. Z tym pierwszym szedł łeb w łeb pod względem rozegranych spotkań na mundialach. Starcie z Francją o 3. lokatę w 1982 roku było dla obu 20. meczem na MŚ w karierach, a dla Laty też 100. w kadrze. Po nim zdecydował się jednak zakończyć karierę. – *Nie stać chyba już by mnie było na pogodzenie występów w klubie i drużynie narodowej. A nie chciałbym, by powoływano mnie na kredyt* – uzasadnił.

Na tym drugim turnieju pod wodzą Antoniego Piechniczka, tak jak osiem lat wcześniej, należał do najważniejszych postaci kadry. Gola strzelił w starciu z Peru. Legendarny bramkarz reprezentacji Włoch, Dino Zoff, powiedział o nim przed półfinałem: – *Jest super*

wzorem jak należy grać w piłkę. Trafienia na mundialu zanotował też w 1978 roku przeciwko Tunezji i Brazylii. Jego kolekcja goli z MŚ liczy więc aż dziesięć pozycji. To rekord wśród Polaków. Był pierwszym zawodnikiem w historii, który rozegrał 100 oficjalnych spotkań w reprezentacji. Jego wynik na razie przebili tylko Michał Żewłakow, Jakub Błaszczykowski i Robert Lewandowski. Znajduje się na trzecim miejscu pod względem liczby strzelonych goli – za Robertem Lewandowskim i Włodzimierzem Lubańskim.

Po zakończeniu kariery na początku lat dziewięćdziesiątych był trenerem w Ekstraklasie. Prowadził m.in. Stal Mielec, Widzew Łódź, Olimpię Poznań i Amikę Wronki. Później zajął się działalnością polityczną. Sprawował mandat senatorski. W latach 2008-12 był też prezesem PZPN. To za jego kadencji Polska organizowała EURO 2012.

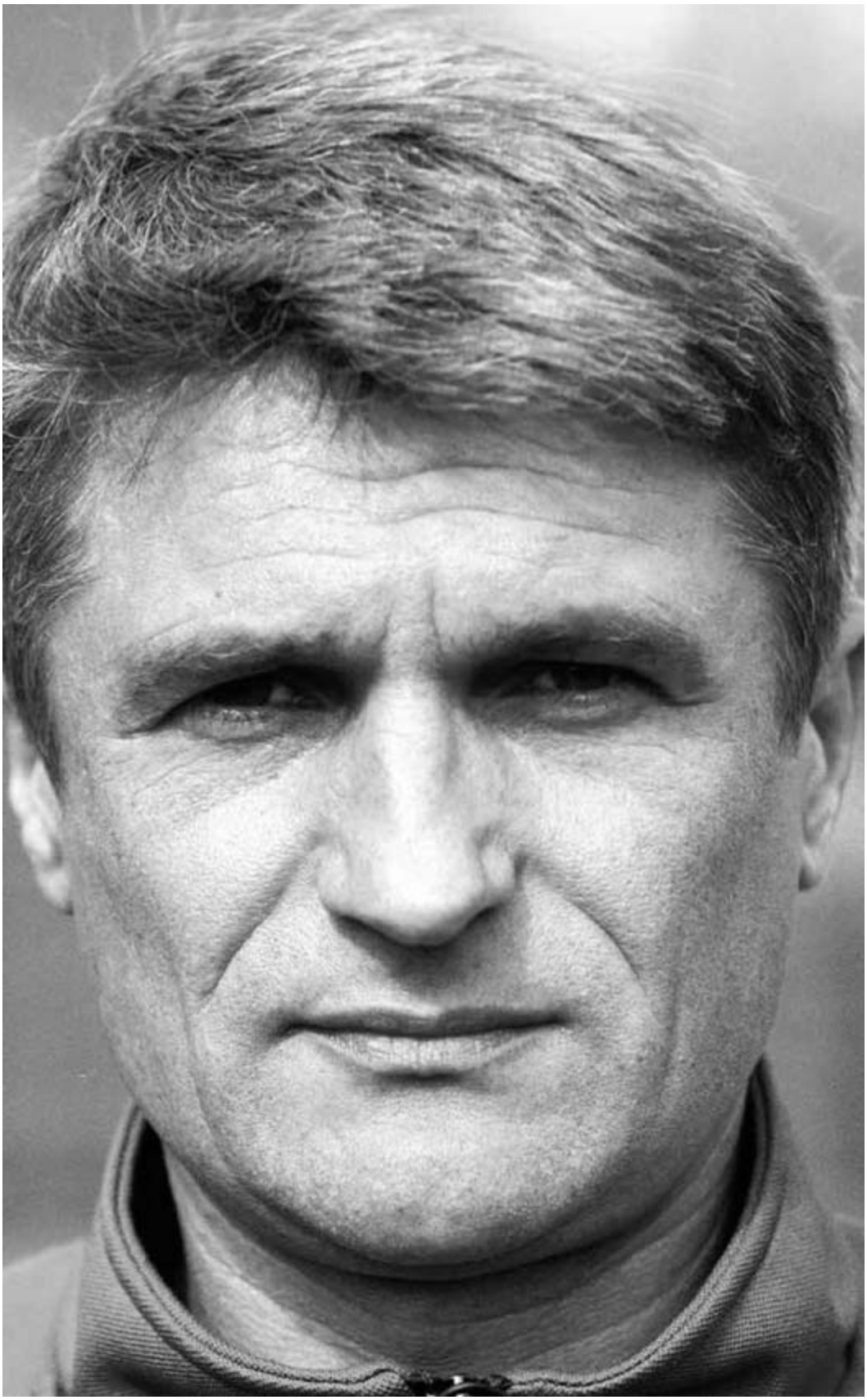

źródło: 400mm.pl

ADAM NAWAŁKA

(pomocnik)

Kluby Ekstraklasie: Wisła Kraków
Lata gry: 1974-1985
Mecze/gole: 190/9

Z taką datą urodzenia ciężko pomyśleć o innej drodze niż piłkarskie boisko. Adam Nawałka przyszedł na świat 23 października. Tego dnia urodziny świętują także sam Pele, Kazimierz Deyna czy Mirosław Bulzacki. Obecny selekcjoner reprezentacji Polski, w przeciwieństwie do tego tercetu, nie zdobył medalu Mistrzostw Świata. U schyłku tej dekady był jednak jednym z najlepszych środkowych pomocników w Europie, choć ledwie przekroczył wtedy dwudziesty rok życia.

Kiedy Jacek Gmoch jechał na mundial w 1978 roku, wróżono mu co najmniej powtórkę wyczynu reprezentacji Kazimierza Górskiego. Nowy selekcjoner miał do dyspozycji

prawie wszystkich – poza Robertem Gadochą – bohaterów niemieckich zmagań: Kazimierza Deynę, Grzegorza Latę, Andrzeja Szarmacha, Jana Tomaszewskiego, Jerzego Gorgonia, Henryka Kasperczaka, do tego powracającego po kontuzji Włodzimierza Lubańskiego, a także zastęp młodych zdolnych zawodników na czele ze Zbigniewem Bońkiem, Andrzejem Iwanem i Adamem Nawałką. Właśnie ten ostatni zawodnik okazał się najmocniejszym ogniwem w talii Gmocha. – *Wierzę w zwycięstwo. Pracowaliśmy solidnie i praca ta powinna przynieść owoce. Jeśli idzie o Brazylijczyków to myślę, że diabeł nie jest taki straszny, jak go malują* – mówił przed decydującym starciem z Canarinhos. Polacy jednak polegli i skończyli na piątym miejscu. Za to on zyskał wielką sławę.

W składzie „All Stars” po tym turnieju umieściła go amerykańska agencja prasowa Associated Press. Elegancki, bardzo pracowity, sumienny i waleczny zawodnik podbił argentyńskie boiska. Po jednym ze spotkań mundialu austriacka agencja prasowa napisała o nim, że *wprost szalał w drugiej linii*. Przede wszystkim jednak grał bardzo zespołowo. Nie silił się na strzały. Za to znakomicie obsługiwał podaniami swoich kolegów z drużyny, czy to klubowej, czy narodowej.

Dla Polaków zachwyt nad grą Nawałki nie był niczym dziwnym. Na pół roku przed mundialem uznany został Odkryciem Roku 1977 według „Piłki Nożnej”. Taką pozycję dała mu świetna gra w kadrze narodowej, gdy w debiucie przeciwko Węgrom strzelił wyrównującego gola, a także nie

zawiódł w decydujących starciach z Danią i Portugalią. W tym drugim spotkaniu otrzymał zadanie wyłączenia z gry najgroźniejszego zawodnika przeciwników – Joao Resende Alvesa. Nawałka został jego osobistym opiekunem. – *Alves to bardzo dobry piłkarz, jednak nawet najlepszy, gdy ma swojego opiekuna, niewiele może zdziałać. Cieszę się, że wypełniłem powierzone mi zadanie, choć przyznaję, że było ono ciężkie. Alves to uciążliwy rywal, nienagannie wyszkolony technicznie* – mówił środkowy pomocnik. Alves rewanżował się pochwałą dla swego rywala: – *Zawodnik z numerem 11 biegał za mną jak cień, dlatego nie jestem w pełni zadowolony ze swojej gry, ale gdy ma się takiego opiekuna, trudno budować atak.* Dzięki temu Nawałka mógł świętować awans z drużyną narodową na argentyński mundial, gdzie został prawdziwą gwiazdą.

Także w drużynie klubowej przeżywał w tym czasie swe najlepsze chwile. Jako młodziutki lider drugiej linii poprowadził w 1978 roku Białą Gwiazdę do pierwszego mistrzowskiego tytułu od 28 lat. Miał nawet swój udział w bramce decydującej o mistrzowskim tytule. Po solowym rajdzie wymanewrował całą obronę Arki Gdynia. Z okolic linii pola karnego mocno przymierzył, lecz piłka uderzyła o wewnętrzną część poprzeczki, spadła na ziemię i wyszła poza linię. Dla pewności dobił ją jeszcze czatujący w pobliżu Kazimierz Kmiecik. Ostatecznie to jemu zaliczono trafienie, które dało mu koronę króla strzelców. Prawdopodobnie jednak już strzał Nawałki przekroczył linię bramkową. Kilka miesięcy potem w ćwierćfinale Pucharu

Europejskich Mistrzów Klubowych przeciwko Malmö FF to on wyrównał stan spotkania, sprytnie umieszczając piłkę pomiędzy rosłymi obrońcami rywala. – *Zagraliśmy „swoją" piłkę, opartą przede wszystkim na technice, a na twardą grę rywala odpowiedzieliśmy tym samym i okazało się, że nie jesteśmy gorsi* – mówił. Wisła wygrała to spotkanie, ale w rewanżu przegrała 1:4 i odpadła. Ćwierćfinał jednak pozostał jej największym sukcesem na kontynentalnej arenie oraz największym sukcesem w europejskich pucharach Adama Nawałki. Wcześniej wraz z kolegami wyeliminowali Club Brugge i Zbrojovkę Brno.

– *Byłem graczem dynamicznym, walczącym, w związku z czym często faulowałem (...). Ale zawsze, nawet w najbardziej dramatycznych momentach, usiłowałem zachować spokój* – mówił sam o sobie. Miał wszelkie predyspozycje, by w przyszłości poprowadzić Wisłę Kraków jeszcze wyżej, a samemu ugruntować pozycję czołowego rozgrywającego Europy. Na drodze stanęła mu jednak poważna kontuzja. W sezonach 1980/81 i 1981/82 – a więc bezpośrednio przed mundialem w Hiszpanii – rozegrał łącznie tylko jedenaście spotkań. Uraz akurat tego zawodnika był sporym zaskoczeniem, bo Nawałka słynął chyba z najbardziej sportowego trybu życia wśród wszystkich ligowców. Stronił od alkoholu, dużą wagę przykładał do odnowy biologicznej, a na zgrupowania zabierał ze sobą nawet... sokowirówkę!

W Ekstraklasie pozostał wierny barwom Wisły Kraków. Białą Gwiazdę opuścił w 1985 roku i wyjechał do USA,

gdzie grał w Eagle Yonkers New York. Został po latach członkiem Jedenastki Stulecia Wisły.

Po powrocie do kraju zajął się trenowaniem. Z Wisłą Kraków wywalczył mistrzostwo Polski w 2001 roku, wicemistrzostwo rok wcześniej oraz Puchar Ligi. W Ekstraklasie prowadził też KGHM Zagłębie Lubin. Najdłużej pracował jednak w Górniku Zabrze. Do lata 2018 roku piastował stanowisko selekcjonera reprezentacji Polski. Jest jedynym trenerem w historii, który wprowadził ją zarówno na ME, jak i MŚ. Został też trzecim Polakiem, po Pawle Janasie i Henryku Kasperczaku, z udziałem w mundialu w roli zawodnika oraz szkoleniowca. Nie ma natomiast nikogo innego kto uczestniczył w MŚ jako piłkarz i jako trener oraz w ME w jednej z tych ról. Po odpadnięciu z grupy na mundialu w Rosji został zwolniony.

Jako selekcjoner i trener klubów Ekstraklasy zasłynął z rozlicznych przesądów. Okazuje się jednak, że skłonność do nich przejawiał już w czasach kariery piłkarskiej. – *Kiedy sędzia ustawiał piłkę na 11. metrze przed rzutem karnym Deyny zamknąłem oczy. Bałem się, że nie wykorzystamy tej szansy. Trudno sobie wyobrazić, jak olbrzymie napięcie towarzyszy grze odbywającej się w nieustannym wrzasku czterdziesto tysięcznej widowni* – opowiadał po meczu z Argentyną. Tym razem jednak zaklęcia nic nie dały, bo „Kaka” zmarnował tę okazję.

źródło: 400mm.pl

ANDRZEJ SZARMACH

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Górnik Zabrze, Stal Mielec
Lata gry: 1972-1980
Mecze/gole: 211/109

– *Znowu drugi. Całe życie ciągle drugi. Nawet jak gdzieś pierwszy byłem, czułem się jak drugi*. Czy jest lepszy cytat do opisu kariery Andrzeja Szarmacha? Ciągła pogoń za złotem. A mimo to ciężko mówić o jakimś niespełnieniu. W końcu mowa o dwukrotnym medaliście MŚ i wicemistrzu olimpijskim.

W Górniku Zabrze przyszło mu zastąpić kontuzjowanego Włodzimierza Lubańskiego. I w nim następcę słynnego napastnika dostrzegł też selekcjoner reprezentacji Polski. Trzema golami strzelonymi w towarzyskich starciach z Haiti ostatecznie przekonał Kazimierza Górskiego do nominacji mundialowej. Niewiele

jednak zabrakło, by trener został zmuszony do radzenia sobie bez niego. W ostatnim kwietniowym spotkaniu ligowym Szarmach doznał poważnej kontuzji kostki i musiał zejść z boiska. Nie pojawił się już na boisku aż do mundialu. Wcześniej też mierzył się z innym urazem i stracił prawie całą wiosnę, strzelając w niej tylko jednego gola.

Mimo to w Niemczech Górski z szerokiego grona napastników postawił właśnie na niego, choć wcześniej zdawało się, że przegra rywalizację z Janem Domarskim. W towarzyskich starciach przewyższył jednak swych konkurentów. – *W roli środkowego napastnika najlepiej spisał się Szarmach. Już przed paroma dniami w meczu krakowskim wykazał on dużą dojrzałość piłkarską* – pisał „Dziennik Polski” po sparingu kadry z Malagą.

Szarmach na mundialu stał się jedną z największych gwiazd. Strzelił gola po pięknej podcince z Argentyną, w starciu z Haiti stał się drugim polskim zawodnikiem w historii mundiali z hat-trickiem na koncie (po Erneście Wilimowskim), a na zakończenie fazy grupowej pokonał bramkarza Włochów po świetnym strzale głową nad bezradnie interweniującym Dino Zoffem. Mógł nawet powiększyć swój dorobek, bo z Argentyńczykami zaliczył słupek. Dodatkowo wywalczył karnego na wagę zwycięstwa z Jugosłowianami. Z dorobkiem pięciu goli przewodził klasyfikacji strzelców MŚ jeszcze na tym etapie rozgrywek. Dopiero na finiszu wyprzedził go Grzegorz Lato. Wpływ na to miała kontuzja, jaką odniósł w starciu z Jugosławią. Przez stłuczenie mięśnia nie mógł wystąpić z RFN. Temu

Kazimierz Górski przypisywał jedyną porażkę poniesioną na tym turnieju. Ostatecznie Szarmachowi pozostał tytuł wicekróla strzelców. Drużynowo wywalczył zaś srebro, przyznawane za trzecie miejsce na świecie. **–** *Zrobiliśmy dużo, ale mogliśmy zajść jeszcze wyżej* – mówił sam po powrocie. Agencja UPI dała go jako rezerwowego w najlepszej jedenastce turnieju. Podobnie ustawił go News of the World. – *Podczas MŚ cieszył się olbrzymią sympatią widzów. I nie wiadomo co bardziej pociągało trybuny – wąsik, szybkie i celne strzały czy też autentyczny wdzięk piłkarski tego zawodnika?* – zastanawiał się „Dziennik Polski”.

To właśnie wtedy narodziło się słynne powiedzenie, że „Szarmach wsadza głowę tam, gdzie inni boją się wsadzić nogę”. Jak w starciu z Haitańczykami, gdy jego czupryna dwukrotnie znalazła się między bezradnie interweniującymi defensorami z Karaibów. Jego największym atutem była jednak skuteczność. Miłośnik statystyki komputerowej Jacek Gmoch mierzył kiedyś za pomocą nowoczesnych technologii kontakty z piłką swoich zawodników podczas meczu. Wynik Szarmacha był prawie nieprawdopodobny. Środkowy napastnik przez 90 minut nie zanotował nawet dwucyfrowej liczby w tej klasyfikacji. Nie przeszkodziło mu to strzelić w tym spotkaniu dwóch goli…

Przyczajony przez większość meczu Szarmach, gdy tylko piłka znajdowała się w polu karnym, stanowił ogromne zagrożenie. Wykorzystywał większość nadarzających mu się sytuacji w meczu. Od linii

szesnastego metra piłka niemal sama go szukała. Stąd wiele razy wychodził „sam na sam” z bramkarzami, co prawie z automatu oznaczało gola…

Łącznie strzelił w ciągu ośmiu lat gry na najwyższym poziomie rozgrywkowym w Polsce aż 109 goli. Średnio daje to nieco ponad dwanaście bramek na sezon. Przez ten czas tylko raz jego dorobek spadł poniżej dwucyfrówki w rozgrywkach. Przy 207 rozegranych spotkaniach daje to przeciętnie 0,53 gola/mecz. Dwukrotnie był wicekrólem strzelców. Pozostaje też – a jakże – drugim najlepszym strzelcem w historii występów Stali Mielec w Ekstraklasie. Tylko on oraz Tomasz Frankowski w całej historii rozgrywek strzelili co najmniej po 45 goli w lidze dla więcej niż jednego klubu. Szarmach strzelał je dla dwóch czołowych ekip Ekstraklasy lat siedemdziesiątych – Górnika Zabrze oraz Stali Mielec. Gra w żadnym z nich nie dała mu jednak tytułu mistrza Polski! Do obu tych drużyn trafiał w sezonie następującym po zdobyciu złota. Z Górnikiem najdalej doszedł do srebra, ze Stalą Mielec do brązu. Z tą drugą drużyną mierzył się też w słynnych bojach z Realem Madryt w Pucharze Europejskich Mistrzów Klubowych.

Swoją jedyną koronę króla strzelców – poza polską II ligą – wywalczył na Igrzyskach Olimpijskich w Montrealu. Tu jednak z kolei drugie miejsce przyplątało się do niego w rankingu zespołowym. Polacy wyjechali z Kanady ze srebrem po porażce w finale z NRD, co w kraju przyjęto raczej z niedosytem. Szarmach pozostał natomiast bez

wywalczonego tytułu drużynowego… I nie zdobył go już do końca kariery.

Razem z Grzegorzem Latą, Markiem Kustą i Władysławem Żmudą stanowi natomiast jedyny kwartet podwójnych medalistów MŚ w historii polskiej piłki. Oprócz srebra zdobytego za trzecie miejsce z drużyną Kazimierza Górskiego w 1974 roku, znaleźli się oni też w zespole Antoniego Piechniczka osiem lat później. W przypadku Szarmacha trudno, żeby było inaczej, skoro swoim golem przyczynił się do wygranej w eliminacjach z NRD w Lipsku 3:2. Na mundialu selekcjoner trzymał go jednak w rezerwie. Wpuścił go na zmianę za Andrzeja Iwana w spotkaniu z Kamerunem. Na kolejny występ musiał czekać do starcia o 3. miejsce z Francją, choć wcześniej prasa głośno domagała się jego udziału w meczu z Włochami, gdy z powodu nadmiaru kartek nie mógł zagrać Zbigniew Boniek. Piechniczek ostatecznie postawił na Andrzeja Pałasza, co jak sam przyznał było jego największym błędem w karierze. Selekcjoner uprzedził się do niego po bardzo słabym występie z Kamerunem. Wtedy wprost powiedział: – *Szarmach nie jest w formie.*

Dość ostro krytykował go też legendarny komentator Jan Ciszewski, twierdząc, że napastnik jest zbyt powolny i grzeszy nieskutecznością. W medalowym spotkaniu Szarmach zagrał jednak od początku i zdobył wyrównującą bramkę po pięknym strzale z dość ostrego kąta. Do historii chyba przeszła jednak scena następująca bezpośrednio po trafieniu. Szarmacha zaczął wyściskiwać Zbigniew Boniek.

Napastnik jednak nie okazał żadnej radości, tylko posłał groźne spojrzenie w kierunku selekcjonera… Ciszewski zaś zaniemówił przed mikrofonem z wrażenia po tej akcji. Sam strzelec podkreślał, że bramka go cieszy, ale głównie dlatego, że zdobył ją w starciu z Francją, a był już wówczas piłkarzem klubu z tego kraju.

Dokonał tego w swym ostatnim meczu w reprezentacji. Jego dorobek wyniósł 62 mecze i 32 bramki. Trafiał więc do siatek rywali średnio co drugie spotkanie. Z liczbą siedmiu goli jest też drugim po Grzegorzu Lacie najlepszym strzelcem Polski na MŚ. Tylko tych dwóch zawodników w historii biało-czerwonych potrafiło pokonywać bramkarzy rywali na trzech mundialach. Oprócz dwóch medalowych MŚ, uczestniczył też w turnieju tej rangi w 1978, gdzie uzyskał gola na wagę wygranej 1:0. – *Rozłożone ręce Andrzeja* Szarmacha*, mina zdobywcy po strzeleniu bramki i malujący się na ustach okrzyk: To jest to! – to rzeczywiście najradośniejszy i zarazem pozytywny koniec konfrontacji z Peru* – pisała „Trybuna Śląska”.

Selekcjoner Jacek Gmoch w eliminacjach do tego turnieju miał dość specyficzny pomysł na wykorzystanie Szarmacha, stawiając go w drugiej linii, co przy braku dynamiki obniżało jego ocenę. Zresztą często pojawiały się głosy, że Szarmach już obniżył loty. Być może było to też odium afery z Gorgoniem, gdy wdali się w sprzeczkę z obsługą pociągu. Jego odpowiedzią na takie głosy były jednak wybitne spotkania, jak w eliminacjach ME z Holandią, w którym strzelił dwa gole. Spotkanie

z ówczesnymi wicemistrzami świata uznawane jest za jedno z najlepszych w historii reprezentacji Polski.

Po Stali Mielec wyjechał do Francji. Nad Sekwaną dla AJ Auxerre strzelił 91 goli w najwyższej lidze francuskiej, co do dziś jest jednym z najlepszych wyników tego klubu. Dwukrotnie został uznany przez „France Football” najlepszym obcokrajowcem ligi francuskiej.

Kres kariery piłkarskiej zbiegł się z początkiem pracy trenerskiej. W Ekstraklasie prowadził KGHM Zagłębie Lubin. Obecnie zajmuje się działalnością menedżerską. Jest członkiem Klubu Wybitnego Reprezentanta. Sklasyfikowany został na 7. miejscu na liście najlepszych polskich piłkarzy w historii „Magazynu Futbol”.

Nutzfahrzeuge
ROBINSO
7

źródło: 400mm.pl

ANTONI SZYMANOWSKI

(obrońca)

Kluby w Ekstraklasie: Wisła Kraków, Gwardia Warszawa
Lata gry: 1968-1979
Mecze/gole: 242/1

Na początku lat siedemdziesiątych Polska miała prawdopodobnie najlepsze boki obrony w Europie albo nawet na świecie. Na lewej flance rządził Zygmunt Anczok. Prawa strona należała natomiast do świetnego defensora Wisły Kraków – Antoniego Szymanowskiego. Opoki zarówno swojego klubu, jak i reprezentacji w jej szczytowym okresie.

– *Obrońca nienaganny technicznie i taktycznie, po prostu wspaniały piłkarz* – powiedział o nim selekcjoner Anglii, Alf Ramsey. Szymanowski zachwycił uznanego trenera w starciach eliminacyjnych przed mundialem w 1974 roku. Szczególnie na Wembley znakomicie

asekurował Jana Tomaszewskiego w wielu podbramkowych sytuacjach. Pod koniec meczu wybił piłkę zmierzającą już do bramki. Spokojem w starciach z najlepszymi lewoskrzydłowymi globu imponował też na samych mistrzostwach.

Wnosił dodatkowo walory ofensywne. Szczególnie dał się zapamiętać z tych umiejętności w starciu z Haiti, gdy nie musiał przywiązywać aż tak wielkiej wagi do gry w defensywie. Popuszczone wodze taktyczne doprowadziły do jego dwóch asyst z rzutów rożnych, a także do świetnego zagrania w pole karne, które wykonał głową do Grzegorza Laty Andrzej Szarmach. Ale i z potężną Brazylią pokazał się ze znakomitej strony. – *Doskonały mecz rozegrał Szymanowski, który kontrolował swoją stronę przedpola polskiej bramki, a w każdym nadarzającym się momencie niczym skrzydłowy gnał do przodu* – pisał „Dziennik Łódzki”. To spotkanie z trybun obserwowała między innymi jego matka. Na przemian z Robertem Gadochą wykonywał w tym turnieju też rzuty rożne. Do niego należały kornery z prawej strony boiska. W opinii wielu to właśnie on z przedstawicieli swojej pozycji pokazał się najlepiej na tym mundialu i w najlepszej jedenastce turnieju powinien znaleźć się zamiast Bertiego Vogtsa z Niemiec. Dzięki umiejętnościom ofensywnym selekcjoner Kazimierz Górski uważał go nawet za alternatywę na skrzydłach.

Omal też nie wywołał zawału u trenera Górskiego i to z powodów niezwiązanych z boiskiem. Po meczu z Haiti padł na kadrę blady strach z powodu pogłosek o zażyciu

środków dopingujących. Na plan pierwszy wśród podejrzanych wysuwał się właśnie Szymanowski, ponieważ akurat wtedy przechodził infekcję i wszyscy bali się, że sięgnął po jakieś środki farmaceutyczne. Okazało się jednak, że dopingowiczem był Haitańczyk.

Świetnie sprawdził się w roli „plastra" między innymi na Igrzyskach Olimpijskich w Monachium, gdy miał za zadanie wyłączyć z gry Olega Błochina, późniejszego zdobywcę Złotej Piłki. Kolejnego spotkania już nie dokończył. Po wybiciu piłki Marokańczyk nie zdążył wyhamować i kopnął polskiego obrońcę w piszczel, łamiąc mu nogę. Jedynym spotkaniem, w którym nie wystąpił podczas tego turnieju, był z tego względu finał. Na najwyższy stopień podium wchodził… z gipsem na nodze. W dodatku otrzymał złoty medal podpisany „Ryszard Szymczak". Wtedy bowiem krążki były imiennie sygnowane nazwiskami uczestników finału. Selekcjoner Kazimierz Górski, zarządził jednak, aby to złoto zawisło na piersiach Szymanowskiego w uznaniu jego zasług w poprzednich spotkaniach.

Cichy, spokojny, skromny obrońca sam pewnie by się o to nie upomniał. Zwykle trzymał się na uboczu drużyny. W Wiśle Kraków najbliższe stosunki łączyły go rzecz jasna z rodzonym bratem, Henrykiem. Andrzej Iwan w swej biografii „Spalony" pisał, że za swoim krewniakiem Antonim mógłby skoczyć w ogień.

Razem zdobyli mistrzostwo Polski w 1978 roku w barwach Wisły Kraków. W tych rozgrywkach strzelił też

swego jedynego gola w Ekstraklasie. Bardzo ważnego, dał on bowiem remis z Widzewem Łódź. Słynął z bardzo dobrej prawej nogi. To trafienie udało mu się jednak zanotować dzięki próbie z lewej nogi, z dystansu. W defensywie był jednak bezustannie jednym z bohaterów całej kampanii Wisły. Straciła ona najmniej goli w tamtym sezonie

Poza złotem na koncie miał też brązowy medal. Grę dla Wisły Kraków przerwały dwa epizody, gdy bronił barw Gwardii Warszawa. Na koniec kariery występował natomiast w belgijskim Cercle Brugge.

W reprezentacji Polski wywalczył trzecie miejsce na Mistrzostwach Świata, a także złoto i srebro olimpijskie. Łącznie wystąpił w reprezentacji Polski osiemdziesiąt dwa razy i strzelił w nich jednego gola. Padł on w Igrzyskach Olimpijskich w 1976 roku przeciwko Korei Północnej. Brał także udział w mundialu w 1978, gdzie Polska zakończyła zmagania na 5. miejscu.

Indywidualnie w 1975 roku wygrał zarówno punktację „Złotych Butów”, jak też plebiscyt na Piłkarza Roku katowickiego „Sportu”. Po zakończeniu kariery pracował jako trener. Samodzielnie prowadził Cracovię, CKS Czeladź czy Przebój Wolbrom. Pracował też jako asystent w Wiśle Kraków oraz Górniku.

STANISŁAW TERLECKI

(pomocnik)

Kluby w Ekstraklasie: ŁKS Łódź
Lata gry: 1973-1981, 1986-1989, 1990
Mecze/gole: 255/32

Synonim pecha w polskiej piłce. Dwukrotnie był blisko wyjazdu na mistrzostwa świata, jednak na przeszkodzie stawały mu dziwne przypadki. Ostatecznie nie zagrał na tej imprezie, choć w opinii wielu Stanisław Terlecki był jednym z najlepszych lewoskrzydłowych przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Zachwycało się nim pół Europy.

Pod względem techniki w drugiej połowie lat siedemdziesiątych wybijał się na całym Starym Kontynencie. „Brylantowe” – mawiał podobno o jego umiejętnościach sam Jacek Gmoch. Zawodnik był pewniakiem w jego drużynie szykowanej do występu na Mistrzostwach Świata. Na drodze stanął mu jednak ligowy

występ w barwach ŁKS Łódź przeciwko Polonii Bytom. Niespełna miesiąc przed mundialem obrońca rywali Czesław Bryłka popełnił brzydki, perfidny faul, po którym Terlecki doznał kontuzji łąkotki. Wykonał olbrzymią pracę, aby powrócić do zdrowia w ekspresowym tempie. Stawił się nawet na specjalnych testach zarządzonych przez selekcjonera, przechodził kolejne egzaminy, ale kiedy przyszło do wykonania strzału piłką lekarską, musiał odpuścić. Jacek Gmoch wprost przyznawał, że ten niespodziewany wypadek przewrócił do góry nogami całą jego koncepcję gry opierającą się głównie na Terleckim. Cenił go nawet wyżej niż Roberta Gadochę. Uważał, że posiada wszystkie zalety tamtego, a dodatkowo jest skuteczniejszy. Pomimo braku powołania, przyjechał na lotnisko powitać powracającą z mundialu kadrę. Pomagał nawet wynosić bagaże Bohdanowi Masztalerowi. Zbigniewa Bońka i Zygmunta Kuklę częstował zaś szampanem.

Za drugim razem na drodze stanął mu jego charakter. Inteligentny i błyskotliwy Terlecki z czasem zaczął być coraz bardziej bezkompromisowy. Przekornie stawał okoniem w reakcji na wiele decyzji. Już raz spotkał się z dyskwalifikacją, za… szczekanie na dziennikarzy! Kilka miesięcy potem wpadł w jeszcze większe tarapaty, gdy razem ze Zbigniewem Bońkiem i Władysławem Żmudą protestował przeciwko karze dla Józefa Młynarczyka. Całą czwórkę ukarano za to dyskwalifikacją. Piłkarze Widzewa ukorzyli się przed PZPN-em i przeprosili. Terlecki pozostał niezłomny w swej decyzji. Przypłacił za to absencją

mundialową. Świat nie mógł znów obejrzeć w akcji znakomitego technika… Po prawdzie długo mu się zbierało na taką dyscyplinarną absencję. Jako potomek magnaterii był chyba jedynym jawnym przeciwnikiem komunizmu wśród piłkarzy. W czasie strajków studenckich nawet samochodem dowoził prowiant protestującym. Jako jeden z nielicznych legitymował się studiami i to nie na AWF-ie, ale na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Łódzkiego. Zawsze zresztą podkreślał wagę nauki.

Kariera klubowa nie przyniosła mu zbyt wielu trofeów. Ani w Gwardii Warszawa, ani w ŁKS Łódź, w którym stał się gwiazdą ligi, nie dane było mu choćby raz stanąć na podium. Raz zagrał w finale Pucharu Polski. Dopiero po powrocie z zagranicznych wojaży, już w barwach Legii Warszawa, dwukrotnie został zdobywcą Pucharu Polski. Nigdy zaś nie stanął na podium mistrzostw kraju w Polsce. Pomimo tego stał się niewątpliwie jedną z największych gwiazd Ekstraklasy pod koniec lat siedemdziesiątych.

Do tej pozycji uprawniał go niesamowity drybling i umiejętności techniczne. Dzięki szybkości i naturalnej kiwce łatwo przedostawał się pod pole karne rywali. Wytrzymałość sprawiała natomiast, że można było się spodziewać jego kolejnych rajdów praktycznie w każdej chwili, nawet pod sam koniec spotkań. Dla tych popisowych numerów na stadion ŁKS-u ściągały tłumy. Szacuje się, że większość Stanisławów urodzonych w tym mieście pod koniec lat siedemdziesiątych zawdzięcza swoje imię właśnie temu zawodnikowi. Jego ściągnięcie klub zawdzięcza

włókniarkom, które poskarżyły się Edwardowi Gierkowi, że ich mężowie myślą o braku tego piłkarza, a nie o pracy. Starszym fanom z miejsca przypominał swojego poprzednika z ofensywy łodzian – Jerzego Sadka. Może Terlecki obdarzony był nieco słabszym wykończeniem niż Sadek, za to miał jeszcze lepszy drybling. Wielu uważało nawet, że nie widziało lepszego piłkarza w swoim życiu.

W barwach ŁKS-u sięgnął po swoje najważniejsze indywidualne wyróżnienie w karierze – tytuł Odkrycia Roku w Plebiscycie „Piłki Nożnej”. W reprezentacji w sumie zagrał 29 razy i strzelił 7 goli. Najlepiej wypadł w starciu ze Szwajcarią w 1979 roku, gdy strzelił dwa gole. Po dyskwalifikacji już nigdy nie włożył biało-czerwonych barw reprezentacyjnych. Wyjechał do USA, gdzie w New York Cosmos został następcą słynnego Pele. Po powrocie do Polski występował jeszcze w ŁKS-ie, Legii oraz Polonii Warszawa. Później zajął się biznesem. Prowadził też własną szkółkę piłkarską. Spisał biografię pt. „Pele, Boniek i ja”. Był felietonistą w „Super Expressie”. W ostatnim czasie jednak wycofał się ze środowiska piłkarskiego.

Stanisław Terlecki zmarł w grudniu 2017 roku.

Jego syn Maciej Terlecki był jednym z najbardziej utalentowanych polskich piłkarzy początku lat dziewięćdziesiątych. Z powodu kontuzji musiał przedwcześnie zrezygnować z gry. Obecnie jest komentatorem Eurosportu.

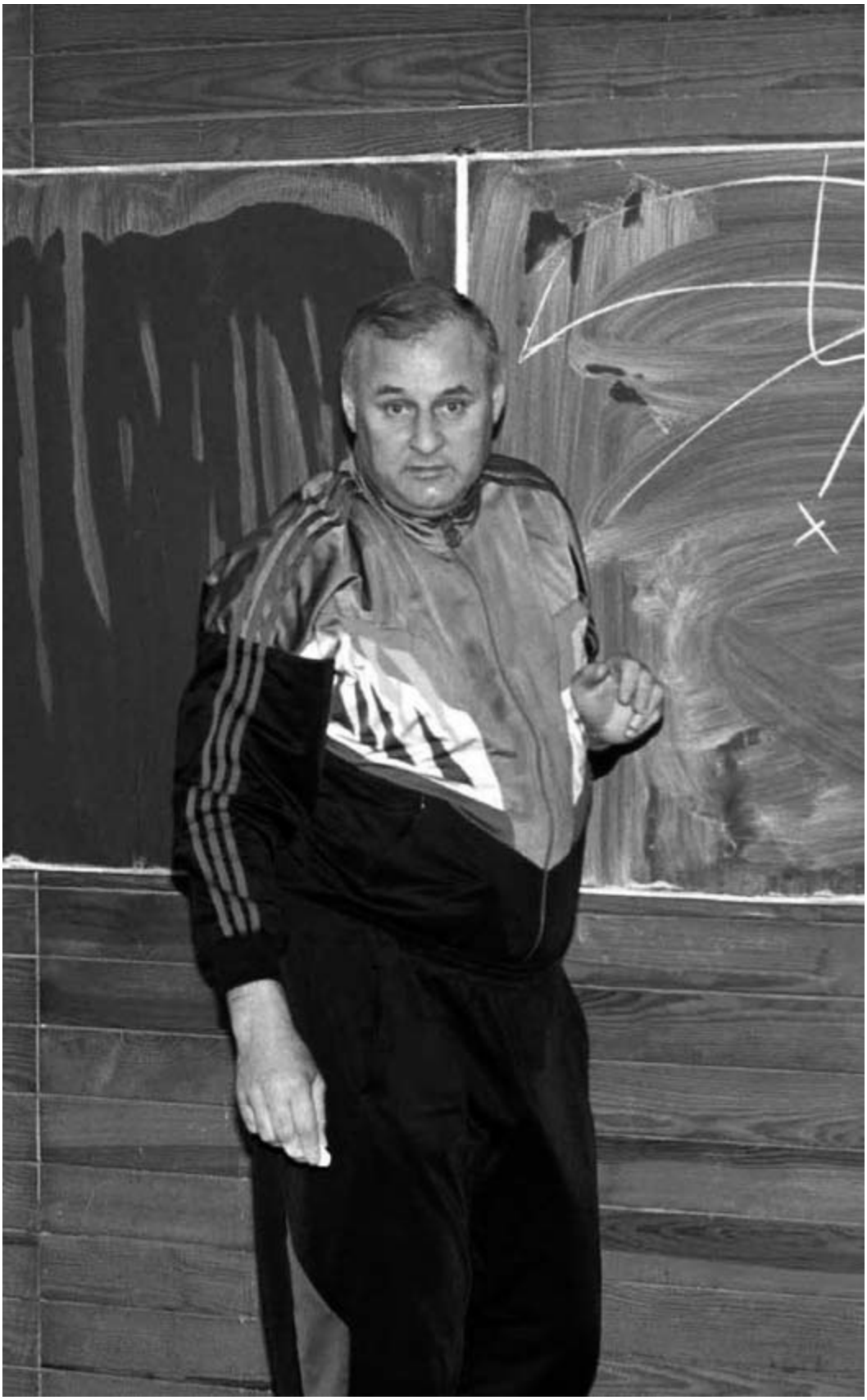

źródło: 400mm.pl

JAN TOMASZEWSKI

(bramkarz)

Kluby Ekstraklasie: Śląsk Wrocław, Legia Warszawa, ŁKS Łódź
Lata gry: 1968-1969, 1971-1978, 1982
Mecze/gole: 203/1

To on był bohaterem jednego z najsłynniejszych występów indywidualnych polskich piłkarzy w historii. Wyczyny Jana Tomaszewskiego na Wembley można postawić w jednym rzędzie obok czterech goli Ernesta Wilimowskiego na mundialu, obron Jerzego Dudka w Stambule czy czteropaku Roberta Lewandowskiego w półfinale Ligi Mistrzów. „Cud na Wembley”, „Bitwa o Anglię” – między innymi takie określenia przylgnęły do stoczonego na słynnym obiekcie piłkarskim spotkania z 17 października 1973 roku. Właśnie Tomaszewski był tym cudotwórcą.

Pod względem liczby kontaktów z piłką, spośród biało-czerwonych wybijał się w tamtym starciu jedynie bramkarz – Jan Tomaszewski z ŁKS Łódź. Był na posterunku zawsze, kiedy potrzebowała go drużyna. Tylko dzięki niemu udało się zachować wynik 0:0 w I połowie, choć… bronił z kontuzją. Na początku spotkania, z powodu olbrzymiego tumultu, nie usłyszał okrzyku Adama Musiała z Wisły Kraków, przez co rzucił piłkę niemal pod nogi angielskiego napastnika Allana Clarke'a. Aby zapobiec utracie gola, nakrył ciałem futbolówkę. Niestety jego dłoń spotkała się z czubkiem stopy przeciwnika. Lekarz kadry zamroził mu rękę preparatem, co go natychmiast otrzeźwiło i do końca zachował czujność. Przed tą transmisją sławny angielski trener Brian Clough nazwał go w telewizyjnym studiu „cyrkowym klaunem".

Gol Jana Domarskiego tylko na chwilę usunął „Tomka" w cień. Po stracie bramki Anglicy bowiem rzucili się jak opętani do ataku. Bramkarz Polaków skapitulował jednak tylko raz – z rzutu karnego podyktowanego za faul Musiała na Martinie Petersie. Anglik po latach przyznał, że symulował… W ostatnich minutach napór się wzmógł. Po jednym ze strzałów Clarke był już pewny, że zmusił do kapitulacji Tomaszewskiego. Kiedy chciał zacząć się cieszyć, zobaczył jednak, jak Polak odbija piłkę po intuicyjnej obronie.

Po meczu Anglicy zapukali jeszcze do szatni sędziego Loraux. Wręczyli mu piłkę z tego meczu, aby symbol największej klęski futbolowej nie znajdował się w ich kraju.

Nie wystarczyło im jednak odwagi, by zaproponować ją w darze Polakom. Choćby Janowi Tomaszewskiemu, który tym jednym występem zapracował na wieczną chwałę.

„To cudowny, wspaniały, fenomenalny zawodnik” (BBC).

„Nigdy nie widziałem tak świetnego zagranicznego bramkarza” (trener Alf Ramsey dla ITV).

„Koncert gry, jakiego nie powstydziłby się Zamorra” („Dziennik Polski”).

„Wyłapał co najmniej cztery strzały, których fizycznie nie można było obronić” („Corriere della Serra”).

„Bramkarz wszech czasów” („Expressen”).

Brian Clough przeprosił Tomaszewskiego za swoje słowa rok później podczas przypadkowego spotkania na lotnisku.

Wybitną formę zaprezentował też podczas Mistrzostw Świata w 1974 roku, choć tuż przed mundialem musiał leczyć kontuzję śródręcza, której doznał w lidze. Na obozie przygotowawczym wcale nie było pewne, kto będzie numerem jeden w polskiej bramce na tym turnieju. Asystent Kazimierza Górskiego, Jacek Gmoch – któremu zazwyczaj nie po drodze było z Tomaszewskim – obstawał za Andrzejem Fischerem. Dobrze prezentował się też Zygmunt Kalinowski. – Tomaszewski *odrabia już zaległości treningowe. Jego wady i zalety wszyscy znamy doskonale. Fischer nie ma wielkiego stażu, Kalinowski miewa zaś dobre i słabe momenty* – komentował trener kadry. Ostatecznie jednak wybór padł na „Tomka”. W siedmiu meczach mundialowych przepuścił tylko pięć strzałów.

Został też pierwszym bramkarzem w historii, który na jednym turnieju tej rangi dwukrotnie obronił rzut karny. Nie dali mu rady Steffan Tapper ze Szwecji oraz Uli Hoeness z RFN. – *Staram się zawsze sprowokować przeciwnika do strzału w wybrany przeze mnie róg bramki. W obu przypadkach na MŚ udał mi się ten manewr. Trudniejszy do obrony był strzał Szweda Tappera. Jedenastka Hoenessa była lżejsza. Więcej kłopotu sprawiła mi bomba Overatha w II połowie* – mówił potem. Popisał się też niesamowitą interwencją w meczu o trzecie miejsce, broniąc strzał Valdomiro. Nic zatem dziwnego, że był stawiany w dwójce najlepszych bramkarzy tych MŚ, wespół z Seppem Maierem. A zwolenników nie miał wcześniej wielu. Ryszard Wyrobek w wywiadzie dla „Dziennika Łódzkiego" przyznawał wprost: – *Po tym co widziałem w poprzedzających mistrzostwa meczach ligowych zdawało mi się, że trener Górski popełnił błąd, wystawiając bramkarza ŁKS do pierwszej drużyny. Jednak Tomek był z meczu na mecz lepszy i pewniejszy. Pełna koncentracja oraz świetny refleks i gra na przedpolu kilkakrotnie uratowały biało-czerwonych od straty bramki.*

Zawsze pozytywnie wyrażał się na temat selekcjonera Kazimierza Górskiego. Nic dziwnego. Trener zaufał mu wbrew wielu logicznym przesłankom. „Tomek" wcześniej uważany był za słabego psychicznie bramkarza. Zwolennicy tej tezy podawali za przykład mecz z RFN w 1971 roku, gdy zamieszany był w stratę trzech bramek. Nie poradził sobie także w Legii Warszawa. Kilka tygodni po starciu

z Niemcami zawalił jej mecz w europejskich pucharach i musiał pogodzić się z ławką rezerwowych. Pozycję najlepszego polskiego golkipera wyrobił sobie dopiero grą w ŁKS Łódź. Tu zasłynął ze znakomitego refleksu, a przy swoich warunkach fizycznych bardzo dobrze radził sobie też na przedpolu. Hubert Kostka też zawsze podkreślał jego olbrzymią pracowitość. Tomaszewski na treningach wylewał z siebie zawsze siódme poty. Stał się też jednym z nielicznych bramkarzy z golem w Ekstraklasie. Na listę strzelców wpisał się dzięki strzałowi z rzutu karnego.

Gdy jego kariera reprezentacyjna zawisła na włosku, niespodziewanie szczęśliwym zrządzeniem losu konsultantem w ŁKS Łódź został selekcjoner Kazimierz Górski. Codziennie widział postępy Tomaszewskiego i zdecydował się mu zaufać po raz kolejny. Zadecydował o wszystkim wieczór przed starciem z Walią. Zaproponował Tomaszewskiemu pozycję pierwszego bramkarza, a ten bez wahania się zgodził. Gdyby wyraził choć odrobinę wątpliwości, prawdopodobnie z ławki rezerwowych byłby zmuszony oglądać Mariana Szeję.

Taka postawa doprowadziła go do pozycji jednego z najlepszych bramkarzy Europy. W 1973 roku zajął 14. miejsce w plebiscycie Złotej Piłki. W całej Europie spośród zawodników na jego pozycji większe uznanie zyskał tylko Dino Zoff. Na trzynastym miejscu skończył natomiast rok później. Został na nim sklasyfikowany wespół z Ronniem Hellstromem. Obaj byli więc najlepszymi bramkarzami Starego Kontynentu w tamtym czasie. Zajął też 9. miejsce

w plebiscycie na najlepszego sportowca Polski „Przeglądu Sportowego” w 1973 roku. Następnym przedstawicielem jego pozycji w tym rankingu był Józef Młynarczyk równo dekadę później. Po turnieju MŚ 1974 agencja UPI umieściła go w jedenastce turnieju, „Associated Press” dała mu zaś miejsce w rezerwie. Zrobił się tak popularny, że jego siostra musiała zaczekać kilka godzin po przylocie polskiej kadry z mundialu, aby móc się z nim przywitać.

Z reprezentacją Polski wywalczył trzecie miejsce na świecie oraz wicemistrzostwo olimpijskie. Przed finałem tego drugiego turnieju podobno znów dały znać stare problemy. Tomaszewski nie chciał wychodzić na boisko. Ostatecznie został zmieniony po przerwie, a Polska przegrała spotkanie 1:3 z NRD. Zagrał także na MŚ w Argentynie w 1978 roku, jednak w trakcie zmagań stracił miejsce na rzecz Zygmunta Kukli. – *Po co ja go wstawiałem?* – miał rzucić głośno o Tomaszewskim po starciu z gospodarzami na tym mundialu selekcjoner Jacek Gmoch.

Karierę w kadrze zakończył po wygranym meczu eliminacji MŚ z NRD, gdy musiał pogodzić się z rolą zmiennika Józefa Młynarczyka. Wystąpił w 61 meczach z orłem na piersiach. Do 2012 roku był członkiem Klubu Wybitnego Reprezentanta, z którego wystąpił na własne żądanie po konflikcie z Władysławem Żmudą.

Jego dorobek medalowy w Ekstraklasie ogranicza się do wicemistrzostwa Polski zdobytego z Legią Warszawa w 1971 roku. W polskiej lidze grał do 1978 roku. Potem

występował w Belgii, Hiszpanii. Został pierwszym Polakiem, który zagrał w Primera Division. Na zakończenie kariery wrócił do ŁKS. Jednocześnie został w nim grającym trenerem. Podczas MŚ 1986 obronił pracę dyplomową w warszawskiej AWF i został trenerem II klasy.

Prowadził też Widzew Łódź. Był również szkoleniowcem bramkarzy w reprezentacji Polski. W pracy na tych stanowiskach nie osiągnął jednak wielu sukcesów. Wygadany Tomaszewski odnalazł się jednak znakomicie jako komentator wydarzeń sportowych. Często zapraszany jest do telewizji. Napisał także dwie książki. Zajmował się ponadto polityką. Był doradcą ministra sportu, pracował jako szef Komisji Etyki, a w poprzedniej kadencji sprawował funkcję Posła na Sejm RP.

alleröder

źródło: 400mm.pl

WŁADYSŁAW ŻMUDA

(obrońca)

Kluby w Ekstraklasie: Gwardia Warszawa, Śląsk Wrocław, Widzew Łódź
Lata gry: 1972-1982
Mecze/gole: 197/1

Kiedy okazało się, że w jednym pokoju na mundialu w 1974 roku Kazimierz Górski umieścił Kazimierza Deynę oraz Władysława Żmudę, pokpiwano w Polsce na temat dialogu, jaki miał się rozegrać między tą dwójką. – *Cześć* – powiedział jeden. – *Cześć* – odpowiedział drugi na koniec zgrupowania. Nie wynikało to z braku sympatii. Żmuda pod względem milczkowatości przebijał natomiast nawet wycofanego Deynę. Kiedy jednak wchodził na boisko, odwagi mu nie brakowało.

Najlepszym dowodem jego wielkich umiejętności jest fakt, że tylko on spośród polskich piłkarzy ma w dorobku

udział w czterech mundialach! Grał na MŚ w 1974, 1978, 1982 i 1986 roku. Łącznie rozegrał w turniejach tej rangi dwadzieścia jeden meczów, co jest najlepszym wynikiem w historii reprezentacji Polski. Na całym świecie Żmuda zajmuje obecnie czwarte miejsce za Lottharem Matthausem, Paolo Maldinim i Uwe Seelerem. Do 1998 roku był nawet wiceliderem tej klasyfikacji ex aequo z samym Diego Maradoną.

Wraz ze Zdzisławem Kapką byli jedynymi członkami drużyny młodzieżowej (brązowy medal ME U-18 w 1972 roku), których na mundial dwa lata później powołał Kazimierz Górski. Wydawało się jednak, że Żmuda jedzie tam tylko po naukę. Przecież na nieprawdopodobieństwo zakrawał fakt, iż miałby on zastąpić jednego z bohaterów eliminacyjnych zmagań, w tym starcia z Anglią na Wembley – Mirosława Bulzackiego. Już samo jego pojawienie się w ostatecznym składzie uważano za niespodziankę. Selekcjonerowi jednak spodobało się zgranie Żmudy z obrońcą Górnika Zabrze – Henrykiem Wieczorkiem.

Obchodzący dwudzieste urodziny na tydzień przed startem zmagań mundialowych, był czwartym najmłodszym zawodnikiem powołanym na te MŚ. Od pierwszego gwizdka jednak nawet na chwilę nie zszedł z murawy. I z równym spokojem radził sobie z egzotycznymi Haitańczykami, co z gwiazdami Argentyny, Włoch, Szwecji, Jugosławii, Niemiec czy Brazylii. Razem z Jerzym Gorgoniem stworzył jeden z najlepszych duetów obronnych na tym mundialu. Dzięki temu Władysław Żmuda zdobył nagrodę dla

najlepszego młodego piłkarza mistrzostw. Znalazł się też w jedenastce młodzieżowców agencji AP. – *Wyrósł już na pełnowartościowego stopera* – pisała prasa.

Młody zawodnik imponował przede wszystkim umiejętnością w grze obronnej jeden na jednego. Bardzo dobrze przeciwstawiał się świetnym technicznie rywalom. Jak twierdzi Stefan Szczepłek, wynikało to z jego… bardzo dużej wady wzroku! Podobno Żmuda nie widział wszystkich trików rywali, a swoje spojrzenie koncentrował na piłce, co pomagało mu notować wiele odbiorów w takich pojedynkach z największymi gwiazdami światowej piłki.

Razem z reprezentacją Polski zdobył na tym turnieju srebro za trzecie miejsce. Sukces ten powtórzył także z kadrą pod wodzą Antoniego Piechniczka w 1982 roku. Wtedy jednak wystąpił też w roli… dekorującego. Prezydent FIFA Joao Havelange z powodu urazu stóp poprosił o pomoc w rozdaniu medali prezesa PZPN, Włodzimierza Reczka. Ten wręczył zaś tackę z medalami kapitanowi kadry, którym był wtedy właśnie Władysław Żmuda. Obrońca przeszedł się z paterą wzdłuż szpaleru kolegów. – *Jest to nasz wspaniały sukces* – skomentował to wydarzenie. Agencja Reutera umiejscowiła go w najlepszej „11” turnieju. Tak jak w Niemczech stoper w Hiszpanii grał we wszystkich meczach biało-czerwonych od pierwszej do ostatniej minuty. W ogóle dwadzieścia kolejnych spotkań reprezentacji Polski na mundialach zaliczył w pełnym wymiarze. Korzystał z niego non-stop, bowiem też Jacek Gmoch w 1978 roku.

Karierę mundialową zakończył honorowy występ w końcówce spotkania z Brazylią w 1986 roku. Był to jego dwudziesty pierwszy mecz na turnieju tej rangi, co w tym czasie stanowiło rekord. Weteran bojów mundialowych budził wówczas wielką ciekawość. Telewizja meksykańska przyjechała nawet złożyć mu gratulacje za udział w czwartych MŚ. – *Nie przyjechałem po to, aby bić rekordy. Dla mnie rekordem, który sprawi mi wiele satysfakcji, będzie bardzo dobra gra polskich piłkarzy* – odpowiadał im. Takie wprowadzenie zasłużonego zawodnika do gry przy stanie 0:4 z Canarinhos jednak nie wszystkim w kraju się spodobało. – *Dla mnie osobiście było to żenujące, i będąc na miejscu* Żmudy, *nie skorzystałbym z tej oferty. Tak zasłużony piłkarz nie powinien mieć takiego upokarzającego końca swej reprezentacyjnej kariery* – pisał w felietonie dla „Dziennika Łódzkiego” o tej sytuacji Jan Tomaszewski.

Znakomitą kartę Żmuda zapisał także w samej Ekstraklasie. W najwyższej klasie rozgrywkowej zadebiutował tuż po osiemnastych urodzinach w barwach Gwardii Warszawa, gdzie trafił z Motoru Lublin po medalowych Mistrzostwach Europy Juniorów. Razem z nią awansował do finału Pucharu Polski. Tam – już bez jego udziału – Gwardziści przegrali 0:2 z Ruchem Chorzów. Większe sukcesy przyniosły mu czasy gry w Śląsku Wrocław oraz Widzewie Łódź. Z zespołem z Dolnego Śląska zdobył po jednym srebrnym i jednym brązowym medalu, a także zapisał na swoim koncie triumf w Pucharze Polski. W czasie

gry w tej drużynie, zetknął się z innym Władysławem Żmudą – trenerem. Dlatego bardzo często oznaczano go w prasie jako „Żmudę II”. Potem natrafili na siebie w Widzewie.

Z Widzewem Łódź zwyciężał w lidze dwukrotnie – w 1981 i 1982 roku. Do tego doszło jedno wicemistrzostwo kraju. Szczególnie znakomicie wypadł w pierwszej z tych edycji. Żmuda wygrał wtedy punktację „Sportu” – „Złote Buty”. W tym sezonie też strzelił swojego jedynego gola w historii występów w Ekstraklasie.

Duże sukcesy przyniosła mu gra w europejskich pucharach. Razem ze Śląskiem Wrocław awansował do ćwierćfinału Pucharu Zdobywców Pucharów w sezonie 1976/77. Z Widzewem Łódź awansował natomiast do 1/8 finału Pucharu UEFA. W tej kampanii właśnie zespół z Łodzi wyeliminował Manchester United, a także po wspaniałym boju – Juventus Turyn.

Po mundialu w 1982 roku wyjechał do Włoch, gdzie za 320 tysięcy dolarów ściągnął go Hellas Werona. Potem bronił barw US Cremonese i Cosmos Nowy Jork.

W reprezentacji Polski rozegrał w sumie 91 spotkań, co obecnie daje mu 6. miejsce w klasyfikacji wszech czasów. Strzelił w tych starciach dwa gole. Poza dwoma medalami z MŚ, wywalczył także wicemistrzostwo olimpijskie. Jest członkiem Klubu Wybitnego Reprezentanta. Rozegrał 79 spotkań w kadrze jako zawodnik klubów Ekstraklasy. Stawia go to na trzecim miejscu pod tym względem za Kazimierzem Deyną i Grzegorzem Latą. Był pierwszym

piłkarzem w historii, który na trzech mundialach reprezentował trzy kluby Ekstraklasy. Nikt też nie zaliczył tylu spotkań na imprezie tej rangi spośród przedstawicieli najwyższej klasy rozgrywkowej w Polsce.

Po zakończeniu kariery pracował jako trener. Był asystentem Jerzego Engela w reprezentacji, która awansowała na MŚ w 2002 roku oraz Pawła Janasa w kadrze olimpijskiej. Wielokrotnie prowadził też różne drużyny młodzieżowe. Do 2012 roku pełnił funkcję Przewodniczącego Klubu Wybitnego Reprezentanta.

adidas
FILMNET

źródło: 400mm.pl

ZBIGNIEW BONIEK

(pomocnik/napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Widzew Łódź
Lata gry: 1975-1982
Mecze/gole: 172/50

Lider z natury. Od najmłodszych lat – na boisku, aż do dziś, gdy pełni funkcję Prezesa Polskiego Związku Piłki Nożnej i Członka Komitetu Wykonawczego UEFA. Między tymi dwoma punktami mieści się kilkadziesiąt lat obficie wypełnionych sukcesami.

Dla wielu to najlepszy piłkarz w historii Polski. Potwierdzają to choćby wyniki uzyskiwane w Złotej Piłce. Boniek siedem razy zdobył punkty w tym najważniejszym indywidualnym rankingu piłkarskim na Starym Kontynencie. W tym pięć razy brano pod uwagę wyniki uzyskiwane w czasach gry w rodzimej lidze. Od 1978 do 1983 roku gościł wśród punktujących w każdej edycji tego

plebiscytu. Trzykrotnie plasował się w TOP-10. W 1982 roku wyrównał zaś polski rekord w tym zakresie – Kazimierza Deyny – kończąc na najniższym stopniu podium.

Półkę z trofeami zespołowymi Boniek ma szczelnie wypełnioną. Zaczął je kolekcjonować jeszcze w czasach gry w Ekstraklasie. Już po debiutanckim sezonie na tym poziomie rozgrywkowym został mianowany Odkryciem Roku. W Widzewie Łódź, do którego trafił z drugoligowego Zawiszy Bydgoszcz, dwukrotnie był mistrzem Polski (w 1981 i 1982 roku). Do tego trzy razy wywalczył tytuł wicemistrzowski. Indywidualnie w 1978 roku wygrał punktację katowickiego „Sportu" – „Złote Buty" na najlepszego piłkarza ligowego w Polsce i zgarnął tytuł Piłkarza Roku. Dwukrotnie był zdobywcą tego tytułu w plebiscycie „Piłki Nożnej" (w 1978 i 1982 roku). Stał się też drugim w historii piłkarzem, który wygrał Plebiscyt „Przeglądu Sportowego" na Sportowca Roku. Oprócz niego oraz Wacława Kuchara, dokonał tego tylko Robert Lewandowski w 2015 roku. W 1979 roku dostał powołanie do Reprezentacji Świata przeciwko Argentynie.

Wiele z tych sukcesów indywidualnych to zasługa znakomitych występów Bońka na mundialach w 1978 i 1982 roku. Za pierwszym razem jechał jako przedstawiciel „młodej gwardii". W Argentynie strzelił dwa gole Meksykowi. – *Kto to sobie wymyślił, że Boniek nie może grać z Deyną?* – pytał retorycznie po tym starciu Jan Ciszewski. Wcześniej bowiem selekcjoner Jacek Gmoch uważał, że te dwie wielkie indywidualności nie zmieszczą

się na jednym boisku. Prywatnie podobno niespecjalnie się lubili. Omal nie pobili się kiedyś przy stole pingpongowym. Niektórzy przypisują mu też wyprowadzenie „Kaki” z równowagi przed strzałem z rzutu karnego przeciwko Argentynie.

Po tych dwóch golach „Dziennik Łódźki” pisał: – *Część obowiązków lidera zespołu przejął już w sobotniej konfrontacji (więcej celnych podań od Deyny) oraz doskonale spisywał się w akcjach defensywnych. Często wracał pod bramkę, walczył do końca; słowem, udowodnił, iż ma pewne miejsce w zespole. A ukoronowaniem jego znakomitej gry były dwie przepiękne bramki. Te wszystkie fakty wskazują chyba w oczywisty sposób, iż piłkarz Widzewa musi występować w podstawowym składzie*. On sam w tym spotkaniu miał dodatkową motywację. Wypadało ono bowiem w 2. rocznicę jego ślubu. Żona Wiesława zapowiedziała mu więc, że nie ma co wracać do Polski bez gola w tym meczu. Po wylądowaniu odważnie zapowiadał: – *Zbliża się nowa fala piłkarzy w Polsce!*

On sam został jej niekwestionowanym liderem. – *Zbigniew Boniek – piłkarz o największym talencie w naszym kraju, jaki pojawił się w ostatnich latach* – pisał Andrzej Szymański w „Dzienniku Łódzkim”. Sprawdzały się więc jego słowa z początków kariery: – *Za rok będę grał w reprezentacji Polski, za trzy lata wystąpię na MŚ*.

Cztery lata później poprowadził drużynę do srebrnego medalu. Sam pokonał golkipera Peru, a także zanotował trzeciego polskiego hat-tricka w historii mundiali, strzelając

trzy gole Belgii. Mecz ten obserwował sławny Pele. – *To już światowa klasa!* – twierdził „Król Futbolu” o polskim graczu. Na tych mistrzostwach stał się jednocześnie symbolem. Dzięki… koszulce Sergieja Bałtaczy, nałożonej w studiu telewizyjnym po zremisowanym starciu z ZSRR. Urosła ona do rangi „trofeum wojennego”.

Dziś już niewielu pamięta o jego słabym początku na tym mundialu. – *Boniek nie wywiązuje się z funkcji reżysera i lidera kierującego grą* – donosiła prasa. Może wtedy, jeden jedyny raz, jego pozycja lidera została podana w wątpliwość. Sugerowano zastąpienie go skonfliktowanym z nim Januszem Kupcewiczem lub Włodzimierzem Ciołkiem. – *Grałem źle, przyznaję* – kajał się sam, jak rzadko kiedy. Trener Piechniczek rozwiązał problem inaczej. Bońka przesunął do ataku, a na jego miejsce w pomocy dał Kupcewicza. Zreformowana taktyka przyniosła wynik 5:1 z Peru. – *Boniek to jednak klasa!* – zwracała honor prasa, chętnie go wcześniej krytykująca. Sukces przypłacił infekcją. Na szczęście nie miała ona wpływu na jego formę. Od tego czasu zaczął się jego marsz po status gwiazdy mistrzostw. Wybrano go do Drużyny Gwiazd MŚ i „11” turnieju według Reutera. Zajął też 4. miejsce w głosowaniu na najlepszego zawodnika tamtego mundialu. Podium przegrał tylko o 20 punktów z Karl–Heinzem Rummenigge, pokonał zaś między innymi Zico. Po spotkaniu z Francją, które dało srebrny medal stwierdził tylko: – *To był niezwykły wysiłek. Nie wiem, czy stać mnie by było jeszcze na podobny*.

Wcześniej znajdował się blisko wyjazdu na IO w 1976 roku. Znalazł się nawet na zgrupowaniu przedolimpijskim w Zakopanem, między innymi z Pawłem Janasem. Selekcjoner jednak stwierdził, że Boniek zdawał się zbyt zahukany. Może ten jeden raz nie potwierdził swojej słynnej charyzmy. Generalnie jednak zawodnika o tak wielkiej mentalności lidera i zwycięzcy prawdopodobnie nie było nigdy w polskiej piłce. Potrafił sobie podporządkować dużo starszych zawodników w szatniach Widzewa Łódź czy reprezentacji. – *Jeśli w szkole było dwunastu nauczycieli, to sześciu mnie uwielbiało, sześciu nie znosiło* – mówił bez ogródek o swoim charakterze. Często znajdował się na wojennych ścieżkach: czy to z dziennikarzami (jak podczas MŚ 1982), czy z działaczami (jak podczas afery na Okęciu), czy z kolegami z boiska (jak z Mirosławem Tłokińskim albo Januszem Kupcewiczem; hiszpańska prasa sugerowała też konflikt z Grzegorzem Latą). Dla zespołów był jednak ze swoim umiejętnościami dyrygenckimi, przeglądem pola oraz podaniem i strzałem – bezcenny. Do tego waleczny i bezgranicznie przywiązany do pewnych idei. Po zwycięskim finale PEMK wyczarterowanym samolotem przyleciał prosto na mecz eliminacji mundialu z Albanią.

Po MŚ w 1982 roku wyjechał do najlepszej klubowej drużyny świata tego czasu – Juventusu Turyn. W barwach Starej Damy stał się najbardziej utytułowanym polskim piłkarzem na niwie klubowej. Wywalczył Puchar Europejskich Mistrzów Klubowych (zwycięska bramka padła z karnego podyktowanego po faulu na nim), Puchar

Zdobywców Pucharów, Superpuchar Europy. W walce o dwa ostatnie trofea strzelał gole, dzięki czemu przylgnęło do niego miano „Bello di notte” – „Piękno nocy”. Swoje najlepsze mecze rozgrywał wszak nocą.

Na włoskim podwórku wywalczył mistrzostwo oraz dwukrotnie Puchar Włoch. Po Juventusie grał w AS Romie. Karierę nieco niespodziewanie zakończył w wieku 32 lat. Dwa sezony wcześniej zrezygnował z reprezentacji po mundialu w Meksyku. Tam był bliski zdobycia jednej z najpiękniejszych bramek w historii MŚ. W starciu z Brazylią popisał się fenomenalnymi nożycami, które o kilka centymetrów minęły słupek.

Był trenerem w Serie A, gdzie prowadził Lecce i Bari, w niższych ligach zaś Sambenedettese i Avellino. Z tym ostatnim klubem wywalczył nawet awans do Serie B. Karierę szkoleniową zakończył na kilku spotkaniach w roli selekcjonera Polski, choć jego nazwisko w tym kontekście padało jeszcze w końcówce lat osiemdziesiątych po kadencji Wojciecha Łazarka.

O wiele więcej sukcesów odniósł w roli działacza. W przeszłości pełnił funkcję wiceprezesa PZPN. Dziś jest głównym sternikiem federacji, a także Członkiem Komitetu Wykonawczego UEFA.

Za swoje wyczyny został wyróżniony tytułem Piłkarza 80-lecia PZPN, Piłkarza 50- oraz 60-lecia tygodnika „Piłka Nożna”. Jako jedyny piłkarz w historii, który grał w Ekstraklasie, trafił w 2004 roku na listę „FIFA 100” grupującą stu najlepszych żyjących piłkarzy świata według

słynnego Pele, przygotowaną specjalnie na jubileusz stulecia federacji międzynarodowej. Został też wyróżniony tytułem Golden Foot All Time w 2009 roku. Jego gra robiła wielkie wrażenie także poza granicami kraju. Honduraski piłkarz Oscar Boniek Garcia swoje drugie imię otrzymał właśnie na cześć polskiego gracza.

ANDRZEJ BUNCOL

(pomocnik)

Kluby w Ekstraklasie: Ruch Chorzów Legia Warszawa
Lata gry: 1979-1986
Mecze/gole: 188/46

To właśnie w jego przypadku powołanie na mundial w 1982 roku stało pod największym znakiem zapytania. Stan wojenny spędzał bowiem jako poborowy w koszarach i rysowały się przed nim czarne perspektywy. Na szczęście tym razem sport przezwyciężył politykę…

To zwycięstwo odbyło się z pożytkiem tak dla samego Buncola, który pojechał na turniej życia, jak i dla reprezentacji. W drużynie narodowej Antoniego Piechniczka ten zawodnik był absolutnie kluczowym elementem. Selekcjoner dał mu rozegrać wszystkie mecze od pierwszej do ostatniej minuty. Sam pięknym strzałem pod poprzeczkę pokonał golkipera Peruwiańczyków. Trener Antoni Piechniczek wyróżnił go też jako najlepszego

zawodnika meczu z Kamerunem, głównie dzięki olbrzymiej pracowitości. Przeciwko Włochom w półfinale stworzył zaś najgroźniejszą akcję biało-czerwonych. Nie darmo „Corriere della Serra” ostrzegała przed tym spotkaniem: – *Należy również strzec się maleńkiego Buncola, który startując niemal spod własnej bramki, rusza jak strzała w kierunku bramki przeciwnika i razem ze Smolarkiem tworzą groźne kombinacje*. Razem z zespołem narodowym zdobył podczas tej imprezy trzecie miejsce. – *Daliśmy z siebie wszystko. Ambicji nikt nam nie mógł odmówić. Zapracowaliśmy solidnie na ten sukces*. – mówił sam.

Właśnie on, a nie Zbigniew Boniek, uzyskał nagrodę Piłkarza Roku w tym mundialowym roku, według katowickiego „Sportu”. Ponadto znalazł się na 7. miejscu w Plebiscycie „Przeglądu Sportowego” na Sportowca 1982 roku. Kolejny sezon przyniósł mu zaś zwycięstwo w punktacji „Złotych Butów” na najlepszego piłkarza Ekstraklasy w 1983 roku. Miał też nagrodę dla Odkrycia Roku za 1982 rok według „Piłki Nożnej”, choć za nim były już wtedy dwa sezony występów w Ekstraklasie, spędzone w podstawowym składzie – najpierw Ruchu Chorzów, a potem Legii Warszawa. Od początku swej kadencji ufał mu Antoni Piechniczek.

Z Wojskowymi dwukrotnie wywalczył wicemistrzostwo Polski. To były jego jedyne medale w Ekstraklasie. Odznaczał się wielką pracowitością. Sam o sobie niedawno w wywiadzie powiedział: „cień Zbigniewa Bońka”. Potrafił znakomicie go uzupełniać. Dowodem tego była choćby

bramka na 2:0 w mundialowym starciu z Belgią, gdy Buncol zanotował świetną asystę, odgrywając piłkę głową. Nieco bardziej defensywnie nastawiony od partnera, nie tracił nic na walorach ofensywnych. Znakomicie operował piłką, dobrze odnajdywał się też w konstruowaniu akcji.

Po sześciu sezonach gry wyjechał do Bundesligi, co zrobiło mu czarną reklamę w oczach społeczeństwa. W Niemczech Buncol przyjął bowiem miejscowe obywatelstwo, przez co w Polsce obwołano go zdrajcą. Już nigdy więcej nie otrzymał powołania do reprezentacji, choć liczył zaledwie 26 lat. W reprezentacji rozegrał 51 meczów i strzelił 6 goli. Poza trafieniem na mundialu, zdobył bardzo ważną bramkę w wygranym 1:0 starciu z NRD w kwalifikacjach do MŚ 1982. Brał również udział w kolejnym mundialu.

W Bundeslidze natomiast osiągał kolejne sukcesy. Grał dla FC Homburg, Bayeru Leverkusen i Fortuny Düsseldorf. Jego największym osiągnięciem był Puchar UEFA zdobyty w zespole Aptekarzy. Buncol grał w obu spotkaniach zwycięskiego dwumeczu z Espanyolem Barcelona. Wyczynowo na najwyższym poziomie rozgrywkowym grał aż do 1997 roku. Karierę skończył w wieku 38 lat.

DARIUSZ DZIEKANOWSKI

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Gwardia Warszawa, Widzew Łodź, Legia Warszawa, Polonia Warszawa
Lata gry: 1981-1989, 1994 i 1996
Mecze/gole: 217/81

W Polsce obwołany „następcą Bońka”. Swemu wielkiemu poprzednikowi wprawdzie nigdy nie dorównał sukcesami drużynowymi, jednak pod względem barwności życia pozaboiskowego, niewielu rywali z murawy mogło się z nim równać. Dariusza Dziekanowskiego często nazywano pierwszym polskim „piłkarskim celebrytą”.

Po wyjeździe Zbigniewa Bońka kilku zawodników przymierzano do roli króla Ekstraklasy. Największą indywidualnością, zdecydowanie wybijającą się ponad resztę, był jednak w tym gronie właśnie „Dziekan”. Skuteczniejszy, może nawet lepiej technicznie usposobiony od „Zibiego”, lecz jednak nie tak silny mentalnie. Ale kiedy

miał swój dzień, oglądanie go na boisku przy piłce było prawdziwą przyjemnością.

Elegancki, dystyngowany, dobrze zbudowany, a przy tym obdarzony znakomitą techniką i naturalnym ciągiem na bramkę, łatwo przyciągał uwagę kibiców oraz ekspertów. W Ekstraklasie zadebiutował niedługo po siedemnastych urodzinach w barwach Gwardii Warszawa. W kilkanaście miesięcy zapracował na transfer do Widzewa Łódź. Z nóg zrzucała kwota. Ówcześni mistrzowie Polski wykupili go za dwadzieścia jeden milionów złotych. Było to absolutnym rekordem ligi w tym czasie. Dziekanowski dostał proste zadanie – wejście do gry za Bońka.

Aż tak dobrze jednak nie było. Wrodzona chimeryczność nie pozwalała mu utrzymać na dłużej takiej dyspozycji. Denerwował też swoimi niezliczonymi protestami wobec sędziów.

Bardzo długo czekał na pierwsze mistrzostwo Polski. Z Widzewem Łódź zdobył srebro i brąz. Z Legią Warszawa, gdzie trafił z łódzkiej drużyny, w pierwszej przygodzie zgarnął ten sam zestaw. Dopiero po pierwszej zagranicznej przygodzie udało mu się zawiesić na szyję złoto, choć… zrobił to z odległości, Wojskowych wspomagał bowiem tylko w rundzie jesiennej mistrzowskiej edycji rozgrywek. Do tego dochodzą jeszcze trzy Puchary Polski.

Niezwykle bogata jest także kolekcja indywidualnych osiągnięć tego zawodnika. W 1985 roku zdobył tytuł Piłkarza Roku 1985 według tygodnika „Piłka Nożna”. Był pierwszym triumfatorem tego plebiscytu, który

w zwycięskim roku reprezentował dwa różne kluby. Trzy lata później wygrał natomiast ranking „Złotych Butów”. W tym samym sezonie „Dziekan” został też królem strzelców rozgrywek. W 1985 roku był na 7. miejscu w Plebiscycie „Przeglądu Sportowego”.

Przy mundialu w 1982 roku selekcjoner Antoni Piechniczek nie zdecydował się jeszcze dać mu szansy, choć debiut „Dziekana” przypadł na spotkanie kwalifikacji do tych mistrzostw. Od razu w premierowym występie zawodnik ten wpisał się na listę strzelców. Później czynił to jeszcze 19 razy. W latach osiemdziesiątych nikt go nie przebił pod tym względem. Jedno z jego trafień dało między innymi zwycięstwo nad Włochami w towarzyskim spotkaniu (1:0). W kolejnych eliminacjach był już sztandarową postacią ekipy Antoniego Piechniczka. Zagrał w czterech z sześciu spotkaniach kwalifikacyjnych. Na mundialu zakończonym występem w 1/8 finału pojawiał się w podstawowym składzie we wszystkich spotkaniach Polaków. Trener krytykował go za brak agresji w grze, ale to właśnie on zanotował asystę przy jedynym trafieniu biało-czerwonych na tym turnieju. – *Po powrocie z MŚ na Dziekanowskiego czekał tłum rozgorączkowanych nastolatek. Gdy pojawił się w sali, histeria była nie mniejsza niż na koncertach bitowych z początku lat 60.* – komentował „Dziennik Łódzki”. Zdziwienia tym nie krył Włodzimierz Smolarek, który podobno zdecydowanie nie nadawał z „Dziekanem” na jednych falach. Może – jak wielu – denerwowała go butna natura napastnika. – *Nie*

obawiamy się zbytnio Brazylii. Na ten mecz wyjdziemy sprężeni – stwierdził on przed ostatnim spotkaniem na tych MŚ.

Karierę w kadrze zakończył tak, jak zaczął – od zdobytej bramki. Tym razem w starciu z Turcją Zagrał 63 razy w biało-czerwonych barwach. Zdobył brązowy medal ME U-18 w 1981 roku.

W Wielkiej Brytanii grał w Celtiku Glasgow i Bristol City. Miejscowi kibice znali go jako „Jackiego”. Później na krótko wrócił do Legii, a następnie pojawił się w Bundeslidze. Karierę zakończył zaś w Polonii Warszawa. Odniósł spore sukcesy i zyskał ogromną sławę, ale umiejętności predestynowały go do jeszcze większych osiągnięć. Na drodze stanął jednak jego charakter i upodobanie do barwnego życia pozaboiskowego.

Po zakończeniu kariery odnalazł się jako felietonista i komentator w prasie oraz telewizji. Pracował też jako trener. Był asystentem Leo Beenhakkera w pierwszej reprezentacji, i wedle słów Michała Listkiewicza, szykowano go do roli następcy Holendra na stanowisku selekcjonera. Samodzielnie prowadził reprezentację juniorską. Pełni funkcję radnego wojewódzkiego i zajmuje stanowisko Przewodniczącego Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Swój życiorys opisał w książce pt. „Dziekan”.

JAN FURTOK

(napastnik)

W Ekstraklasie: GKS Katowice
Lata gry: 1980, 1982-1988 i 1995-1997
Mecze/gole: 209/85

Przez pewien czas nazywano go… „polskim Maradoną”, choć było to wypowiadane raczej z lekkim przekąsem. W okresie ogromnego marazmu, reprezentacja Polski nie mogła sobie poradzić nawet z San Marino. Furtok w starciu eliminacji MŚ 1994 z tym rywalem pokonał więc bramkarza przeciwników… strzałem ręką. Była to jedyna bramka spotkania…

Było to nawet zgodne z filozofią piłkarską tego napastnika. Według niego dla osiągnięcia celu należało wykazać się cwaniactwem. – *Czy strzeliłem ręką? Specjalnie tego nie zrobiłem. To był takich odruch, bo byłem wkurzony tym, że ciągle jest 0:0, presja rośnie, a my ciągle nie strzelamy bramki. Tak wyszło* – powiedział po

starciu z Sanmaryńczykami. Zapamiętywanie go jednak tylko z tego epizodu odbywa się z wielką szkodą dla tego czołowego napastnika Polski przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. To on stał na czele GKS Katowice, który w tym czasie na stałe wdarł się do ligowej czołówki.

W barwach tej drużyny dwukrotnie zdobył wicemistrzostwo Polski, raz zaś brązowy medal. Zwyciężył też w rozgrywkach o Puchar Polski. Finał przeciwko Górnikowi Zabrze zgromadził drugą największą publikę w historii tych zmagań. Na oczach pięćdziesięciopięciotysięcznej publiczności Furtok strzelił hat-tricka, przesądzając o losach trofeum.

Tym spotkaniem prawdopodobnie zapewnił sobie wyjazd na mundial w 1986 roku. Odbywało się ono krótko przed powołaniami Antoniego Piechniczka. Wcześniej trener korzystał z tego zawodnika tylko sporadycznie. Furtok na turnieju wszedł jedynie na ostatnie pół godziny 1/8 finału przeciwko Brazylii jako zmiennik Kazimierza Przybysia. Ogółem zaś rozegrał w drużynie narodowej 36 meczów, w których strzelił 10 goli. Ostatnim z nich był właśnie ten przeciwko San Marino…

W lidze Furtok niezmiennie imponował skutecznością. W sezonach 1985/86, 1986/87 i 1987/88 strzelał kolejno: siedemnaście, szesnaście i osiemnaście goli. Mimo to nie udało mu się zdobyć korony króla strzelców. Ubiegali go bowiem Andrzej Zgutczyński, Marek Leśniak i Dariusz Dziekanowski. Ogółem w Ekstraklasie strzelił 85 goli. Jego średnia wyniosła 0,41 bramki na mecz. Indywidualnie

został nagrodzony tytułem Odkrycia Roku „Piłki Nożnej” w 1984 roku.

Po grze w GKS Katowice wyjechał do Bundesligi, gdzie został jedną z największych gwiazd HSV Hamburg. W jednym z sezonów strzelił nawet dwadzieścia goli, co dało mu – niemal tradycyjnie – tytuł wicekróla strzelców. Później grał dla Eintrachtu Frankfurt. Łącznie w Niemczech zdobył sześćdziesiąt bramek. Do czasów Roberta Lewandowskiego był najskuteczniejszym Polakiem w tej lidze.

Po wojażach w Niemczech grał jeszcze przez dwa i pół sezonu dla GKS Katowice. Klub ze stolicy Górnego Śląska zastrzegł numer „9”, z którym zawodnik ten występował. Później krótko pracował jako trener przy Bukowej. Był dyrektorem sportowym oraz prezesem, a także dyrektorem sportowym kadry narodowej.

źródło: archiwum Górnika Zabrze

ANDRZEJ IWAN

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Wisła Kraków, Górnik Zabrze
Lata gry: 1976-1987, 1989 i 1992
Mecze/gole: 269/90
11.1959

Andrzej Iwan przeżył trzy szczyty popularności w swej karierze. Pierwszy – w 1978 roku, gdy jako niespełna dziewiętnastolatek był najmłodszym uczestnikiem mundialu, drugi – cztery lata później, gdy zdobył z reprezentacją medal na MŚ, trzeci… kilka lat temu, gdy wydał głośną autobiografię z wieloma komicznymi, ale też tragicznymi wydarzeniami ze swojego życia.

Na mundial do Argentyny powołany został już jako świeżo upieczony mistrz Polski. Iwan, szybki, dynamiczny i bardzo dobry technicznie napastnik, pomimo młodego wieku był jedną z najważniejszych postaci Wisły Kraków.

Zagrał w 28 spotkaniach tej edycji i strzelił w nich 6 goli. Nie był to jednak jego debiutancki sezon. W Ekstraklasie pojawił się już bowiem przed siedemnastymi urodzinami. Premierowy gol przyszedł w wieku 17 lat i 109 dni. „Cudowne dziecko" polskiego futbolu znalazło się w składzie drużyny U-18, która zdobyła brązowe medale Mistrzostw Europy w tej kategorii wiekowej w 1978 roku. Kilka miesięcy później Jacek Gmoch zdecydował się powierzyć mu nominację na mundial.

W Argentynie zadebiutował w reprezentacji w starciu grupowym przeciwko Tunezji, gdzie zmienił Andrzeja Szarmacha. Kilka dni później selekcjoner wstawił go do podstawowego składu. Na kwadrans przed końcem, przy wyniku 2:1, wszedł za niego sam Włodzimierz Lubański. Do dziś jest najmłodszym w historii reprezentantem Polski z występem na MŚ. Nie miał wtedy nawet dziewiętnastu wiosen.

Cztery lata później był już podstawowym wyborem Antoniego Piechniczka. Niestety jego udział, z powodu poważnej kontuzji, ograniczył się do udziału w dwóch pierwszych spotkaniach. Z Hiszpanii wyjechał jednak ze srebrnym medalem za trzecie miejsce. – *Mam medal jak wszyscy i chyba też w jakimś stopniu przyczyniłem się do jego zdobycia* – skomentował w „Dzienniku Polskim" ten wynik. Poza tym sukcesem w reprezentacji odznaczył się też świetnym występem przeciwko Hiszpanii, zakończonym wynikiem 2:1, gdy strzelił dwa gole, czy hat-trickiem

w starciu z Kolumbią. Ostatecznie w reprezentacji zagrał 29 razy i zdobył w nich 11 bramek.

Z Wisłą Kraków, poza mistrzostwem, zdobył jeszcze wicemistrzostwo i brązowy medal. Później przeszedł do Górnika Zabrze, gdzie trzy razy z rzędu wywalczył pierwsze miejsce w tabeli ligowej. Do tego dochodzą trzy finały Pucharu Polski. Indywidualnie został wyróżniony zwycięstwem w plebiscytach na Piłkarza Roku 1987, zarówno według „Piłki Nożnej", jak i katowickiego „Sportu".

W szeregi zabrzan wracał jeszcze dwa razy. Okresy te były poprzedzone grą w Niemczech (dla VfL Bochum) i Grecji (Aris Saloniki). Później występował w niższych ligach szwajcarskich oraz polskich. Po drugim powrocie zagrał tylko raz w Ekstraklasie. Karierę zakończył w wieku trzydziestu ośmiu lat. Dzięki temu został ostatnim medalistą MŚ, który zagrał w polskiej lidze. Po zakończeniu wyczynowej gry w piłkę pracował jako II trener w Wiśle Kraków. Pomagał Adamowi Nawałce w KGHM Zagłębiu Lubin. Samodzielnie prowadził Okocimskiego Brzesko, Płomień Jerzmanowice oraz Orlęta Rudawa. Był selekcjonerem reprezentacji Małopolski podczas UEFA Regions Cup, zakończonego tytułem finalisty rozgrywek.

Andrzej Iwan udziela się jako komentator. Obecnie pracuje dla Polsatu Sport. W 2012 roku napisał biografię pt. „Spalony", gdzie ujawnił swoje problemy z alkoholem oraz hazardem i podjęte próby samobójcze.

W Ekstraklasie grał jego syn Bartosz (w Wiśle Kraków, Widzewie Łódź, Piaście Gliwice, Górniku Zabrze i Odrze Wodzisław Śląski).

PAWEŁ JANAS

(obrońca)

Kluby Ekstraklasie: Widzew Łódź, Legia Warszawa
Lata gry: 1975-1982 i 1986-1988
Mecze/gole: 227/2

Jeden z najlepszych obrońców przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w Polsce. Twardy, dobrze zbudowany i ofiarny stanowił naturalnego następcę Jerzego Gorgonia w kadrze, gdzie znakomicie uzupełniał się z Władysławem Żmudą. Na boiskach Ekstraklasy należał zaś do rywali najtrudniejszych do przejścia.

Został wypatrzony przez Widzew Łódź we Włókniarzu Pabianice. Z łódzkim klubem związał się w okresie jego pierwszych sukcesów. Brał udział w powrocie tej drużyny na najwyższy poziom rozgrywkowy po blisko trzech dekadach pobytu na niższych szczeblach. Razem z nią wywalczył wicemistrzostwo Polski, co stanowiło pierwszy medal Widzewa w bojach w Ekstraklasie. Później obrońca

nazywany „Janosikiem” odszedł do Legii Warszawa. Z Wojskowymi dwukrotnie zdobył Puchar Polski. Grał w obu zwycięskich finałach tych rozgrywek, a stołeczny zespół nie stracił w nich żadnego gola. Raz wywalczył brązowy medal. Pod wodzą Kazimierza Górskiego zespół nie przegrał wtedy żadnego spotkania w rundzie wiosennej, ale wcześniejsze straty okazały się nie do nadrobienia. Z Legią uczestniczył w ćwierćfinale Pucharu Zdobywców Pucharów w edycji 1981/82.

Największy sukces Janas odniósł jednak dzięki grze w reprezentacji. Sprawdzał go jeszcze Kazimierz Górski, tuż przed Igrzyskami Olimpijskimi w Montrealu, próbował też Jacek Gmoch, ale ostatecznie na wielki turniej pojechał już dzięki Antoniemu Piechniczkowi. Selekcjoner dał mu wystąpić w trzech z czterech spotkaniach zwycięskich eliminacji, a później w każdym starciu mundialu. W pięciu pierwszych spotkaniach obrona z nim w składzie straciła łącznie jednego gola. Świetnie zagrał między innymi przeciwko Kamerunowi. – *Milla dał mi się nieźle we znaki. To wielki spryciarz, szybki, zwrotny. Pilnowałem go jak umiałem, i sądzę, że z niezłym skutkiem. Pod koniec meczu byłem już mocno spocony tą harówką i nieustanną koncentracją* – komentował sam „Janosik”.

Rozluźnienie przyszło w starciach z Włochami oraz Francją – o trzecie miejsce. Na szczęście lepiej dysponowani byli koledzy z ofensywy, i Polacy ostatecznie wywalczyli srebro. – *To wielki sukces. Nie muszę dodawać, że największy w mojej karierze* – opisywał ten wynik. Poza

Rogerem Millą był on w czasie tych zmagań osobistym opiekunem Olega Błochina, Guilermo La Rosy czy Erwina Vanderbergha. Wyznaczono go też na „plastra" Paolo Rossiego. W starciu grupowym z Włochami spisał się dobrze. – *Rossi gra usypiająco* – komentował styl rywala. W półfinale z tym samym przeciwnikiem jednak poległ. Jego konkurent strzelił dwa gole, które dały Italii awans do finału. Pierwszy z nich padł po tym jak „Janosik" zaangażował się w ustawianie muru i nie zauważył, że gra jest kontynuowana.

Wcześniej miał szansę wyjechać na IO 1976 już po debiutanckim sezonie w Ekstraklasie. Selekcjoner Kazimierz Górski powołał go na zgrupowanie przedolimpijskie w Zakopanem, ale ostatecznie przegrał rywalizację z reprezentacyjnymi rutyniarzami.

Po mundialu Janas wyjechał do Francji, gdzie grał dla AJ Auxerre. W zespole tym zdobył między innymi brązowy medal Ligue 1. Ponadto został uznany za najlepszego obcokrajowca ligi francuskiej w 1986 roku. Na zakończenie kariery wrócił na dwa sezony do Legii.

W reprezentacji rozegrał w sumie 53 mecze i zdobył 1 bramkę (przeciwko Libii). Poza medalowym mundialem w 1982 roku był też bliski powołania do kadry cztery lata później. Znalazł się w szerokiej kadrze, ale ostatecznie selekcjoner przy zawężaniu kadry zrezygnował z doświadczonego stopera. Od 2014 roku jest członkiem Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Po zakończeniu kariery stał się jednym z najbardziej utytułowanych polskich trenerów przełomu XX i XXI wieku. Razem z Legią dwukrotnie zdobył mistrzostwo Polski i wystąpił w ćwierćfinale Ligi Mistrzów. Z reprezentacją Polski awansował zaś na MŚ 2006, dzięki czemu wraz z Henrykiem Kasperczakiem i – od czerwca – Adamem Nawałką tworzy tercet Polaków, którzy udział w tej imprezie mają zarówno w roli piłkarza, jak i szkoleniowca. Wcześniej był asystentem Janusza Wójcika w reprezentacji olimpijskiej, która zdobyła srebrny medal. Cztery razy zdobył tytuł Trenera Roku w Polsce.

JANUSZ KUPCEWICZ

(pomocnik)

Kluby w Ekstraklasie: Arka Gdynia, Lech Poznań, Lechia Gdańsk
Lata gry: 1974-1975, 1976-1983 i 1986-1988
Mecze/gole: 224/43

Dynamiczny pomocnik klubu spoza ścisłej czołówki Ekstraklasy okazał się jednym z bohaterów reprezentacji Polski na MŚ 1982. I to pomimo początkowego braku zaufania u selekcjonera.

W eliminacjach zagrał tylko w zwycięskim starciu z NRD. Na samym mundialu dwa pierwsze spotkania oglądał z ławki rezerwowych. Dopiero kontuzja Andrzeja Iwana i przesunięcie Zbigniewa Bońka – z którym nie pałali do siebie sympatią – do ataku, stworzyło miejsce na boisku dla Kupcewicza. „Zibi” ponoć po dwóch słabszych meczach nie miał tak silnej pozycji u selekcjonera i nie zdołał zablokować kandydatury rywala do wyjściowego składu. –

Przy słabszej postawie Bońka, tylko Kupcewicz *może zostać liderem* – pisał „Dziennik Łódzki”. Selekcjoner nie był tak zdecydowany i podobno zastanawiał się nad Włodzimierzem Ciołkiem w tej roli. Ostatecznie jednak zwyciężył pomysł z zawodnikiem Arki Gdynia.

Ten wykorzystał nominację stuprocentowo. W pięciu kolejnych spotkaniach Piechniczek desygnował go już zawsze do pierwszej „jedenastki”. Przed półfinałami otwarcie mówił, że chciałby zdobyć bramkę. I był bardzo blisko tego celu. Piłka po jego strzale zatrzymała się jednak na słupku. Ten element gry wykonał za to już bezbłędnie w kolejnym spotkaniu – o trzecie miejsce. To właśnie Janusz Kupcewicz zdobył w nim bramkę decydującą o zwycięstwie 3:2. Był trzecim po Grzegorzu Lacie i Stefanie Majewskim piłkarzem Ekstraklasy z trafieniem w medalowym spotkaniu na MŚ.

Pomocnik, zaraz po rozpoczęciu gry w II połowie, otrzymał szansę na dośrodkowanie z rzutu wolnego podyktowanego za faul na Zbigniewie Bońku. Z ostrego kąta po lewej stronie pola karnego powinien raczej dogrywać piłkę. Wybrał jednak, dość niespodziewanie, zupełnie inny wariant. Piłka po jego strzale ominęła mur i zatoczyła łuk, wpadając obok zaskoczonego Jeana Castanedy.

W reprezentacji zadebiutował już za czasów Kazimierza Górskiego. Był nawet poważnym kandydatem do wyjazdu na IO 1976. – *Może obecność jego i Zbyszka Bońka przeważyłaby szalę na naszą korzyść* – snuł myśli już po

przegranym finale tego turnieju słynny selekcjoner. Jego następca Jacek Gmoch zdecydował się już desygnować go do składu na mundial w 1978 roku. Kupcewicz strzelił nawet gola w meczu towarzyskim przed MŚ, z Newell's Old Boy, ale ostatecznie pełnił na tej imprezie tylko rolę rezerwowego. Szykowano go wówczas na przyszłego następcę Kazimierza Deyny. Może nie był aż tak wybitnym strategiem jak „Kaka", ale zdolnościami przywódczymi wyraźnie go przebijał, a ambicją i zawziętością nie ustępował Bońkowi.

W swoim klubie, Arce Gdynia, pełnił rolę bezwzględnego lidera już dłuższy czas. To jemu podporządkowywał się zespół. Wynikało to zarówno z dużych umiejętności, jak i charakteru. Może zresztą z tego powodu przez długi czas trudno było mu dogadać się ze Zbigniewem Bońkiem. Wielu krytykowało zresztą taki wybór klubu przez jednego z najbardziej utalentowanych polskich juniorów. On jednak pozostał mu wierny, mimo spadku w pierwszym sezonie. Przynależność do zespołu z Gdyni sprawiła jednak, że długo omijały go sukcesy zespołowe. Arkowców stać było maksymalnie na wywalczenie siódmego miejsca w Ekstraklasie, co i tak jest ich rekordowym wyczynem.

Najpiękniejsze chwile z tym klubem przeżył w Pucharze Polski. Arka dostała się do finału rozgrywek w 1979 roku. Zdawało się, iż będzie musiała uznać wyższość faworyzowanej Wisły Kraków. Biała Gwiazda prowadziła od osiemnastej minuty po golu Kazimierza Kmiecika i gniotła

gdynian. Na początku II połowy Kupcewicz jednak, tak jak w Hiszpanii, sięgnął po swoją groźną broń – strzał z rzutu wolnego – i pokonał Stanisława Goneta. Gol ten obudził zespół prowadzony przez Czesława Boguszewicza, przez co tym razem Wisła zeszła do defensywy. Wykorzystał to Tadeusza Krystyniak i strzałem z rzutu karnego przypieczętował zwycięstwo, co oznaczało największy sukces w dotychczasowej historii Arki. Sam Kupcewicz do dziś jest rekordzistą tego klubu w liczbie spotkań na najwyższym poziomie rozgrywkowym (161).

Na pierwszy medalowy sukces w Ekstraklasie musiał jednak poczekać do sezonu rozgrywanego bezpośrednio po mundialu. Kupcewicz sięgnął wtedy wraz z Lechem Poznań po mistrzostwo Polski. Sam pokonał dziewięć razy bramkarzy przeciwników. Potem wyjechał do Francji i Grecji. Wrócił jeszcze do Polski. W Ekstraklasie zagrał dla derbowego rywala Arki – Lechii Gdańsk. Karierę zakończył w tureckim Adansporze Kulubu.

W reprezentacji Polski zagrał 20 razy i strzelił 5 goli. Po zakończeniu kariery prowadził jako selekcjoner polską reprezentację w futsalu. Pracował w tej roli w Lechii Gdańsk, Raduni Stężyca czy Cartusii Kościerzyna. Aktywnie działał w Arce Gdynia. Obecnie jest nauczycielem wychowania fizycznego w szkole podstawowej. Kilkukrotnie kandydował do Sejmu. Obecnie pełni rolę radnego sejmiku wojewódzkiego.

MAREK LEŚNIAK

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Pogoń Szczecin
Lata gry: 1982-1988
Mecze/gole: 150/65

Pogoń Szczecin w sezonie 1986/87 była prawdziwą rewelacją rozgrywek. Nie byłoby to możliwe bez bramkostrzelnego napastnika – Marka Leśniaka.

W Ekstraklasie legitymował się średnią 0,43 gola na spotkanie ligowe. Gdyby został w Polsce, to barierę stu bramek w tym tempie osiągnąłby po 232 meczach ligowych. To wynik lepszy między innymi od Grzegorza Laty, Joachima Marxa, Marka Koniarka, Mariusza Śrutwy, Eugeniusza Fabera, Eugeniusza Lercha, Piotra Reissa czy Pawła Brożka. W sezonie, w którym założył na skronie koronę króla strzelców, aż 24 razy pokonał bramkarzy przeciwników. Było to wyrównanie najlepszego wyniku od 1939 roku i osiągnięcia Ernesta Wilimowskiego. Przebił go

dopiero sześć lat później Jerzy Podbrożny. Dzięki niemu w swym wicemistrzowskim sezonie Pogoń dysponowała najlepszą ofensywą w całej stawce, mimo tego Leśniak zapamiętany został przez kibiców przede wszystkim z legendarnego… pudła. Znanego głównie dzięki słynnemu okrzykowi Dariusza Szpakowskiego. Napastnik po fatalnym wybiciu piłki przez bramkarza przeciwników znalazł się w sytuacji sam na sam. Kilka metrów od bramki nie zdołał jednak pokonać feralnego golkipera. Słynny komentator krzyknął do mikrofonu: „Leśniak, szansa! Aj! Jezus Maria!”. Później to zawołanie pojawiało się w dżinglu wiadomości sportowych na TVP. W tym samym spotkaniu wąsaty napastnik wypracował sobie też znakomitą sytuację po indywidualnym rajdzie spoza połowy boiska. Ostatecznie jednak, stojąc „sam na sam”, posłał piłkę obok słupka. Po obu pudłach ukrył swą twarz w dłoniach…

W Pogoni Szczecin oprócz srebra, zdobył brązowy medal w edycji 1983/84. W czterech pełnych odsłonach rozgrywek najwyższego szczebla, które były na jego koncie, ani razu nie zszedł poniżej wyniku ośmiu goli. Często wyróżniany był indywidualnie. Na jego koncie znalazło się zwycięstwo w punktacji „Złote Buty” na najlepszego piłkarza Ekstraklasy w 1987 roku oraz tytuł Odkrycia Roku „Piłki Nożnej” w 1984 roku. Zdobył potem nagrodę Piłkarza Roku tego tygodnika, ale było to już w czasach gry w Bundeslidze.

Z Portowców odszedł on bowiem do zdobywcy Pucharu UEFA – Bayeru Leverkusen. Występował też w SG

Wattenscheid, TSV 1860 Monachium, KFC Uerdingen, Fortunie Dusseldorf, szwajcarskim Neuchatel Xamax oraz amatorsko w zespołach z niższych klas rozgrywkowych w Niemczech. Pozostał nad Renem, gdzie pracuje jako trener.

W reprezentacji Polski w 20 spotkaniach strzelił 10 goli. Nie dane było mu jednak uczestniczyć z nią w żadnym wielkim turnieju. Z drużyną U-20 występował na młodzieżowych MŚ.

STEFAN MAJEWSKI

(obrońca)

Kluby w Ekstraklasie: Zawisza Bydgoszcz, Legia Warszawa
Lata gry: 1977-1978 i 1979-1984
Mecze/gole: 188/20

Od naukowego podejścia do futbolu, jako trener nazywany „Doktorem”, jako piłkarz także imponował analitycznym umysłem, spokojem oraz pracowitością. Stąd jego miejsce wśród najlepszych obrońców początku lat osiemdziesiątych nie podlegało żadnej dyskusji.

Często żartowano z niego, nazywając „defensywnym Bońkiem”. Istotnie – obaj urodzili się w tym samym roku (1956) i w tym samym mieście (Bydgoszczy). Po raz pierwszy wystąpili razem w drużynie na seniorskim poziomie dopiero w reprezentacji. Majewski przyszedł do Zawiszy, gdy „Zibi” grał już w Widzewie Łódź. Z brodatym obrońcą wojskowy klub ze stolicy Kujaw wywalczył awans do Ekstraklasy. Na najwyższym poziomie rozgrywkowym

wystąpił w nim jednak tylko przez jeden pełny sezon. Przejęty został bowiem przez bogatszą drużynę z tego samego pionu wojskowego – Legię. I w jej składzie toczył przeciwko krajanowi zawzięte boje.

Podobno pokpiwano nieco z jego stylu biegu (Andrzej Iwan opisuje w „Spalonym", że Marek Kusto nazwał go z tego względu „zranionym gnu"). Skuteczności w rywalizacji z napastnikami rywali ciężko było mu jednak odmówić. Grał bardzo twardo i zdecydowanie. Przed półfinałowym meczem na MŚ w 1982 roku włoska gazeta „Corriere dello Sport" ostrzegała przed nim swoich napastników, wyróżniając go za twardość w pojedynkach o piłkę.

Z nim w składzie Wojskowi wywalczyli dwa razy Puchar Polski. Majewski grał w obu zwycięskich starciach, choć w drugim z nich na pozycji defensywnego pomocnika, gdzie bywał czasem przesuwany. Awansował z Legią do ćwierćfinału Pucharu Zdobywców Pucharów. Był wicemistrzem Polski, choć po rundzie jesiennej zamienił Ekstraklasę na Bundesligę.

Cechował się dość wysoką skutecznością jak na przedstawiciela swojej pozycji. Strzelił 20 goli w 188 spotkaniach na najwyższym poziomie rozgrywkowym. Udowodnił to także w reprezentacji. Już w swoim debiucie wpisał się na listę strzelców. Potem wprawdzie trafił tylko trzykrotnie, lecz dwa z tych goli pochodziły ze spotkań o wysoką stawkę. Pierwsze z eliminacji MŚ przeciwko Malcie. Drugie zaś, arcyważne, przeciwko Francji w meczu

o trzecie miejsce mundialu. Po dośrodkowaniu z rzutu rożnego, brodaty obrońca wyskoczył najwyżej i precyzyjnym strzałem głową pokonał Jeana Castanedę. Bramka ta wyprowadziła Polaków na prowadzenie 2:1. Ostatecznie spotkanie zakończyło się wygraną biało-czerwonych 3:2, co pozwoliło Polsce po raz drugi skończyć MŚ na medalowej pozycji. Majewski brał udział we wszystkich meczach tego turnieju od pierwszej do ostatniej minuty. Przed półfinałem z Włochami mówił bojowo: – *Ale się narobiło. Taka szansa trafia się raz w życiu. Zdajemy sobie sprawę z tego i będziemy walczyć do utraty tchu*. Ostatecznie Polacy przegrali to starcie 0:2. Z trzeciego miejsca jednak też się cieszył: – *Kosztowało nas to wiele sił, ale opłaciło się. Cieszę się ponadto, że w pożegnalnym meczu w tych MŚ strzeliłem gola*.

Pojechał też na kolejny mundial, ale stamtąd wspomnienia przywiózł już gorsze. Nie było sukcesu sportowego. Skończyło się tylko na 1/8 finału. On sam w spotkaniu tej fazy został opluty przez jednego rywala z Brazylii, któremu nie spodobała się zbyt ostra gra Polaka. Ogółem w kadrze zagrał 40 razy i strzelił 4 gole. Od 2014 roku jest członkiem Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Po wyjeździe z Polski przez długie lata grał w Bundeslidze na pierwszym i drugim poziomie rozgrywkowym, broniąc barw 1. FC Kaiserslautern, Arminii Bielefeld oraz Frieburga. Na Cyprze występował natomiast dla Appollonu Limassol.

Duże sukcesy odniósł także jako trener. Z Amiką Wronki dwukrotnie zdobył Puchar Polski. Ponadto prowadził Polonię Warszawa, rezerwy 1. FC Kaiserslautern, KGHM Zagłębie Lubin, Świt Nowy Dwór Mazowiecki, Widzew Łódź czy Cracovię. Był tymczasowym selekcjonerem reprezentacji Polski (w dwóch spotkaniach); pracował też w niej jako asystent Zbigniewa Bońka. Przez dwa lata stał na czele kadry młodzieżowej. Do niedawana był Dyrektorem Szkoły Trenerów PZPN.

JÓZEF MŁYNARCZYK

(bramkarz)

W Ekstraklasie: Odra Opole, Widzew Łódź
Lata gry: 1977-1984
Mecze/gole: 164/1

Przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych był okresem gorącej rywalizacji dwóch bramkarzy światowego formatu o miejsce w polskiej kadrze. Do tego pojedynku stanęli rutyniarz, bohater z Wembley, medalista MŚ – Jan Tomaszewski oraz nowa gwiazda tej pozycji, obdarzony znakomitym refleksem i dużą odpornością psychiczną – Józef Młynarczyk.

Z szesnastu obecnych województw Polski, tylko lubuskie nie miało nigdy przedstawiciela klubowego na najwyższym poziomie rozgrywkowym. Tutaj jednak narodził się i dorastał Młynarczyk – jeden z najlepszych polskich golkiperów w historii, a pod względem zdobytych nagród, absolutnie bezkonkurencyjny. Przez Astrę i Dozamet

z rodzinnej Nowej Soli dostał się do Stali Bielsko-Biała, gdzie zetknął się z Antonim Piechniczkiem, i to spotkanie dało kopa jego karierze.

Młody, obiecujący szkoleniowiec z dość imponującą karierą piłkarską, przeniósł się do Odry Opole. Już w debiutanckim sezonie na tym poziomie rozgrywkowym zdecydował się ściągnąć swojego dawnego zawodnika z Bielska-Białej, bramkarza Józefa Młynarczyka. W pierwszych trzech spotkaniach, gdy „Młynarz” siedział jeszcze na ławce, bilans był katastrofalny: jeden remis, dwie porażki i dziewięć straconych goli. Wejście dość anonimowego golkipera odmieniło opolan. W debiucie – przeciwko Zagłębiu Sosnowiec – zachował czyste konto. Cały sezon zakończył zaś z wybornym rezultatem: 22 straconych goli w 27 spotkaniach.

W drużynie z Opola grał przez trzy sezony. Największe sukcesy na krajowym podwórku odniósł jednak w barwach Widzewa Łódź. To on był jego podporą przy najsłynniejszych triumfach. Dwukrotnie sięgnął z tym zespołem po mistrzostwo Polski. Do tego doszły dwa tytuły wicemistrzowskie. Jako jeden z dziesięciu bramkarzy strzelił w Ekstraklasie gola (z rzutu karnego).

Sam „Młynarz” w 1983 roku zdobył tytuł Piłkarza Roku zarówno w plebiscycie „Sportu”, jak i „Piłki Nożnej”. W obu przypadkach był pierwszym golkiperem z takimi sukcesami na koncie. Jako drugi polski bramkarz po Janie Tomaszewskim zdobył punkty w plebiscycie „Złotej Piłki” (21. miejsce w 1987 roku). Trzy razy – na 6., 7. i 10.

miejscu – plasował się w gronie laureatów Plebiscytu „Przeglądu Sportowego”.

W swym drugim meczu ligowym stanął naprzeciwko Jana Tomaszewskiego i wkrótce stał się jego następcą w kadrze. Nie dostrzegał go jeszcze Jacek Gmoch. Szansę debiutu otrzymał od Ryszarda Kuleszy. Na stałe postawił na niego dopiero jednak Antoni Piechniczek. Z tego względu, po zwycięskim spotkaniu 3:2 z NRD, karierę reprezentacyjną zakończył „Tomek”. Nie uśmiechała mu się bowiem rola rezerwowego. Młynarczyk w roli następcy dawnego mistrza nie zawiódł. Razem z drużyną narodową sięgnął po srebro za 3. miejsce na MŚ 1982. Choć tak wiele różniło go z Tomaszewskim, to łączył brak zaufania wyrażany przez kibiców przed ich wyjazdem na medalowe MŚ. I tak jak „Tomek” w 1974 roku, tak i „Młynarz” osiem lat później pokazał się z wybornej strony. „Corriere dello Sport” wprost pisało o nim jako o jednym z najlepszych golkiperów tego mundialu. – *Ja sam chyba nie zawiodłem, chociaż przed MŚ nie wszyscy ufali w moje umoiejętności. Cieszę się, że ich miło zaskoczyłem* – odpowiedział nieco przekornie.

Grał też z nią na mundialu cztery lata później, gdzie doszedł do 1/8 finału. Tu jednak nie powtórzył takiej postawy jak w Hiszpanii. Jego konto na pewno obciążała część bramek stracona z Anglią i Brazylią. W kadrze zagrał w sumie 42 razy, dziewięciokrotnie w roli kapitana. Przed MŚ 1982 długo trenował z Piotrem Czają, wyrównując wieloletnie braki techniczne, które mu stale wypominano.

Innym orężem przeciwników była jego postawa pozaboiskowa. Młynarczyk może się nie obnosił, ale też nie ukrywał, że nie stroni od dłuższych posiadówek, często przy kieliszku.

Jeszcze z Widzewem Łódź awansował do półfinału Pucharu Europejskich Mistrzów Klubowych. Później zdobył nawet ten laur, ale już w barwach FC Porto. Młynarczyk był uznawany zresztą za jednego z bohaterów finałowej potyczki z Bayernem Monachium. Razem ze Smokami triumfował w Pucharze Interkontynentalnym, Superpucharze Europy, dwukrotnie został mistrzem Portugalii, raz zwyciężył w Pucharze Portugalii. Między Widzewem a Porto występował jeszcze w S.C. Bastii we Francji.

Bez przerwy porównywany z Kostką, Szymkowiakiem czy Tomaszewskim. Zbigniew Boniek optował wyraźnie za Młynarczykiem. – *Moim zdaniem „Młynarz" przewyższa umiejętnościami tamtych bramkarzy. Jego prawdziwą wartość docenimy dopiero wtedy, gdy zabraknie go w polskiej bramce* – pisał w książce „Moi rywale".

Do dziś uznawany jest za jednego z najlepszych bramkarzy w historii Polski. Jako szkoleniowiec golkiperów prowadził swych następców w reprezentacji Polski (m.in. awans na MŚ 2002), reprezentacji Zjednoczonych Emiratów Arabskich, reprezentacjach młodzieżowych Polski, FC Porto, Wiśle Płock, Amice Wronki, Widzewie Łódź oraz Lechu Poznań.

MIROSŁAW OKOŃSKI

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Lech Poznań, Legia Warszawa, Olimpia Poznań
Lata gry: 1977-1986 i 1992-1993
Mecze/gole: 261/82

Jeden z największych enfant terrible w historii polskiej piłki. Mawiano w Poznaniu, że kiedy „bawi się Okoń, to bawi się całe miasto”. Tak jak czarował w kontaktach osobistych, tak i na boisku.

– *Na obszarze nie większym od podstawki do piwa, potrafi kiwnąć kilku przeciwników naraz* – pisali o nim dziennikarze w czasach gry w Niemczech. Te umiejętności pokazywał już w Polsce, gdzie był filarem Lecha Poznań. Trzy razy z Kolejorzem sięgnął po mistrzostwo Polski. Kiedy w ramach odbywania służby wojskowej musiał przejść do Legii, „transfer” ten został okupiony licznymi protestami. Zwłaszcza gdy w finale Pucharu Polski Wojskowi zwyciężyli

5:0, a sam „Okoń” strzelił jednego gola. Trofeum to wywalczył jeszcze potem trzy razy, w tym dwukrotnie już w barwach Kolejorza, gdzie wrócił po służbie wojskowej.

W 1983 roku sięgnął po podwójną koronę. Wraz z Lechem wywalczył mistrzostwo. Samodzielnie natomiast dołączył do tego tytuł króla strzelców, zdobyty ex aequo ze swym imiennikiem – Tłokińskim. W czterech sezonach z rzędu osiągał dwucyfrową liczbę bramek.

Mniej spełniony w reprezentacji. Selekcjoner Antoni Piechniczek nie lubił go z powodu zbyt dużego indywidualizmu. Okoński lubił brylować na murawie, grał nieraz zbyt samolubnie i pod „publiczkę”. W Poznaniu wybaczano mu straty w imię tej widowiskowej gry, która przyniosła wiele sukcesów. W kadrze szkoleniowiec nie był jednak aż tak wyrozumiały. Z tego względu Okońskiego ominęły zarówno MŚ w 1982, jak i 1986 roku. Ostatecznie zagrał w biało-czerwonych barwach 29 razy i strzelił 2 gole.

Po grze w Lechu Poznań „Okoń” czarował murawy Bundesligi. Z Hamburgerem SV sięgnął po Puchar Niemiec. Zajął drugie miejsce w plebiscycie na najlepszego piłkarza rozgrywek za Uwe Rahnem. Został także wicemistrzem kraju. Potem wyjechał do AEK Ateny. Blisko czteroletni pobyt w tym kraju przyniósł mu mistrzostwo Grecji. Występował tam także dla APS Korinthos. Na krótko wrócił do Poznania, gdzie grał w Lechu i Olimpii, później dla zespołów z niższych klas rozgrywkowych w Polsce i w Niemczech. Karierę zakończył w swej macierzystej Gwardii Koszalin.

W plebiscycie 80-lecia Lecha Poznań przeprowadzonym przez „Gazetę Wyborczą” wybrany został najlepszym piłkarzem Kolejorza.

WŁODZIMIERZ SMOLAREK

(pomocnik/napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Legia Warszawa, Widzew Łódź
Lata gry: 1978-1986
Mecze/gole: 199/65

Nie ma już z nami tego znakomitego, sprytnego zawodnika. Pozostała jednak pamięć o jego genialnych zagraniach. Lecz największą sławę przyniósł mu nie żaden z goli, a… zastawianie piłki ciałem w spotkaniu przeciwko ZSRR w drugiej fazie grupowej MŚ 1982.

Remis w tym starciu dawał Polakom awans do półfinału mundialu. Nic dziwnego zatem, że to raczej rywalom się spieszyło. Biało-czerwoni jednak umiejętnie się bronili i na tablicy wyników wciąż widniał rezultat 0:0. Na kilka minut przed końcem Włodzimierz Smolarek wykorzystał swoje największe atuty: spryt, umiejętności techniczne, a przede wszystkim żelazną kondycję. Wziął piłkę, pognał w kierunku narożnika i sprytnie zastawiał się ciałem.

Obrońca radziecki wybił piłkę raz. Po wykonaniu autu, futbolówka trafiła znów do Smolarka, i tak jak kilka chwil wcześniej, zakotwiczył z nią w narożniku. Zawodnik Widzewa w ten sposób pozbawił przeciwników piłki w sumie na okres prawie półtorej minuty gry! To zagranie usiłowali kopiować w tym spotkaniu zarówno Zbigniew Boniek, jak i Janusz Kupcewicz. Skutecznie udało się to jednak tylko Smolarkowi.

„Żelazne płuca", bojowość, zadziorność, ambicja, a przy tym dobra technika i skromność poza boiskiem zapewniały mu rzesze fanów. – *Mało jest w naszym kraju piłkarzy obdarzonych takim duchem walki jak Włodek. Dla każdego obrońcy walka ze Smolarkiem jest bardzo trudnym zadaniem. Potrafił obrzydzić na boisku życie każdemu* – charakteryzował go Boniek. On sam twierdził, że szybkość zawdzięczał swemu pierwszemu szkoleniowcowi – Henrykowi Olczewskiemu.

Był podporą Widzewa Łódź w okresie największych triumfów klubu. Od Bońka przejął pozycję lidera pod względem liczby goli strzelonych dla tej drużyny w Ekstraklasie (potem wyprzedził go Marek Koniarek). Razem z Widzewem zdobył po dwa medale każdego kruszcu mistrzostw Polski. Wygrał też Puchar Polski. Piękną przygodę przeżył w europejskich pucharach. Z łódzkim zespołem awansował do półfinału Pucharu Europejskich Mistrzów Klubowych. W poprzedniej fazie pokonał bramkarza zdobywców tego trofeum sprzed dwóch lat – Liverpool FC. W innych bojach Widzewa na kontynentalnej

arenie znalazł sposoby na golkiperów m.in. Anderlechtu Bruksela (dwukrotnie), Juventusu Turyn i Borussii Mönchengladbach.

Do czasów Roberta Lewandowskiego był rekordzistą pod względem liczby tytułów Piłkarza Roku katowickiego „Sportu”. Zdobył tę nagrodę trzykrotnie. Raz został Piłkarzem Roku według „Piłki Nożnej”. Do tego dochodzi też 4. i 9. miejsce w zestawieniu „Przeglądu Sportowego” na Sportowca Roku. Na arenie międzynarodowej znalazł się w 1981 roku na 28. miejscu w rankingu „Złotej Piłki”.

Był filarem reprezentacji Polski na MŚ 1982, zakończonych na trzecim miejscu. Jego rajdy – takie jak z ZSRR – doprowadzały do furii przeciwników. Przez to Smolarek figurował na czele klasyfikacji faulowanych. W sześciu pierwszych spotkaniach wystąpił w podstawowym składzie. W półfinale z Włochami zarobił jednak swą drugą żółtą kartkę na tym turnieju, co wykluczyło go ze starcia o III miejsce. Krótko tliła się nadzieja na jego występ. W oficjalnym protokole nie było bowiem kartonika dla niego. Dopiero kilkadziesiąt godzin później FIFA zweryfikowała oficjalny dokument i ten ostatni mecz musiał spędzić na trybunach. Osłabieni koledzy zdołali jednak zwyciężyć, co zapewniło Polakom srebro. – *Jeszcze nie uświadamiamy sobie chyba tego sukcesu, ale wiem z doświadczenia, że po odpoczynu, kiedy wszyscy dojdą do siebie, radość będzie wielka. Nie grałem w tym meczu i muszę przyznać, że strasznie się denerwowałem.*

Znacznie bardziej niż na boisku – powiedział po otrzymaniu medalu.

Na mundialu strzelił gola przeciwko Peru. Przed tym spotkaniem, gdy dalszy udział Polaków wisiał na włosku, w ramach przesądu postanowił wraz z Markiem Dziubą się nie golić. Częściej jednak sukces zawierzał umiejętnościom piłkarskim. Jego najsłynniejsze trafienia w biało-czerwonych barwach miały jednak miejsce w kwalifikacjach do tego mundialu. W decydującym starciu z NRD Polacy w Lipsku od pierwszych minut rzucili się zaskoczonym gospodarzom do gardeł. Po 300 sekundach od premierowego gwizdka prowadzili już 2:0, dzięki trafieniom Andrzeja Szarmacha z AJ Auxerre oraz Włodzimierza Smolarka z Widzewa Łódź. Zawodnik z Ekstraklasy okiwał bramkarza rywali, ale piłkę do siatki wbił na raty, bo jeszcze uwikłał się w drybling z obrońcą przeciwników. Po przerwie kontakt „Dederonom" dał rzut karny wykonany przez Rudigera Schnuphase. Jednak wkrótce potem drugie trafienie zaliczył Smolarek. Ostatecznie skończyło się wynikiem 3:2 dla Polski, co zapewniło jej trzeci awans z rzędu do MŚ. – *Dla mnie to drugie największe przeżycie w karierze po remisie na Wembley* – pisał sprawozdawca „Trybuny Robotniczej" Zbigniew Dutkowski. Było to ostatnie trafienie zawodnika Ekstraklasy w meczu przesądzającym o wyjeździe na mundial, aż do gola Krzysztofa Mączyńskiego przeciwko Czarnogórze w 2017 roku.

Gola strzelił też na mundialu w 1986 roku. Ta bramka dała Polsce awans do 1/8 finału. Pozbawiała zaś tej okazji Portugalczyków. Słynny Luis Figo wspominał w swej biografii, że po tym trafieniu w jego domu zapanowała „przerażająca cisza". O mały włos, a sytuacja ta nie miałaby miejsca. Tuż przed bramką Antoni Piechniczek kazał rozgrzewać się Andrzejowi Zgutczyńskiemu, z myślą wprowadzenia zmiany w ataku. Roszada ta została dokonana wkrótce po golu.

Na więcej Polaków nie było stać. Sam Smolarek narzekał, że duży wpływ na ich formę miało rozrzedzone powietrze w Monterrey. Po odpadnięciu otrzymał od miejscowej firmy Pedro Gonzalez brązową statuetkę dla najlepszego polskiego piłkarza turnieju. Zza oceanu przywiózł też sombrero, w którym pokazał się kibicom na Okęciu oraz... odnowione kontakty rodzinne. Nieoczekiwanie po jednym ze spotkań pod hotelem spotkał Polonuskę, która okazała się jego daleką krewną. Jej babcia – krewna Smolarka – przed laty wyjechała do Meksyku i zleciła potem wnuczce skontaktowanie się z kuzynem – sławnym piłkarzem.

Był ostatnim medalistą MŚ grającym w kadrze. Po raz ostatni biało-czerwoną koszulkę założył w 1992 roku. Do tego czasu uzbierał 60 meczów i 13 goli. Był członkiem Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Po grze w Widzewie występował w Bundeslidze i Eredivisie. Z Eintrachtem Frankfurt zdobył Puchar Niemiec. W Holandii grał dla Feyenoordu Rotterdam i FC

Utrechtu. Po zakończeniu kariery pracował jako trener grup młodzieżowych i scout Feyenoordu. Z jego usług korzystał PZPN.

Zmarł nagle w 2012 roku. Pochowany został w rodzinnym Aleksandrowie Łódzkim. Jego imię nosi ulica w Łodzi, opodal stadionu Widzewa.

Dużą karierę piłkarską zrobił syn Włodzimierza – Euzebiusz Smolarek. Z Feyenoordem sięgnął po Puchar UEFA. Z reprezentacją Polski zagrał zaś na MŚ i ME, był jedną z największych gwiazd kwalifikacji EURO 2008. Strzelił między innymi dwa gole w starciu z Portugalią na Stadionie Śląskim. Poza rotterdamskim klubem występował między innymi w Borussii Dortmund, Racingu Santander, Bolton Wanderers, Polonii Warszawa i Jagiellonii Białystok. Dwukrotnie zdobył tytuł Piłkarza Roku w Polsce.

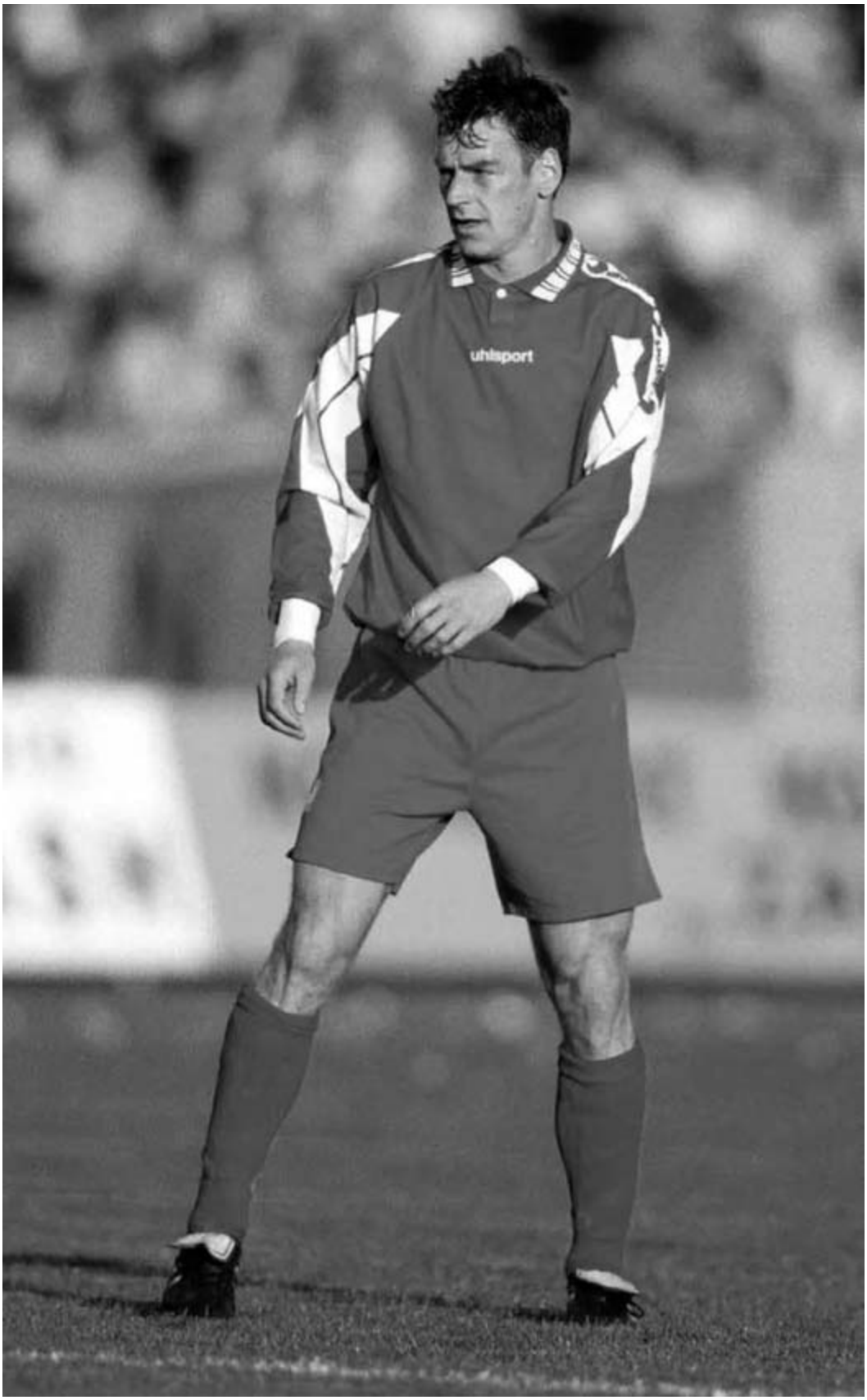
uhlsport

źródło: 400mm.pl

JAN URBAN

(napastnik)

Kluby Ekstraklasie: Zagłębie Sosnowiec, Górnik Zabrze
Lata gry: 1981-1989 i 1998
Mecze/gole: 248/78

Świetny, bramkostrzelny napastnik lub ofensywny pomocnik, którego gwiazda z równą mocą błyszczała na polskim podwórku, co i poza granicami. A mimo to wiele osób do dziś twierdzi, że talent Jana Urbana nie został w pełni wykorzystany.

Swoje występy w Ekstraklasie rozpoczął od gry dla Zagłębia Sosnowiec. Nie były to jednak złote lata tej drużyny. Najwyżej udało jej się uplasować na piątym miejscu. W tej najszczęśliwszej od wielu sezonów kampanii sosnowiczan sam Urban jednak aż jedenastokrotnie wpisał się na listę strzelców. Dzięki temu na jego transfer zdecydował się Górnik Zabrze. Tutaj stworzył znakomity

kwartet ofensywny z Andrzejami: Iwanem, Pałaszem i Zgutczyńskim. Każdy z nich uczestniczył w MŚ. Zbiegiem okoliczności debiut w barwach nowego klubu w Ekstraklasie wypadł w starciu z poprzednim zespołem.

W czterech kolejnych sezonach ani razu dorobek indywidualny Urbana nie spadł poniżej dziesięciu trafień. W trzech ostatnich był najlepszym strzelcem Górnika, choć nie zawsze występował w najbardziej wysuniętej do przodu formacji. Najokazalej wypadł w sezonie 1987/88, gdy strzelił aż siedemnaście goli, plasując się na trzecim miejscu w klasyfikacji strzelców.

Najpiękniejszą partię rozegrał jednak w początkach kolejnej edycji, gdy Górnik rozgromił 8:3 Szombierki Bytom. On sam przyczynił się do tego trzema bramkami cudnej marki. Najpiękniejsza z nich zdobyta została przewrotką. – *Gol roku!* – komentował dziennik „Sport”. Trzykrotnie też wówczas asystował. – *Zabrakło skali, by ocenić wyczyny tego zawodnika* – dodawał dziennikarz. Urban świetnie również grał głową. Zdarzały się mecze ligowe, w których tą częścią ciała strzelał nawet dwa gole. Stąd porównywano go czasem do Andrzeja Szarmacha

Wraz z Górnikiem trzy razy z rzędu został mistrzem Polski. Zagrał w finale Pucharu Polski. Dwukrotnie awansował z tym klubem do 1/8 finału PEMK.

W reprezentacji wystąpił na MŚ 1986. Trener Antoni Piechniczek stawiał na niego w każdym z czterech spotkań biało-czerwonych podczas tego turnieju, w tym trzy razy w wyjściowym składzie. Jedyny wyjątek stanowiło starcie

z Marokiem na otwarcie turnieju. Tu jednak znakomicie pokazał się jako zmiennik. – *Dopiero wejście Urbana zmieniło nieco obraz gry* – opisywała „Trybuna Ludu”.

Wcześniej był ważną postacią w końcówce eliminacji do mundialu. – *Był to dla mnie najważniejszy mecz w dotychczasowej karierze. Chcieliśmy wygrać, nie udało się, ale jedziemy do Meksyku. Owszem, grałem twardo, ale przecież Belgowie również nie przebierali w środkach* – opowiadał na gorąco po starciu z Belgią pieczętującym awans. Uznano go za najlepszego zawodnika tego meczu wespół z Józefem Młynarczykiem. W sumie w reprezentacji zagrał 57 razy i strzelił 7 goli. Brał też udział w MŚ U-18 w 1981 roku.

Po wyjeździe z Górnika Zabrze trafił do Hiszpanii. Był pierwszym zawodnikiem wytransferowanym z Ekstraklasy do Primera Division. To właśnie tam zdobył się na wyczyn, który okrył go największą sławą. W barwach Osasuny Pampeluny uzyskał hat-tricka na Estadio Santiago Bernabeu przeciwko Realowi Madryt! Potem grał w Realu Valladolid, CD Toledo oraz VfB Oldenburg. Na zakończenie kariery wrócił do Górnika.

W ostatnim czasie stał się jednym z bardziej cenionych trenerów ligowych. Z Legią Warszawa dwukrotnie sięgał po mistrzostwo Polski, tyle samo razy udało mu się zdobyć Puchar Polski. Z Wojskowymi oraz Lechem Poznań zwyciężał w rozgrywkach o Superpuchar Polski. Oprócz tych dwóch zespołów prowadził jeszcze Polonię Bytom,

KGHM Zagłębie Lubin, a ostatnio Śląsk Wrocław. W Hiszpanii pracował zaś w Osasunie.

RYSZARD TARASIEWICZ

(pomocnik)

Kluby w Ekstraklasie: Śląsk Wrocław
Lata gry: 1980-1989
Mecze/gole: 214/55

Specjalista od rzutów wolnych i strzałów z dystansu. Mógł zostać czwartym polskim piłkarzem po Fryderyku Scherfke, Erneście Wilimowskim i Grzegorzu Lacie z golem strzelonym Brazylii na mundialu. Na drodze stanęło mu ledwie kilka milimetrów…

Dosłownie chwilę po rozpoczęciu gry, popularny „Taraś” z odległości około trzydziestu pięciu metrów wyrobił sobie niewielką przestrzeń. Jego niezbyt mocny, ale techniczny strzał powędrował ponad głowami całej defensywy Canarinhos i spadł na linii „piątki”. Kozioł zmylił bramkarza rywali. Nie miałby szans na złapanie piłki, ale ostatecznie trafiła ona w słupek.

W Polsce takie strzały Tarasiewicza nazywano „spadającymi liśćmi dębu”. Niezbyt mocne, zdawało się opadające przez długi czas, w końcowym rozrachunku okazywały się śmiercionośną bronią dla bramkarzy. Szczególnie, jeśli pomocnik Śląska Wrocław podchodził do stałego fragmentu gry. Dlatego oddawano mu do wykonania większą część rzutów wolnych i karnych w zespole. Zdobył w sumie ponad pięćdziesiąt bramek dla tej drużyny, co stawia go na trzecim miejscu w historii. Pięć razy notował wynik na poziomie co najmniej ośmiu trafień w sezonie, w tym trzykrotnie dwucyfrówki.

Zespołowo jego największy sukces stanowią Puchar Polski i Superpuchar Polski zdobyte w 1988 roku. Razem z wrocławianami wywalczył wicemistrzostwo kraju oraz brązowy medal. Indywidualnie tytułem Piłkarza Roku 1989 nagrodziły go redakcje zarówno „Piłki Nożnej”, jak też katowickiego „Sportu”.

W reprezentacji Polski zagrał 58 razy i strzelił 9 goli, w tym w debiucie przeciwko Norwegii. Mimo to pierwszy selekcjoner, pod którego wodzą grał, Antoni Piechniczek, nie miał do niego zbyt dużego zaufania. W kwalifikacjach mundialu zagrał niespełna dwadzieścia minut. Na MŚ jego jedynym występem było starcie 1/8 finału przeciwko Brazylii. Brał też udział w młodzieżowym mundialu pięć lat wcześniej.

Po występach w Śląsku Wrocław wyjechał do Szwajcarii, gdzie grał w Neuchatel Xamax. Ponadto bronił barw francuskich drużyn – AS Nancy, RC Lens, Besancon

RC. Wrócił na chwilę do Szwajcarii do Etoile Carouge. Karierę zakończył z kolei w norweskim Sarpsborgu, w wieku trzydziestu pięciu lat.

Od przeszło dekady obecny jest w Polsce w roli trenera. Trzykrotnie udało mu się, pełniąc tę funkcję, uzyskać awans do Ekstraklasy – ze Śląskiem Wrocław, z Pogonią Szczecin oraz Zawiszą Bydgoszcz. Zdobył Puchar Ekstraklasy (ze Śląskiem), Puchar Polski oraz Superpuchar Polski (z Zawiszą). Na najwyższym poziomie rozgrywkowym prowadził ŁKS Łódź i Koronę Kielce. W I lidze pracował zaś z Jagiellonią Białystok, Miedzią Legnica, a obecnie z GKS Tychy.

KRZYSZTOF WARZYCHA

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Ruch Chorzów
Lata gry: 1983-1987 i 1988-1989
Mecze/gole: 164/66

W historii Ekstraklasy były dwa przypadki beniaminków z tytułami mistrzów Polski. Za pierwszym razem dokonała tego Cracovia w 1937 roku. Wyczyn ten powtórzyli Niebiescy ponad pół wieku później. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie zabójczo skuteczny napastnik – Krzysztof Warzycha. Choć popularny „Gucio” jeszcze większą legendą niż przy Cichej, został poza granicami Polski.

W połowie lat osiemdziesiątych Ruch Chorzów nie miał najlepszej passy. Siódme i dziewiąte miejsce nie przystawały do tak utytułowanej drużyny, która jeszcze kilka sezonów wcześniej wygrywała rozgrywki. Dramat nastąpił jednak w kolejnej edycji. Niebiescy spadli po raz pierwszy w historii do najniższej klasy rozgrywkowej. Byli

ostatnią drużyną z nieprzerwaną serią występów od premierowych rozgrywek...

Nadzieję na rychły powrót podtrzymywał młody napastnik – Krzysztof Warzycha. Do ukończenia 23. roku życia miał na koncie już 29 bramek w elicie. Nie zdecydował się na opuszczenie Cichej nawet po spadku. Powiódł kolegów do szybkiego awansu, a później w edycji 1988/89 odegrał główną rolę w kampanii zakończonej mistrzostwem Polski. Niebiescy zawdzięczali ten tytuł znakomitej końcówce, w której wygrali pięć ostatnich meczów. W każdym z nich minimum raz na listę strzelców wpisywał się Warzycha.

„Gucio” łącznie trafił w tamtym sezonie aż 24 razy. Było to wyrównanie powojennego rekordu. Wynik ten pobił dopiero cztery lata potem Jerzy Podbrożny. Średnio w tym mistrzowskim sezonie Warzycha strzelał 0,8 gola na spotkanie! Jego średnia za cały okres występów w Ekstraklasie wyniosła 0,4 bramki. Zdobył po jednym razie każdą z najcenniejszych indywidualnych nagród piłkarskich w Polsce – „Złote Buty” oraz tytuły Piłkarza Roku według katowickiego „Sportu” i „Piłki Nożnej”.

Jeszcze większą legendą stał się jednak w Grecji, gdzie występował w barwach Panathinaikosu Ateny. Do dziś jest on drugim najlepszym strzelcem najwyższej ligi tego kraju. Po pięć razy w barwach Koniczynek wywalczył mistrzostwo kraju oraz Puchar Polski. Do tego trzykrotnie zdobył laur króla strzelców. Dwa razy w ten sposób skompletował potrójną koronę (mistrzostwo, puchar, król strzelców),

trzykroć wybierano go obcokrajowcem roku w Grecji. Razem z Panathinaikosem awansował do półfinału Ligi Mistrzów.

Gorzej wiodło mu się na reprezentacyjnym etapie kariery. Zagrał w niej 50 razy, ale strzelił zaledwie 9 goli, co jak na snajpera tej miary było naprawdę niezbyt imponującym wynikiem.

źródło: 400mm.pl

JERZY BRZĘCZEK

(pomocnik)

Kluby w Ekstraklasie: Olimpia Poznań, Lech Poznań, Górnik Zabrze, GKS Katowice, Polonia Bytom
Lata gry: 1988-1995, 2007-2009
Mecze/gole: 249/25

Bywali już dwaj bracia kapitanami reprezentacji Polski – jak na przykład Jan i Józef Kotlarczykowie. Zdarzył się też jeszcze rzadszy układ – wujek i siostrzeniec. W tej roli obsadzeni zostali Jerzy Brzęczek oraz Jakub Błaszczykowski. Ten drugi z opaską grał między innymi podczas EURO 2012. Pierwszy powiódł zaś biało-czerwonych do wicemistrzostwa olimpijskiego w Barcelonie.

Przez całą tę imprezę Janusz Wójcik ściągnął go z murawy jedynie na ostatnie siedem minut półfinałowego starcia z Australią, gdy wynik wynosił już 6:1 dla biało-

czerwonych. Tylko na ten krótki moment oddał opaskę kapitańską, z którą na ramieniu dzielnie prowadził Polaków po tytuł wicemistrzów olimpijskich. Tak jak kiedyś Kazimierz Deyna. Był on może zresztą jednym z ostatnich kapitanów reprezentacji w starym stylu znanym z czasów Henryka Reymana, Władysława Szczepaniaka, Edmunda Zientary, Henryka Szczepańskiego, Stanisława Oślizły, Włodzimierza Lubańskiego czy wspomnianego „Kaki" – obdarzonych naturalnymi zdolnościami przywódczymi. – *W drużynie nie było słabych punktów i jestem pełen uznania dla kolegów* – mówił skromnie.

To on musiał podbudować kolegów po przegranym starciu o złoto, gdy w szatni zapadła głucha cisza. – *Panowie, tak nie można. Przecież mamy srebrny medal!* – powiedział pewnym siebie głosem. Słowa charyzmatycznego lidera podziałały jak balsam. Do dekoracji zespół przystąpił już z przewagą dumy nad smutkiem z osiągniętego rezultatu. Brzęczek dobrze znał wartość tego sukcesu. Do dziś Polska czeka na kolejny medal olimpijski nie tylko w piłce nożnej, ale też w sportach drużynowych…

Sumienny, uczciwy, pracowity i bardzo ofiarny. Nie potrzebował zbyt wiele krzyczeć, aby utrzymać szatnię w ryzach.

Jeszcze przed osiemnastymi urodzinami wywalczył sobie miejsce w składzie Olimpii Poznań. Był pierwszym reprezentantem lat siedemdziesiątych w tej drużynie. Zarazem mieścił się wśród sześciu najmłodszych piłkarzy

ligowych w swym debiutanckim sezonie w Ekstraklasie (1988/89). Czterech z nich – Tomasz Wałdoch, Tomasz Wieszczycki, Marcin Jałocha i właśnie Jerzy Brzęczek – pojechało za trzy lata na igrzyska do Barcelony.

Wkrótce potem został kapitanem także w klubie. Na olimpiadę pojechał jednak już jako zawodnik Lecha Poznań. Było to dosłownie kilka chwil po wielce nietypowym transferze. – *Wiosną nie byłem sobą. Mam pretensje do działaczy Olimpii o to, jak potraktowano mnie i Grzegorza Mielcarskiego. O przejściu do Lecha dowiedziałem się na dworcu PKP, a przecież wystarczyło krótkie spotkanie i ustalenie pewnych szczegółów* – skomentował niezadowolony już w wiosce olimpijskiej.

Swój największy sukces w polskiej lidze kapitan srebrnego zespołu odniósł właśnie w barwach Kolejorza, gdy w 1993 roku został mistrzem Polski. W kolejnym sezonie na szyi zawieszono mu srebro, ale zostało ono wywalczone już w barwach Górnika Zabrze. W następnej edycji stanął zaś na najniższym stopniu podium, lecz z jeszcze innym zespołem – GKS-em Katowice. W przerwie zimowej rozgrywek 1994/95 Brzęczek przeszedł bowiem z klubu z Zabrza do mającego mocarstwowe ambicje drużyny z Bukowej.

Transfer ten był jednym z najważniejszych wydarzeń w Polsce. Jego czerwonej omegi pod budynkiem GKS wypatrywano przez długie tygodnie. Jego pierwszy przyjazd na trening nowej drużyny stał się zaś nawet… tematem obszernego fotoreportażu. W końcu angaż dokonał się na

linii dwóch derbowych rywali. Górnik miał jednak przy nim mało do powiedzenia. Karta zawodnicza Brzęczka była bowiem własnością szwajcarskiej firmy Goodstar, a w Zabrzu grał on na zasadzie użyczenia. Do tego dochodziły jeszcze prawa do niego Ryszarda Górki, które trzeba było spłacić. Bohaterem transakcji był zaś przecież wicemistrz olimpijski i jeden z najzdolniejszych graczy swojej generacji. Te wszystkie okoliczności ustawiły ten zakup w szeregu najgłośniejszych wewnętrznych transferów w historii Ekstraklasy tamtych lat obok transakcji dotyczących Józefa Wandzika czy Andrzeja Rudego.

W Katowicach wytrzymał zaledwie jedną rundę. Jej owocem poza lokatą na podium był finał Pucharu Polski. Potem wyjechał na ponad dekadę do Austrii i Izraela. Z Tirolem Innsbruck zdobył dwukrotnie mistrzostwo kraju. Po powrocie do Polski grał jeszcze przez dwa sezony w Ekstraklasie – w Górniku i Polonii Bytom.

W reprezentacji Polski Brzęczek zagrał 42 razy i strzelił 4 gole. Zadebiutował w niej jeszcze przed wyjazdem na Igrzyska Olimpijskie do Barcelony. Pierwszą bramkę w biało-czerwonych barwach zdobył zaś w starciu z Brazylią, występującą w składzie z Raiem, Zinho, Cesarem Sampaio czy młodziutkim Roberto Carlosem. To jednak Brzęczek otworzył wynik spotkania strzałem zza pola karnego. – *Fenomenalne uderzenie* – komentował Dariusz Szpakowski. W prasie pisano, że zachował się jak Brazylijczyk.

Wydawało się, iż w reprezentacji narodził się rozgrywający dużej miary na kolejne lata. Bybł stałym członkiem zespołów walczących o udział w MŚ 1994, ME 1996, MŚ 1998. Po zakończeniu tej kampanii nastąpiła zmiana selekcjonera. Jerzy Engel nie ufał Brzęczkowi, choć ten w okresie przed mundialem w Korei i Japonii dwukrotnie został mistrzem Austrii.

Słynne powiedzenie o zmianie szyldu – z kadry olimpijskiej na seniorską – po igrzyskach spopularyzował Wojciech Kowalczyk. Jego rzeczywistym autorem był jednak podobno Jerzy Brzęczek. Taki śmiały plan przedstawił trenerowi Januszowi Wójcikowi oraz sponsorowi kadry – Zbigniewowi Niemczyckiemu. Plany te spełniły się jednak po wielu latach. Może też z tego względu igrzyska pozostały jedyną wielką imprezą w jego dorobku.

W lipcu 2018 roku Jerzy Brzęczek został selekcjonerem reprezentacji Polski. To pierwszy trener drużyny narodowej z medalem olimpijskim od Lesława Ćmikiewicza. Wśród osób piastujących to stanowisko tylko on oraz Krzysztof Pawlak mieli z kolei więcej występów w Ekstraklasie niż właśnie Brzęczek. Trenerskie doświadczenia zdobywał wcześniej między innymi w Lechii Gdańsk i Wiśle Płock. Miał też swoje zasługi w prowadzeniu kariery swego siostrzeńca – Jakuba Błaszczykowskiego. Obaj byli kapitanami reprezentacji Polski i – z racji nazwisk – zmorami zagranicznych komentatorów…

ÓLCZANKA

źródło: 400mm.pl

MAREK CITKO

(pomocnik/napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Jagiellonia Białystok, Widzew Łódź, Legia Warszawa, Dyskobolia Grodzisk Wielkopolski, Cracovia, Polonia Warszawa
Lata gry: 1992-1993, 1995-2001, 2004-2006
Mecze/gole: 170/23

Siedmiu mistrzów olimpijskich i dwójka wicemistrzów. Tak wyglądała dziewiątka z TOP-10 najlepszych sportowców Polski w roku Igrzysk Olimpijskich w Atlancie (1996). Jedyny wyłom spośród medalistów w gronie laureatów stanowił piłkarz – Marek Citko. Po mistrzostwie Polski, udanych występach z Widzewem w Lidze Mistrzów oraz golu strzelonym Anglikom na Wembley, stał się największą piłkarską gwiazdą Polski i największą nadzieją na sukcesy.

Szybki, dobrze wyszkolony technicznie, niekonwencjonalny w swych rozwiązaniach,

a w decydujących momentach, w starciach o dużą stawkę, skuteczny pod bramką przeciwników w okresie największego marazmu polskiego futbolu na międzynarodowym poziomie. Jawił się dzięki temu jako piłkarz światowego formatu.

Zaczynał w Jagiellonii Białystok w sezonie 1992/93. Niedawno dziennikarze „Przeglądu Sportowego” Piotr Wołosik i Łukasz Olkowicz ochrzcili ten klub mianem „najgorszej drużyny w historii Ekstraklasy”. Punktowo rzeczywiście dorobek stawiał ją na szarym końcu w dziejach najwyższego poziomu rozgrywkowego. Liczba zawodników, którzy wtedy postawili pierwszy krok na drodze do kariery, nie ma jednak chyba sobie równych w całych latach dziewięćdziesiątych. Tomasz Frankowski, Mariusz Piekarski, Jacek Chańko oraz właśnie Citko.

We wrześniu 1995 roku – po dwóch latach gry w II lidze – z Podlasia przeszedł do Widzewa Łódź. Na tle ściągniętych w przerwie letniej 1995 roku Rafała Siadaczki, Pawła Miąszkiewicza, a zwłaszcza Marka Koniarka, nie on zdawał się głównym wzmocnieniem Widzewa. Tymczasem w krótkim czasie to pomocnik rodem z Białegostoku na amen zawojował łódzką publiczność. Od ósmej kolejki nie opuścił już żadnego spotkania i na koniec sezonu świętował swoje pierwsze mistrzostwo Polski. Przyczynił się do niego między innymi pięcioma golami. Jeszcze lepiej spisał się w kolejnej edycji, gdy pokonał golkiperów przeciwników osiem razy. Widzew obronił zaś panowanie w Ekstraklasie.

Świetnie wyglądał na arenie międzynarodowej. Łódzki klub powtórzył wyczyn Legii i awansował do fazy grupowej Ligi Mistrzów. Citko swym golem w kwalifikacjach przeciwko Broendby Kopenhaga pozwolił odrobić część strat przy prowadzeniu 3:0 dla rywali. Potem zaś Paweł Wojtala zdobył słynną bramkę na wagę awansu. Pomocnik z Łodzi strzelił też gole mistrzowi Niemiec (późniejszemu triumfatorowi całych rozgrywek) – Borussii Dortmund oraz po fenomenalnym lobie, pokazywanym we wszystkich telewizjach świata – Atletico Madryt. Występy indywidualne dały mu wielką sławę, choć samemu klubowi nie zapewniły awansu do kolejnej fazy.

Dopełnieniem świetnego sezonu był gol przeciwko Anglii na Wembley. Citko dostał piłkę w okolicy 11 metra, podciągnął z nią do „piątki", a następnie przerzucił nad Davidem Seamanem. Ostatecznie biało-czerwoni przegrali to starcie 1:2, ale wrażenie wywołane trafieniem było olbrzymie. Citko trafił do TOP-10 Plebiscytu „Przeglądu Sportowego". W analogicznym zestawieniu Telewizji Polskiej znalazł się na drugim miejscu w 1996 roku, a w konkursie Programu III Polskiego Radia oraz „Super Expressu" nawet wygrał!

Wtedy też odebrał nagrodę dla Odkrycia Roku według „Piłki Nożnej" oraz Piłkarza Roku. Citko był na samym szczycie pod względem popularności. W Polsce wybuchło wtedy zjawisko zwane „Citkomanią". Piłkarz stał się bohaterem popularnych programów i gazet. Nie mógł spokojnie przejść na ulicy. Był chyba jedynym tak

powszechnie znanym wśród Polaków zawodnikiem lat dziewięćdziesiątych. Jego nazwisko przewijało się nawet w serialach. W polsatowskim sitcomie „Duża przerwa” nauczyciel wf-u grany przez Andrzeja Mastalerza mówi: *Gdybym miał pieniądze, to stworzyłbym tu świetną drużynę piłkarską. Kupilibyśmy… tego… no… Citkę*.

Dopytywały się o niego największe europejskie kluby. Najbliżej podpisania umowy był z Blackburn Rovers. Mistrzowie Angli z 1995 roku wykładali na stół naprawdę duże pieniądze. Citko kręcił nosem na proponowaną ligę i… czekał na jeszcze lepsze oferty. Zamiast tego przyplątała się mu jednak poważna kontuzja ścięgna Achillesa. Długotrwałe leczenie zabrało mu ponad jeden sezon. Po powrocie nie był już tym samym zawodnikiem, co wcześniej. Próbował odbudować się pod wodzą swego ulubionego trenera Franciszka Smudy w Legii Warszawa, ale poza krótkimi przebłyskami, nie był w stanie nawiązać do formy z Widzewa. Grał potem w Dyskobolii Grodzisk Wielkopolski, Cracovii oraz Polonii Warszawa. Poza dwoma mistrzostwami wywalczonymi z łódzkim klubem, na koncie miał wicemistrzostwo (z Widzewem) i brązowy medal (z Legią).

W reprezentacji Polski zagrał 10 razy i strzelił w tych starciach 2 gole. Poza Anglikami na listę strzelców wpisał się w starciu z Brazylią w składzie z samymi wielkimi gwiazdami, na czele ze słynnym duetem Ro – Ro (Ronaldo – Romario). Po kontuzji nie wystąpił już ani razu. Niektórzy – z większym zaufaniem do „magii cyfr” – twierdzili, że uraz

ten nie powinien dziwić. Dotknął bowiem „kadrowicza przeklętego”. Citko był wszak 666. piłkarzem w historii, który wystąpił w reprezentacji.

Grę w Ekstraklasie oprócz kontuzji przerywały mu także zagraniczne epizody. Grał jeszcze w lidze izraelskiej oraz szwajcarskiej. Po zakończeniu kariery przez krótki okres doradzał właścicielowi Polonii Warszawa – Józefowi Wojciechowskiemu. Zaliczył też epizod w roli dyrektora sportowego Wisły Kraków. Zajmuje się działalnością menadżerską.

adidas
ukoma

źródło: 400mm.pl

JACEK DEMBIŃSKI

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Lech Poznań, Widzew Łódź, Amica Wronki
Lata gry: 1991-1997, 2001-2007
Mecze/gole: 304/95

„Deeeeembińskiiii… Gooooool nie ma, Jezus Maria!” – ten okrzyk Tomasza Zimocha z meczu Widzewa Łódź przeciwko Broendby w Kopenhadze w eliminacjach Ligi Mistrzów przeszedł do legendy. Sam komentator przez pewien czas używał go nawet jako swojego dźwięku dzwonka w telefonie komórkowym. Dla Jacka Dembińskiego była to natomiast jedna z niewielu niewykorzystanych okazji w karierze. Napastnik przez lata gry na najwyższym poziomie rozgrywkowym przyzwyczaił raczej do stałych zdobyczy bramkowych.

Trafił na czasy, gdy tak wysoki, dobrze zbudowany napastnik, nie był już wyjątkowo rzadkim zjawiskiem i nie odsyłano go przymusowo do obrony. W Czechach długie lata atak stanowili cztery lata młodsi od Dembińskiego – Vratislav Lokvenc i Jan Koller, których średnia wzrostu wynosiła… 199 centymetrów! W Polsce to właśnie „Dembina" był najwyższym napastnikiem w elicie. Do dziś z zawodników, którzy zagrali w reprezentacji Polski na jego pozycji, wyższy o dwa centymetry był tylko Grzegorz Rasiak, takim samym wzrostem, co Dembiński, legitymował się zaś Łukasz Sosin.

Z racji warunków fizycznych bardzo dobrze grał głową, potrafił świetnie zastawiać piłkę. Pomimo gabarytów cechował się jednak znakomitą koordynacją ruchową. Do tego dochodziła także bardzo dobra skuteczność. Łącznie w lidze strzelił w 304 meczach 95 goli, co daje mu średnio 0,31 gola na rozegrane spotkanie.

Trzykrotnie zdobył mistrzostwo Polski. W dwóch pierwszych edycjach zakończonych triumfem dopiero wchodził do składu Lecha Poznań. Często był ustawiany na pomocy bądź wchodził na zmiany. Stąd jego niewielki dorobek bramkowy. Za to sezon zakończony trzecim złotym medalem – już w barwach Widzewa Łódź – okazał się wielkim popisem tego zawodnika. Dembiński był najlepszym strzelcem mistrzowskiego zespołu. Strzelił siedemnaście goli i tylko jednego trafienia zabrakło mu do korony króla strzelców. Poza tym jeszcze dwukrotnie w karierze przekraczał dwucyfrową liczbę bramek

w Ekstraklasie. Wicekrólem został w edycji 1994/95 i znów zabrakło mu jednej bramki (tym razem do zmarłego już Bogusława Cygana). W każdym z czternastu sezonów, w których grał, strzelał natomiast minimum jednego gola. Już po przekroczeniu 34. roku życia w trzech kolejnych sezonach trafiał odpowiednio: osiem i dwukrotnie po dziewięć razy. Poza trzema tytułami, wywalczył drużynowo też dwa brązowe medale, już jako piłkarz Amiki Wronki. Wraz z tą ekipą uczestniczył w finale Pucharu Polski.

Został pierwszym zawodnikiem od Ernesta Pohla, który w dwóch kolejnych ligowych spotkaniach zdołał zapisać na swoim koncie hat-tricka. W barwach Widzewa Łódź zawodnik ten w kończącym rozgrywki 1996/1997 spotkaniu aż pięć razy pokonał bramkarza Rakowa Częstochowa, trzema golami zainaugurował zaś rywalizację swego klubu w kolejnej odsłonie ligi.

W Lidze Mistrzów strzelił gola dla Widzewa w pierwszym spotkaniu eliminacyjnym przeciwko Broendby Kopenhaga. Później w fazie grupowej dwukrotnie pokonał bramkarza Borussii Dortmund. Był on jedynym zawodnikiem, który tej drużynie – triumfatorowi tamtych rozgrywek – w jednym spotkaniu potrafił strzelić więcej niż jednego gola. W kolejnej edycji w kwalifikacjach strzelił trzy gole w dwumeczu z Neftczi Baku. Dzięki temu do dziś pozostaje najlepszym strzelcem Widzewa w europejskich pucharach, o jedno trafienie przed Włodzimierzem Smolarkiem, Arturem Wichniarkiem i Wiesławem Wragą.

Oprócz uczestnictwa w fazie grupowej LM już z Amiką brał udział na tym szczeblu w Pucharze UEFA.

Mniej spełnił się w reprezentacji. Zagrał w niej tylko dziesięć razy, i nie udało mu się strzelić żadnego gola. Pięciokrotnie był ściągany z boiska, cztery razy wystąpił jako zmiennik i tylko raz zagrał w pełnym wymiarze czasowym – z Anglią w eliminacjach MŚ 1998. Był to też jego jedyny występ w spotkaniu o stawkę w biało-czerwonej koszulce.

Poza Polską krótko grał w Szwajcarii. Na dłużej zakotwiczył zaś w niemieckiej Bundeslidze. Wraz z Hamburgerem SV zdobył brązowy medal w 2000 roku. Karierę zakończył w Lechu Poznań w 2007 roku, gdy klub nie przedłużył z nim kontraktu. Obecnie często grywa w meczach oldbojów.

W środku: Andrzej Juskowiak / źródło: 400mm.pl

ANDRZEJ JUSKOWIAK

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Lech Poznań
Lata gry: 1988-1992
Mecze/gole: 95/43

Tylko Jugosławii Polska ustępuje pod względem liczby królów strzelców piłkarskich turniejów olimpijskich. To zasługa dwóch czołowych zawodników lat siedemdziesiątych – Kazimierza Deyny oraz Andrzeja Szarmacha, a także urodzonego dwa lata przed złotem Polaków na igrzyskach w Monachium – Andrzeja Juskowiaka. „Jusko” okazał się najskuteczniejszym zawodnikiem IO w Barcelonie, skąd przywiózł, poza koroną indywidualną, także srebrny medal.

To właśnie on był centralną postacią zespołu Janusza Wójcika. W stolicy Katalonii dwa razy wpisał się na listę strzelców z Kuwejtem, po razie z Włochami oraz USA,

a także zanotował hat-tricka w półfinale przeciwko Australii. Lepszy wynik poprzednio od niego na turnieju olimpijskim zanotował… Deyna. Osiągnięcie Juskowiaka przebił zaś dopiero Carlos Tevez w Atenach w 2004 roku. Hiszpańscy dziennikarze na konferencjach prasowych zasypywali trenera Janusza Wójcika pytaniami o tego piłkarza i jednocześnie dziwili się na łamach swych gazet, dlaczego nie sięgnęła po niego jeszcze żadna hiszpańska drużyna. Żadnej bramki nie udało mu się zdobyć tylko w ćwierćfinale z Katarem oraz w samym finale przeciwko gospodarzom. – *To był mój najsłabszy wystep na turnieju. Od 70. minuty zaczęliśmy gwałtownie tracić siły. Mimo wszystko chyba trochę dobrego dla polskiej piłki zrobiliśmy. Chciałbym przynajmniej przez tydzień wypocząć* – skomentował sam zawodnik.

Skutecznością „Jusko” błyszczał od najmłodszych lat. Lech Poznań zaczął na niego stawiać, jeszcze nim zawodnik ten mógł odebrać dowód osobisty. Wraz z Włodzimierzem Lubańskim, Ernestem Wilimowskim oraz Zdzisławem Kapką tworzył kwartet jedynych królów strzelców Ekstraklasy, którzy zwyciężyli w klasyfikacji strzeleckiej przed dwudziestymi urodzinami. Takie wyniki nie dziwią. Predestynowała do nich go już… data urodzenia. Juskowiak urodził się trzeciego listopada. Tego samego dnia na świat przyszli też dwaj inni królowie strzelców Ekstraklasy – Bogusław Cygan oraz rekordzista klasyfikacji strzelców wszech czasów – wielki Ernest Pohl.

W sezonie 1989/90 strzelił osiemnaście goli. Ta skuteczność pozwoliła mu zwyciężyć indywidualnie. Lechowi dała zaś mistrzostwo Polski. To właśnie on strzelił gola na wagę „zwycięskiego remisu” w ostatniej kolejce – z Legią Warszawa. Z Kolejorzem został też mistrzem kraju w edycji poprzedzającej igrzyska olimpijskie. Nim wyruszył poza granice kraju, miał już na koncie 43 bramki w niespełna stu spotkaniach. Legitymował się więc średnią goli 0,45 na mecz. Do tego wywalczył Superpuchar Polski. To on był strzelcem gola decydującego o zwycięstwie z Olympique Marsylią w eliminacjach PEMK.

Indywidualnie Juskowiak trzykrotnie był Piłkarzem Roku w plebiscycie katowickiego „Sportu”, w tym dwa razy jeszcze podczas gry w Ekstraklasie (w 1991 i 1992 roku). Ten drugi triumf przedzielony jest już jednak na pół z okresem występów w Sportingu Lizbona, dokąd wyjechał. Razem z portugalskim klubem wywalczył puchar tego kraju, wicemistrzostwo i dwukrotnie brązowy medal. Z Olympiakosem Pireus był z kolei trzeci w lidze greckiej. W Niemczech występował zaś w Borussii Mönchengladbach, VfL Wolfsburg, Energie Cottbus, a także na niższym poziomie rozgrywkowym – w FC Erzgebirge Aue. Był swego czasu najlepszym strzelcem Wolfsburga w Bundeslidze, obecnie znajduje się na czwartym miejscu w tej klasyfikacji. Jest też na trzecim miejscu, za Robertem Lewandowskim i Janem Furtokiem, w zestawieniu najskuteczniejszych Polaków w Bundeslidze. Krótko grał w USA w NY/NJ MetroStars.

W reprezentacji Polski turniej olimpijski był jego jedynym występem na wielkiej imprezie. „Jusko” znalazł się w kręgu zainteresowań Jerzego Engela. Grywał nawet w eliminacjach zakończonych awansem do MŚ 2002. Starcie przeciwko Armenii z tej kampanii było jednak jego ostatnim z trzydziestu dziewięciu występów w biało-czerwonej koszulce. Łącznie strzelił w nich 13 goli, co daje średnią 0,33 bramki na mecz. Zapisał się między innymi, drugim po Edwarda Jankowskiego z 1957 roku, wyjazdowym hat-trickiem reprezentacji Polski w eliminacjach MŚ, gdy trzy razy pokonał bramkarza Mołdawian.

Karierę zakończył w 2007 roku. Obecnie często grywa w drużynach oldbojów. Jest też komentatorem telewizyjnym oraz prezesem szkółki piłkarskiej. Był wiceprezesem Lechii Gdańsk oraz trenerem napastników w Lechu Poznań. Taką samą funkcję sprawował w młodzieżowej reprezentacji Polski.

KGHM
LSKA MIEDŹ S.A

źródło: 400mm.pl

RADOSŁAW KAŁUŻNY

(pomocnik)

Kluby w Ekstraklasie: KGHM Zagłębie Lubin, Wisła Kraków, Jagiellonia Białystok
Lata gry: 1992-2001, 2007-2008
Mecze/gole: 267/39

O, wygląda jak tata z dwoma synami – rzucił kiedyś, ktoś za Radosławem Kałużnym, gdy wychodził na boisko z dwoma dużo mniej rosłymi kolegami, i tak już zostało. Pseudonim „Tata” przylgnął do niego na długie lata. Był też jednym z elementów tytułu jego szokującej, niedawno wydanej biografii…

Waleczny, dobrze zbudowany środkowy pomocnik, a w razie potrzeby obrońca, budził respekt u przeciwników. Sam dbał o ten wizerunek boiskowego walczaka. Nie znalazł się chyba nikt, kto zarzuciłby mu przejście obok spotkania. Za swój zespół potrafił skoczyć w ogień. Do tego

należałoby jednak dodać zaskakująco dobre umiejętności ofensywne. Na pewno był na przełomie XX i XXI wieku w czołówce zawodników Ekstraklasy pod względem umiejętności gry głową. Łącznie strzelił w tym czasie aż trzydzieści dziewięć goli w ciągu dziesięciu pełnych sezonów. W swej najlepszej edycji pod tym względem (1995/96), zgromadził na koncie osiem bramek, dzięki czemu wyprzedził na liście między innymi Sylwestra Czereszewskiego, Arkadiusza Bąka, Krzysztofa Bizackiego, Piotra Reissa, Mirosława Trzeciaka czy Grzegorza Wędzyńskiego, czyli czołowych strzelców ligi! A często występował wtedy nawet na środku obrony. Do dziś to rekord w liczbie trafień zanotowanych przez defensora w jednym sezonie rozgrywek.

„Zapakuję coś z bańki” – głosił kiedyś tytuł na pierwszej stronie jednej z bulwarówek. Pod spodem figurowało zdjęcie Kałużnego. Z jego umiejętności gry głową i skuteczności skrzętnie bowiem korzystał selekcjoner reprezentacji Polski Jerzy Engel w zwycięskich eliminacjach MŚ. „Tata” zapisał się w nich między innymi hat-trickiem przeciwko Białorusi. Został dzięki temu drugim polskim zawodnikiem z trzema golami strzelonymi u siebie w jednym starciu kwalifikacyjnym mundialu! Do tego pokonał bramkarza Ukrainy oraz Armenii. To właśnie przed starciem z tym ostatnim rywalem gazeta pozwoliła sobie na dwuznaczny tytuł. Kałużny więc swą obietnicę spełnił… Był drugim po Emmanuelu Olisadebe najlepszym strzelcem polskiego zespołu w tej kampanii.

W Ekstraklasie zaczynał w 1992 roku jako piłkarz obrońcy mistrzowskiego tytułu – KGHM Zagłębia Lubin. Z Miedziowymi nie dane było mu jednak świętować sukcesów zespołowych. Te przyszły, gdy przeniósł się z rodzinnego Dolnego Śląska do Krakowa. Z miejsca został jedną z najważniejszych postaci Wisły. Razem z Białą Gwiazdą zdobył dwa razy mistrzostwo Polski i raz wicemistrzostwo. Do tego doszedł Puchar Ligi oraz finał Pucharu Polski. Pod koniec kariery występował jeszcze w Jagiellonii Białystok. To właśnie z tych czasów pochodzi często przypominany fragment, w którym podczas wywiadu telewizyjnego Kałużny mówi, że „jeśli ktoś się nie stara, to trzeba go kopnąć w d…", co bardzo pasowało do jego stylu gry. „Tata" bowiem akurat nigdy nie odpuszczał…

Długo grał w Niemczech. Najpierw w Energie Cottbus, a potem w Bayerze Leverkusen, gdzie wywalczył brązowy medal. Na niższych poziomach rozgrywkowych bronił barw Rot-Weiss Essen i LR Ahlen. Przez jeden sezon grał na Cyprze. Karierę zakończył w Chrobrym Głogów.

Z reprezentacją Polski wyjechał na Mistrzostwa Świata do Korei i Japonii. Zagrał w spotkaniach przeciwko Korei Południowej oraz Portugalii. Często przypominany jest jego udział zwłaszcza w tym pierwszym spotkaniu. Jerzy Engel nakreślił bowiem taktykę, wedle której wszystkie długie piłki miały być kierowane na Kałużnego, a ten głową miał je zgrywać na napastników. – *Myślałem, że to jedno z zagrań, tymczasem taka była taktyka na cały mecz* – wspominał Jerzy Dudek. Plan się nie powiódł, „Tata" nie poradził sobie

ze skocznymi Azjatami, a Polacy przegrali 0:2. Brał też udział w kolejnych kwalifikacjach i zdobył między innymi bramkę w starciu z Austrią. Ostatecznie na mundial jednak nie pojechał. W sumie zagrał w 41 meczach w reprezentacji i strzelił w nich 11 goli, czym zawstydza wielu napastników…

Po zakończeniu kariery Radosław Kałużny zniknął z piłki. Pracował fizycznie w Anglii. Nie powiódł się jego plan założenia szkółki piłkarskiej w Londynie. Ostatnio przypomniał o sobie biografią „Powrót Taty”, w której wspominał o trudnym dzieciństwie, nie zawsze sportowym trybie życia w czasach kariery piłkarskiej oraz skomplikowanym życiu osobistym.

adidas
11

źródło: 400mm.pl

WOJCIECH KOWALCZYK

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Legia Warszawa
Lata gry: 1990-1994 i 2001
Mecze/gole: 124/42

Cudowne dziecko polskiego futbolu i bohater jednej z najbardziej „amerykańskich” opowieści w rodzimym sporcie. Szerzej nieznany napastnik, wyciągnięty z amatorskiego zespołu, który poskromił włoskich gwiazdorów. Później Wojciech Kowalczyk został jeszcze wicemistrzem olimpijskim i odniósł szereg sukcesów. Na zawsze jednak pozostał przede wszystkim „napastnikiem od Sampdorii”.

Żeby zrozumieć skalę zjawiska, trzeba by przypomnieć, czym była Sampdoria Genua na początku lat dziewięćdziesiątych w światowym futbolu. A była to drużyna lidera najsilniejszej ligi świata – Serie A (później

zresztą w cuglach zdobyła ten tytuł przed Juventusem) i obrońca trofeum w Pucharze Zdobywców Pucharów. Z gwiazdami pokroju Gianluki Pagliuki, Pietro Vierchowoda, Roberto Manciniego i Gianluki Viallego. Mimo to Legia zdołała ich ograć w ćwierćfinale PZP. W pierwszym meczu pokonała genueńczyków 1:0 po trafieniu Dariusza Czykiera. W rewanżu skazywana na pożarcie Legia wyszła na wyjeździe na prowadzenie 2:0. Swoimi dwoma golami zapewnił jej to Wojciech Kowalczyk. Ostatecznie skończyło się na remisie 2:2, co dało Legii awans do półfinału elitarnych rozgrywek. Ostatniego w historii występów polskich zespołów. „Kowal” miał wtedy 18 lat i 341 dni. Był najmłodszym zdobywcą dubletu w Pucharze Zdobywców Pucharów wśród zawodników klubów Ekstraklasy. W całej historii występów polskich drużyn na kontynentalnej arenie młodszy od niego okazał się tylko Jerzy Musiałek z Górnika Zabrze, ale on dwa gole strzelił w mniej liczącym się Pucharze Rappana.

Wrażenie wywołane tym wyczynem było ogromne. Kowalczyk zdobył nagrodę Odkrycia 1991 Roku według „Piłki Nożnej”. Nie była to zresztą jego ostatnia nagroda indywidualna w karierze. W 1993 roku został Piłkarzem Roku według katowickiego „Sportu”. Pomiędzy tymi triumfami został też Piłkarzem Roku według „Piłki Nożnej”. Zrzekł się jednak tego tytułu z powodu konfliktu z PZPN-em.

Na tym nie wyczerpała się lista jego kontrowersyjnych zachowań. Słynął z niepokornego charakteru. Dla wielu

trenerów była to przeszkoda w prowadzeniu Kowalczyka. Janusz Wójcik kupował go jednak w stu procentach. Nie taił się, że „Kowal” był jego ulubionym piłkarzem. Tę więź podsyciły Igrzyska Olimpijskie w 1992 roku. Reprezentacja kierowana przez „Wójta” zdobyła na nich srebrny medal. Kowalczyk natomiast z dorobkiem sześciu goli został wicekrólem strzelców. W każdym z meczów fazy pucharowej, aż po finał, minimum raz wpisywał się na listę zdobywców bramek.

W tym czasie był już etatowym piłkarzem Legii Warszawa. Z Wojskowymi dwukrotnie zdobył mistrzostwo Polski. Przy drugim z tych tytułów jego udział był już jednak szczątkowy. „Kowal” zagrał w zaledwie pięciu meczach, bo został wykupiony przez hiszpański Real Betis Balompie. Na jego koncie znajduje się też wicemistrzostwo kraju. Legia w tamtym sezonie w tabeli zajęła pierwsze miejsce, ale decyzją PZPN za niesportowe zachowanie została przesunięta lokatę niżej. Sam Kowalczyk się z tym nigdy nie pogodził i tak jak wtedy, tak i dziś należy do piłkarzy najgłośniej protestujących przeciwko tym rozstrzygnięciom. Do tego doszły: Puchar oraz Superpuchar Polski.

W Ekstraklasie strzelił łącznie 42 gole. Przy jego niezbyt wielkiej liczbie występów dało to przyzwoitą średnią 0,34 gola/mecz. Pomimo to nigdy nie udało mu się zostać królem strzelców najwyższej polskiej ligi. Koronę mógł założyć dopiero na Cyprze, gdzie występował w Anorthossisie Famagusta, znów pod wodzą swojego ulubionego trenera – Janusza Wójcika. Tam dwukrotnie

został mistrzem kraju (raz w barwach APOEL-u Nikozja), a także dwa razy wywalczył krajowy puchar. Ponadto przez długi czas występował w Hiszpanii.

W reprezentacji Polski zagrał 39 razy i strzelił 11 goli, w tym w debiucie ze Szwecją, w wieku dziewiętnastu lat. Jego karierę przerywały konflikty z selekcjonerami, szczególnie z Antonim Piechniczkiem. W pełni zaufał mu dopiero Wójcik. Po jego odejściu już nigdy nie zagrał w zespole narodowym. Karierę zakończył, nieco przedwcześnie, w wieku trzydziestu dwóch lat. Dały o sobie znać problemy z nadwagą i nie do końca sportowym trybem życia.

Niepokorny, wielki indywidualista również po zakończeniu kariery chodził własnym ścieżkami. Wraz z Krzysztofem Stanowskim napisał mocną biografię „Kowal. Prawdziwa historia”. Był ekspertem Polsatu. Został jednak zwolniony z powodu skandalizujących wpisów na twitterze. Obecnie rzadko pojawia się w środowisku piłkarskim. Na Legii, gdzie niegdyś z powodu swojego stylu gry i charakteru był uwielbiany, obecnie należy do persona non grata z racji kontrowersyjnych wypowiedzi.

RADIO
MANHATTAN
adidas
WÓLCZANKA

źródło: 400mm.pl

CEZARY KUCHARSKI

(pomocnik/napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Siarka Tarnobrzeg, Legia Warszawa, Stomil Olsztyn, Górnik Łęczna
Lata gry: 1992-1993, 1995-1997, 1998-2003, 2004-2006
Mecze/gole: 256/90

Dziś najbardziej znany jako rzutki menadżer – były już – agent Roberta Lewandowskiego. W przeszłości Cezary Kucharski był jednak głównie skutecznym napastnikiem słynącym z ambicji i zawziętości.

Jego charakter dobrze ilustruje historia z czasów gry w Stomilu Olsztyn. „Kucharz” wypożyczony przez Legię Warszawa do niżej notowanego zespołu, chciał udowodnić całemu światu, że nadaje się jeszcze do gry na wyższym poziomie. W starciu z Polonią Warszawa brutalnym wślizgiem rozciął mu jednak łydkę obrońca Czarnych Koszul – Tomasz Ciesielski. Za ten faul otrzymał tylko żółtą

kartkę. Zdenerwowany Kucharski, leżąc na noszach, wziął piłkę… i uderzył nią sędziego w głowę. Arbiter pokazał mu więc czerwień… Na usprawiedliwienie Kucharskiego: rana była bardzo głęboka. Widać było nawet mięśnie. Sprawą zainteresowała się policja. Lekarze zaś stwierdzili, że wystarczyłoby parę milimetrów, aby zakończyć karierę tego zawodnika.

Ostatecznie po miesiącu Kucharski zameldował się znów na murawie. Cel udało mu się spełnić. Wrócił do Legii, zdobył z nią mistrzostwo Polski, a potem pojechał na mundial i zagrał 65 minut w meczu przeciwko USA.

W całej karierze w Ekstraklasie strzelił 90 goli w 256 meczach, co daje średnią 0,35 bramki na spotkanie. Swój najlepszy sezon pod tym względem zaliczył w premierowej edycji. Jako gracz Siarki Tarnobrzeg czternastokrotnie pokonał bramkarzy przeciwników. Do dziś z dorobkiem dwudziestu bramek jest najskuteczniejszym zawodnikiem Siarkowców w historii ich występów na najwyższym poziomie rozgrywkowym.

Największe sukcesy odniósł jednak razem z Legią Warszawa. W barwach Wojskowych dwukrotnie był mistrzem Polski, zdobył Puchar Polski oraz Puchar Ligi. Do tego doszedł jeden brązowy medal. Imponująco wygląda także jego dorobek z europejskich pucharów. Dla stołecznej drużyny zdobył w nich w sumie aż 10 bramek, co stawia go w klasyfikacji wszech czasów tylko za Kazimierzem Deyną, Miroslavem Radoviciem, Janem Pieszką, Michałem Kucharczykiem i Januszem Żmijewskim. Pokonał między

innymi golkiperów FC Utrechtu, Besiktasu Stambuł czy (dwukrotnie) Panathinaikosu Ateny.

W reprezentacji Polski zagrał siedemnaście razy i strzelił trzy gole, w tym między innymi w starciu z Brazylią w składzie z Ronaldo i Romario. Był członkiem reprezentacji na MŚ w 2002 roku i zagrał na turnieju przeciwko USA. Został w ten sposób piętnastym piłkarzem Legii w historii z występem na mundialu.

Poza Polską grał w Szwajcarii (FC Aarau), Hiszpanii (Sporting Gijon) oraz Grecji (Iraklis Saloniki). Najdłuższy rozbrat z ojczyzną trwał jednak półtora sezonu, choć w pierwszym z tych krajów strzelił aż osiemnaście goli w czterdziestu pięciu spotkaniach. Karierę zakończył w 2006 roku. Został posłem na Sejm. Obecnie jest znany przede wszystkim ze swej działalności menadżerskiej.

TOMASZ ŁAPIŃSKI

(obrońca)

Kluby w Ekstraklasie: Widzew Łódź, Legia Warszawa
Lata gry: 1987-1990, 1991-2002
Mecze/gole: 282/4

„Nasz bramkarz nic nie łapie. Nie musi. Bo mamy »Łapę«”. Taka okolicznościowa fraszka pojawiła się niegdyś w „Piłce Nożnej”. Jej bohaterem był Tomasz Łapiński. Dla wielu najlepszy polski obrońca lat dziewięćdziesiątych, kluczowy element w Widzewie Łódź i reprezentacji Polski w tym czasie.

Koledzy najczęściej mawiali o nim „Łapa”. Czasem ktoś dodawał jeszcze „Łapa z Łap”, bo stoper pochodził właśnie z miejscowości o tej nazwie, leżącej nieco ponad kwadrans jazdy pociągiem od Białegostoku. Nie trafił jednak do piłkarskiego hegemona Podlasia, Jagiellonii, ale do Łodzi. Tam został ostoją miejscowego Widzewa w okresie jego triumfów na krajowych boiskach. Solidny, pewny

i niezwykle skuteczny w swych interwencjach Łapiński szybko wskoczył do podstawowego składu tej drużyny, gdzie nie brakowało znanych nazwisk. Zaczynał w defensywie u boku między innymi uczestnika mundialu 1986 – Kazimierza Przybysia. W wysuniętych formacjach grali zaś między innymi Leszek Iwanicki czy Wiesław Wraga.

Tu wypatrzył go selekcjoner reprezentacji olimpijskiej Janusz Wójcik. Na igrzyskach w Barcelonie Łapiński był podstawowym graczem jego drużyny. Zagrał od początku do końca we wszystkich spotkaniach aż po sam finał, tworząc znakomity duet z Tomaszem Wałdochem z Górnika Zabrze. Z Hiszpanii przywiózł tytuł wicemistrza olimpijskiego, a także kilka propozycji transferowych. „Łapa” uparcie jednak trwał przy Widzewie. Wielu twierdziło, że brało się to z jego legendarnego wręcz strachu przed lataniem. Przed każdym wejściem na pokład samolotu obrońca, który nie pękał przed najlepszymi napastnikami świata, musiał uspokajać się kilkunastoma papierosami.

Od braku chęci zmiany klimatu na pewno nie ucierpiała jego gablota z trofeami klubowymi. Z Widzewem wywalczył bowiem dwukrotnie mistrzostwo Polski. W obu tych sezonach był podstawowym piłkarzem drużyny. Zagrał łącznie w 58 (z 68) spotkań dwóch mistrzowskich edycji. Zawsze wychodził w podstawowym składzie i nigdy nie został zmieniony. Brał też udział w wygranym starciu z Legią, przez wielu uznawanym za najsłynniejsze spotkanie

w Ekstraklasie. Jako kapitan miał zaszczyt dwukrotnie podnieść trofeum przyznawane za wygraną w lidze. Ponadto zdobył Superpuchar Polski, a dwa razy był wicemistrzem Polski. Razem z Widzewem awansował także do fazy grupowej Ligi Mistrzów. Na zakończenie 1997 roku wygrał plebiscyt na Piłkarza Roku w Polsce katowickiego „Sportu". Wcześniej zwyciężył w klasyfikacji „Złotych Butów" za ten sam okres.

Tym większy szok wywołała informacja, że jeden z symboli klubowych zdecydował się na transfer do Legii Warszawa. Nie był jednak już wtedy tym samym „Łapą", co kilka miesięcy wcześniej. Coraz częściej zmagał się z kontuzjami. Do Warszawy ściągnął go zaś trener, z którym odniósł największe sukcesy – Franciszek Smuda. Ostatecznie jednak w lidze zagrał w barwach Wojskowych tylko raz przez ponad dwa lata. Kolejny uraz zaważył na jego rozbracie z futbolem na wysokim poziomie. Wspomógł tylko Legię w walce o Puchar Ligi. Półfinał z jego udziałem udało się Wojskowym przejść, ale już w decydującej rozgrywce zbyt mocna okazała się stołeczna Polonia. Potem grywał już tylko w niższych klasach rozgrywkowych – między innymi Piotrcovii Piotrków Trybunalski, zdegradowanym Widzewie czy Mazowszu Grójec.

Jego transfer do Legii miał jeszcze jedną dobrą stronę praktyczną. Liczono bowiem, że skorzysta na tym reprezentacja. W Warszawie dołączył do Jacka Zielińskiego, z którym świetnie rozumiał się w defensywie biało-czerwonych. Od eliminacji EURO 1996 aż do momentu

kontuzji był podstawowym stoperem kadry. Łącznie rozegrał w niej trzydzieści sześć spotkań. Jego największym sukcesem pozostało jednak srebro olimpijskie.

Obecnie Tomasz Łapiński jest cenionym ekspertem telewizyjnym, co wielu zaskakuje. W czasach kariery uchodził wszak za milczka i udzielił niewiele wywiadów. Zajmuje się profesjonalną fotografią. Działa także w Widzewie.

RADOSŁAW MICHALSKI

(pomocnik)

Kluby w Ekstraklasie: Legia Warszawa, Widzew Łódź
Lata gry: 1992-1999
Mecze/gole: 201/30

Jest tylko jeden gracz z pola, który zagrał w fazie grupowej Ligi Mistrzów z dwoma różnymi polskimi klubami. To Radosław Michalski, który w edycji 1995/96 odpowiadał za rozegranie w Legii Warszawa. W kolejnym sezonie pełnił zaś tę rolę w Widzewie Łódź.

Po wyjeździe Jerzego Brzęczka to właśnie on uważany był za najlepszego reżysera gry w Ekstraklasie. Słynął z dokładnych podań, co wykorzystywali jego koledzy z ataku. Wysoki zawodnik miał bardzo dobrze ułożoną nogę. Potrafił też całkiem nieźle grać w powietrzu.

W Ekstraklasie zaczął od naprawdę wysokiego „C”. Wychowanek Stoczniowca Gdańsk rozpoczął bowiem swą karierę w tej klasie rozgrywkowej od Legii Warszawa.

Pojawił się w niej sezon po słynnej kampanii w Pucharze Zdobywców Pucharów, zakończonej na półfinale. Młody zawodnik z Pomorza trafił więc w szatni na postacie tej miary co Zbigniew Robakiewicz, Maciej Szczęsny, Leszek Pisz czy Wojciech Kowalczyk. Nie przejawił jednak nawet cienia zahukania albo kompleksów już przy tym pierwszym kontakcie. Szybko wskoczył do składu Wojskowych i nawet został wybrany Odkryciem Roku przez „Piłkę Nożną" w 1993 roku.

Jeszcze odważniej postawił na niego następca Janusza Wójcika na ławce trenerskiej tego klubu – Paweł Janas. Pod jego wodzą Michalski wraz z Legią zdobył mistrzostwo Polski w 1994 oraz 1995 roku. W każdym z tych dwóch sezonów był jedną z najważniejszych postaci drużyny. Opuścił łącznie tylko pięć z sześćdziesięciu ośmiu spotkań. Strzelił w nich zaś czternaście goli. Regularnie trafiał do wszelkich jedenastek sezonu. W obu tych edycjach wygrał Puchar Polski. Ponadto z Wojskowymi awansował aż do ćwierćfinału Ligi Mistrzów. Drużyna z nim w składzie wyszła z grupy z Rosenborgiem Trondheim, Blackburn Rovers oraz Spartakiem Moskwa. Wcześniej zaś w eliminacjach rozprawiła się z IFK Göteborg. To ostatni występ polskiego klubu na takim wysokim poziomie w najważniejszych europejskich pucharach.

Ten zestaw sukcesów w dużej mierze powtórzył z Widzewem Łódź, dokąd trafił w kolejnej edycji. Także udało mu się awansować do fazy grupowej Champions League. Na krajowym podwórku z kolei wraz z nowymi

kolegami zdystansował Wojskowych i zapisał na swoje konto trzeci tytuł mistrza Polski. Brał udział w słynnym spotkaniu wygranym ze swym dawnym klubem 3:2 przy Łazienkowskiej. Dla Widzewa strzelił też gola decydującego o dogrywce w eliminacjach Ligi Mistrzów w 1998 roku z Liteksem Łowecz. Oprócz trzech złotych medali na swoim koncie miał dwa srebra – po jednym z każdą tych drużyn.

W przerwie zimowej 1999/00 wyjechał z Polski. Podczas zagranicznych wojaży zdobył mistrzostwo Izraela (z Maccabi Hajfa) oraz Cypru (z Apollonem Limassol), a także dwukrotnie Puchar Cypru (z Anorthossisem Famagusta). Ostatecznie wyczynową karierę zakończył na Wyspie Afrodyty w 2006 roku.

W reprezentacji Polski zagrał 28 razy. Nie udało mu się jednak wyjechać na żadną wielką imprezę. Był podstawowym piłkarzem za kadencji Janusza Wójcika, ale kadra przegrała walkę o udział w EURO 2000 z Anglią i Szwecją. Jerzy Engel skorzystał z niego zaś tylko na samym początku kadencji.

Obecnie Radosław Michalski sprawuje funkcję Prezesa Pomorskiego Związku Piłki Nożnej.

LESZEK PISZ

(pomocnik)

Kluby w Ekstraklasie: Legia Warszawa, Motor Lublin, Śląsk Wroclaw
Lata gry: 1987-1996, 2001
Mecze/gole: 267/54

– Jak masz na nazwisko? – zapytała szatniarka nowego piłkarza Legii. – Pisz Leszek – odpowiedział świeży nabytek. – Ty mnie nie ucz, jak się pisze imię, tylko nazwisko powiedz!

Tak wedle anegdoty miały wyglądać pierwsze chwile Leszka Pisza w Legii Warszawa. Na murawie z początku trudno było mu wyrobić sobie szacunek z racji mikrych warunków fizycznych. Ówczesny trener Wojskowych Jerzy Engel zapytany przez Jacka Kazimierskiego: *Kto to w ogóle jest?* odparł: *A taki mój breloczek*. W pierwszej rundzie Pisz nie zagrał jednak ani razu i wrócił na krótko do rodzinnej Dębicy. Dopiero później udało mu się wyrobić status

topowego piłkarza ligi i jednej z największych legend Legii Warszawa.

Spryt, wielkie umiejętności techniczne, serce do walki oraz świetne rozegranie piłki zjednywały mu sympatyków na trybunach przy Łazienkowskiej z tygodnia na tydzień. W szatni zaś niewysoki, wręcz chuderlawy Pisz, okazał się charyzmatycznym przywódcą, który potrafił sobie zapewnić pierwszeństwo pomiędzy dużo roślejszymi kolegami z zespołu. Dlatego doczekał się w końcu opaski kapitańskiej i chyba nikt nie podawał w wątpliwość tego, czy na nią zasłużył.

U starszych kibiców wzbudzał tęsknotę za latami gry w stołecznym zespole Kazimierza Deyny. Tak jak on, znakomicie dowodził grą drużyny, pełniąc rolę playmakera. Łączyły ich także umiejętności w wykonywaniu stałych fragmentów gry. Ponoć Pisz zawdzięczał je bardzo małemu rozmiarowi stopy. Według różnych źródeł jego buty miały numer 37 lub 38.

Ponadto miał szczęście do ważnych goli. Między innymi po jego trafieniu Legia wygrała w finale Pucharu Polski w 1995 roku. Najsłynniejszą bramkę Pisz zdobył jednak… głową. W rewanżu w eliminacjach Ligi Mistrzów przeciwko IFK Göteborg sprytnie złożył się do strzału tą częścią ciała i przechytrzył przeciwników. Dawało to remis, premiujący awansem do upragnionej fazy grupowej Ligi Mistrzów.

Na tym szczeblu rozgrywający Legii dwukrotnie pokonał golkipera Rosenborga Trondheim. Był to pierwszy w historii dublet polskiego zawodnika na tym poziomie!

Tamtą edycję Legia zakończyła na ćwierćfinale. Pisz miał też w dorobku półfinał Pucharu Zdobywców Pucharów z 1991 roku. W tej słynnej kampanii strzelił gola w I rundzie. Do wysokiego wyniku najmocniej dołożył się jednak asystami. Między innymi w ćwierćfinale przeciwko Sampdorii Genua.

Na krajowym podwórku dwukrotnie zdobył z Legią mistrzostwo Polski. Do tego dochodzą dwa wicemistrzostwa oraz jeden brązowy medal. Czterokrotnie wywalczył natomiast Puchar Polski, dwukrotnie dołożył do tej kolekcji tytuł finalisty tych rozgrywek. Ponadto na jego koncie znajdują się dwa Superpuchary Polski. Indywidualnie Leszek Pisz całkowicie zdominował ligę w latach 1994–1996. Jest do dziś jedynym zawodnikiem w historii, który trzy razy z rzędu wygrał klasyfikację „Złotych Butów" katowickiego „Sportu". W 1995 roku został wyróżniony nagrodą Piłkarza Roku „Piłki Nożnej".

Po tym obfitym w sukcesy okresie na kilka sezonów wyjechał do Grecji (PAOK Saloniki, Kavala, Paniliakos). Po powrocie zakończył karierę w Śląsku Wrocław. Amatorsko krótko jeszcze występował w Pogoni Staszów.

Okres jego największego szczytu formy przypadał akurat na dołek reprezentacji Polski. Stąd w dorobku Pisza brak występów na wielkich turniejach. Z orzełkiem na piersiach zagrał czternaście razy i strzelił jednego gola (przeciwko Kostaryce). Mimo dominacji w lidze nie stawiali na niego ani Henryk Apostel, ani Władysław Stachurski, który znał go bardzo dobrze z czasów Legii. Po raz ostatni

zagrał już pod wodzą Antoniego Piechniczka po niemal trzyletniej przerwie. Było to jednak jednocześnie jego pożegnanie.

Obecnie Leszek Pisz znów mieszka w rodzinnej Dębicy. Zajmuje się szkoleniem młodzieży. Kilka lat temu przeżył dramat osobisty po tym, jak zginął w wypadku samochodowym jego młodszy brat, także piłkarz – Mieczysław, z którym razem występował w Igloopolu Dębica, Legii oraz Motorze Lublin.

adidas

źródło: 400mm.pl

JERZY PODBROŻNY

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Igloopol Dębica, Lech Poznań, Legia Warszawa, KGHM Zagłębie Lubin, Pogoń Szczecin, Amica Wronki, Wisła Płock, Widzew Łódź, Świt Nowy Dwór Mazowiecki
Lata gry: 1990-1996, 2000-2004
Mecze/gole: 277/122

Długo trwało oczekiwanie na kolejnego członka Klubu 100 w Ekstraklasie po Andrzeju Szarmachu. Klątwę tę przełamali dopiero w odstępie kilku tygodni Marek Koniarek oraz Jerzy Podbrożny. Ten pierwszy zatrzymał się jednak niewiele dalej w swym dorobku. Drugi zaś poszedł aż w okolice pierwszej „10” w klasyfikacji strzelców wszech czasów.

Nikt w tej dekadzie nie strzelił tylu goli, co właśnie Podbrożny. Jest on jedynym zawodnikiem w Klubie 100,

który strzelał gole aż dla siedmiu klubów. Ze wszystkich drużyn, w których zagrał, nie udało mu się pokonać bramkarzy tylko w barwach Wisły Płock oraz Świtu Nowy Dwór Mazowiecki, ale popularny „Gumiś” trafił tam już pod sam koniec kariery. Następny na liście Marcin Robak ma w dorobku sześć klubów.

Szczególnie jedna zmiana przynależności klubowej w przypadku Podbrożnego była pamiętna. Zawodnik ten wywalczył z Lechem Poznań mistrzostwo Polski w 1993 roku, po czym odszedł do Legii Warszawa. Działo się to jednak w dość trudnym okresie dla polskiej piłki. Tamtą edycję rozgrywek formalnie na pierwszym miejscu skończyli bowiem Wojskowi. Władze PZPN dopatrzyły się jednak w ich postawie niesportowego zachowania i ukarały klub anulowaniem ostatniego spotkania. W związku z tym na pierwszą pozycję wskoczył Kolejorz. Zarówno w tej odsłonie rozgrywek, jak i poprzedzającej, Podbrożny został królem strzelców rozgrywek. Był on pierwszym zawodnikiem od czasów Kazimierza Kmiecika z koroną w dwóch sezonach z rzędu.

Co więcej Jerzy Podbrożny z miejsca, w barwach Legii, zmienił się w głównego prześladowcę Lecha. W pięciu starciach z tym rywalem strzelił pięć goli. W tym zawiera się hat-trick oraz bramka na 1:1 zdobyta w 90. minucie. Przy napiętych stosunkach między kibicami obu klubów, w Warszawie „Gumiś” wyrósł na bohatera pierwszej wody. W Poznaniu stał się zaś wrogiem publicznym numer jeden…

W Kolejorzu w obu sezonach, gdy zostawał królem strzelców, wywalczył mistrzostwo Polski. W Legii Warszawa także zdobył dwa tytuły. Dzięki temu został pierwszym piłkarzem – po członkach Górnika Zabrze grających w latach osiemdziesiątych (m.in. Józefa Wandzika) – z tytułem mistrzowskim w czterech sezonach z rzędu. Jego wynik wyrównał dopiero Kasper Hamalainen w latach 2015-2018.

Podbrożny dołączył do tego też dwa Puchary Polski i Superpuchary Polski. Ponadto na jego koncie znajdują się wicemistrzostwa Polski (z Legią i Pogonią), brązowy medal (z Amiką Wronki) oraz finał Pucharu Polski (z Amiką). W pierwszych sześciu sezonach, w których wystąpił w Ekstraklasie, strzelił łącznie sto goli. W pięciu edycjach z rzędu jego dorobek nie spadł poniżej czternastu bramek. Potem wyjechał do Hiszpanii oraz USA. Za Oceanem w barwach Chicago Fire dołączył do swej kolekcji mistrzostwo oraz puchar tego kraju.

Po powrocie już nie należał do czołowych strzelców ligi. Nadal jednak gwarantował kilka bramek na sezon. Z upodobaniem za to zaczął zmieniać kluby. W ciągu 3,5 roku zaliczył aż sześć drużyn! W niektórych z nich grał tylko w jednej rundzie.

W europejskich pucharach jego największym osiągnięciem jest ćwierćfinał Ligi Mistrzów z Legią Warszawa. To on strzelił zwycięskie gole w eliminacjach z IFK Göteborg oraz w spotkaniu grupowym z mistrzami Anglii – Blackburn Rovers. W reprezentacji Polski natomiast

miał okazję zagrać tylko sześciokrotnie. Ani razu nie strzelił gola.

Po zakończeniu kariery wyczynowej występował jako grający trener w niższych ligach. Potem pracował jako szkoleniowiec oraz dyrektor sportowy, między innymi w Resovii. Ma za sobą także nieudany start w wyborach parlamentarnych.

adidas
uhlsport

źródło: 400mm.pl

MACIEJ SZCZĘSNY

(bramkarz)

Kluby w Ekstraklasie: Legia Warszawa, Widzew Łódź, Polonia Warszawa, Wisła Kraków
Lata gry: 1987-2002
Mecze/gole: 236/0

Jedyny w swoim rodzaju. Tak pod względem charakteru, zachowania, jak i osiągniętych sukcesów. Maciej Szczęsny stanowił pełne potwierdzenie tezy o wyjątkowości bramkarzy w zespole.

Zagrał w czterech klubach Ekstraklasy i w każdym z nich co najmniej raz zdobył mistrzowski tytuł.

Jest on jedynym takim zawodnikiem w historii rozgrywek. Łącznie na jego koncie znajduje się pięć złotych medali piłkarskich mistrzostw Polski. W żadnej z tych mistrzowskich edycji nie pełnił roli statysty. W najgorszej

pod względem liczby występów – 2000/2001 w Wiśle Kraków – rozegrał dwanaście spotkań.

Wielki indywidualista. Często na uboczu drużyny, ale z decydującym głosem i dysponujący ogromną charyzmą. Dodatkowo pewny na boisku. Jeśli nie cieszył się sympatią (choćby z powodu ostrego języka), to na pewno wielkim szacunkiem swoich boiskowych kolegów. Tak było w Legii Warszawa, Widzewie Łódź, Polonii Warszawa oraz Wiśle Kraków. Nie ma tytułu na polskich boiskach, którego nie udałoby mu się zdobyć. W jego kolekcji, oprócz pięciu mistrzostw, znajdują się też trzy Puchary Polski i po jednym Superpucharze oraz Pucharze Ligi. Jest jedynym bramkarzem, który zdobył mistrzostwo Polski w dwóch różnych warszawskich zespołach.

Trudny charakter objawiał się jednak nazbyt często. Kiedyś miał z tego powodu kłopoty z prawem. Lżony przez kibica Stali Stalowa Wola zdecydował się – niczym Eric Cantona – sam wymierzyć mu sprawiedliwość. Soczystym kopniakiem. Sprawa trafiła nawet przed oblicze sądu i przez kilka ładnych tygodni była żywym tematem mediów. Duży szok wywołał, przechodząc z Legii do Widzewa w okresie najbardziej zaciętej konkurencji tych klubów.

Do historii przeszła jego rywalizacja o miejsce w bramce ze Zbigniewem Robakiewiczem. Nie było chyba nigdy w polskim futbolu tak elektryzującej walki o miano „jedynki” w klubie. Nawet konkurencja między Hubertem Kostką a Janem Gomolą nie wywoływała tylu dyskusji i emocji. To jednak Szczęsny wywalczył sobie prawo gry

w najważniejszych spotkaniach, między innymi w Lidze Mistrzów w edycji 1995/96, gdy był jednym z bohaterów eliminacyjnego dwumeczu z IFK Göteborg. Razem z Wojskowymi awansował wtedy do ćwierćfinału. Był pierwszym polskim golkiperem, który zaliczył występ na tym szczeblu rozgrywek w Champions League. On też bronił w edycji 1990/91, zakończonej awansem Wojskowych do półfinału Pucharu Zdobywców Pucharów. Do fazy grupowej LM awansował też z Widzewem Łódź.

W reprezentacji Polski zagrał siedem razy i wpuścił osiem goli. Poza meczem ze Słowacją w eliminacjach do ME, grywał jednak częściej w starciach towarzyskich. Selekcjonerzy woleli w tym czasie stawiać na Józefa Wandzika, Jarosława Bakę, Kazimierza Sidorczuka, Andrzeja Woźniaka, a potem Adama Matyska.

Obecnie często gości w programach telewizyjnych jako ekspert. Przez krótki czas był trenerem bramkarzy, między innymi w Koronie Kielce. Ostatnio dał się poznać jako fotograf, otwierając wystawę zdjęć znanych jazzmanów.

Jego syn Wojciech jest aktualnie jednym z najlepszych bramkarzy Europy. Reprezentował Polskę na ME 2012 i 2016. Zdobył z Arsenalem Londyn dwukrotnie Puchar Anglii, obecnie gra w Juventusie Turyn, z którym awansował do ćwierćfinału LM.

PIOTR ŚWIERCZEWSKI

(pomocnik)

Kluby w Ekstraklasie: GKS Katowice, Lech Poznań, Dyskobolia Grodzisk Wielkopolski, Korona Kielce, Polonia Warszawa, ŁKS Łódź, KGHM Zagłębie Lubin
Lata gry: 1989-1993, 2003-2010
Mecze/gole: 228/12

Młodsza publiczność zna go głównie jako celebrytę i bohatera reality show „Agent”. Dawniej jego wizerunek gościł w domach wielu nastolatków na całym świecie, Piotr Świerczewski znalazł się bowiem na okładce pierwszej edycji kultowej gry z serii FIFA.

Z jednej strony zdobywca Pucharu UEFA, zawodnik Juventusu Turyn – David Platt. Z drugiej – piłkarz Ekstraklasowego wtedy GKS Katowice – Piotr Świerczewski. Los skojarzył ze sobą ten duet podczas meczu Polska – Anglia w eliminacjach mundialu w 1993 roku. Zdjęcie z ich pojedynku trafiło zaś dwa miesiące

później na okładkę pierwszego wydania gry z serii FIFA pod nazwą International Soccer.

Szatnia GKS Katowice często gościła charakternych piłkarzy. Tacy byli Adam Kucz, Sławomir Wojciechowski czy Adam Ledwoń. W niczym nie ustępował im jednak właśnie Piotr Świerczewski. Waleczny, ambitny aż do ostatniego gwizdka sędziego, bardzo ofiarny zawodnik znakomicie sprawdzał się w roli defensywnego pomocnika. Pseudonim „Świr" pochodził tyleż od nazwiska, co bezkompromisowego drapieżnego stylu gry. Przekorę pokazał już na początku kariery. Starszy brat Marek swe kroki skierował do Sandecji Nowy Sącz. Piotr postanowił natomiast iść do innej drużyny i wybrał derbowego rywala klubu krewniaka – Dunajec.

Z powodu tych cech charakteru wpadł w oko Januszowi Wójcikowi, selekcjonerowi reprezentacji olimpijskiej. „Wójt" zabrał go na igrzyska do Barcelony, choć istniało poważne ryzyko wykluczenia Świerczewskiego. Zawodnik nie przeszedł pierwszych testów dopingowych. Kolejna próbka oczyściła go jednak z zarzutów. Na turnieju zagrał w pięciu z sześciu spotkań. Między innymi zaliczył asystę w starciu z Kuwejtem, po dośrodkowaniu z lewej strony. W finale został wprowadzony w 55. minucie za Marcina Jałochę. Grę od pierwszej minuty uniemożliwiał mu drobny uraz. Z Hiszpanii przywiózł srebrny medal. Odważnie zapowiadał w rozmowie z bratem jeszcze przed turniejem, że medal przywiezie. Akurat pewności siebie nigdy mu nie brakowało…

Wraz z Tomaszem Wałdochem chyba najmocniej potem odcisnął piętno na seniorskiej reprezentacji Polski. Razem z Markiem Koźmińskim – kolejnym z wicemistrzów olimpijskich – byli kluczowymi postaciami kadry Jerzego Engela, która awansowała na mundial w 2002 roku. Zagrał w 9 z 10 spotkań eliminacji. Na samych MŚ wystąpił zaś przeciwko Koreańczykom oraz Portugalii. Łącznie w kadrze wystąpił 70 razy i strzelił 1 gola (przeciwko Litwie). Dzięki temu należy do Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Na początku lat dziewięćdziesiątych był natomiast jedną z najbardziej wyróżniających się postaci na pozycji defensywnego pomocnika w Ekstraklasie. Razem z GKS Katowice sięgnął dwukrotnie po Puchar Polski, raz po Superpuchar. Wywalczył wicemistrzostwo Polski oraz brązowy medal. Później rozwijał swą karierę głównie we Francji. Wraz z SC Bastią zwyciężył w Pucharze Intertoto, a z Olympique Marsylia, gdzie pełnił rolę kapitana, zajął trzecie miejsce w Ligue 1. Krótko grał w Japonii i Anglii.

Po przekroczeniu trzydziestego roku życia powrócił do Polski. Na rodzimej ziemi jeszcze dwukrotnie świętował zdobycie Pucharu Polski (z Dyskobolią Grodzisk Wielkopolski oraz Lechem Poznań), a także dołożył do tego dwa Puchary Ligi (oba z Dyskobolią), Superpuchar Polski (z Lechem) i brązowy medal mistrzostw Polski (z Dyskobolią).

Świerczewski w swojej karierze nie uniknął kontrowersyjnych sytuacji. Zdawało się, że czas ustatkowania się nadejdzie już przed igrzyskami. „Świr”

wziął ślub i sprzedał „szpanerskiego” w 1992 roku forda sierrę. Jego zapalczywy charakter niejednokrotnie jednak dawał potem o sobie znać. Przydarzyły mu się między innymi bójki z dziennikarzami, kibicami, piłkarzami innych drużyn czy nawet… policjantami. Z drugiej strony dzięki ambicji cieszył się sławą jednego z bardziej lubianych zawodników w kraju. Występował w filmach i serialach. Niedawno był jednym z bohaterów programu „Agent – Gwiazdy”. Nie odszedł całkiem od piłki nożnej. W Ekstraklasie był między innymi menadżerem ŁKS Łódź. Ponadto prowadził też Znicza Pruszków, czy Motor Lublin. Niedawno pełnił również funkcję II trenera w kadrze U-21.

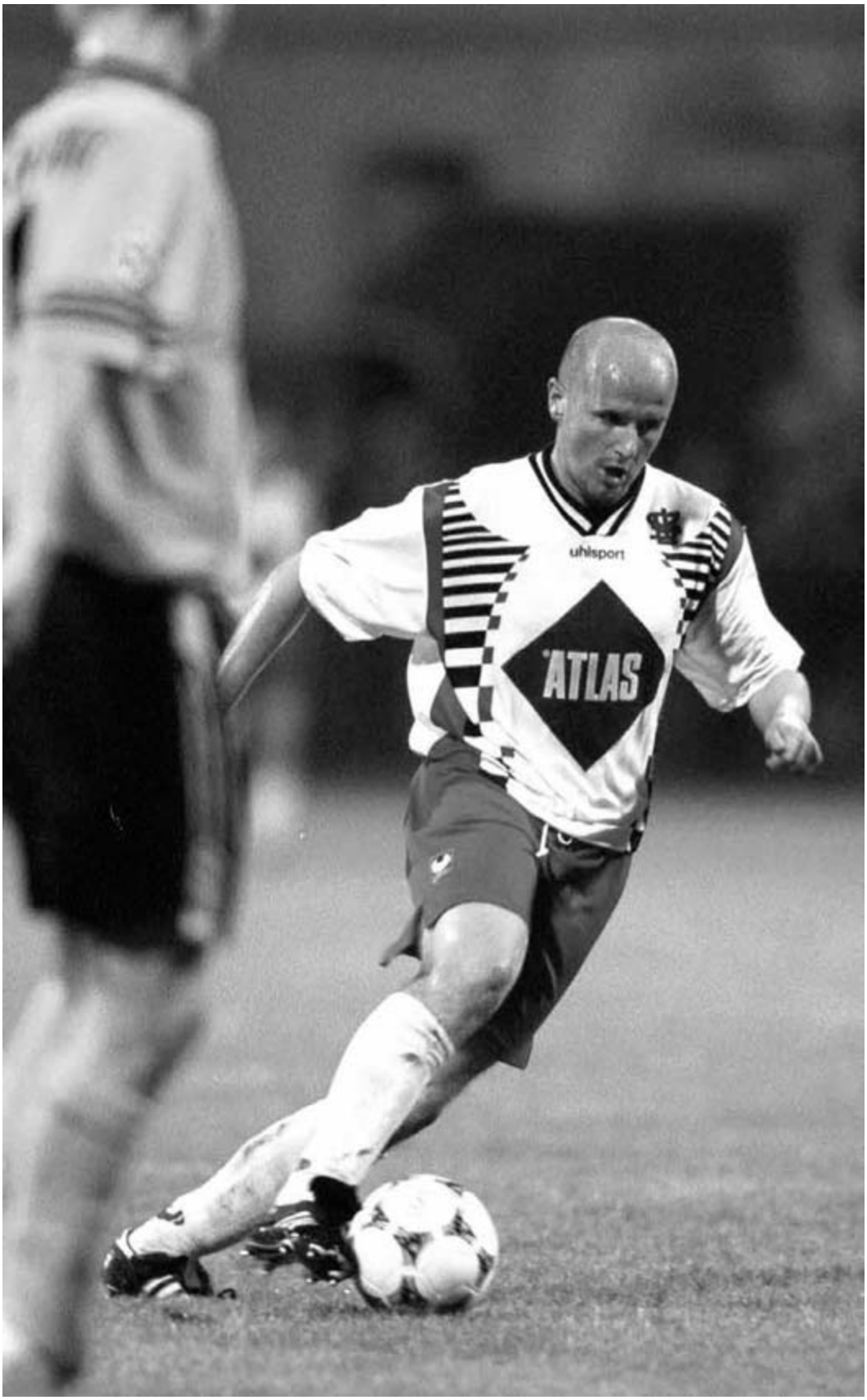
uhlsport
ATLAS

źródło: 400mm.pl

TOMASZ WIESZCZYCKI

(pomocnik)

W Ekstraklasie: ŁKS Łódź, Legia Warszawa, Polonia Warszawa, Dyskobolia Grodzisk Wielkopolski
Lata gry: 1988-1996, 1998-2001, 2002-2004
Mecze/gole: 363/99

Jeden z najbardziej bramkostrzelnych pomocników w historii Ekstraklasy. Z ogromnym dystansem dziś nazywa siebie członkiem „Klubu 99”, podkreślając, że zabrakło mu zaledwie jednego trafienia do Klubu 100. Sympatyczny zawodnik nie odżegnuje się od tej niewielkiej zadry w sercu. Niewielkiej, bo inne osiągnięcia z pewnością pomagają mu na co dzień zapominać o tym drobnym braku.

Zresztą to nie jedyny przypadek w jego karierze, gdy odmawiano mu wstępu do elitarnego grona. „Wieszczu” był członkiem kadry Janusza Wójcika podczas Igrzysk Olimpijskich w 1992 roku. Ostatecznie jednak selekcjoner

trzymał go na ławce rezerwowych. Dlatego też czasami podawano w wątpliwość jego udział w zdobyciu wicemistrzostwa olimpijskiego, podobnie jak u Dariusza Kosełły czy Arkadiusza Onyszki. Międzynarodowy Komitet Olimpijski przeciął jednak wszelkie spekulacje. Wieszczycki figuruje na liście polskich medalistów igrzysk, a jego medal zawieszono w Centrum Olimpijskim na specjalnej ściance. Sam „Wieszczu" może zaś korzystać z wszelkich praw należnym olimpijczykom.

W Ekstraklasie zadebiutował niemal pół roku przed siedemnastymi urodzinami. W dodatku jako zawodnik podstawowego składu, co czyni z niego jednego z najmłodszych debiutantów pod tym względem. Już tydzień później miał na koncie premierowego gola. Jego licznik wieku wskazywał wtedy 16 lat, 7 miesięcy i 16 dni! Później przez prawie półtorej dekady (z dwuletnią przerwą na pobyty we Francji i Grecji) był już stałym elementem rozgrywek na najwyższym szczeblu w Polsce.

Uzbierał przez ten czas aż 363 spotkania. Kiedy kończył karierę, ustępował pod względem liczby występów w Ekstraklasie zaledwie ośmiu piłkarzom. Dziś jest na dziewiętnastej pozycji, zresztą ex aequo ze swoim druhem z Legii oraz reprezentacji Polski, a także – podobnie jak „Wieszczu" – miłośnikiem wędkarstwa – Jackiem Zielińskim. Z TOP-20 mogą wypaść najwcześniej w sezonie 2018/19. Był trzecim najmłodszym w historii członkiem Klubu 300. Wyprzedzili go tylko Zdzisław Kapka i Paweł Janik. Z Zygfrydem Szołtysikiem, Kazimierzem Kmiecikiem,

Lesławem Ćmikiewiczem, Kazimierzem Deyną, Zygmuntem Maszczykiem, Markiem Bajorem i Dariuszem Gęsiorem tworzy grono jedynych zawodników z taką liczbą występów w Ekstraklasie i jednocześnie medalem olimpijskim na koncie. Tylko on, Bajor i Gęsior z tego towarzystwa występowali jeszcze w XXI w.

Wieszczycki dwa razy zdobył mistrzostwo Polski. Raz z ŁKS Łódź, co dla niego jako wychowanka tej drużyny, było szczególnym przeżyciem, a za drugim podejściem – z Polonią Warszawa. Tak się jakoś złożyło, że w obu swych zwycięskich sezonach pojawiał się w składach klubów dopiero po przerwie zimowej. W rundach wiosennych stanowił jednak zdecydowanie ważne ogniwo tych drużyn. Był jednym z głównych bohaterów fety po zdobyciu mistrzostwa przez Polonię Warszawa. Właściciel klubu Janusz Romanowski zaprosił na ceremonię bijący wtedy rekordy popularności zespół Ich Troje. Jego lider podstawił mikrofon Wieszczyckiemu i razem zaśpiewali refren piosenki „A wszystko to, bo Ciebie kocham…”.

Ponadto może pochwalić się Pucharem Polski, Pucharem Ligi i Superpucharem. Należy do nielicznego grona piłkarzy, którzy tę poczwórną koronę wywalczyli z jednym klubem. Na podium mistrzostw Polski gościł wspólnie też z Legią i Dyskobolią Grodzisk Wielkopolski. Z obydwoma tymi klubami zdobył wicemistrzostwo kraju. Ponadto z Wojskowymi awansował do ćwierćfinału Ligi Mistrzów. Z Dyskobolią dane było mu zaś przeżyć słynną batalię w Pucharze UEFA, gdy niewielki klub wyeliminował

Manchester City oraz Herthę Berlin i zakończył zmagania na 1/16 finału.

W lidze strzelił 99 goli, co często przywoływane jest w żartach. On sam nawet przypomina sytuację z czasów gry w Dyskobolii, która mogła mu dać upragnioną „setkę”. Z drugiej strony podkreśla fakt bycia jednym z najbardziej bramkostrzelnych pomocników.

W reprezentacji Polski wystąpił 11 razy i strzelił 3 gole, w tym jednego w debiucie przeciwko Arabii Saudyjskiej. Pokonał też golkipera Słowaków w eliminacjach EURO 1996.

Po zakończeniu piłkarskiej kariery bardzo krótko (jeden mecz) prowadził ŁKS Łódź w Ekstraklasie. Obecnie najbardziej znany jest jako komentator Ekstraklasy w Canal+.

FSO

źródło: 400mm.pl

JACEK ZIELIŃSKI

(obrońca)

W Ekstraklasie: Igloopol Dębica, Legia Warszawa
Lata gry: 1990-2004
Mecze/gole: 363/8

Dębica miała szczęście do wielu wybitnych zawodników. Stąd pochodził Leszek Pisz. Długo grał tu Jerzy Podbrożny. Do czołówki pod względem sławy należy jednak z pewnością Jacek Zieliński, przez siedem lat zawodnik miejscowego Igloopolu. „Zielek” nie ustępuje pozostałym dwóm pod względem sukcesów klubowych, a dodatkowo jako jedyny zagrał na mundialu.

Wszyscy trzej spotkali się zresztą potem w Legii Warszawa. I to Zieliński zakotwiczył w niej najdłużej. Stanowił opokę tego klubu. Należał do najlepszych polskich stoperów. W lidze zaś na ogół konkurował ze swym bardzo dobrym przyjacielem, a zarazem partnerem z reprezentacji

– Tomaszem Łapińskim. Bardzo twardy i skuteczny w swych interwencjach, a zarazem obdarzony sporymi umiejętnościami w grze głową. Murem obstawali za nim kolejni trenerzy Legii. „Zielek” odpłacał się im zaś pomocą w zapisywaniu kolejnych trofeów na koncie.

Wraz z Markiem Jóźwiakiem – swoim partnerem z defensywy – i Wojciechem Kowalczykiem są jedynymi piłkarzami, którzy z Legią zdobyli mistrzostwo Polski zarówno w XX, jak i XXI wieku. O ile jednak „Beret” oraz „Kowal” na długie lata wyemigrowali do innych lig, a po kilkusezonowej tułaczce powrócił w progi Łazienkowskiej, to Zieliński przez ponad dekadę był filarem tego zespołu. Razem z nim najważniejszy tytuł w polskich rozgrywkach zdobył w sumie trzy razy. Dołożył do tego taką samą liczbę Pucharów Polski. Czterokrotnie był wicemistrzem Polski, dwa razy kończył z Wojskowymi rywalizację na trzecim miejscu. Razem z tym klubem awansował do ćwierćfinału Ligi Mistrzów.

Praktycznie zawsze kiedy był zdrowy, miał miejsce w składzie swojego klubu. Od premiery nie było sezonu bez dwucyfrowej liczby spotkań w jego wydaniu. Nawet w pożegnalnej edycji, gdy liczył sobie już 37 lat, zagrał ponad dwadzieścia razy. Obecnie plasuje się na 20. miejscu pod względem rozegranych meczów w Ekstraklasie w historii. W samej Legii wyprzedza go w tej klasyfikacji wyłącznie Lucjan Brychczy. Na obronie w najwyższej polskiej lidze częściej od niego występowali tylko Witold

Bendkowski, Marcin Baszczyński, Hieronim Barczak i Marcin Baszczyński.

W reprezentacji zagrał sześćdziesiąt razy i strzelił jednego gola – w meczu towarzyskim z Czechami. Uczestniczył w MŚ w Korei i Japonii, gdzie jako kapitan wystąpił przeciwko USA. Jest on jednym z dziesięciu Polaków, którzy zakładali tę opaskę na najważniejszym turnieju świata, a zarazem ostatnim przedstawicielem Ekstraklasy w tym gronie. Wcześniej należał do najważniejszych postaci w eliminacjach zwieńczonych sukcesem. Po upadku komuny nie było zawodnika z większą liczbą występów w reprezentacji Polski jako piłkarza klubów Ekstraklasy. W całej historii pod tym względem ustępuje tylko Grzegorzowi Lacie, Kazimierzowi Deynie, Antoniemu Szymanowskiemu, Władysławowi Żmudzie oraz Henrykowi Kasperczakowi.

JAKO
Orange
KGHM
KOLPORTER
5
KGHM
METRACO

Od prawej: Manuel Arboleda / źródło: 400mm.pl

MANUEL ARBOLEDA

(obrońca)

Kluby w Ekstraklasie: KGHM Zagłębie Lubin, Lech Poznań
Lata gry: 2006-2014
Mecze/gole: 154/15

Przez całą karierę w Polsce wzbudzał skrajne emocje. Zwolennicy cenili jego warunki fizyczne i twardą grę w obronie. Przeciwnicy uważali go za nazbyt histerycznego. Dwóch tytułów mistrzowskich w Ekstraklasie jednak nikt mu nie odbierze. Był pierwszym obcokrajowcem w historii, któremu udało się tego dokonać w dwóch różnych klubach.

W 2007 roku KGHM Zagłębie Lubin zdobyło mistrzostwo po pasjonującym finiszu, gdy wyprzedziło GKS Bełchatów dosłownie na ostatniej prostej. Brunatni górowali ofensywą. W obronie w całym sezonie Miedziowi nie mieli jednak sobie równych. Duża w tym zasługa postawnego, czarnoskórego obrońcy z Kolumbii. „Maniek” –

jak często go nazywano w Polsce – rozegrał w tamtej edycji 25 spotkań. Do tego doszedł wkład ofensywny, w tym bramka w decydującym spotkaniu z Legią w Warszawie, w ostatniej kolejce sezonu. Arboleda wyrównał na 1:1, a później jego partner z defensywy, Michał Stasiak, strzelił na 2:1, co dało lubinianom drugie mistrzostwo Polski w historii klubu. Do historii przeszła koszulka, w której kolumbijski obrońca wystąpił na ceremonii: „Dziękuję: Jezus, Zagłębie, F. Smuda, C. Michniewicz".

Do Boga często się odwoływał, Czesław Michniewicz w Zagłębiu doprowadził go do mistrzostwa Polski, jednak kto wie, czy największego piętna na jego karierze nie odcisnął czwarty bohater podziękowań – Franciszek Smuda. To on sprowadził twardego Kolumbijczyka do Lubina, potem do Lecha Poznań, a gdy został selekcjonerem reprezentacji Polski, zaczął czynić nawet poważne zakusy, by uczynić z Arboledy ostoję polskiej defensywy w finałach EURO 2012. Ta próba nie spodobała się jednak kibicom i ostatecznie „Maniek" nie został reprezentantem Polski.

Już nie pod wodzą Smudy, ale Jacka Zielińskiego w Kolejorzu, w 2010 roku, po raz drugi w karierze zdobył mistrzostwo Polski. Ponadto dwukrotnie w karierze zostawał wicemistrzem i dwa razy na jego piersiach zawisł brązowy medal. Wywalczył dwa Superpuchary i jeden Puchar Polski, dwukrotnie bez powodzenia uczestniczył w finale tych ostatnich rozgrywek. Indywidualnie w sezonie, gdy z Kolejorzem wygrał ligę, został pierwszym triumfatorem punktacji „Złotych Butów" pochodzącym

z zagranicy. Jak dotąd dołączył do niego tylko Jan Mucha. W tym samym czasie „Piłka Nożna” nagrodziła go tytułem Obcokrajowca Roku. Jest jedynym zawodnikiem spoza Europy z takim wyróżnieniem na koncie. Wśród przybyszów z Ameryki Południowej pod względem liczby występów w Ekstraklasie ustępuje tylko czterem Brazylijczykom – Hernaniemu, Hermesowi, Ediemu Andradinie oraz Deleu i Argentyńczykowi – Mauro Cantoro.

To on swoim golem dał Lechowi Poznań awans do fazy grupowej Ligi Europy w dwumeczu z Dnipro Dnipropietrowsk. W tej rundzie pokonywał zaś bramkarzy Salzburga oraz Manchesteru City. Ostatecznie wraz z Kolejorzem zakończył te zmagania na 1/16 finału.

Niechęć do Arboledy wśród wielu kibiców, a nierzadko też rywali, czy nawet kolegów z drużyny, brała się jednak z jego skrajnych reakcji. Do historii ligi przeszły jego dzikie okrzyki w tunelu, furia po czerwonej kartce („Uwajaj, uwajaj głupia sędzia, mnie ciółko boli”) czy scysja z Euzebiuszem Smolarkiem. Niektórzy zarzucali mu pazerność. Nie jest tajemnicą, że przez pewien czas był najlepiej zarabiającym zawodnikiem w lidze.

Karierę zakończył w 2014 roku w barwach Lecha Poznań, gdzie grał siedem lat. Obecnie zajmuje się pracą scoutingową. Założył własny biznes w swym rodzinnym kraju.

Przed przyjazdem do Polski występował tylko w Kolumbii. W barwach Corporación Club Deportes Tolima został mistrzem kraju.

CANAL+
ŠKODA
AUTO
POL-MOT Auto

źródło: 400mm.pl

ARTUR BORUC

(bramkarz)

Kluby w Ekstraklasie: Legia Warszawa
Lata gry: 2002-2005
Mecze/gole: 69/1

Polska miała szczęście do wyjątkowych postaci w bramce reprezentacji. Edward Szymkowiak i jego genialny występ przeciwko ZSRR. Mistrz olimpijski Hubert Kostka. „Człowiek, który zatrzymał Anglię” – Jan Tomaszewski. Medalista MŚ i zdobywca PEMK – Józef Młynarczyk. Zwycięzca Ligi Mistrzów – Jerzy Dudek. To tylko kilka z wielu cegieł budujących renomę słynącej na całym świecie „polskiej szkoły bramkarskiej”. Potężnym filarem tej marki jest także Artur Boruc – rekordzista w liczbie występów w kadrze biało-czerwonych na pozycji golkipera.

Jako piłkarz klubu najwyższej rodzimej ligi rozegrał w reprezentacji w sumie siedem spotkań. Niedużo. Ale też

cały XXI wiek nie sprzyjał golkiperom występującym nad Wisłą w budowie rekordów. Spośród nich w reprezentacji Polski w tym czasie tylko Sebastian Przyrowski zanotował więcej meczów niż Boruc. Od zakończenia kariery przez Józefa Młynarczyka przewyższyli go zaś pod tym względem jeszcze tylko: Józef Wandzik (32 mecze jako gracz Górnika), Jarosław Bako (25 meczów jako gracz ŁKS Łódź, KGHM Zagłębia Lubin oraz Lecha Poznań) i Grzegorz Szamotulski (13 meczów jako gracz Legii Warszawa i Amiki Wronki).

Na początku XXI wieku świeża jeszcze była w Legii pamięć o Grzegorzu Szamotulskim. Młodym, pewnym siebie, może nieco nawet szalonym bramkarzu, który w wieku 20 lat wygryzł z bramki dużo bardziej doświadczonego Zbigniewa Robakiewicza. Stąd, z Łazienkowskiej 3, trafił nawet do pierwszego składu reprezentacji w czasach Aleksandra Kłaka, Adama Matyska, Macieja Szczęsnego, Andrzeja Woźniaka, Kazimierza Sidorczuka. Kto by przypuszczał, że spod tego samego adresu jeszcze wyżej zawędruje wkrótce inny piłkarz…

Po przerwie zimowej sezonu 2001/02 pierwszym bramkarzem Legii został Radostin Stanew. Bułgar zagrał w pierwszym spotkaniu ligowym po przerwie zimowej – z Amiką Wronki i rozpoczął w wyjściowym składzie też kolejny mecz – z Pogonią Szczecin. Po pół godzinie gry musiał zapobiec akcji Roberta Dymkowskiego. Wybiegł mu naprzeciw, jednak napastnik gospodarzy przechytrzył go, a w dodatku „spotkanie” zakończyło się zderzeniem i urazem Stanewa. – *Jeszcze w przerwie, siedząc w szatni,*

nie wiedział, co się wokół niego dzieje. Nie pamiętał, że puścił gola – relacjonował Maciej Weber dla „Gazety Wyborczej”.

Nie wiedział zatem też, że już od kwadransa na boisku przebywał Boruc. Spisał się raczej… słabo. Przepuścił bowiem łatwego gola z rzutu wolnego pod koniec meczu. Nic zatem dziwnego, że Dragomir Okuka zaczął poszukiwać zmiennika. Ostatecznie jednak serbski trener, aż do powrotu do zdrowia Stanewa, nie dokonał roszady w składzie. Boruc rozegrał pięć spotkań, przepuścił sześć goli i dwa razy zachował czyste konto. W tym raz w arcyważnym starciu z Wisłą Kraków. Dzięki niemu Legia strąciła Białą Gwiazdę z pozycji lidera. Na koniec sezonu bramkarz mógł zaś wypiąć pierś po złoty medal za mistrzostwo kraju i zwycięstwo w Pucharze Ligi.

Niekwestionowanym numerem jeden stał się zimą 2003 roku już po odejściu Stanewa, choć Legia ani przez trochę nie szczędziła na wartościowych konkurentach. Póki jednak był Boruc, ich nadzieje rozbijały się najdalej o „ogony” w mniej ważnych spotkaniach. Boruc stał się zaś nie tylko podstawowym graczem, ale też ulubieńcem trybun. Podbijał ligę efektownymi interwencjami, skuteczną grą, ale też olbrzymią charyzmą i zuchwałością.

Kiedyś w starciu z Widzewem podszedł nawet do wykonywania rzutu karnego. Płaski plasowany strzał dał mu jedynego gola w Ekstraklasie. Oczywiście nie byłby sobą, gdyby radości nie zamanifestował w osobliwy sposób. Po skutecznej próbie nerwów podbiegł do narożnika

i wyjął… chorągiewkę, za co otrzymał żółtą kartkę. Takie euforyczne chwile były zresztą jednym z jego znaków rozpoznawczych.

– *Potrzebuję zmiennika dla Dudka*! – jak mantrę powtarzał w tym czasie od kilku miesięcy selekcjoner reprezentacji Polski Paweł Janas. „Janosik" budował nową reprezentację z jasno określonym celem – mundial 2006. Między słupkami nadal numerem jeden był oczywiście bramkarz Liverpool FC – Jerzy Dudek. Brakowało jednak wartościowego zmiennika. Od zakończenia poprzednich kwalifikacji selekcjoner próbował w tej roli Grzegorza Szamotulskiego, Tomasza Kuszczaka, Macieja Nalepę i Wojciecha Kowalewskiego. Żaden jednak nie zdołał na dłużej osiąść w kadrze.

Boruc pierwsze powołanie otrzymał na zgrupowanie przed meczem towarzyskim z Irlandią w kwietniu 2004 roku. W lidze w barwach Legii nie przepuścił gola w 5 z 8 spotkań poprzedzających nominację do udziału w batalii z reprezentacją Zielonej Wyspy. – *Jerzy Dudek jest pewniakiem, ale musimy mieć przecież gotowego do gry zmiennika* – przyznawał Maciej Skorża, wtedy asystent Janasa.

Premiera wypadła lepiej niż w lidze. Artur nie przepuścił żadnej bramki. Blask jednak zyskał nie w kwietniowym, popołudniowym słońcu, ale kilka tygodni później w Szczecinie. W meczu przeciwko Grecji fenomenalnie wybronił sytuację „sam na sam". – *Dość powiedzieć, że po przerwie Polska ani razu celnie nie*

strzeliła na bramkę rywali. Najmocniejszym punktem był w tej sytuacji Artur Boruc. Chyba można zaryzykować, że Polska ma drugiego bramkarza. Spokojny, bezbłędny. Uratował zespół od utraty pewnej, wydawałoby się, bramki – pisała „Gazeta Wyborcza".

Kres wszelkim wątpliwościom położył zaś występem przeciwko USA. W mecz wszedł może niespecjalnie, bo sprokurował rzut karny. Jego notowania znacząco spadły, jednak na zaledwie kilkanaście sekund. Błąd naprawił bowiem, broniąc ten strzał z „wapna" dwukrotnego uczestnika mundiali Briana McBride'a. – *W drużynie polskiej był świetny bramkarz, kto wie, czy nie najlepszy piłkarz meczu, zapora niemal nie do przebycia* – skomentował mecz trener Bruce Arena, selekcjoner Jankesów, wtedy siódmej drużyny w rankingu FIFA.

Tym występem zakończył dyskusję nad poszukiwaniami dublera, lecz rozpoczął nową… Nad tym, czy nie powinna nastąpić roszada w bramce w spotkaniach eliminacyjnych! On – piłkarz Legii Warszawa, konkurent – gracz Liverpoolu FC. Dystans między ich sławą, osiągnięciami i pozycją klubów w europejskim rankingu wydawał się nie do przebycia. Boruc skrócił go jednak dzięki ledwie trzem spotkaniom w koszulce reprezentacji.

– *Stawiam, że najbliższe 10 lat to będzie show jednego człowieka – Artura Boruca. W tej chwili każdy z nich może bronić, a decyzję można podjąć, tylko będąc na zgrupowaniu, na którym obaj przebywają. Pozycja Jurka*

jest poważnie zagrożona – mówił Maciej Szczęsny dla „Życia Warszawy”.

Była zatem duża szansa na zakończenie serii trwającej od 1997 roku – ostatniego występu bramkarza z Ekstraklasy w meczach o punkty w reprezentacji Polski. Wtedy Grzegorz Szamotulski z Legii strzegł bramki w starciu z Gruzją. Ostatecznie jednak Paweł Janas zdecydował się na Jerzego Dudka i ta passa ciągnie się nadal...

Boruc od meczu z Danią jeszcze trzy razy stanął w bramce biało-czerwonych jako piłkarz Legii Warszawa.

Latem 2005 roku przeszedł do Celtiku Glasgow. Potem nastąpił debiut Boruca w meczu o punkty. Łzy rozpaczy w Dortmundzie, gdy po fenomenalnym meczu w Mistrzostwach Świata z gospodarzami skapitulował w ostatnich sekundach. Był splendor i pochwały od prezydenta, śp. Lecha Kaczyńskiego, po jednym z najgenialniejszych występów w historii polskiego bramkarstwa, gdy na EURO 2008 w pojedynkę zatrzymał Austriaków, przepuszczając strzał tylko z rzutu karnego. Były chwile triumfu po nominacji do trzech najlepszych bramkarzy świata w 2007 roku. Była cudowna interwencja z Belgią, wybrana najlepszą obroną kolejki w eliminacjach ME. Były też chwile trudne, jak sławetny błąd z Irlandią Północną czy wyrzucenie przez Franciszka Smudę z kadry. Był wreszcie triumfalny powrót, rekord w liczbie występów na tej pozycji w reprezentacji i udział w EURO 2016, gdzie już z perspektywy ławki rezerwowych cieszył się

z pierwszego od 1982 roku awansu do ćwierćfinału wielkiego turnieju seniorskiego w wykonaniu Polaków. Tę sinusoidę emocji przeżywaną przez tysiące kibiców w całej Polsce przez 13 lat i 196 dni rysował Artur Boruc.

Koniec tej drogi nastąpił w piątek 10 listopada 2017 roku na Stadionie PGE Narodowym, Dzięki temu uplasował się na drugim miejscu pod względem największej rozpiętości między pierwszym a ostatnim występem w reprezentacji Polski wśród bramkarzy.

W Celtiku Glasgow zyskał miano bohatera klubowego. Nazywany jest tam „Holly Goallie” (Święty Bramkarz). Z tym klubem trzy razy był mistrzem Szkocji, wywalczył też po razie Puchar Szkocji oraz Puchar Ligi. Później bronił barw Fiorentiny, Southampton i AFC Bournemouth. Z tym ostatnim został mistrzem Championship (drugiego poziomu rozgrywkowego w Anglii). Wszędzie gdzie się pojawiał, udawało mu się wywalczyć pozycję pierwszego bramkarza. Po odejściu z Ekstraklasy był między innymi dwukrotnie notowany na trzecim miejscu wśród najlepszych bramkarzy świata.

BARTOSZ BOSACKI

(obrońca)

Kluby w Ekstraklasie: Lech Poznań, Amica Wronki
Lata gry: 1995-2004 i 2006-2011
Mecze/gole: 352/10

Powołania do reprezentacji Polski na MŚ 2006 były pierwszym takim show w historii rodzimego futbolu. Selekcjoner Paweł Janas zadziwił brakiem Jerzego Dudka, Tomasza Frankowskiego, Tomasza Rząsy czy Tomasza Kłosa w składzie. Toteż nikt nie roztrząsał braku Bartosza Bosackiego. Ostatecznie jednak wypadł z drużyny skrzydłowy Damian Gorawski, a na jego miejsce trener zaskakująco włączył do zespołu „Bosego", i to ten zawodnik został jednym z największych bohaterów polskich reprezentacji na tym turnieju.

Na mundialu w Niemczech zagrał całe mecze przeciwko gospodarzom (porażka 0:1) oraz przeciwko Kostaryce w spotkaniu „o honor". Zakończyło się ono

zwycięstwem Polaków 2:1, a Bosacki strzelił w nim oba gole biało-czerwonych. Dzięki temu wraz z Ernestem Wilimowskim, Grzegorzem Latą, Andrzejem Szarmachem i Zbigniewem Bońkiem tworzy wąskie grono polskich zawodników, którzy w pojedynczym spotkaniu mundialowym strzelili więcej niż jednego gola. Poprzednio przed „Bosym" dokonał tego „Zibi" dwadzieścia cztery lata wcześniej (hat-trick z Belgią). Jednocześnie jest on jedynym polskim obrońcą z dubletem, a zarazem najbardziej bramkostrzelnym zawodnikiem na tej pozycji z szeregu biało-czerwonych.

Po tamtym spotkaniu nastąpił szczyt popularności tego zawodnika. Grał on już wtedy w Lechu Poznań. Poprzednie półtora sezonu spędził zaś w Bundeslidze. Był to jego jedyny okres w karierze od 1995 do 2011 roku, który spędził poza Ekstraklasą. Dzięki temu został 22. zawodnikiem, który uzbierał co najmniej 350 występów w najwyższej lidze. Dziś znajduje się na 27. miejscu w klasyfikacji wszech czasów pod względem liczby występów w elicie. W żadnym ze swoich sezonów na tym szczeblu nie strzelił jednak więcej goli niż… na mundialu!

Jedynego mistrzostwa Polski doczekał się w swojej przedostatniej edycji. Miał już wtedy blisko trzydzieści pięć lat, mimo tego był podstawowym graczem Kolejorza. W dwudziestu ośmiu spotkaniach zwycięskiego sezonu grał od pierwszej do ostatniej minuty. Strzelił w niej dwa gole z rzutów karnych. Pełnił w tym czasie funkcję kapitana klubu ze stolicy Wielkopolski. Do tego dochodzą dwa

brązowe medale. Jest również jednym z najbardziej utytułowanych zawodników w historii Pucharu Polski. Cztery razy wygrywał te rozgrywki ze swymi klubami. Do tego raz doszedł do finału, ale już bez końcowego sukcesu. W europejskich pucharach jego największym sukcesem jest 1/16 finału Ligi Europy.

W Polsce reprezentował on tylko barwy Amiki Wronki i Lecha Poznań. Poza granicami grał przez półtora sezonu w Bundeslidze dla 1. FC Nurnberg. W reprezentacji Polski rozegrał dwadzieścia spotkań, w tym siedemnaście jako zawodnik klubów Ekstraklasy. Trafienia z mundialu były jego jedynymi golami w biało-czerwonych barwach.

Karierę zakończył w 2011 roku.

CANAL+
CANAL+
23

źródło: 400mm.pl

PAWEŁ BROŻEK

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Wisła Kraków, GKS Katowice
Lata gry: 2001, 2002-2010 i 2013-obecnie
Mecze/gole: 343/139 (stan na 11.11.2018)

Najlepszy strzelec XXI wieku w Ekstraklasie i zarazem godny następca Henryka Reymana, Józefa Kohuta, Kazimierza Kmiecika, Zdzisława Kapki, Tomasza Frankowskiego czy Macieja Żurawskiego w ataku Wisły Kraków. Paweł Brożek bez wątpienia należał do głównych postaci drugiej połowy premierowej dekady bieżącego stulecia.

Kiedyś Tomasz Smokowski podczas Gali Ekstraklasy w 2009 roku zapytał „Brozia": – *Piłkarze Lecha i Legii dopytują się, Pawle, kiedy opuścisz Ekstraklasę i dasz im zgarnąć jakieś nagrody?* – Podczas tamtej edycji został on Piłkarzem Sezonu oraz królem strzelców (ex aequo

z Takesurem Chinyamą). Sezon wcześniej zwyciężył w klasyfikacji strzelców. Dzięki temu został pierwszym zawodnikiem od czasów Jerzego Podbrożnego, który obronił ten tytuł. Do dziś w XXI wieku jest jedynym autorem takiego dokonania.

W obu swych „królewskich” sezonach wygrywał z Wisłą Kraków mistrzostwo Polski. Tytuł ten na jego koncie znalazł się zaś w sumie aż siedem razy. To najlepszy wynik bieżącego stulecia. W 2001, 2003, 2004, 2005 roku był jednak dopiero „nadzieją”. Po odejściu Macieja Żurawskiego oraz Tomasza Frankowskiego stał się już bezapelacyjnym liderem napadu Białej Gwiazdy oraz dominatorem w całej lidze.

To właśnie on jest najlepszym strzelcem XXI wieku w Ekstraklasie z liczbą 140 bramek. W całej historii rozgrywek znajduje się na 9. miejscu. Został ponadto drugim po Kazimierzu Kmieciku najskuteczniejszym zawodnikiem Wisły Kraków w dziejach. Poza nim tylko sześciu innych piłkarzy figuruje zarówno w Klubie 100, jak i Klubie 300. Poza siedmioma tytułami mistrzowskimi jego kolekcja trofeów drużynowych zawiera zaś też dwa Puchary Polski, jeden Puchar Ligi oraz trzy wicemistrzostwa Polski.

W reprezentacji Polski Paweł Brożek zagrał 38 razy i strzelił 9 goli. Jednak tylko raz udało mu się spędzić na boisku pełne dziewięćdziesiąt minut! Aż osiemnaście razy był zmiennikiem. W tej roli pojechał na mundial w 2006 roku. Był nawet bliski strzelenia gola w starciu z Ekwadorem. Zagrał też na EURO 2012. Dzięki temu jako

jedyny w sezonie 2017/2018 wśród piłkarzy Ekstraklasy posiadał występy na obu imprezach tej rangi. Jan Mucha na czempionacie Starego Kontynentu pełnił bowiem rolę rezerwowego bramkarza Słowaków. W ten sposób Wisła Kraków w minionej edycji rozgrywek miała w składzie uczestników: MŚ 2002 (Głowacki), MŚ 2006 (Brożek), ME 2008 (Wasilewski) i ME 2012 (Brożek, Wasilewski).

Dużym sukcesem zakończył się za to udział Brożka na ME U-18 w 2001 roku. Wraz z reprezentacją Polski zdobył wtedy złoty medal. Z tego turnieju wrócił do Wisły Kraków ze sporymi nadziejami na powodzenie w walce o pierwszy skład. Frankowski, Żurawski i Marcin Kuźba okazali się jednak trudnymi do pokonania rywalami. Szybciej wysoką pozycję w zespole osiągnął jego brat bliźniak, lewy obrońca – Piotr. Później role się odwróciły, choć długi czas występowali razem.

We dwójkę z Wisły przenieśli się do tureckiego Trabzonsporu. Ponadto poza Polską, Paweł Brożek występował w Celtiku Glasgow (mistrzostwo Szkocji) i w II lidze hiszpańskiej – w Recreativo Huelva. Najlepiej czuł się jednak zawsze przy Reymonta. Pożegnał się z nim najlepiej jak potrafił. Po ogłoszeniu jego odejścia strzelił gola w swym ostatnim występie na tym obiekcie w barwach Białej Gwiazdy, dającego remis 1:1 z Lechem Poznań. Po kilku miesiącach przerwy, wrócił jednak do Wisły Kraków, po namowach trenera Macieja Stolarczyka.

21
99

źródło: 400mm.pl

TOMASZ FRANKOWSKI

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Jagiellonia Białystok,Wisła Kraków
Lata gry: 1992-1993, 1998-2005 i 2009-2013
Mecze/gole: 302/168-169

„Franek, Franek – łowca bramek”. To jedna z najpopularniejszych przyśpiewek na polskich stadionach na przełomie XX i XXI wieku. Niski, filigranowy napastnik dysponował jednym z najlepszych nosów strzeleckich w Ekstraklasie w historii. Jako ostatni otarł się o legendarne wyniki skuteczności Ernesta Pohla oraz Lucjana Brychczego.

Według różnych wyliczeń strzelił on 167-169 goli. W zależności od przyjętej interpretacji daje mu to: 4., 3. ex aequo z Gerardem Cieślikiem lub 3. samodzielnie miejsce na liście strzelców wszech czasów Ekstraklasy. Od lat sześćdziesiątych nie było więc równego mu snajpera

w lidze. Mógł nawet prześcignąć Pohla i Brychczego, ale w sumie aż osiem lat kariery spędził na występach zagranicznych. W najwyższej polskiej lidze osiągnął średnią 0,55 gola/mecz. W Klubie 100 ostatnim zawodnikiem z lepszym wskaźnikiem od niego był Włodzimierz Lubański (0,7). Gdyby został w Polsce przez całą karierę i legitymował się taką skutecznością, to jego dorobek wyniósłby blisko ponad dwieście pięćdziesiąt bramek!

Cztery razy został królem strzelców Ekstraklasy. Daje mu to ex aequo pierwsze miejsce na liście zdobywców tego tytułu wszech czasów razem z Kmiecikiem i Lubańskim. Repertuar jego możliwości w polu karnym był nieograniczony. Strzelał prawą, lewą nogą, nawet głową, pomimo niezbyt imponujących warunków fizycznych. Po prostu zawsze z piłką stanowił śmiertelne zagrożenie dla rywala. Jego znakiem rozpoznawczym pozostała jednak tzw. „podcinka”. Czyli miękkie, niezbyt wysokie i mocne, przerzucenie piłki nad wybiegającym bramkarzem. Do dziś komentatorzy telewizyjni w Polsce widząc takie zagranie, często mówią: „podcinka a’la Frankowski”. Jego popisem był szczególnie sezon 2004/05. W dwudziestu sześciu kolejkach osiągnął on wynik aż dwudziestu pięciu bramek. Ostatnie lepsze średnie pod tym względem były dziełem Teodora Anioły, Gerarda Cieślika i Jana Liberdy pół wieku wcześniej! W całym 2004 roku w Ekstraklasie trzydzieści razy skierował piłkę do siatki przeciwników, co jest zdecydowanie najlepszym wynikiem.

Wisła Kraków wyposażona na początku dekady w strzelby w postaci Macieja Żurawskiego oraz „Franka” była śmiercionośną maszyną. Razem z Białą Gwiazdą na przełomie wieków zdobył pięć razy mistrzostwo Polski. Do tego dochodzą też trzy wicemistrzostwa. W żadnym z sezonów w składzie z tym napastnikiem krakowski zespół nie spadł poniżej drugiego miejsca! Do tego dochodzi też Puchar Ligi oraz dwa Puchary Polski. Pierwszy zawodnik w XXI w., który strzelił ponad 100 goli.

Po wojażach zagranicznych Frankowski zasilił szeregi Jagiellonii Białystok – klubu ze swojego rodzinnego miasta, gdzie w 1992 roku zadebiutował w Ekstraklasie i strzelił swojego pierwszego gola. Na Podlasiu do swojej kolekcji dołożył kolejny triumf w Pucharze Polski, Superpuchar Polski oraz ostatni z czterech tytułów króla strzelców. Dzięki temu został pierwszym zawodnikiem w XXI wieku, który zdobył go w dwóch różnych zespołach. Jest też najstarszym zwycięzcą tej klasyfikacji w historii. Liczył sobie w tej chwili już prawie trzydzieści siedem lat! Temu lisowi pola karnego nie dość było jednak strzeleckich wyczynów. W kolejnej edycji znów seryjnie trafiał do siatek przeciwników. Ostatecznie z liczbą piętnastu goli miejsca ustąpił tylko młodszemu o czternaście lat Artjomsowi Rudnevsowi.

Po strzeleniu swojego 168. gola i awansie na 3. miejsce w tabeli strzelców wszech czasów zaprezentował okolicznościowy trykot. Były na nim wypisane nazwiska wszystkich asystentów, którzy pomogli mu zdobyć bramki.

Na szczycie listy znalazł się oczywiście „Żuraw” – długoletni konkurent, a zarazem kolega klubowy. Jest jednym z siedmiu zawodników figurujących zarówno w Klubie 100, jak i w Klubie 300. Wśród członków tego drugiego grona, liczbą zdobytych bramek ustępuje wyłącznie Lucjanowi Brychczemu. Jako drugi zawodnik w historii, po Teodorze Peterku, 20. rocznicę swego debiutu w Ekstraklasie świętował jako nadal aktywny gracz tego poziomu rozgrywkowego!

W reprezentacji Polski wszyscy pamiętają Tomasza Frankowskiego głównie z eliminacji zakończonych awansem do mundialu w 2006 roku. Selekcjoner Paweł Janas przekonywał się do niego opornie. Napastnik Wisły Kraków znalazł się w składzie chyba bardziej z powodu presji mediów. Trener wprowadzał go zaś początkowo na zmiany. Mimo to snajperowi nie trzeba było wielu kontaktów z piłką. Pokonał golkiperów czterech z pięciu rywali w tych kwalifikacjach (Austrii, Walii, Azerbejdżanu i Anglii). Łącznie aż siedem razy wpisał się na listę strzelców – w tym zawiera się między innymi hat-trick z Azerami oraz przepiękna bramka przeciwko Anglii, zdobyta z woleja. W europejskiej części kwalifikacji skuteczniejsi od niego byli tylko Jan Koller, Zlatan Ibrahimović oraz Pedro Pauleta.

Mimo tego Frankowski nie znalazł się w drużynie powołanej przez Pawła Janasa na mundial, co stanowiło jedno z największych zaskoczeń. Selekcjoner jednak nigdy nie zaufał mu w pełni, a po wyjeździe z Polski „Franek”

zatracił skuteczność. Ostatecznie więc nie znalazł się w składzie. Nigdy nie pojechał przez to na wielką imprezę. Znów głosy o powołaniu Frankowskiego odzywały się przed EURO 2012. Był wtedy w dobrej formie, w dwóch poprzednich sezonach zdobył blisko trzydzieści bramek w lidze. Franciszek Smuda postanowił go jednak zabrać tylko w roli… trenera napastników.

Indywidualnie wśród jego nagród znajduje się tytuł Piłkarza Roku 2005 katowickiego „Sportu” oraz dwie statuetki od „Piłki Nożnej”. Jedną wywalczył w roli Odkrycia Roku, drugą dostał jako Osobowość Roku. Karierę wyczynową zakończył w 2013 roku. Obecnie mieszka w Białymstoku. Był drugim członkiem Klubu 100, który zdobył tytuł króla strzelców w dwóch różnych drużynach, po Erneście Pohlu.

źródło: 400mm.pl

ARKADIUSZ GŁOWACKI

(obrońca)

W Ekstraklasie: Lech Poznań, Wisła Kraków
Lata gry: 1996-2010 i 2012-2018
Mecze/gole: 435/14

Obok Zlatana Ibrahimovicia, Gianluigiego Buffona, czy Diego Forlana, Arkadiusz Głowacki był jednym z ostatnich uczestników mundialu w 2002 roku, który szesnaście lat później nadal występował w najwyższej lidze krajowej. Po sezonie 2017/2018 twardy jak skała defensor, a zarazem rekordzista Wisły Kraków w liczbie rozegranych spotkań w Ekstraklasie zdecydował się powiedzieć „pas”.

Od zawsze imponował przede wszystkim twardą, inteligentną, skuteczną grą w defensywie. Zdarzało się jednak, że w decydujących fragmentach zawodziły go nerwy. Szczególnie głosy o słabej odporności psychicznej „Głowy” nasiliły się po eliminacjach MŚ 2006 i jego – dość

efektownym – samobójczym trafieniu z Anglią. Mawiano, że rzadkie są spotkania, by nie przytrafiła mu się przynajmniej jedna z trzech rzeczy: samobój, kontuzja lub czerwona kartka. Dziś, z perspektywy czternastu lat, okazało się, jak mało trafne były takie żarciki. W kategorii najtrudniejszych rywali wśród obrońców, już praktycznie od dekady Arkadiusz Głowacki figuruje na pierwszych lokatach. Jego twarda gra, umiejętność rywalizacji „bark w bark" często skutecznie studziły zapędy ofensywne rywali.

Od 2017 roku jest już rekordzistą Wisły Kraków w liczbie występów w Ekstraklasie. Wyprzedził na tej pozycji słynnego Władysława Kawulę. Zajmuje też 4. miejsce w tabeli wszech czasów pod względem rozegranych starć w najwyższej lidze ze wszystkich piłkarzy. Do podium zabrakło mu siedemnastu spotkań. Na 6. miejscu uplasował się zaś w klasyfikacji występów w jednym klubie w Ekstraklasie. Do poprzedzających go – Hieronima Barczaka oraz Lucjana Brychczego – zabrakło mu odpowiednio: siedmiu i ośmiu spotkań.

Wśród członków TOP-10 Klubu 300 pod względem osiągniętych sukcesów „Głowa" ustępuje swą kolekcją wyłącznie Zygfrydowi Szołtysikowi. Sześć razy zdobył z Białą Gwiazdą mistrzostwo Polski, trzy razy był zaś wicemistrzem kraju. Do tego doszły dwa Puchary Polski oraz jeden Puchar Ligi. Indywidualnie zyskał nagrodę dla Obrońcy Sezonu w edycjach 2008/09 i 2013/14. Wystąpił też we wszystkich meczach Wisły Kraków w pamiętnej kampanii w Pucharze UEFA, zakończonej na 1/8 finału. Po

drodze pomógł w wyeliminowaniu między innymi AC Parmy czy Schalke 04 Gelsenkirchen.

Ponad dwie dekady grał na najwyższym poziomie rozgrywkowym. Debiutował w maju 1997 roku w barwach Lecha Poznań. Później stał się filarem Wisły Kraków. Z wyłączeniem dwóch sezonów spędzonych w barwach tureckiego Trabzonsporu nie było od edycji 2000/01 rozgrywek, by nie rozegrał przynajmniej dwunastu spotkań! Po abdykacji Łukasza Surmy stał się najstarszym zawodnikiem w Ekstraklasie. Był ostatnim zawodnikiem, który mógł się pochwalić medalem piłkarskich mistrzostw Polski zdobytym w XX w., a także golem strzelonym w minionym stuleciu. Podczas konferencji prasowej w maju 2018 roku, gdy ogłaszał swój rozbrat z futbolem, poleciały łzy, tak głównemu bohaterowi, jak i części zgromadzonych dziennikarzy.

W reprezentacji Polski wystąpił 29 razy. Jerzy Engel zabrał go na mundial w 2002 roku. W Korei „Głowa” wystąpił w starciu z USA, zakończonym wygraną 3:1. Po raz ostatni dał mu szansę gry Franciszek Smuda, przed siedmioma laty.

CANAL+
TELE-FONIKA
5

źródło: 400mm.pl

KAMIL KOSOWSKI

(pomocnik)

Kluby w Ekstraklasie: Górnik Zabrze, Wisła Kraków, GKS Bełchatów
Lata gry: 1996-2003, 2007 i 2011-2013
Mecze/gole: 222/15

Wózek ze sławą prawie każdego napastnika ciągną pomocnicy. Nie byłoby tylu goli Teodora Peterka i Ernesta Wilimowskiego, gdyby nie Gerard Wodarz. Ernest Pohl czy Włodzimierz Lubański też nie znaczyliby aż tyle bez Romana Lentnera albo Zygfryda Szołtysika. Także Tomasz Frankowski oraz Maciej Żurawski mieli swojego męża opatrznościowego w drugiej linii. Był nim Kamil Kosowski.

W krótkim czasie Wisła Kraków dokonała dwóch transferów z Górnika Zabrze. Najpierw na Reymonta trafił obrońca Grzegorz Lekki. Kilka miesięcy po nim przywędrował też skrzydłowy – Kamil Kosowski. Pierwszy

ograniczył się do roli epizodycznej. Drugi stał się jednym z filarów Białej Gwiazdy i współautorem największych sukcesów tej drużyny na początku XXI wieku.

Szybki, bardzo dobrze ułożony technicznie, z umiejętnościami dośrodkowań zarówno w pełnym biegu, jak i ze stojącej piłki był królem asyst w Wiśle w latach jej dominacji na krajowym podwórku. Z jego podań korzystali między innymi Tomasz Frankowski, Maciej Żurawski, Marcin Kuźba czy Paweł Brożek. Razem z tymi zawodnikami sięgnął w sumie po trzy mistrzostwa Polski, jedno wicemistrzostwo, dwa Puchary Polski, Puchar Ligi oraz Superpuchar Polski. To on uchodził za jednego z największych bohaterów kampanii Wisły, zakończonej na 1/8 finału Pucharu UEFA w edycji 2002/03. Wtedy właśnie posypały się liczne oferty za tego zawodnika. Przebąkiwano o Włoszech i grze dla Lazio Rzym lub Interu Mediolan. Ostatecznie skończyło się na 1. FC Kaiserslautern.

Poza Polską grał też w Southampton, Chievo Weronie, Cadiz CF czy na Cyprze, gdzie wraz z APOEL-em Nikozja zdobył mistrzostwo Cypru, a także spełnił swoje marzenie o występach w fazie grupowej Ligi Mistrzów. Dwukrotnie wracał do Wisły Kraków. Raz w 2007 roku i na zakończenie kariery – w 2013 roku. Bezpośrednio po powrocie z Wyspy Afrodyty grał w GKS Bełchatów.

Jego wielkim atutem była wszechstronność. Z równym powodzeniem grał na prawym, co lewym skrzydle. Dlatego raz w plebiscycie „Piłki Nożnej” wybrano go raz najlepszym prawym, a raz lewym pomocnikiem Polski. Oprócz Henryka

Kasperczaka wykorzystywał to też skrzętnie Paweł Janas w reprezentacji. „Kosa” był jednym z głównych bohaterów eliminacji zakończonych awansem na MŚ 2006. Strzelił gole przeciwko Azerbejdżanowi i Austrii. Szczególnie to drugie trafienie było niezmiernie ważne. Na mundialu zagrał jako zmiennik tylko z Ekwadorem. Ostatecznie jego bilans w kadrze zamknął się na 52 spotkaniach i 4 golach.

Karierę zakończył w 2014 roku. Obecnie pracuje w Canal+ Sport jako ekspert.

Betclic

źródło: 400mm.pl

ROBERT LEWANDOWSKI

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Lech Poznań
Lata gry: 2008-2010
Mecze/gole: 58/32

Jeden z najsławniejszych polskich piłkarzy wszech czasów. Dziś najbardziej znany jako seryjny łowca goli, wielokrotny mistrz Niemiec, najskuteczniejszy Polak w historii Bundesligi i rekordzista reprezentacji Polski w liczbie strzelonych goli. Przed dekadą był jednak jedną z najważniejszych postaci w Ekstraklasie.

Podobno Franciszek Smuda wcale nie był przekonany, którego napastnika Znicza Pruszków ściągnąć do Lecha Poznań. Bartosz Wiśniewski oraz Robert Lewandowski w rundzie jesiennej szli prawie łeb w łeb. W przerwie zimowej „Wiśnia” przeszedł do Wisły Płock, „Lewy” zaś omal nie awansował z klubem z podwarszawskiej

miejscowości do Ekstraklasy! Znicz przegrał promocję tylko z Arką Gdynia różnicą bramek. Ostatecznie jednak trafił do najwyższej klasy rozgrywkowej, bo latem sięgnął po niego Kolejorz.

Już jego wejście do ligi znamionowało gracza z wielkim potencjałem. Wprowadzony z ławki napastnik strzelił w debiucie gola przeciwko GKS-owi Bełchatów piętą w pełnym biegu! Późniejsze dokonania tego zawodnika pozwoliły trochę zredukować szok widzów po tym trafieniu. W premierowej edycji „Lewy” strzelił czternaście goli. Jak na zawodnika w wieku młodzieżowca, wcześniej grającego tylko na zapleczu, był to wynik naprawdę dużej klasy. Ustąpił pod względem zdobyczy tylko dwóm dużo bardziej doświadczonym – Pawłowi Brożkowi oraz Takesure’owi Chinyamie.

Jeszcze lepiej wypadł w kolejnym sezonie. Tym razem całkowicie zdominował rywalizację snajperów dzięki osiemnastu zdobytym bramkom. Następnego na liście Iliana Micanskiego wyprzedził czterema trafieniami. Był najmłodszym zawodnikiem z tym tytułem od Andrzeja Juskowiaka w 1990 roku. Pięć z nich zostało wbitych w czterech ostatnich spotkaniach edycji, co pozwoliło Lechowi na finiszu rozgrywek wyprzedzić Białą Gwiazdą. Dało to „Lewemu” pierwsze mistrzostwo kraju w karierze. Z Kolejorzem wywalczył też brązowy medal oraz Puchar Polski. To wszystko w dwa sezony gry!

Posypały się też wyróżnienia indywidualne. W 2008 roku został uznany przez „Piłkę Nożną” Odkryciem Roku.

W kolejnej edycji plebiscytu wywalczył już tytuł Ligowca Roku. Od paru lat króluje niepodzielnie w rozmaitych zestawieniach krajowych. Znajduje się też regularnie w czołówce nawet w Złotej Piłce. Tu już jednak wchodzą w grę olbrzymie dokonania z Bayernu Monachium i reprezentacji Polski.

Do kadry trafił jeszcze w czasach Ekstraklasy. We wrześniu 2008 roku – a zatem ledwie miesiąc po debiucie ligowym – szansę występu dał mu Leo Beenhakker. Napastnik w eliminacjach MŚ wszedł w 59. minucie i strzelił gola na 2:0. Od tej pory niemal regularnie był częścią drużyny u kolejnych selekcjonerów. Razem z nią awansował do ćwierćfinału EURO 2016, gdzie zresztą także popisał się trafieniem. Potem był najskuteczniejszym strzelcem eliminacji europejskich do mundialu w 2018 roku. Po starciu z Armenią awansował na pierwsze miejsce w klasyfikacji strzelców wszech czasów reprezentacji Polski, wyprzedzając Włodzimierza Lubańskiego. Na jego koncie znajduje się obecnie 51 bramek. Jest na drugim miejscu po Kazimierzu Deynie pod względem największej liczby meczów w roli kapitana.

Z Ekstraklasy trafił do Borussii Dortmund, a następnie do Bayernu Monachium. W Niemczech pięć razy wywalczył mistrzostwo kraju, dwukrotnie dołożył do tego Puchar Niemiec i Superpuchar Niemiec. Grał też w finale Ligi Mistrzów. Zasłynął między innymi czterema bramkami przeciwko Realowi Madryt w półfinale Champions League czy pięcioma bramkami w dziewięć minut w starciu z VfL

Wolfsburg w Bundeslidze! Przez wielu uważany za jednego z najlepszych obecnie zawodników na świecie.

CANAL+
INTER
GROCLIN
TRADING
erima

źródło: 400mm.pl

SEBASTIAN MILA

(pomocnik)

Kluby w Ekstraklasie: Dyskobolia Grodzisk Wielkopolski, ŁKS Łódź, Śląsk Wrocław, Lechia Gdańsk
Lata gry: 2002-2004 i 2008-2018
Mecze/gole: 318/51

Główny motor napędowy drużyny mistrzów Europy U-18 z 2001 roku. Później kandydat na wieloletniego rozgrywającego reprezentacji Polski. Do historii Sebastian Mila przeszedł jednak trafieniem z meczu z Niemcami w eliminacjach EURO 2016.

Po bramce Arkadiusza Milika biało-czerwoni prowadzili z odwiecznym rywalem 1:0. Niemcy jednak przeważali. Napór nie malał właściwie na żadnym etapie meczu. Kibice coraz bardziej nerwowo zerkali na zegar. Gdy minęła 87. minuta, gospodarzom udało się wywalczyć aut przy linii bocznej boiska. Daleki wyrzut trafił do Roberta

Lewandowskiego. „Lewy” zgrał futbolówkę do biegnącego środkiem Sebastiana Mili, a pomocnik Śląska Wrocław precyzyjnym strzałem lewą nogą nie dał szans Manuelowi Neuerowi, który kilka tygodni wcześniej cieszył się z tytułu mistrza świata! Wprowadzony kilka minut wcześniej zawodnik w szale radości pobiegł zaś do Adama Nawałki, który dojrzał w nim – po latach – piłkarza na miarę reprezentacji. To trafienie zapewniło Polakom pierwsze zwycięstwo w historii z Niemcami. Kto wie, czy szukając kolejnej słynniejszej bramki polskiego futbolu, nie należałoby się cofnąć do Jana Domarskiego z Wembley?

Wielu dziwiło się powołaniu Adama Nawałki. Mila bowiem długo – poza dwoma symbolicznymi epizodami za kadencji Franciszka Smudy, ponad osiem lat – nie miał kontaktu z reprezentacją. Pierwszy raz trafił tam w 2003 roku. Uchodził wtedy za zdolnego rozgrywającego, jedną z największych gwiazd ME U-18, wygranego przez Polaków, a zarazem reżysera gry wyróżniającej się Dyskobolii Grodzisk Wielkopolski. Z tym zespołem wywalczył wicemistrzostwo Polski oraz brał udział w zakończonej triumfem edycji Pucharu Polski. Później jednak wyjechał „podbijać świat”. Gra w Austrii przyniosła mu mistrzostwo oraz puchar tego kraju. Zaliczył potem jeszcze krótki epizod w Norwegii i wrócił do Polski.

Wielu uważało go w tym momencie za „piłkarza przegranego”. On jednak po jednej rundzie w ŁKS Łódź trafił do Śląska Wrocław i tu przeżył swój drugi szczyt kariery. W stolicy Dolnego Śląska, jak za dawnych lat

w Grodzisku Wielkopolskim, był głównym reżyserem gry. Razem z tym zespołem zdobył mistrzostwo, wicemistrzostwo Polski, brązowy medal oraz Puchar Ligi. Indywidualnie zyskał nagrodę Pomocnika Sezonu 2011/12. Dwukrotnie „Piłka Nożna” wyróżniała go zaś tytułem Ligowca Roku.

Znów pozwoliło mu to trafić na orbitę zainteresowań selekcjonerów. Między 2006 a 2011 rokiem był bowiem z dala od kadry. Wcześniej zaś z reprezentacją Pawła Janasa wywalczył awans na mundial 2006. Brał udział w siedmiu z dziesięciu spotkań tamtej kampanii. Został powołany także na sam turniej, ale selekcjoner trzymał go w rezerwie.

Poza golem z Niemcami wielu pamięta też Sebastiana Milę z trafienia przeciwko Manchesterowi City. Razem z Dyskobolią „Roger” – jak nazywa się go z powodu podobieństwa nazwiska do kameruńskiego napastnika Rogera Milli – mierzył się z tym zespołem w I rundzie Pucharu UEFA. Blondwłosy pomocnik świetnym strzałem z rzutu wolnego zaskoczył słynnego Davida Seamana. Stałe fragmenty gry były zresztą zawsze jego mocną stroną. Ostatecznie przygoda grodziszczan w tej edycji skończyła się na 1/16 finału. Wcześniej poza „The Citizens” wyeliminowali też Herthę Berlin.

W maju 2018 roku podjął decyzję o zakończeniu kariery piłkarskiej. Na pożegnanie wygrał jeszcze klasyfikację Turbokozaka – znanego programu Canal+ Sport. Nagrodę odebrał na Gali Ekstraklasy, gdzie pożegnał się z kibicami.

CANAL+
CANAL+
CANAL+

źródło: 400mm.pl

MAREK SAGANOWSKI

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: ŁKS Łódź, Wisła Płock, Odra Wodzisław Śląski, Legia Warszawa
Lata gry: 1995-1996, 1997-2005 i 2011-2016
Mecze/gole: 312/100

Blisko dziewiętnaście lat. Tyle dzieliło pierwsze i ostatnie trafienie Marka Saganowskiego. W tym czasie napastnik przeżył trzy szczyty kariery i jeden wielki upadek.

Przed osiemnastymi urodzinami miał na koncie już dwanaście bramek. Od jego czasów nie znalazł się nikt lepszy pod tym względem. Utalentowanym nastolatkiem zainteresowały się wielkie firmy. Ostatecznie trafił do Feyenoordu Rotterdam, gdzie spotkał Jerzego Dudka i Tomasza Iwana. Miał wtedy ledwie siedemnaście lat. – *Zobacz jak te chłopaki z Polski sobie radzą* – zagadnął kiedyś prezes tego klubu, dyrektora sportowego. Miał na

myśli fakt, że pomimo młodego wieku dojeżdżają na treningi samochodem. – *No tak* – odparł podwładny. – *Tylko jest pewien problem. Jeden w ogóle nie ma prawa jazdy, a drugi* [Saganowski – WB] *ma nieważne w Holandii*. – *No, czyli jednak jakoś sobie radzą!* – niezrażony dowodził szef.

Prawo jazdy przyczyniło się jednak do załamania jego kariery. Po Feyenoordzie odszedł do Hamburgera SV. Jego przygodę raptownie zakończył poważny wypadek na motocyklu. Później wrócił do Ekstraklasy, gdzie wraz z ŁKS Łódź zdobył mistrzostwo Polski. Dołożył do tego sukcesu aż jedenaście goli, co było najlepszym wynikiem w ekipie triumfatorów. Liczył sobie wtedy dopiero dwadzieścia lat. Przygodami mógł jednak obdzielić wielu starszych kolegów.

Ale niepowodzeniami również, bo kolejne sezony nie miały w sobie już nic z tych miesięcy pełnych świetności. Efektywność „Sagana” malała praktycznie z każdą rundą. Próbował ratować karierę, zmieniając ŁKS na Wisłę Płock, a potem na Odrę Wodzisław Śląski. Jego dorobek jednak praktycznie stał w miejscu. Dopiero transfer do Legii Warszawa wyrwał go z marazmu. W trzy sezony strzelił dla tego klubu 41 goli.

Trzy razy sięgnął z nią po mistrzostwo kraju. Tyle samo wynosi też liczba jego Pucharów Polski. Działo się to jednak już siedem lat później. Po pierwszym pobycie w Legii wyjechał bowiem do Portugalii, gdzie przez jeden sezon gry wyrobił sobie dobrą markę. Potem występował w Anglii, Grecji, Francji oraz w Danii. W tym ostatnim kraju wraz z Aalborgiem BK występował w Lidze Mistrzów. Po

powrocie pierwotnie trafił do ŁKS Łódź. Przyzwoity wynik bramkowy (6) dał mu jednak powtórny angaż do Wojskowych.

Kibice przyjęli to raczej chłodno. *To może od razu reaktywujemy Kowalczyka i Podbrożnego?* – pytała część z nich złośliwie na wieść o sprowadzeniu trzydziestoczteroletniego napastnika w szeregi klubu rywalizującego o mistrzostwo. „Sagan" jednak nie zatracił skuteczności. Mimo poważnych kontuzji oraz zaawansowanego wieku, jak na napastnika, zdobył siedemnaście bramek. Dzięki temu awansował do Klubu 100. Zapisał się też decydującym trafieniem w finale Pucharu Polski z Lechem Poznań.

W tym okresie nawet kolejny raz pojawił się w szeregach reprezentacji Polski! Trener Waldemar Fornalik dwukrotnie wystawił go w eliminacjach mundialu 2014. Łącznie rozegrał w biało-czerwonej koszulce 35 spotkań i strzelił w nich 5 goli. Choć na ogół był jednak tylko rezerwowym, to cztery z nich zdobył w starciach eliminacji MŚ. Na tej imprezie jednak nigdy nie udało mu się zagrać. Był bliski powołania na mundial 2006. Strzelił nawet gola w ostatnim starciu przed wyjazdem, z Wyspami Owczymi, ale Paweł Janas nie zdecydował się skorzystać z tego napastnika. Na EURO 2008 zabrał go natomiast Leo Beenhakker. Zagrał w każdym z trzech spotkań tego turnieju.

Karierę zakończył w 2016 roku. Jego brat Bogusław jest jednym z najlepszych piłkarzy plażowych Europy.

RADOSŁAW SOBOLEWSKI

(pomocnik/obrońca)

Kluby w Ekstraklasie: Wisła Płock, Dyskobolia Grodzisk Wielkopolski, Wisła Kraków, Górnik Zabrze
Lata gry: 1998, 1999-2001, 2003-2016
Mecze/gole: 374/39

Nietrudno odgadnąć, dlaczego Wisła Kraków w sezonach 2007/08 i 2008/09 miała poważną szansę, by poza mistrzostwem dołączyć do swych skalpów rozgrywki bez żadnej porażki na koncie. W ataku szalał superskuteczny Paweł Brożek. Nad defensywą czuwał zaś twardy jak skała Arkadiusz Głowacki. A przecież jeszcze, by dostać się do obu tych formacji, trzeba było przedrzeć się przez zasieki w postaci Radosława Sobolewskiego.

Kiedyś Sebastian Mila opowiadał o swoich początkach w Dyskobolii Grodzisk Wielkopolski. Ambitnie stanął do pojedynku „jeden na jednego” z rywalem. W pewnym momencie znalazł się jednak na ziemi. Spojrzał, kto go

powalił. Nie był to żaden z przeciwników, ale ówczesny kolega z zespołu – Radosław Sobolewski. „Sobol” tylko skwitował spojrzenie młodziana, w którym mieszało się zaskoczenie i oburzenie: – *Młody, nie wpieprzaj się, jak maszyna pracuje*.

Twardy, dobrze zbudowany, nie unikający ciężkiej walki, a przy tym aż do przesady ambitny zawodnik pełnił rolę zapory w środku pola. Stanowił serce Wisły Kraków. Sukcesy, jakie odnosiła w tym czasie Biała Gwiazda, były jego wielką zasługą.

Razem z nią wywalczył cztery mistrzostwa i dwa wicemistrzostwa Polski. Do tego dochodzi też wicemistrzostwo oraz Puchar Polski zdobyte z Dyskobolią Grodzisk Wielkopolski. Indywidualnie za swą grę otrzymał Piłkarskiego Oscara dla Pomocnika 2005 roku. Osiem lat później „Piłka Nożna” nagrodziła go tytułem Ligowca Roku. W sumie rozegrał 374 spotkania w najwyższej klasie rozgrywkowej. Zakładał opaski kapitańskie w Wiśle Kraków oraz Górniku Zabrze. Dziś plasuje się na 14. miejscu pod względem liczby występów w Ekstraklasie w historii rozgrywek. Swoje przywiązanie do Białej Gwiazdy udowodnił także na konferencji, podczas której ogłosił odejście z Reymonta. Ten twardy zawodnik, przyzwyczajony do ciężkiej walki na boisku, tym razem nie powstydził się łez.

Radosławowi Sobolewskiemu zaufał zarówno Paweł Janas podczas eliminacji MŚ w 2006 roku, jak też jego następca Leo Beenhakker w kwalifikacjach EURO 2008.

W obu tych kampaniach zagrał w większości spotkań, zwykle od pierwszej minuty. Pojechał jednak tylko na mundial. Koniec kariery w reprezentacji ogłosił bowiem kilka godzin po spotkaniu z Belgią, w którym Polacy przypieczętowali awans na ME. Do dziś nie są znane powody tej decyzji. „Sobol” nigdy nie słynął z wygadania. Rzadko stawał przed kamerami, a nawet długo konsekwentnie ich unikał. Toteż jego rezygnacja pozostaje jedną z większych zagadek futbolowych w Polsce. Zapewniał tylko, że była ona przemyślana. W sumie wystąpił z biało-czerwoną koszulką 33 razy i strzelił 1 gola – w debiucie z Estonią.

Na mundialu w Niemczech zagrał w dwóch pierwszych starciach – z Ekwadorem oraz Niemcami. W tym drugim, na kwadrans przed końcem, przy stanie 0:0, wyleciał z boiska za czerwoną kartkę. Nie miał szczęścia do takich gier. Był to bowiem jego kolejny kartonik wykluczający, otrzymany w spotkaniu na szczycie. Rok wcześniej strzelił dla Wisły gola, który dawał awans do fazy grupowej Ligi Mistrzów. Cóż z tego, skoro niedługo potem otrzymał czerwień i osłabiony zespół przegrał 1:4. Tego skalpu zabrakło więc „Sobolowi” w karierze. Grał trzykrotnie w fazie grupowej Pucharu UEFA i Ligi Europy. Raz z Białą Gwiazdą zaszedł nawet do 1/16 finału tych rozgrywek.

Karierę zakończył w 2016 roku. Później rozpoczął pracę jako asystent w Wiśle Kraków. Już dwukrotnie, wespół z Kazimierzem Kmiecikiem, pełnił funkcję tymczasowego szkoleniowca tej drużyny.

adidas
WĘGLOKOKS
WĘGLOKOKS

źródło: 400mm.pl

ŁUKASZ SURMA

(pomocnik)

Kluby w Ekstraklasie: Wisła Kraków, Ruch Chorzów, Legia Warszawa, Lechia Gdańsk
Lata gry: 1996-2007 i 2009-2017
Mecze/gole: 559/26

Kiedy wychodził na boisko w starciu Ruchu Chorzów z Arką Gdynia w maju 2017 roku, wskazówka na liczniku jego występów w Ekstraklasie przesunęła się na cyfrę „559”. Ten wynik Łukasza Surmy jest rekordem najwyższej polskiej ligi.

Ostatni pojedynek przyszedł w sezonie, który rozpoczął się dla niego 20. rocznicą debiutu w Ekstraklasie. Rzadki to przypadek, by tak okazały jubileusz mógł przeżywać jeszcze czynny zawodnik tego szczebla. Przed nim dokonali tego tylko Teodor Peterek, Tomasz Frankowski i Marek

Saganowski. Przez te dwie dekady w polskiej lidze minęła cała epoka.

Swą rekordową kartę zaczął zapisywać w lipcu 1996 roku. – *W pierwszej połowie byłem stremowany. To było zresztą widać. Miałem kilka niecelnych podań, nerwowych zagrań, dokonywałem niewłaściwych wyborów. A po przerwie grało mi się już coraz lepiej z minuty na minutę* – stwierdził w wywiadzie dla „Tempa" po swoim debiucie w Ekstraklasie w starciu Wisły Kraków z GKS Bełchatów. Redaktor, zresztą jego rówieśnik, Żelisław Żyżyński, dodawał: – *Czuję, że naszą rozmowę przeżywa bardziej niż występ na boisku*.

W dniu 20. rocznicy tego wydarzenia był już posiadaczem rekordu w liczbie występów w Ekstraklasie i jedynym zawodnikiem, który zagrał na tym poziomie ponad 500 razy. Kilkadziesiąt godzin wcześniej wystąpił w swym 526. meczu ligowym.

Marka Chojnackiego na liście piłkarzy z największą liczbą występów w Ekstraklasie Surma wyprzedził w sierpniu 2014 roku po porażce 0:3 z Podbeskidziem Bielsko-Biała. Długo zresztą takie wyjątkowe starcia kojarzyły mu się z brakiem sukcesu. Z pięciu meczów finalizujących kolejne „setki" występów w lidze raz przegrał, dwa razy remisował i dwa razy wygrywał. Na zwycięstwa w nich czekał jednak do swych dwóch ostatnich okrągłych jubileuszy w karierze: w 2012 roku, gdy został piątym piłkarzem w historii z 400 występami w najwyższej polskiej lidze oraz w 2015 roku, gdy był głównym

bohaterem pierwszego w dziejach Ekstraklasy 500. meczu jednego zawodnika.

W posiadaniu Surmy znajduje się też rekord w liczbie sezonów rozegranych w najwyższej lidze. Od edycji 1996/97 do 2016/17 zabrakło go na boiskach Ekstraklasy tylko w rozgrywkach 2007/08, gdy wyjechał bronić barw izraelskich klubów. Na obczyźnie (w Austrii) spędził też rundę jesienną 2008/09, ale wiosną znów pojawił się w rodzimych progach. Łącznie ma na koncie więc 21 sezonów na najwyższym szczeblu w Polsce i tylko raz zdarzyło się, by pojawił się na boisku w mniej niż 60% kolejek! Dzięki temu jest też jedynym zawodnikiem w historii, który w 20 edycjach rozgrywek Ekstraklasy rozegrał co najmniej po 20 spotkań. Między kwietniem 2014 roku a majem 2017 roku meldował się na boisku w 116 kolejkach z rzędu – zawsze od pierwszej minuty i tylko dziewięć razy nie dograł starcia do końcowego gwizdka. A przecież w chwili rozpoczęcia tej serii miał już blisko 37 lat! Przed nim 20 sezonów na koncie mieli tylko dwaj bramkarze: Edward Szymkowiak i Janusz Jojko.

Łącznie w całej karierze rozegrał w Ekstraklasie aż 47.073 minuty, co stanowi kolejny ligowy rekord w jego dorobku. W sumie wystąpił na tym szczeblu w 559 meczach, w tym w 459 od pierwszej do ostatniej minuty. Ma więc na swoim koncie w najwyższej lidze więcej starć w pełnym wymiarze czasowym niż jakikolwiek inny zawodnik meczów ogółem w Ekstraklasie! Jest też jedynym obok Marka Zieńczuka piłkarzem, który rozegrał co

najmniej po 100 meczów w trzech klubach. Do „karety” zabrakło mu tylko macierzystej Wisły Kraków.

Jego dorobek w kadrze zamknął się z kolei po ledwie pięciu spotkaniach. Piłkarski los poskąpił mu też trofeów. W ciągu 21 lat występów w najwyższej lidze tylko raz jego drużyna skończyła sezon na pierwszym miejscu. Było to w rozgrywkach 2005/06, gdy Surma występował w Legii Warszawa.

Złoto udało mu się, i jego kolegom, zapewnić w przedostatniej kolejce. Wcześniej trzy sezony z rzędu Wojskowi oglądali plecy Wisły Kraków. Tym razem wyrwali triumf Białej Gwieździe, choć do 18. kolejki ustępowali rywalom w ligowej tabeli. W pierwszych dziewięciu spotkaniach po przerwie zimowej zanotowali dziewięć zwycięstw, dzięki czemu mogli cieszyć się z mistrzostwa. Łukasz Surma w roli kapitana jako pierwszy zawodnik w historii wzniósł Trofeum Mistrza Polski. W tym sezonie bowiem laur ten zastąpił starą paterę.

Do tego raz był wicemistrzem i pięć razy stawał na najniższym stopniu podium. Z czterech klubów, w których występował w Ekstraklasie, żadnego medalu nie udało mu się zdobyć tylko w barwach Lechii Gdańsk.

Łukasz Surma był ostatnim zawodnikiem na boiskach Ekstraklasy, który grał w finale europejskiego pucharu w barwach polskiego zespołu. Ogółem w dziejach znalazło się tylko 44 takich piłkarzy. Po zakończeniu kariery przez Marcina Baszczyńskiego w 2013 roku pozostał sam na placu boju z tego grona w najwyższej lidze.

Obaj występowali w finale Pucharu Intertoto w 1998 roku w barwach Ruchu Chorzów. Czerwień z półfinału oznaczała jego absencję w pierwszym spotkaniu finału z włoską Bologną. – *Jestem wściekły* – przyznawał. – *Jeżeli był faul, to zasługiwał tylko na żółtą*. Osłabiony Ruch poniósł porażkę 0:3 na boisku rywala. W rewanżu przy Cichej zagrał już od pierwszych minut naprzeciw między innymi wicemistrza świata z 1994 roku i trzykrotnego króla strzelców Serie A – Giuseppe Signoriego. Próbował nawet zaskoczyć rywali strzałem z dystansu, ale piłka tym razem nie wpadła do siatki. Przeciwnicy za to dwukrotnie pokonali Piotra Lecha, co oznaczało porażkę Niebieskich w dwumeczu finałowym 0:5. – *Zrobiliśmy tyle, ile mogliśmy* – podsumował trener Orest Lenczyk.

Półfinał Pucharu Intertoto nie był jedynym przypadkiem, gdy młodemu Łukaszowi Surmie zagotowała się głowa. W swym drugim sezonie w Ekstraklasie, ściągnięty z boiska przez Wojciecha Łazarka po rozegraniu ledwie trzydziestu dwóch minut, ze wściekłością rzucił koszulką. – *On już w tej koszulce nie zagra* – zawyrokował szkoleniowiec. – *Zareagowałem impulsywnie pod wpływem nerwów. Nie wytrzymywałem już tego wszystkiego… Dostałem bardzo wysoką karę pieniężną i przez miesiąc grałem w rezerwach*.

Dawna zapalczywość z czasem jednak ustąpiła miejsca innym atutom piłkarskim. Pechowo jednak „żółtko” otrzymane w starciu Ruchu Chorzów z Arką Gdynia było jego czwartym ostrzeżeniem w rozgrywkach 2016/17, przez

co nie mógł wziąć udziału w meczu 37. kolejki i powiększyć swego bilansu do 560 spotkań…

Kończył karierę, gdy w składzie jego klubu znajdował się Przemysław Bargiel urodzony w 2000 roku, na pięć dni przed 100. występem Surmy w najwyższej lidze! On sam był już wtedy najstarszym zawodnikiem w rozgrywkach. – *Wydaje mi się, że nie zawiodłem zaufania trenera* – mówił po tym pierwszym ze swych 559 spotkań do Żelisława Żyzyńskiego – *Oby tak było zawsze…*

Rozbrat z futbolem nie potrwał jednak długo. Obecnie Łukasz Surma jako grający trener występuje w IV lidze.

CANAL+
TELE-TONIKA

źródło: 400mm.pl

MIROSŁAW SZYMKOWIAK

(pomocnik)

Kluby Ekstraklasie: Olimpia Poznań, Widzew Łódź, Wisła Kraków
Lata gry: 1993, 1994-2004
Mecze/gole: 242/27

Dwie świetne przygody w europejskich pucharach, kierownicza rola w reprezentacji Polski podczas awansu na mundial w 2006 roku, pokaźna kolekcja trofeów, status gwiazdy i… nagły rozbrat z futbolem. Sinusoida Mirosława Szymkowiaka raczej nie zahaczała o nudę.

Był naprawdę świetnym reżyserem gry Wisły Kraków w okresie jej największych sukcesów na początku XXI wieku. Maciej Żurawski i Tomasz Frankowski szaleli w ataku. Kamil Kosowski oraz Kalu Uche robili „wiatr” na skrzydłach. Szymkowiak w pełni zaś panował nad środkiem pola. To on nadawał tempo akcjom Białej Gwiazdy. Aż

trudno więc uwierzyć, że ten błyskotliwy „dyrygent” zadebiutował w Ekstraklasie jako… prawy obrońca!

Doszło do tego w Olimpii Poznań. Pół roku wcześniej „Szymek” skończył zaledwie szesnaście lat! Wobec kiepskiej sytuacji w tabeli, trener Janusz Białek zaryzykował jednak i wpuścił „dzieciaka” na boisko od pierwszej minuty. Nadziei nie zawiódł. Wystąpił jeszcze w trzech z czterech ostatnich spotkań tej edycji rozgrywek, z czego dwukrotnie już na swojej nominalnej pozycji. Nie uratowało to Olimpii przed spadkiem. Pobyt na zapleczu potrwał jednak tylko sezon. Szymkowiak wraz z zespołem z Wielkopolski powrócił do elity. Wkrótce potem ściągnął go Widzew Łódź. Już w debiucie ligowym zdobył dla niego bramkę.

W tym zespole dwukrotnie wywalczył mistrzostwo i raz wicemistrzostwo Polski. Awansował także do fazy grupowej Ligi Mistrzów. Potem jednak wspominał, że przed pierwszym meczem w tych rozgrywkach nabawił się stresu, co przyprawiło go o… poważne problemy żołądkowe. Łatkę „nerwowego” później musiał długo od siebie odklejać. Ostatecznie udało mu się to chyba już za czasów Wisły Kraków. Do Białej Gwiazdy trafił pierwszej zimy XXI wieku. Razem z tym zespołem zdobył cztery mistrzostwa, jedno wicemistrzostwo oraz dwa Puchary Polski. Świetnie rozumiał się w tej drużynie zarówno na boisku, jak i prywatnie z Maciejem Żurawskim, Kamilem Kosowskim oraz Marcinem Baszczyńskim. To przekładało się na osiągane wyniki. Razem przeżyli też udaną przygodę

w Pucharze UEFA, gdy wyeliminowali Schalke 04 Gelsenkirchen oraz AC Parmę i zakończyli zmagania na 1/8 finału po dwumeczu z Lazio Rzym. „Szymek” należał do jednych z najważniejszych postaci w tamtej kampanii.

Podobnie było w zakończonych awansem eliminacjach mundialu 2006, gdzie stanowił podstawowego gracza w talii Pawła Janasa. Na samym turnieju zagrał przeciwko Ekwadorowi i Kostaryce. Była to jedyna duża impreza w jego dorobku. W kadrze wystąpił 33 razy i strzelił 3 gole. Grę w biało-czerwonej koszulce zakończył kilka miesięcy po MŚ. Niedługo potem poinformował też o całkowitym przerwaniu wyczynowej kariery. W Polsce przyjęto to z niedowierzaniem. Uważano, że zawodnik chciał opuścić Trabzonspor, gdzie trafił w 2005 roku. Kiedy jednak FIFA rozwiązała jego kontrakt z klubem, a on mimo to nie zdecydował się na powrót do Ekstraklasy, stało się jasne, że „Szymek” nie symulował. Od dłuższego czasu informował bowiem o swoich problemach zdrowotnych. Przez ostatnie miesiące grał regularnie na blokadach.

Przerwał grę w wieku niespełna trzydziestu lat. Później amatorsko kopał w oldbojach Wisły i w Prądniczance Kraków. Prowadził też swój biznes związany z branżą fryzjerską. Nikogo to specjalnie nie zdziwiło. Szymkowiak słynął bowiem z dość fantazyjnych fryzur w okresie gry. Ponadto zajmuje się szkoleniem młodzieży w swojej szkółce piłkarskiej. Ostatnio dołączył również do grona ekspertów w Canal+.

CANAL+

źródło: 400mm.pl

ALEKSANDAR VUKOVIĆ

(pomocnik)

Kluby w Ekstraklasie: Legia Warszawa, Korona Kielce
Lata gry: 2001-2004, 2005-2008 i 2009-2013
Mecze/gole: 242/18

Rzadko się zdarza, aby obcokrajowiec aż tak utożsamiał się z klubem. Aleksandar Vuković nie stał się jednak jednym z wielu stranierich w Legii Warszawa, ale jednym z sympatyków tego klubu. Do dziś należy do ulubieńców fanów z Łazienkowskiej 3.

A przecież na początku nie był nawet faworytem do miana „ulubieńca" wśród transferów Legii z sezonu 2001/02. O to miano rywalizował w końcu z bramkostrzelnym napastnikiem – Stanko Svitlicą, dawnymi idolami trybun – Sylwestrem Czereszewskim i Wojciechem Kowalczykiem, Moussą Yahayą, Wojciechem Szalą, Tomaszem Sokołowskim i, bramkarzem Radostinem

Stanewem. Serbski pomocnik kupił ich jednak swoim charakterem. „Vuko” nigdy nie odpuszczał. Zawsze na boisku dawał z siebie sto procent. Dzięki tej waleczności znakomicie sprawdzał się na pozycji defensywnego pomocnika. Szybko opanował język, co pozwoliło mu stać się jednym z liderów w szatni.

Był czołową postacią Legii Warszawa – jedynej drużyny, która w tych pierwszych edycjach XXI wieku potrafiła przerwać dominację Wisły Kraków. Razem z nią zdobył mistrzostwo Polski w 2002 oraz 2006 roku. Miał też na koncie trzy wicemistrzostwa i dwa brązowe medale. Do tego doszły: Puchar Polski, Puchar Ligi oraz Superpuchar Polski. Dzięki temu skompletował więc pełną koronę krajowych trofeów jako jeden z nielicznych obcokrajowców.

Od 2012 roku miał na koncie rekord w największej liczbie występów wśród obcokrajowców w Ekstraklasie. Na pozycji lidera wyprzedził wtedy Andrieja Mychalczuka. Dokonał tego jednak już w Koronie Kielce. Trafił tam po epizodzie w Grecji i – tak jak w Legii – zdobył spore uznanie kibiców oraz opaskę kapitańską. Później wyprzedzili go w tej klasyfikacji tylko dwaj dawni koledzy klubowi: Pavol Stano (z Korony) oraz rodak Miroslav Radović (z Legii). Nad tym ostatnim sprawował nawet pieczę, gdy trafił do Wojskowych.

Przed przyjazdem do Polski „Vuko” występował głównie w Partizanie Belgrad. Razem z biało-czarnymi zdobył mistrzostwo Jugosławii. Dziś przyznaje, że Partizan oraz Legia zajmują w jego sercu tyle samo miejsca. Pobyt nad

Wisłą przerywały mu zaś dwa krótkie – oba trwały ledwie jedną rundę – wyjazdy do Grecji: do Ergotelisu oraz Iraklisu Saloniki.

Karierę zakończył w 2013 roku. Później był II trenerem w Koronie Kielce. Od 2015 roku pełni tę funkcję w Legii Warszawa. Poprowadził nawet ten klub, jako tymczasowy szkoleniowiec, w jednym ze spotkań sezonu 2016/17 (0:0 z Wisłą Kraków). Dzięki temu jest jedynym obcokrajowcem w historii Legii, który bronił jej barw w Ekstraklasie jako piłkarz, ale i trener. A także pierwszym takim przypadkiem w historii całej najwyższej ligi. W tej roli pracował także w sierpniu 2018 roku.

Od 2008 roku posiada polski paszport. Nie zagrał jednak ani dla reprezentacji Polski, ani Jugosławii, ani Serbii.

źródło: 400mm.pl

MACIEJ ŻURAWSKI

(napastnik)

Kluby w Ekstraklasie: Warta Poznań, Lech Poznań, Wisła Kraków
Lata gry: 1994-1995, 1997-2005 i 2010-2011
Mecze/gole: 251/121

Wiele jest sporów w historii światowego futbolu: Real Madryt czy FC Barcelona? Gianluigi Buffon czy Iker Cassillas? Liga hiszpańska czy angielska? W Ekstraklasie w XXI wieku kibiców elektryzowały zaś pojedynki Tomasza Frankowskiego i Macieja Żurawskiego o koronę króla strzelców. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że… grali w jednym klubie!

„Franek łowca bramek” był może skuteczniejszy od swego partnera z linii ataku. „Żuraw” natomiast górował kreatywnością. Nie tylko potrafił wykończyć akcję z pola karnego, ale też dużo dawał w rozegraniu. Na pewno

o wiele częściej trafiał z dystansu niż klubowy kolega. Zanotował też więcej asyst. Nie bez powodu Frankowski na liście swoich najczęstszych asystentów umieścił właśnie Żurawskiego, na okazjonalnym trykocie włożonym z okazji awansu na 3. miejsce w klasyfikacji strzelców wszech czasów.

Sam „Żuraw” w tym zestawieniu znajduje się na 14. pozycji ex aequo z Józefem Nawrotem. Tę lokatę dało mu 121 goli strzelonych w 251 meczach. Średnio więc niemal w co drugim spotkaniu strzelał gola. Ten wynik byłby nawet okazalszy, gdyby nie średnio udany powrót na sam koniec kariery w szeregi Wisły, gdy trafił ledwie raz w 21 starciach. Bez tej edycji jego wynik wynosił 0,52 gola/spotkanie, a zatem tylko 0,03 gorzej od Frankowskiego. Przez pewien czas zresztą nad nim górował. Setkę skompletował w 3. kolejce edycji 2004/05, podczas gdy „Frankowi” udało się to sześć spotkań później.

Mimo tej rywalizacji obaj zawodnicy nie unikali wzajemnych podań i szukali siebie w polu karnym. Żurawski dwa razy został królem strzelców. Mógł też dokonać tego jeszcze raz. W 2005 roku Wisła dość szybko zapewniła sobie mistrzostwo i obaj zawodnicy ustalili, by spróbować stanąć wspólnie na najwyższym stopniu strzeleckiego podium. Sytuacja boiskowa rozwinęła się jednak inaczej i „Żuraw” nie dogonił „Franka”. Granicy dobrego smaku bowiem obaj nigdy nie przekraczali w tej rywalizacji.

Maciej Żurawski jest też jedynym zawodnikiem w historii ligi, który w czterech sezonach z rzędu strzelił co najmniej dwadzieścia goli! W rozgrywkach 2001/02, 2002/03, 2003/04 i 2004/05 kolejno na jego koncie znajdowało się: 21, 22, 20 i 24 trafienia! W 108 spotkaniach, które wtedy rozegrał, strzelił zatem aż 87 goli. Nie mogło być inaczej, skoro stać go było na takie wyczyny, jak pięć goli strzelonych w jednym starciu ligowym z GKS Katowice. Jako jedyny też w dwóch latach kalendarzowych w XXI w. (2002 i 2004 r.) strzelał więcej niż 20 goli. Był też pierwszym piłkarzem po Erneście Pohlu, który w dwóch kolejnych meczach w jednym sezonie strzelił hat-tricka.

Ta wewnętrzna rywalizacja przyniosła także wiele trofeów Wiśle Kraków. Z tym klubem Żurawski pięć razy osiągnął mistrzostwo Polski. Dwukrotnie stał na drugim stopniu podium. Do tego dołożył też dwa Puchary Polski oraz jeden Puchar Ligi. Indywidualnie trzy razy wygrał punktację „Złote Buty" katowickiego „Sportu". W 2002 roku został zaś uznany Piłkarzem Roku zarówno w oczach tej redakcji, jak i „Piłki Nożnej". Był ostatnim zawodnikiem, który zdobył ten tytuł jako przedstawiciel klubu Ekstraklasy.

Niewątpliwie pomogły mu w tym udane występy na europejskiej arenie. W sezonie 2002/03 doszedł z Białą Gwiazdą do 1/8 finału Pucharu UEFA. Po drodze strzelił dwa gole NK Primorje Ajdovscina, trzy gole AC Parmie, dwa gole Schalke 04 Gelsenkirchen oraz dwa gole Lazio Rzym!

Po tej edycji o Żurawskim zaczęło być głośno w całej Europie.

Zalicza się też do piłkarzy z udziałem w największej liczbie turniejów międzynarodowych rangi MŚ lub ME w Polsce. Wyprzedzają go pod tym względem tylko Władysław Żmuda i Łukasz Piszczek. „Żuraw” zagrał w barwach reprezentacji Polski na mundialach w 2002 i 2006 roku oraz na EURO 2008. Na tej ostatniej imprezie był nawet kapitanem. Nie zdobył na nich jednak żadnej bramki. Najlepszą okazję ku temu miał na pierwszym mundialu XX w., ale pomylił się przy wykonywaniu rzutu karnego, jako drugi z Polaków po Kazimierzu Deynie. Odegrał za to ważną rolę podczas eliminacji na ME 2008 (13 meczów, 1 gol), a zwłaszcza na mundial 2006, gdy siedmiokrotnie pokonał bramkarzy przeciwników. Lepsze wyniki w całej Europie uzyskali od niego tylko Zlatan Ibrahimović, Pedro Pauleta i Jan Koller. Ostatecznie w reprezentacji Polski zagrał 72 razy, co daje mu trzynaste miejsce na liście wszech czasów. Strzelił w tym czasie 17 goli.

Po występach w Wiśle grał jeszcze między innymi w Celtiku Glasgow. Świetnie spisał się zwłaszcza w pierwszym sezonie, gdy na jego koncie znalazło się 16 bramek. Dzięki temu „Magic” stał się jednym z ulubieńców kibiców tego klubu. W Szkocji trzykrotnie zdobył mistrzostwo kraju. Dołączył do tego Puchar Szkocji oraz Puchar Ligi. Mistrzostwo wywalczył też na Cyprze

w barwach Omonii Nikozja. W międzyczasie bronił barw greckiej Larissy.

Na zakończenie kariery wrócił do Wisły, sięgając po kolejne mistrzostwo. Był to jednak jego pożegnalny sezon na najwyższym poziomie. Później amatorsko grał dla Porońca Poronin w III lidze. Jego występy cieszyły się dużą popularnością wśród fanów. Obecnie jest komentatorem Eurosportu.

BIBLIOGRAFIA

Bołba Wiktor, Brychczy Lucjan, Kalinowski Grzegorz, *Kici*, Buchmann;

Bołba Wiktor, *Deyna. Geniusz futbolu, książę nocy*, The Facto;

Czado Paweł, *Górnik Zabrze, Opowieść o złotych latach*, Agora SA;

Dudek Jerzy, Kurowski Dariusz, *Uwierzyć w siebie. Do przerwy 0:3*, Zysk i S-ka;

Dutkowski Zbigniew, *Gwiazdy, bramki, emocje Stadionu Śląskiego*, Krajowa Agencja Wydawnicza;

Dziekanowski Dariusz, *Dziekan*, Akurat;

Frączek Wojciech, Gudebski Mariusz, Owsiański Jarosław, *Encyklopedia Ekstraklasy. Statystyczny bilans 80 sezonów*, Fundacja Dobrej Książki;

Gowarzewski Andrzej (red.), *Encyklopedia Piłkarska FUJI*, tomy 50-53, Wydawnictwo GiA;

Górski Kazimierz, *Pół wieku z piłką*, Sport i Turystyka;

Grzegorczyk Stefan, Lechowski Jerzy, Szymkowiak Mieczysław, *Piłka nożna 1919-1979. Ludzie, mecze,*

drużyny, Młodzieżowa Agencja Wydawnicza;

Gudebski Mariusz, *Z orłem na piersi, 90 lat biało-czerwonych*, Fenix;

Hurkowski Roman, Person Andrzej, *Moi rywale. Boniek i inni*, Pomorze;

Jergović Miljenko, *Wilimowski*, Książkowe Klimaty;

Jucewicz Andrzej, *Selekcjonerzy,* Sport i Turystyka;

Joszko Grzegorz, *Niebieskie majstry*, HistoriaRuchu.pl;

Kałużny Radosław, Karoń Mateusz, *Powrót taty*, Kopalnia;

Miatkowski Jerzy, Owsiański Jarosław, *1927. Ten pierwszy sezon ligowy*, Bogucki Wydawnictwo Naukowe;

Mielech Stanisław, *Gole, faule i ofsajdy*, Warszawa 1957;

Olszański Michał, Lubański Włodzimierz, *Życie jak dobry mecz,* Wydawnictwo Literackie;

Stanowski Krzysztof, *Spalony*, Buchmann;

Szczepłek Stefan, *Deyna*, Marginesy;

Szczepłek Stefan, *Moja historia futbolu*, tomy 1–2, Presspublica;

Terelcki Stanisław, Nahorny Rafał. *Pele, Boniek i ja*, Zysk i S-ka;

Tuszyński Bogdan, *Sportowe pióra*, B.G.W.;

Wyrzykowski Krzysztof, *Ja, Lubański*, Wigor

Prasa – archiwum:

„Corrieredello Sport”

„Der Morgen”

„Dziennik Bałtycki”
„Dziennik Łódzki”
„Dziennik Polski”
„Dziennik Zachodni”
„Gazeta Krakowska”
„Gazeta Wanguardo”
„Gazeta Wyborcza”
„Goeteborgs-Posten”
„L’Auto”
„MeggiornoSportivo”
„Nowiny Rzeszowskie”
„Observer”
„Przegląd Sportowy”
„Rzeczpospolita”
„Trybuna Ludu”
„Trybuna Śląska”
„Życie Warszawy”

Źródła internetowe:
90minut.pl
Ekstraklasa.org
HistoriaRuchu.pl
HistoriaWisly.pl
Hppn.pl
Legia.net
Przegladsportowy.pl
Onet.pl
Rfbl.pl

twitter.com/_Ekstraklasa_
WikiPasy.pl

Galeria Legend Ekstraklasy
Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8147-338-5

© Wojciech Bajak i Wydawnictwo Novae Res 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Marta Grochowska
KOREKTA: Elżbieta Zasempa
OKŁADKA: Artur Rostocki
KONWERSJA DO EPUB/MOBI: Inkpad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES
ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia
tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, http://novaeres.pl

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.